

PATRICIA HIGHSMITH

KRZYK SOWY

The Cry of the Owl

Przełożył Krzysztof Obłucki

NOIR SUR BLANC



Dla D. W.

1

Robert został w firmie prawie godzinę dłużej, mimo że kończył o piątej. Nie miał po co śpieszyć się do domu, a w ten sposób unikał zamieszania, jakie powstawało na parkingu Langley Aeronautics, kiedy samochody pracowników wyjeżdżały stamtąd między siedemnastą a siedemnastą trzydzieści. Zauważył, że Jack Nielson także pracował po godzinach, podobnie jak stary Benson, który zwykle wychodził ostatni. Robert zgasił jarzeniówkę.

- Zaczekaj na mnie! - zawołał Jack. Jego głos brzmiał głucho w pustej kreślarni.

Robert wyjął palto z szafki.

Pożegnali się z Bensonem i ruszyli w kierunku długiego przeszklonego sekretariatu, gdzie były windy.

- No, proszę. Założyłeś lotnicze buty - powiedział Robert.

- Aha. - Jack spojrzał w dół na swoje wielkie stopy.

- Nie miałeś ich na nogach w czasie lunchu, prawda?

- Tak. Zostawiłem je w szafce. Na początku nie powinno się ich nosić dłużej niż dwie godziny dziennie.

Wsiedli do windy.

- Wyglądają całkiem przyzwoicie - odezwał się Robert.

- Wyglądają koszmarnie. - Jack roześmiał się. - Ale są wygodne, stary. Chciałbym cię o coś prosić. Pożyczysz mi dziesięć dolarów do wypłaty? Dziś akurat wypada...

- Jasne. - Robert sięgnął po portfel.

- Mamy dziś z Betty rocznicę i idziemy na obiad do restauracji, ale może wpadłbyś przedtem do nas na drinka? Otworzymy szampana.

Robert dał mu dziesięć dolarów.

- Chyba powinniście być sami z Betty w rocznicę ślubu.

- Och, daj spokój. Tylko kieliszek szampana. Powiedziałem jej, że spróbuję cię namówić na krótką wizytę.

- Nie, dzięki, Jack. Jesteś pewny, że nie potrzebujesz więcej forsy, w końcu idziecie do restauracji?

- Najzupełniej. A te pieniądze będą na kwiaty. Wystarczyłoby sześć dolarów, tyle że dziesięć łatwiej zapamiętać. Nie mam więcej żadnych wydatków. Dziś zapłaciłem ostatnią ratę za te buty. Siedemdziesiąt pięć dolarków, więc lepiej, żeby okazały się wygodne. No, Bob, daj się skusić.

Stali na parkingu. Robert nie miał zamiaru z nim jechać, ale nie przychodziła mu do głowy żadna sensowna wymówka. Spojrzał na pociągłą, raczej brzydką twarz Jacka i przyglądał swoje krótko przystrzyżone czarne włosy, znaczone siwizną.

- Która to rocznica?

- Dziewiąta.

- Pojadę do domu, Jack. - Robert pokiwał głową. - Pozdrów ode mnie Betty.

- A jaki to ma związek z dziewiątą rocznicą?! - zawołał za nim Jack.

- Żaden! Do jutra!

Robert wszedł do samochodu i odjechał pierwszy. Jack i Betty mieszkali w skromnym, ponurym domu w Langley. Matka Jacka i ojciec Betty, którzy zapadali bez przerwy na jakieś choroby - jak opowiadał Jack - niemal cały czas wyciągali od nich pieniądze. Gdy tylko udało im się odłożyć choćby niewielką sumkę na wakacje albo odnowienie domu, jego matka albo ojciec Betty natychmiast domagali się gotówki. Mieli także pięcioletnią córeczkę i ogólnie rzecz biorąc, byli szczęśliwi.

Zmierzch zapadał szybko, niczym czarne morze zalewające ziemię. Mijając motele i przydrożne budki z hamburgerami na obrzeżach Langley, Robert czuł, jak robi mu się niedobrze na samą myśl o wjechaniu do miasta i dotarciu do ulicy, przy której mieszkał. Skręcił na stację benzynową, zawrócił i ruszył w stronę, skąd przyjechał. To tylko zmrok, pomyślał. Nie lubił go nawet latem, kiedy zapadał wolniej i łatwiej było go znieść. Zimą, na pustych przestrzeniach Pensylwanii, do których jeszcze nie przywykł, ściemniało się przerażająco szybko, a on popadał w depresję. Zmierzch kojarzył mu się z nagłą śmiercią. W soboty i niedziele, kiedy nie pracował, już o czwartej zapalał światło i zaciągał zasłony, a gdy po szóstej wyglądał oknem, na świecie panowała już kompletna ciemność. Robert pojechał do niewielkiego miasteczka o nazwie Humbert Corners, położonego niecałe piętnaście kilometrów od Langley, a stamtąd ruszył wąską szutrową drogą prowadzącą na wieś.

Chciał ponownie zobaczyć tę dziewczynę. Może ostatni raz, przebiegło mu przez głowę. Ale podobne myśli nawiedzały go już wcześniej, a od ostatniej takiej sytuacji minęło bardzo niewiele czasu. Zastanawiał się, czy to z powodu dziewczyny siedział po godzinach, choć wcale nie musiał pracować do późna. A jeśli zostawał tylko dlatego, żeby mieć pewność, że opuści zakład po zapadnięciu zmroku?

Robert zaparkował samochód na polnej ścieżce w lesie niedaleko domu dziewczyny i zaczął iść. Kiedy się do niego zbliżył, zwolnił, przeszedł obok zbitej z desek planszy do koszykówki, ustawionej na końcu podjazdu, i znalazł się na łące za domem.

I tym razem dziewczyna była w kuchni. Na tyłach domu widać było dwa oświetlone kwadraty. Jej postać przemieszczała się między nimi, choć więcej czasu spędzała w lewym, gdzie stał stół. Okno wydało się Robertowi maleńkim obrazem widzianym przez obiektyw kamery. Nigdy nie podchodził blisko budynku. Bardzo się bał, że mogłaby go zauważyć, że policja uznałaby go za podejrzaną osobę kręcącą się po okolicy i zatrzymała jak zwykłego podglądacza. Dziś jednak noc była bardzo ciemna. Zbliżył się do domu.

Przyjechał tam czwarty albo piąty raz. Po raz pierwszy zobaczył dziewczynę w sobotę, kiedy w jasny, rozsloneczniony dzień pod koniec września rozbijał się samochodem bez celu po bezdrożach. Gdy przejeżdżał, trzepała niewielki dywanik na frontowym ganku. Widział ją wszystkiego może dziesięć sekund, ale to, co zobaczył, uderzyło go jak znajomy widok, jak obraz osoby, którą skądś znał. Sądząc po tekturowych pudłach stojących na werandzie i oknach pozbawionych zasłon, domyślał się, że właśnie się wprowadziła. Był to jednopiętrowy biały dom z brązowymi okiennicami i framugami, z których większość wymagała odnowienia. Trawnik dawno nie był koszony, a biały płot z drewnianych bali, ustawiony wzdłuż podjazdu, chylił się i rozpadł w kilku miejscach. Dziewczyna miała jasnobrązowe włosy i była wysoka. Tyle jedynie mógł zobaczyć z odległości prawie dwudziestu metrów. Nie wiedział, czy jest ładna, czy brzydka, zresztą nie miało to znaczenia. A co się liczyło? Robert nie umiałby wyjaśnić tego słowami. Ale kiedy ujrzał ją po raz drugi i trzeci, w odstępach dwu-, trzytygodniowych, uświadomił sobie, co mu się w niej podoba - spokojne usposobienie, wyraźnie widoczne uczucie, jakim darzyła walący się dom, i zadowolenie z życia. Wszystko to mógł dostrzec przez kuchenne okno.

Przystanął mniej więcej trzy metry od domu i ukrył się poza smugą jasności wylewającą się przez okno. Rozejrzał się na boki i za siebie. Jedyne światło w okolicy znajdowało się za nim, oddzielone rozległym polem, w odległości chyba niecałego kilometra. Samotne światełko w oknie wiejskiej zagrody. Tymczasem dziewczyna w kuchni nakrywała stół na dwie osoby, co mogło oznaczać, że jej chłopak przyjdzie na obiad. Robert widział go dwukrotnie. Był wysokim facetem o kręconych czarnych włosach. Raz się z nim całowała. Przypuszczał, że są w sobie zakochani, pobiorą się, i miał nadzieję, że dziewczyna będzie szczęśliwa. Robert podszedł jeszcze bliżej, suwając nogami, by przypadkiem nie złamać jakiegś gałązki. Stał, trzymając się jedną ręką konaru niewielkiego drzewa.

Tego wieczoru smażyła kurczaka. Butelka białego wina stała na stole. Dziewczyna

miała na sobie fartuch kuchenny. Kiedy Robert na nią popatrzył, zaczęła akurat rozcierać nadgarstek w miejscu, gdzie prysnął gorący tłuszcz. Słyszał, że w kuchni gra cicho radio, akurat podawano wiadomości. Ostatnim razem, gdy tu był, dziewczyna nuciała, wtórując nadawanej przez radio piosence. Jej głos nie był ani dobry, ani zły, po prostu naturalny i szczerzy. Miała około metra siedemdziesięciu wzrostu, dość krępe ciało, duże dłonie i stopy, i mogła liczyć od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat. Jej twarz była gładka, o ładnej cerze, chyba nigdy nie marszczyła czoła, a jasnobrązowe włosy, rozdzielone przedziałkiem pośrodku głowy i podpięte nad uszami dwoma złotymi spinkami, sięgały jej do ramion, lekko się podwijając. Usta wydawały się szerokie i cienkie, i zazwyczaj wyrażały dziecięcą powagę, podobnie jak jej szare, niezbyt duże oczy. Dla Roberta wszystko miała jak trzeba, niczym prawidłowo wyrzeźbiony posąg. Nawet jeśli jej oczy wydawały się zbyt małe, współgrały z całością, tworząc wspólnie - jego zdaniem - wrażenie piękna.

Kiedy Robert patrzył na nią znowu po dwóch albo trzech tygodniach przerwy, ulegał zawsze dziwnemu czarowi; porażał go jej widok, sprawiając, że serce podchodziło mu do gardła, a potem biło szybciej przez kilka sekund. Któregoś wieczoru, mniej więcej przed miesiącem, wydało mu się, że patrzy na niego przez okno, a wtedy serce mu zamarło. Spojrzał jej prosto w oczy bez obawy, nie usiłował się ukryć, stojąc bez ruchu, ale przez te parę chwil miał nieprzyjemną świadomość, że jednak się przestraszył, gdy na niego patrzyła, i brał pod uwagę możliwość, że ona - w tej sytuacji - eksploduje w następnej minucie: wezwie policję, dobrze mu się przyjrzy, aresztują go jako podglądacza i takie będzie absurdalne zakończenie całej historii. Szczęściem nie dostrzegła go, a jej patrzenie przez okno dokładnie w miejsce, gdzie się znajdował, okazało się najwyraźniej zupełnie przypadkowe.

Nazywała się Thierolf - tak było napisane na skrzynce na listy, ustawionej przy drodze - i jedynie to wiedział o niej na pewno. Poza tym, że jeździła jasnyniebieskim volkswagenem. Samochód stał na podjeździe, bo dom nie miał garażu. Robert nigdy nie próbował śledzić dziewczyny rankami, żeby sprawdzić, gdzie pracuje. Uświadomił sobie, że przypatrywanie się jej, które sprawia mu przyjemność, jest ściśle związane z domem. Podobała mu się jako domatorka, znajdował zadowolenie, obserwując, jaką radość czerpała z wieszania zasłon i obrazów na ścianach. Najbardziej lubił patrzeć, gdy krzątała się po kuchni, co było pomyślnym zbiegiem okoliczności, bo kuchnia miała troje okien, wszystkie osłonięte mniej lub bardziej drzewami, za którymi mógł się schować. Na podwórzu stała też niewielka szopa na narzędzia, wysoka dwa metry, a także złamana plansza do koszykówki, ustawiona przy końcu podjazdu, które zasłaniały go, kiedy jej chłopak nadjeżdżał samochodem z włączonymi światłami.

Kiedyś Robert usłyszał, jak woła za nim: „Greg! Greg!”, gdy chłopak wychodził z domu. „Równie dobrze mogę użyć masła! Ojej, ależ ja mam pamięć!” A Greg jechał gdzieś, żeby przywieźć zapomniane artykuły.

Robert przytknął krawędź dłoni do czoła i po raz ostatni spojrzął na dziewczynę. Skończyła już pracę i opierała się o blat przy piecyku, skrzyżowała nogi w kostkach i wpatrywała się w podłogę nieobecny wzrokiem, jakby patrzyła na coś, co znajduje się wiele kilometrów dalej. W dłoniach ułożonych swobodnie, niemal bezwładnych, trzymała białoniebieską ściereczkę do talerzy. Potem uśmiechnęła się niespodziewanie, odepchnęła od blatu, złożyła ściereczkę i zawiesiła ją na jednym z trzech czerwonych prętów, zamocowanych przy zlewie. Tamtego wieczoru, ale wcześniej, Robert widział, jak dziewczyna przybija do ściany wieszak na ręczniki. Teraz podeszła prosto do okna, przy którym stał Robert, a on miał jedynie chwilę, by schować się za małym drzewkiem.

Nie znosił sytuacji, gdy musiał zachowywać się jak przestępca, i na dodatek - właśnie wtedy - nastąpił na gałązkę. Usłyszał charakterystyczne zgrzytnięcie przy oknie i wiedział, co to znaczy - jedna ze spinek dziewczyny ocierała się o szybę - dlatego natychmiast zamknął oczy ze wstydu. Kiedy je otworzył, zobaczył, że dziewczyna przycisnęła policzek do szyby i spogląda w drugą stronę, na podjazd. Robert popatrzył na kosz do koszykówki i zastanawiał się, czy nie uciec, zanim ona wyjdzie z domu. Chwilę potem usłyszał, że radio zaczęło grać głośniej, i uśmiechnął się. Domyślił się, że się przestraszyła, i żeby dodać sobie otuchy, pogłośniła muzykę. Nielogiczne, choć z drugiej strony bardzo logiczne, a przy tym wruszające posunięcie. Szczerze żałował, że przez niego poczuła się niepewnie. Zresztą wiedział, że stało się tak nie pierwszy raz. Był straszliwie niezdarnym podglądaczem. Kiedyś niechcący kopnął starą dziesięciolitrową puszkę, która stała przy bocznej ścianie, a dziewczyna, sama w domu, malująca sobie paznokcie w salonie, aż podskoczyła, ostrożnie otworzyła frontowe drzwi i zawołała: „Kto tam? Jest tu ktoś?” Po chwili drzwi się zamknęły i usłyszał szcęk zasuw. Ostatnim razem, kiedy wiał silny wiatr, a konar drzewa ocierał się o belkowanie domu, dziewczyna usłyszała to, podeszła do okna, lecz najwyraźniej postanowiła niczego nie robić i wróciła do oglądania telewizji. Jednak skrzypienie nie ustawało. W końcu Robert chwycił gałąź i zgiał ją, ocierając po raz ostatni gałązkami o ścianę domu. A potem odszedł, zostawiając zgięty, ale nie złamany konar. Co by się działo, gdyby zauważyła potem tę gałąź i zwróciła na nią uwagę swojego chłopaka?

Wizja upokorzenia, jakiego by doznał, przyłapany na podglądaniu, była tak przykra, że nawet nie próbował sobie tego wyobrazić. Podglądacze podpatrują zwykle rozbierające się kobiety, mają też inne podejrzane nawyki, o czym Robert słyszał. To, co odczuwał, to, co nim

powodowało, przypominało straszliwe pragnienie, które musiał ugasić. Musiał ją widywać, musiał obserwować. Przyznając się do tego przed sobą, był gotów ponosić ryzyko, że zostanie przyłapany któregoś wieczoru. Straciłby wtedy pracę. Jego przemiła gospodyni, pani Rhoads z „Apartamentów Camelot”, byłaby przerażona i natychmiast zażądałaby, żeby się wyprowadził. Co do kolegów z biura - no cóż, poza Jackiem Nielsonem - mógł z łatwością sobie wyobrazić, jak powtarzają jeden drugiemu: „A nie mówiłem, że coś z tym facetem jest nie tak?... Czy chociaż raz zagrał z nami w pokera?” Musiał jednak ryzykować. Nawet jeśli nikt nie potrafi zrozumieć, że patrzeć na dziewczynę, która niespiesznie krząta się po domu, zajęta codziennymi obowiązkami, uspokaja go, unaocznia, że dla niektórych ludzi życie może mieć sens i sprawia im radość, niemal napawa go wiarą, że sam też kiedyś znajdzie ten sens i radość. Dziewczyna mu w tym pomagała.

Robert poczuł dreszcz, przypomniał sobie, w jakim stanie był zeszłego września, kiedy przyjechał do Pensylwanii. Nie dość, że popadł w depresję tak głęboką jak nigdy przedtem, to jeszcze nabrał przekonania, że ostatnie iskry optymizmu, woli czy nawet zdrowego rozsądku ulatują z niego, niczym ostatnie ziarnka piasku przesypane się w klepsydrze. Wszystko musiał robić zgodnie z harmonogramem, jakby stał się jednoosobową armią: jeść, szukać pracy, spać, myć się i golić, a potem znowu działać według szablonu, inaczej bowiem zupełnie by się rozsypał. Robert przypuszczał, że jego nowojorski psychoterapeuta, doktor Krimmler, z pewnością by to zaaprobował. Nieraz o tym rozmawiali.

Robert: „Jestem absolutnie pewny, że gdyby wszyscy na świecie nie przypatrywali się bacznie temu, co robią inni, oszalelibyśmy. Ludzie, zostawieni sami sobie, nie wiedzieliby, jak żyć”.

Doktor Krimmler, z powagą i przekonaniem: „Surowa dyscyplina, o której bez przerwy mówisz, wcale nie jest drylem. To nawyki nabyte przez rasę ludzką w ciągu wieków. W nocy śpimy, a w dzień pracujemy. Trzy posiłki lepiej nam służą niż jeden lub siedem. Te nawyki stanowią o zdrowiu psychicznym. Tak, masz rację”.

Nie była to jednak w pełni satysfakcjonująca odpowiedź.

Robert chciał wiedzieć, co się pod tym kryje. Chaos? Nicość? Zło? Pesymizm i depresja, które są niemal gwarantowane? Zwykła śmierć, wyciszenie, pustka tak przerażająca, że nikt nie chciał o niej rozmawiać? W sumie nie był zbyt wylewny przy Krimmlerze, choć najwyraźniej nie robili niczego poza rozmawianiem i kłóceniem się, a chwile ciszy zdarzały im się bardzo rzadko. Tyle że Krimmler był psychoterapeutą, a nie analitykiem. Tak czy owak, argumenty doktora okazały się pomocne, bo Robert zachowywał się zgodnie z jego wskazówkami i żył w myśl zaleceń podręczników. Nabrał też pewności, że pomogło mu to

nawet w przypadku telefonów od Nickie, która jakimś sposobem go odnalazła, może przez firmę telefoniczną, a może przez jednego ze wspólnych przyjaciół z Nowego Jorku, znającego jego numer.

Nie rozglądając się na boki, Robert wyszedł zza niewielkiego drzewa, okrążył prostokąt światła padającego z okna i ruszył w kierunku podjazdu. W tej samej chwili zauważył, że z prawej strony wzdłuż drogi zbliża się powoli para reflektorów. Robert w dwóch susach znalazł się za planszą do koszykówki, zanim samochód skręcił na podjazd. Dwie smugi światła zawisły po obu bokach kryjówki szerokiej prawie na dwa metry. Robert przypomniał sobie o szczelinach między starymi deskami i poczuł się wystawiony niemal jak na widelcu, jakby jego postać tworzyła ciemny obrys na tle tablicy z koszem.

Reflektory zgasty, drzwiczki samochodu otworzyły się, a potem uchyliły się drzwi domu.

- Witaj, Greg! - zawołała dziewczyna.

- Witaj, skarbie. Przepraszam za spóźnienie. Przyniosłem ci kwiatek.

- Och, dzięki. Jest śliczny, Greg!

Ich głosy ucichły za zamykającymi się drzwiami.

Robert westchnął. Nie palił się do odjazdu, choć teraz, kiedy ich uwagę zaprzętał kwiat, był najlepszy moment, żeby zniknąć. Miał ochotę na papierosa. Poza tym przemarzył do szpiku kości. Wtedy usłyszał, że ktoś otwiera okno.

- Gdzie? O tu? - zapytał Greg.

- Chyba tutaj. Niczego nie widziałam.

- Dzisiejsza noc jest na to odpowiednia - powiedział Greg wesoło. - Ładna i ciemna.

Może coś się wydarzy.

- Na pewno nie, jeśli wystraszyłeś to coś, cokolwiek to było - odezwała się dziewczyna ze śmiechem. Mówiła tak głośno jak jej chłopak.

Nie mają zamiaru nikogo szukać, pomyślał Robert. Zresztą, komu by się chciało? Buty mężczyzny zadudniły na bocznej werandzie. Greg robił obchód domu. Robert poczuł ulgę, widząc, że Greg nie ma ze sobą latarki. Nadal jednak mógł zejść za planszę z koszem. Dziewczyna wyglądała przez okno, uchylone na dwadzieścia kilka centymetrów. Greg zakończył rekonesans i wszedł do środka kuchennymi drzwiami. Okno zostało zamknięte, a potem znowu otworzone przez Grega, ale dużo wężiej niż poprzednio. Greg odszedł. Robert wychynął zza kosza i skierował się w stronę domu, ku uchylonemu oknu. Szedł niemal pewnym krokiem, jakby chciał udowodnić samemu sobie, że ukrywanie się przez kilka minut wcale go nie upokorzyło. Stał dokładnie w tym samym miejscu co wcześniej, po drugiej

stronie drzewa, w odległości niecałego metra od domu. Brawura, pomyślał. Czysta brawura i wyzywanie losu.

- ... policję - Greg mówił znudzonym tonem. - Daj mi się najpierw rozejrzeć dookoła. Będę spał w salonie, skarbie, bo w razie czego łatwiej będzie mi wybiec z domu, niż ganiać z góry. Nie zdejmę spodni ani butów, a jak kogoś dorwę... - Wykrzywiając twarz, uniosł wielkie pięści do wysokości oczu.

- Chcesz jakiś drag jako pałkę albo coś w tym rodzaju? - zapytała dziewczyna łagodnym głosem. Uśmiechała się, jakby groźba użycia siły zawarta w jego słowach zupełnie do niej nie docierała. Robert uznał, że jest dziewczyną, która zachowuje uśmiech i swobodę zachowania, nawet jeśli jest zaniepokojona. Podobało mu się to. Nigdy nie wyglądała na zdenerwowaną. Uwielbiał jej postawę. Powiedziała coś jeszcze, czego nie dosłyszał, ale był przekonany, że przeszła do salonu, żeby pokazać Gregowi kij, o którym myślała. Przy kominku stało wiadro na węgiel pełne dragów, patyków i szczap na rozpałkę.

W salonie rozległ się głośny śmiech pewnego siebie Grega.

Robert wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Rozchylił poły palta, wsunął ręce do kieszeni spodni i z wysoko uniesioną głową ruszył podjazdem, oddalając się od domu.

Dom dziewczyny stał przy Conarack Road, prowadzącej prostą, lecz górzystą drogą do odległego o dziesięć kilometrów Humbert Corners, gdzie, jak Robert przypuszczał, pracowała. Minął Humbert Corners w drodze do Langley, w którym mieszkał. Langley było dużo większym miastem, leżało nad rzeką Delaware. Znane było przede wszystkim jako centrum handlowe, siedziba największego w tym rejonie dealera używanych samochodów - „Używane samochody Reda Reddinga - do wyboru, do koloru” - a także z zakładów Langley Aeronautics, produkujących części do prywatnych samolotów i helikopterów. Robert pracował tam od końca września jako inżynier. Zajęcie nie było zbyt ciekawe, ale za to dobrze płatne, a poza tym zarząd Langley Aeronautics cieszył się, że udało im się go pozyskać, bo wcześniej zatrudniała go prestiżowa firma z Nowego Jorku, zajmująca się przeprojektowywaniem tosterów, żelazek, radioodbiorników, magnetofonów i niemal wszystkich elektrycznych urządzeń, jakich używano w amerykańskich domach. Robert miał też pewne zadanie do wykonania, którego podjął się jeszcze w Nowym Jorku - chodziło o dokończenie zaczętego przez jakiegoś młodego Francuza zbioru dwustu pięćdziesięciu szczegółowych rysunków owadów i pajaków dla profesora Gumbolowskiego. Przyjaciele Roberta, Peter i Edna Campbellowie, przedstawili go profesorowi, ale wcześniej nalegali, żeby na spotkanie przyniósł swoje rysunki irysów. Naukowiec z kolei pokazał mu szkice do książki, na którą podpisał umowę z amerykańskim wydawcą. Młody Francuz, który rozpoczął

serię rysunków, zdążył przed śmiercią wykonać nieco więcej niż połowę z nich. To wystarczało, żeby Robert nie przyjął zlecenia - nie dlatego, że był przesądny, ale dlatego, że cała sytuacja wywoływała w nim nieokreślony rodzaj depresji, a depresji miał dość. Na dodatek nie przepadał za robakami i pajakami. Niemniej profesor zachwycił się szkicami przedstawiającymi irysy - Robert narysował je pod wpływem chwilowego kaprysu na widok kwiatów stojących w mieszkaniu, które dzielił z Nickie - i był przekonany, że Robert dokończy pracę w identycznym stylu, w jakim została rozpoczęta przez Francuza. Nim wieczór dobiegł końca, Robert przyjął zlecenie. Bez wątpienia było odmienne od wszystkiego, co robił do tej pory - pomogło mu więc w tworzeniu dla siebie „innego” życia. Odszedł od Nickie i przeniósł się do hotelu w Nowym Jorku, miał zamiar rzucić pracę i usiłował wybrać jakieś miasto, do którego chciałby pojechać i w nim zamieszkać. Książka o owadach mogła zapoczątkować podobne zlecenia. Niewykluczone, że bardzo by mu się to spodobało albo też szybko by się zniechęcił, ale o tym trzeba się było po prostu przekonać na własnej skórze. Dlatego przyjechał do Rittersville w Pensylwanii, miasta większego od Langley, został tam przez dziesięć dni, nie znalazł jednak żadnego zajęcia, a potem trafił do Langley, żeby sprawdzić, jakie są perspektywy w Langley Aeronautics. Choć miasto było ponure, nie żałował, że wyniósł się z Nowego Jorku. Mimo że zawsze, dokądkolwiek zmierzamy, zabieramy ze sobą swoje stare „ja”, całkowita zmiana otoczenia wychodzi nam czasem na dobre. Za wykonanie ilustracji do książki miał dostać osiemset dolarów, a musiał je skończyć do marca. Postanowił robić cztery rysunki tygodniowo. Rysował na podstawie szczegółowych, ale słabych szkiców profesora, a także powiększonych zdjęć, które od niego dostał. Robert przekonał się, że lubi to zajęcie, na dodatek pomagało mu przebrnąć przez dłużące się weekendy.

Wjechał do Langley od wschodu, minął „Używane samochody Reda Reddinga - do wyboru, do koloru”. Patrzył na ustawione w równych kwadratach kabriolety i sedany, oświetlone upiornym światłem latarni, które stały w wąskich przejściach wyłożonych płytami chodnikowymi. Samochody wyglądały niczym potężna armia martwych żołnierzy w zbrojach. O jakiej bitwie każdy z tych samochodów mógłby mi opowiedzieć? - zastanawiał się Robert. O jakiejś kraksie, której skutki naprawiono, choć kierowca zginął? O ojcu rodziny, który zbankrutował i dlatego musiał sprzedać wóz?

„Apartamenty Camelot”, gdzie Robert mieszkał, to czteropiętrowy budynek w zachodniej części Langley, niecałe dwa kilometry od zakładów, w których pracował. Hol oświetlały dwie lampy ustawione na stolikach, przeświecające przez filodendrony w doniczkach. Centralki telefonicznej, znajdującej się w rogu, już od dawna nikt nie używał, ale

nigdy jej nie usunięto: pani Rhoads zwierzyła mu się, że mimo wszystko jej „lokatorzy” wolą prywatne linie telefoniczne, nawet jeśli nie można zostawić dla nich wiadomości. Pani Rhoads mieszkała na parterze po prawej stronie i zazwyczaj siedziała w holu albo w swoim salonie, którego drzwi zawsze się otwierały, gdy ktoś wchodził albo wychodził. Kiedy Robert wszedł, była w holu i mosiężną lakierowaną konewką podlewała filodendrony.

- Dobry wieczór, panie Forester. Jak samopoczucie?

- Świetnie, dziękuję - odpowiedział Robert, uśmiechając się. - A co u pani?

- Po staremu. Pracował pan do późna?

- Nie, pojeździłem trochę. Lubię patrzeć na wiejski krajobraz.

Potem zapytała go, czy jeden z grzejników w pokoju daje wystarczająco dużo ciepła. Robert zapewnił ją, że tak, choć w rzeczywistości w ogóle nie zwrócił na to uwagi. Później poszedł schodami na górę. W budynku było sześć lub osiem mieszkań i brakowało w nim windy. Mieszkanie Roberta znajdowało się na ostatnim piętrze. Nie zadał sobie trudu, by poznać pozostałych lokatorów - dwóch młodych kawalerów, dwudziestokilkuletnią dziewczynę, wdowę w średnim wieku, która bardzo wcześnie rano wychodziła do pracy - niemniej kiwał im głową na powitanie i zamieniał kilka słów, gdy natknął się na kogoś z nich. Jeden z młodych mężczyzn, Tom Shive, zaprosił go kiedyś na kręgle i Robert się zgodził.

Pani Rhoads ze wścibstwem typowej konsjerżki śledziła, kto wchodzi i wychodzi, choć w gruncie rzeczy miała dobre serce i Robert nawet lepiej się czuł, wiedząc, że jest w domu ktoś, kto się nim interesuje, docieka, czy jest samotny lub z kim się spotyka, albo czy wrócił o piątej, o wpół do ósmej, czy rano. Za te same pieniądze - dziewięćdziesiąt dolarów miesięcznie - mógłby znaleźć średniej wielkości dom jednorodzinny pod Langley, ale nie chciał być sam. Nawet liche meble stanowiące wyposażenie jego dwóch pokoi były na swój sposób wygodne: przed nim mieszkali tu inni lokatorzy, którzy jakimś cudem nie podpalili sofy, nie poczynili większych szkód - nie licząc dziury wypalanej papierosem w blacie biurka - chodzili po tym samym ciemnozielonym dywanie i niewykluczone, że w środy i soboty zauważali nawet, że ktoś go odkurzył. Inni ludzie mieszkali tu przed nim i dokądś odeszli, by wieść na wskroś zwyczajne i być może szczęśliwsze życie. Z panią Rhoads dogadywał się w sprawie wynajmu z miesiąca na miesiąc. Nie zamierzał zostawać tu dłużej niż miesiąc lub dwa. Ale ani się nie wyprowadzał, ani nie wynajął domku na przedmieściach, ani też nie przeniósł się do Filadelfii, gdzie mieściły się główne zakłady Langley Aeronautics, w których montowano maszyny. Na koncie w banku miał sześć tysięcy i wydawał tu znacznie mniej niż w Nowym Jorku. Nie dostał jeszcze rachunku za rozwód, ale tym zajmowali się nowojorscy prawnicy Nickie, która wychodziła ponownie za mąż i nie chciała od niego żadnych

alimentów.

Robert włączył elektryczny piekarnik w maleńkiej kuchence, przeczytał sposób przygotowania na kilku torebkach z mrożonkami, potem je otworzył i wsadził zawartość do piekarnika, nie zadając sobie trudu, by go wcześniej nagrzać. Zerknął na zegarek, a potem usiadł w fotelu z książką o amerykańskich drzewach. Czytał o *Wiązach skrzydlatych i czerwonych*. Suchy, rzeczowy tekst działał odświeżająco.

Niegdyś zalecano żucie kory wiązu czerwonego jako lek na bolące gardło. Gałęzie są kosmate, ale porowate... Szorstkie, twarde i ciężkie, nadają się na pale do płotów.

Z przyjemnością przewracał strony i czytał aż do chwili, gdy czując swąd spalenizny, zerwał się z fotela.

2

Dziesięć dni później, mniej więcej w połowie grudnia, Jennifer Thierolf i Gregory Wyncoop pili kawę w salonie jej domu i patrzyli w telewizor. Był niedzielny wieczór. Siedzieli na sofie w stylu wiktoriańskim, którą Jennifer kupiła na aukcji w sklepie z używanymi rzeczami, a potem oczyściła olejem lnianym i płynem do mycia obić. Trzymając się za ręce, oglądali film kryminalny, ale mniej ciekawy od innych z tej serii.

Jenny wpatrywała się w ekran niewidzącymi oczami. Myślała o książce, którą właśnie czytała, o *Biesach* Dostojewskiego. Nie rozumiała Kirillowa, zwłaszcza jego ostatnich słów, długiej wypowiedzi, a zagadywanie o to Grega nie miało sensu. Greg wspomniał jej co prawda, że czytał tę powieść, ale pytanie, które mogłaby mu zadać, choć jeszcze przed obiadem wydawało jej się proste, teraz uznała za zbyt nieprecyzyjne. Nie wątpiła jednak, że kiedy skończy czytać książkę, a może po paru dniach, gdy któregoś wieczoru będzie siedziała w wannie albo zmywała naczynia, wszystko stanie się jasne i jednoznaczne.

- O czym tak myślisz? - zapytał Greg.

Zakłopotana Jenny usiadła prosto i uśmiechnęła się.

- Czy ja zawsze muszę o czymś myśleć? Ciągłe mnie o to pytasz.

- Jeśli tylko znowu nie myślisz o tym cholernym domu albo zamartwiasz się o...

- Nie mów „cholerny dom”.

- Dobrze - Greg pochylił się ku niej, zamknął oczy i przycisnął nos do jej karku. Głośniejszy dźwięk z telewizora sprawił, że odsunął się od niej gwałtownie i spojrzał na ekran, ale nic szczególnego się tam nie działo. - W każdym razie to stary dom, a we wszystkich starych domach słychać dziwne odgłosy. Moim zdaniem na strychu skrzypi, bo cały dach rusza się na wietrze.

- Nie zamartwiam się. Zwykle to ty bardziej ode mnie przejmujesz się domem - powiedziała Jenny, nagle gotowa się bronić.

- Odgłosami? Tymi z zewnątrz, jak najbardziej. Jestem pewien, że ktoś nas podgląda. Pytałaś Susie, czy kogoś widziała, tak jak cię prosiłem?

Susie Escham mieszkała z rodzicami w najbliższym domu w okolicy.

- Nie, zapomniałam - odpowiedziała Jenny.

- No to zapytaj. Słowo daję, że nikt, tylko podobna do ciebie romantyczka, nie przeprowadziłby się do domu na takim pustkowiu. Poczekaj, aż spadnie naprawdę duży śnieg, wichura pozrywa druty i tak dalej, a wtedy pożałujesz tej decyzji.

- Mądrała. Przeżyłam kilka zim w Scranton.

- Zgoda, ale w Scranton nie mieszkałaś w takim domu. Wiem, że nie, bo go widziałem.

Jenny westchnęła, przypomniał się jej dom rodziców w Scranton, zadbane, przytulny jednopiętrowy budynek, cały z cegły, nie do pokonania dla wichury i innych żywiołów.

Miała dwadzieścia trzy lata. Rzuciła naukę w college'u po trzech latach, pracowała jako księgowa-sekretarka w jednym z biur w Scranton i mieszkała z rodzicami aż do końca ostatniego lata. Wtedy bowiem postanowiła, że chce zrobić coś samodzielnie. Rozważała, czy za odłożone pieniądze jechać do Europy, czy też żyć za nie w San Francisco, a w końcu zdecydowała, że przeniesie się do jakiegoś małego miasteczka, i dlatego wybrała Humbert Corners. Chciała mieć własny dom, ciekawy z wyglądu, który będzie mogła urządzić po swojemu; dom, który nie będzie stał piętnaście metrów od innego, tak jak u rodziców. Ten dom jej się podobał, mimo śmiesznych i dziwnych odgłosów, budzących ją czasami w nocy, napędzających jej strachu.

- Jedyne, co można zrobić z tym domem, to przyzwyczaić się do niego - powiedziała Jenny bardzo poważnie. - Nie ma w nim nic złego.

- Jak chcesz, Jenny, ale nie myśl, że jak się pobierzemy, będziemy mieszkać tu czy w czymś podobnym. A to, mam nadzieję, stanie się przed czerwcem.

- Dobrze. Nie mówiłam przecież, że będziesz musiał tu mieszkać, a tymczasem ja nacieszę się tym miejscem.

- Wiem, kochanie. - Pocałował ją w policzek. - Boże, jaka ty jesteś dziecinna.

To zdanie nie bardzo jej się podobało. W końcu Greg był od niej starszy zaledwie o kilka lat.

- Zaczynają się wiadomości.

W połowie wiadomości usłyszeli dobiegający z zewnątrz dźwięk, który przypominał kaszel. Jenny podskoczyła, a Greg natychmiast zerwał się na równe nogi. Pobiegnął do kuchni po latarkę leżącą na stole. Ponownie przeszedł przez salon i otworzył frontowe drzwi.

- Kto tam jest? - krzyknął głośno, omiatając smugą światła z latarki pozbawioną liści forsycję, wysoki na metr osiemdziesiąt świerk i podjazd aż do drogi. Skierował światło w drugą stronę, ale nie wypatrzył niczego poza połamanym białym płótem i smętnym drewnianym słupkiem, na którym była zamocowana przekrzywiona latarnia z powybijanymi szybami.

- Zobaczyłeś coś? - zapytała Jenny, stając tuż za nim.

- Nie, ale się rozejrzę.

Greg zeskoczył ze schodów i poszedł za róg domu, oświetlił tylne podwórze, a potem ruszył powoli dalej, ostrożnie zajrzał za wysoki żywopłot, za którym człowiek mógłby się schować z łatwością. Szedł wzdłuż desek planszy do koszykówki, tak że mógł sprawdzić, czy ktoś za nimi stoi. Oświetlił szopę na narzędzia, obszedł ją dokoła, nawet do niej zajrzał. A potem nagle poświecił latarką na obie strony podjazdu.

- Nic. Niczego tu nie ma - powiedział i wrócił do domu. Telewizor był wyłączony. Nad czołem Grega zwisały czarne kręcone włosy. - Brzmiało to zupełnie jak kaszel, co nie?

- Tak - odpowiedziała Jenny stanowczo, ale bez emocji.

Uśmiechnął się, rozbawiony jej powagą i opanowaniem. Przyszło mu do głowy, żeby ponownie spędzić tu noc. Mogliby przecież położyć się na sofie w piżamach - no tak, ale nie zasnęliby, dopóki by się z nią nie kochał, a z tym skończyli. Do tej pory zrobili to dwa razy i potem się umówili, że powstrzymają się do ślubu. Była to nieformalna umowa w stylu Jenny, którą mógłby ewentualnie naruszyć. Ale nie dzisiejszej nocy. Nie wtedy, gdy być może ktoś ich obserwuje albo próbuje podglądać przez szparę w zasłonach w salonie.

- Mam pomysł - powiedział nagle. - Potrzebny jest pies. Przyprowadzę ci psa. Doberman są najlepsze. To stróż.

Jenny oparła się o poduszkę na sofie.

- Zbyt długo nie ma mnie w domu. Serce by mi się krajało, gdybym musiała codziennie zostawiać biedne zwierzę samo na osiem godzin.

Wiedział, że nic na to nie poradzi. Dało się ją przekonać niemal do wszystkiego, ale

nie miał szans w sprawie zwierzęcia, które mogłoby przez nią cierpieć.

- Może znalazłoby się w stawie jakiegoś szczeniaka w worku, a wtedy z radością zamieszkałoby w jakimkolwiek domu, byle tylko nie dać się utopić.

- Och, nie mówmy już o tym. - Jenny wstała i przeszła do kuchni.

Patrzył za nią, zmieszany, zastanawiając się, czy aby nie wprawił jej w zły nastrój. Jej młodszy brat umarł trzy lata wcześniej na zapalenie opon mózgowych. Jenny spędziła z nim wiele czasu w szpitalu. Miało to na nią ogromny wpływ, stanowczo za duży. Nigdy nie powinien mówić przy niej o śmierci.

- Wiesz, na co mam ochotę?! - zawołała z kuchni. - Na gorącą czekoladę. Napijesz się ze mną?

Uśmiechnął się, wyraz troski zniknął z jego twarzy.

- Jasne, jeśli ty będziesz piła.

Usłyszał chłupot mleka wlewanego do garnka, kliknięcie elektrycznej kuchenki - jedyne nowoczesnego sprzętu w całym domu. Zapalił papierosa i stanął w drzwiach kuchni. Patrzył na dziewczynę.

Jenny wolno mieszała mleko.

- Wiesz, jakie jest najgorsze przestępstwo, które człowiek może popełnić? Moim zdaniem.

Pomyślał o morderstwie, ale uśmiechnął się jedynie i zapytał:

- No, jakie?

- Fałszywie oskarżyć kogoś o gwałt.

- Ha! - Zaśmiał się i uderzył dłonią w czoło. - Dlaczego tak uważasz?

- Przeczytałam o tym w gazecie. Jakaś dziewczyna kogoś oskarżyła, ale do tej pory niczego nikomu nie udowodnili.

Patrzył na nią, gdy w skupieniu mieszała mleko, przyglądał się jej młodemu, krępemu ciału, spozjrzał na czarne zamszowe buty, które na nogach Jenny nie wyglądały ani na dziecinne, ani na szykowne, raczej na coś pośredniego. Pomyślał, że gdyby kiedykolwiek ktoś ją zgwałcił, zabiłby go, zadusił z prawdziwą przyjemnością.

- Jenny, powiedz, że nie widziałaś tu nikogo, no, powiedz. Bo przecież powiedziałybyś mi, prawda?

- Oczywiście, że bym ci powiedziała. Nie bądź głuptasem.

- Nie jestem głuptasem. Masz tyle sekretów, maleńkich, a jednak. Dlatego właśnie jesteś taką nieprzewidywalną kobietą. - Stając za nią, otoczył ją ramionami i pocałował w tył głowy.

Roześmiała się, ale był to nieśmiały, powściągliwy śmiech, szybko obróciła się przodem do niego, objęła go za szyję i pocałowała.

Wypili czekoladę w kuchni, pojadając wyjmowane z pudełka ciasteczka o zrumienionych na brązowo krawędziach. Greg zerknął na zegarek i stwierdził, że dochodzi północ. Musiał wstać o wpół do siódmej, żeby dojechać do Filadelfii na dziewiątą. Był akwizytorem farmaceutyków i dlatego na co dzień nie mógł się obyć bez samochodu. Jego nowy plymouth miał już na liczniku ponad trzydzieści trzy tysiące kilometrów. Greg mieszkał nad garażem w domu pani Van Vleet w Humbert Corners, zaledwie osiem kilometrów od Jenny, co wydawało się żadną odległością. Kiedy odwiedzał ją wieczorami, pokonywanie tak krótkiego odcinka sprawiało mu wręcz przyjemność po całodziennym jeździe, podczas której robił dwieście pięćdziesiąt albo nawet ponad trzysta kilometrów. Zupełnie jak Jenny - specyfiki, które sprzedawał przez cały dzień, tworzyły zabawne kłębowisko sprzeczności: proszki nasenne, proszki pobudzające, proszki pomagające zerwać z picciem, paleniem, nadmiernym jedzeniem, pigułki znieczulające określone nerwy i stymulujące inne. Można było pomyśleć, że świat jest przepełniony chorymi ludźmi - z drugiej strony, gdyby nie oni, nie miałby z czego żyć.

- Niech mnie drzwi ścisną! - powiedziała Jenny, kiedy pierwszy raz otworzył przed nią walizkę i pokazał towar, jaki sprzedaje.

Znajdowały się tam setki buteleczek najróżniejszych kształtów i kolorów, wszystkie z etykietami, na których widniały wymyślne nazwy i spisy składników nie do wymówienia. W apteczce Jenny stało jedynie opakowanie aspiryny. Przyznała mu się, że zażywa ją mniej więcej dwa razy do roku, kiedy czuje, że grozi jej przeziębienie. To właśnie w niej lubił, była to jedna z jej cech, które mu się podobały - Jenny tryskała zdrowiem. Może to mało romantyczne, że dziewczyna podobała mu się dlatego, że była zdrowa, ale dzięki temu Jenny wprost jaśniała i piękniała. Dawało to jej ogromną przewagę nad innymi dziewczynami, z którymi chodził albo w których się kochał. Wcześniej oświadczył się tylko dwóm - w Filadelfii - ale obie dały mu kosza. Przy Jenny wyglądały na chorowite. Jenny chciała mieć dzieci. Od razu po ślubie mieli zamiar powiększyć rodzinę. „Matka moich dzieci” - tak myślał często o Jenny Greg, gdy na nią patrzył. Potrafił ją sobie wyobrazić z ich dwu-, trzy-, czteroletnim dzieckiem, jak z nim rozmawia, traktuje je jak dorosłą osobę, nawet jeśli robi jakieś głupstwa, i chichocze z nim, ponad wszystko jednak jest cierpliwa, dobra i nigdy się nie złości. Greg doszedł do wniosku, że będzie najlepszą matką na świecie.

Trochę poirytowany słuchał jej opowieści o Ricie, kasjerce z banku. Rita zawsze spóźniała się z przerwy na lunch, a to oznaczało, że Jenny musiała ją zastępować i w

konsekwencji traciła swój wolny czas, bo nie zdążyła wykorzystać przerwy. Ale Jenny nie narzekała. Wprost przeciwnie - śmiała się z tego, a teraz miała nawet więcej powodów do wesołości, bo wczoraj szef, pan Stoddard, zaprosił ją na lunch, a ona nie mogła wyjść przed powrotem Rity, z czego pan Stoddard był bardzo niezadowolony, więc kiedy Rita wreszcie przyszła obładowana siatkami, szef powiedział jej, co myśli o przerwie na lunch przedłużanej ponad przysługującą godzinę.

Greg skrzyżował ramiona na piersi. Głupia praca Jenny i tak nie miała trwać długo. Może do lutego, może do marca, tylko do chwili, kiedy się pobiorą.

- A niby dlaczego pan Stoddard zaprosił cię na lunch? Nie bardzo mi się to podoba.

- Och, daj spokój. On ma czterdzieści dwa lata!

- Żonaty?

- Nie wiem.

- Ty nie wiesz?

- Nie wiem, bo mnie to nie obchodzi.

- Pierwszy raz cię zaprosił?

- Tak.

Greg nie bardzo wiedział, co może jeszcze powiedzieć na ten temat, więc zamilkł. Po chwili wstał i zaczął szykować się do wyjścia. Pocałował czule Jenny, stojąc w drzwiach kuchni.

- Nie zapomnij dobrze zamknąć tych drzwi. Frontowe sam zamknę.

- Dobrze.

- Ani się obejrzymy i będzie Boże Narodzenie. - Na Wigilię mieli pojechać do Filadelfii, a do jej rodziców, do Scranton, na święta.

- Kolejna Gwiazdka - powiedziała Jenny tonem, który mógł oznaczać praktycznie wszystko, westchnęła i uśmiechnęła się.

- Jesteś przemęczona. Śpij dobrze. Dobranoc, kochanie. - Greg wybiegł na zewnątrz, niemal przewrócił się na schodach, po omacku odnalazł klamkę w drzwiczkach samochodu.

Jenny nie położyła się do łóżka jeszcze przez prawie godzinę. Bardzo powoli sprzątnęła kuchnię, pozmywała i odstawiła talerze na miejsce. Żadna myśl nie zaprzętała jej głowy. Czasami najbardziej interesujące myśli, sprawiające największą przyjemność, nachodziły ją, gdy nie próbowała myśleć na siłę o czymkolwiek. Tej nocy czuła się zmęczona i zadowolona. Jej wyobraźnię wypełniała teraz jedna wizja, a raczej obraz wspaniale ubarwionej rybki, przypominającej złotą rybkę, ale większej i bardziej czerwonej, która płynęła przez cudownie piękny podwodny las, pełen roślin przypominających zioła. Piasek

był żółtozłotawy, jakby promienie słońca przeniknęły przez wodę aż na dno morza. Był to widok tchnący spokojem i ciszą, idealny, by ukołysać do snu. Zobaczyła go ponownie, kiedy już w łóżku zamknęła oczy.

3

Robert liczył, że w sobotę dostanie list od Nickie albo od jej prawnika, ale tego dnia nie otrzymał żadnej poczty. Zawiózł koszule i pościel do pralni, odebrał garnitur z czyszczenia, usiadł w staroświeckiej bibliotece w Langley i czytał mniej więcej przez godzinę. Do domu wrócił z powieścią Johna O'Hary i biografią Franza Schuberta, o którym dziwnym zbiegiem okoliczności myślał przez cały ranek. Od drugiej do czwartej z minutami rysował *Collembola* z rodziny skoczogonków. Jeden ze szkiców profesora Gumbolowskiego, przedstawiający *Collembola protura*, okazał się zabawny, choć na pewno nie był to efekt zamierzony. Dwie przednie nóżki owada narysowano w taki sposób, w jaki zwykle przedstawia się toreadora mającego wbić banderille w grzbiet byka. Robert bawił się podmalowywaniem pocztówki ze zdjęciem *Protura* - na krępych odnóżach dorobił spodnie toreadora, a na łebku trójkątny kapelusz, w innej nóżce umieścił włócznie z frędzlami. Wysłał ją Ednie i Peterowi Campbellom z notatką: „Robota idzie świetnie! Kocham Was oboje, Bob”.

Tak naprawdę jednak chciał znaleźć się przy domu dziewczyny. Nie był tam już od sześciu dni, a w środę, choć może to był czwartek, kiedy oparł się tej pokusie, przysięgł sobie, że nigdy więcej tam nie pojedzie. Taka wyprawa była niebezpieczna. Boże, gdyby Nickie się o tym dowiedziała! Ależ by się naśmiewała, kpiła i szydziła! Czuł, że może dziękować własnemu szczęściu za to, że nie przyłapano go do tej pory, i dlatego powinien z tym zerwać. Pomyślał, że z drugiej strony działało to na niego jak wódka na alkoholików, którzy przysięgają sobie, że już nigdy więcej nie wypiją ani kropli, a potem wracają do butelki. Może działa się tak dlatego, że jego życie było puste, nie widział wokół siebie nic atrakcyjnego poza dziewczyną o nazwisku Thierolf. Powszechnie mówiono o alkoholikach, że nie mają niczego, co wypełniłoby im życie, i dlatego piją. To, co odczuwał, chodząc wolno po pokoju o osiemnastej dziesiąt w sobotni wieczór, można nazwać pokusą. Wmawiał sobie, że nie potrafi się jej oprzeć. Myślał, żeby iść do kina porno, jeśli to będzie konieczne. Albo

okazać silną wolę, zjeść gdzieś obiad, a potem wrócić i czytać cały wieczór. Napisać list do Campbellów i poprosić, żeby przyjechali w któryś weekend. U niego nie mogliby co prawda zanoć, ale „Putman Inn” był zupełnie niezłym hotelikiem. Wyrzucić dziewczynę z myśli. Szaleństwo polegające na szpiegowaniu jej trudno było uznać za właściwe zachowanie w normalnym życiu. Na pewno dobrze nie świadczyło o zdrowiu psychicznym. Robert zaśmiał się krótko. Psychoterapeuta nie byłby zadowolony z takiego biegu spraw.

Teraz na dworze panowała już ciemność. Osiemnasta osiemnaście. Włączył radio, żeby posłuchać wiadomości.

Usiadł na kanapie, na wpół słuchał skrótu informacji i rozważał, czy jechać dziś wieczorem, czy nie. Ostatni raz. Może wcale jej tam nie będzie, jest przecież sobotni wieczór. Robert był świadomy, że część jego umysłu przywołuje argumenty niczym elokwentny orator, który po dłuższym milczeniu zerwał się na równe nogi: „Co w tym złego, żeby pojechać jeszcze raz? Do tej pory nikt cię nie przyłapał. A nawet gdyby cię zobaczyła, to co takiego strasznego by się stało? Nie wyglądasz na psychopate”. (Drugi głos: „Czy psychopaci zawsze wyglądają na psychopatów? Na pewno nie”). „Co za różnica, przecież i tak jest ci obojętne, czy cię złapią albo zobaczą. Co masz do stracenia? Czy nie to zawsze powtarzałeś?” Orator usiadł. Nie, nie zawsze to powtarzał i Robert naprawdę by się przejął, jeśli dziewczyna by go zauważyła. Mimo to gdyby miał zostać w domu w ten wieczór, równałoby się to niemal śmierci, powolnemu i cichemu konaniu, a ponowne zobaczenie dziewczyny oznaczało życie. Co wybierzesz, Robercie Foresterze? I dlaczego wybór życia wydaje ci się taki trudny?

Zjechał z głównej szosy prowadzącej z Langley i skręcił w dwupasmową drogę o wiejskiej nawierzchni, będącą skrótem do Humbert Corners. Nie stała przy niej nawet jedna latarnia, a ponieważ nieliczne domy, które mijał, znajdowały się w znacznej odległości, miał wrażenie, że samotnie podąża przez świat pogrążony w mrokach nocy. Jadąc, nie przekraczał sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, bo musiał uważać na dziury. W Humbert Corners zwolnił jeszcze bardziej, skręcając obok narożnego banku z czerwono-niebieskimi skrzynkami na listy, a potem pokonał wzniesienie tak strome, że musiał zmienić bieg na dwójkę. W końcu zobaczył ciemny dom z białymi okiennicami po lewej stronie, co oznaczało, że do miejsca, gdzie zwykle zostawiał samochód, pozostało niecałe pięćdziesiąt metrów. Zwolnił i przygasił reflektory. Jechał na światłach postojowych. Pokonał jeszcze niecałe dziesięć metrów i zahamował. Wysiadł, a potem sięgnął po latarkę, schowaną w kieszeni na drzwiczkach. Od czasu do czasu oświetlał nią szosę, głównie wtedy, gdy musiał zejść na pobocze, bo mijał go jakiś samochód, choć niewiele widział samochodów, odkąd zaczął tu przyjeżdżać.

W bocznym oknie od frontu paliło się światło, podobnie w salonie i z tyłu domu, w kuchni. Robert szedł wolno i nawet teraz brał pod uwagę, że mógłby zawrócić i odejść, ale wiedział, że tego nie zrobi. Z domu dobiegała cicho grająca muzyka klasyczna - nie był to Schubert, który jako pierwszy przyszedł mu do głowy. Pomyślał, że to któraś z symfonii Schumanna. Szybko minął oświetlone okno salonu, obszedł tablicę do koszykówki, a potem skierował się ku niewielkim drzewom rosnącym na tyłach domu. Ledwie do nich doszedł, gdy otworzyły się drzwi od kuchni i na drewnianej podłodze werandy rozległy się kroki. Rozpoznał chód dziewczyny. Skręciła w stronę tablicy do koszykówki. Niosła wielki kosz. Biały szalik powiewał za nią na wietrze. Postawiła kosz i dopiero wtedy Robert się domyślił, że miała zamiar spalić śmieci w drucianym pojemniku stojącym trochę dalej po lewej stronie podjazdu. Z powodu wiatru podpalenie papieru zajęło jej prawie całą minutę. A potem ogień rozgorzał, oświetlając jej twarz. Stała przodem do niego i patrzyła w dół na płomienie. Dzieliło ich niecałe dziesięć metrów. Po chwili podniosła kosz i wsypała do ognia resztę zawartości. Płomienie strzeliły tak wysoko, że musiała cofnąć się o krok. Nadal jednak wpatrywała się w ogień, nieobecna i zafascynowana jednocześnie. Ten wyraz jej twarzy Robert widział wielokrotnie, kiedy przerywała jakieś zajęcie w kuchni.

Nagle podniosła wzrok i popatrzyła wprost na niego. Rozchyliła usta i upuściła kosz. Zamarła.

W odruchowym geście przeprosin i swoistego poddania się Robert rozłożył ramiona.

- Dobry wieczór - przywitał się.

Dziewczyna zachłysnęła się powietrzem i wydawała się gotowa do ucieczki, ale nie ruszyła się z miejsca.

Robert zrobił krok w jej stronę.

- Nazywam się Robert Forester - powiedział niczym automat, jasno i wyraźnie.

- Jesteś sąsiadem?

- Niezupełnie. Mieszkam w Langley. - Robert czuł, że musi zdać się na jej łaskę, a jeśli ona mu jej nie okaże, to znajdzie się w tarapatkach. - Nie chciałem cię przestraszyć - mówił dalej, nadal trzymając ramiona trochę odsunięte od ciała. - Czy chcesz wrócić do domu?

Dziewczyna nie poruszyła się. Najwyraźniej usiłowała zapamiętać jego twarz, ale ogień przygasł. Pomiędzy nimi gęstniała ciemność. A Robert nie stał już w świetle padającym z kuchennego okna.

- Proszę tam zostać - odezwała się.

- Dobrze.

Zostawiwszy za sobą kosz, szła powoli, nie spuszczać oczu z Roberta. A on z kolei, żeby mogła go widzieć, ruszył do przodu i minął róg domu. Dziewczyna przystanąła na niewielkim ganku z ręką na gałce u drzwi.

- Mówiłeś, że jak się nazywasz?

- Robert Forester. Domyślam się, że chcesz wezwać policję.

Zagryzła dolną wargę.

- Byłeś tu już wcześniej, prawda?

- Tak.

Gałka zaskrzypiała w jej dłoni, ale dziewczyna nie otworzyła drzwi.

- Przypuszczam, że chcesz wezwać policję. Śmiało, proszę dzwonić. - Przesunął się, stanął w słabym świetle padającym przez boczne okno kuchni i spokojnie patrzył na dziewczynę. Wszystko pasowało, pomyślał - pozwolił się zobaczyć tej nocy, kiedy poprzysiął sobie, że więcej tu nie przyjedzie, stał w świetle płomieni, podczas gdy mógł z łatwością cofnąć się w mrok po drugiej stronie domu, a potem obiecał dziewczynie, że zaczeka na policję.

- Nie chcę wzywać policji - powiedziała dziewczyna łagodnie i szczerze; wiele razy widział, jak mówiła w ten sposób, ale nigdy nie słyszał. - Nie chcę też jednak, żeby koło mojego domu kręcił się podglądacz. Gdybym tylko zdobyła pewność, że nigdy więcej nie będziesz mnie niepokoił...

- Tego możesz być pewna. - Robert uśmiechnął się nieznacznie. Ucieszył się, że może jej coś obiecać. - Bardzo przepraszam, jeśli wcześniej cię nastraszyłem. Naprawdę bardzo przepraszam. Ja... - Urwał tę niezaplanowaną wypowiedź.

Dziewczyna zadrżała na zimnie. Nie odrywała wzroku od jego twarzy, ale w jej oczach nie widać było strachu, jedynie skupienie i dociekliwość.

- Co takiego miałeś zamiar powiedzieć?

- Ja... chciałbym przeprosić. Lubię... lubię patrzeć na ciebie, kiedy jesteś w kuchni. Gotujesz. Wieszasz zasłonki. Nie usiłuję się z niczego tłumaczyć. Nie potrafiłbym. Nie chcę jednak, żebyś się bała. Nie jestem przestępcą. Czułem się samotny, byłem w depresji i patrzyłem na dziewczynę w kuchni. Rozumiesz? - Kto by zrozumiał? Zęby mu zadzwoniły. Ciało oblał zimny pot. - Nie oczekuję, że to zrozumiesz. Nie spodziewam się też, że mnie jakoś usprawiedliwisz. Próbuję po prostu to wytłumaczyć i nie umiem. Jestem pewny, że mi się nie uda, bo sam nie bardzo wiem, dlaczego to robiłem. Nie znam prawdziwych powodów. - Zwilżył zziębnięte wargi. Dziewczyna mogła teraz go upokorzyć. Nigdy już nie będzie mógł o niej pomyśleć, nie przypominając sobie, że go poznała i brzydziła się nim. - Może powinnaś

wejść do domu. Jest tak zimno.

- Pada śnieg - odpowiedziała z zaskoczeniem w głosie.

Robert szybko obrócił głowę w stronę podjazdu, dostrzegł maleńkie płatki spadające z nieba i uśmiech rozciągnął mu usta. Śnieg wydał mu się absurdalny, a wspomnianie o nim w tej chwili jeszcze bardziej pozbawione sensu.

- Dobranoc, panno Thierolf. Żegnam.

- Proszę zaczekać.

Odwrócił się do niej.

Stała przodem do niego, ale nie trzymała już ręki na gałce.

- Jeśli jesteś w depresji... moim zdaniem nie powinieneś wpadać w większą depresję z powodu... z mojego powodu...

Zrozumiał.

- Dziękuję.

- Depresje potrafią być okropne. Są jak choroba. Mogą doprowadzić ludzi do szaleństwa.

Nie bardzo wiedział, co na to odpowiedzieć.

- Mam jedynie nadzieję, że nie popadłeś w zbyt głęboką depresję - dodała.

- Ja z kolei mam nadzieję, że nigdy nie byłeś w depresji - powiedział, jakby wypowiadał życzenie. Zupełnie niepotrzebne życzenie, pomyślał.

- Och, byłam. Trzy lata temu. Ale później już nie, dzięki Bogu.

Powolny, współczujący ton, jakim wypowiedziała ostatnie słowa, sprawił, że poczuł się mniej spięty. Podobnie mogłaby się odezwać do kogoś, kogo znała już od dawna. Nie chciał od niej odchodzić.

- Wejdiesz? - zapytała. Otworzyła drzwi, weszła do domu i przytrzymała je, zapraszając go do środka.

Wszedł, zbyt oszołomiony, by zrobić coś innego. Znalazł się w kuchni.

Dziewczyna zdjęła palto i biały szalik. Powiesiła je w niewielkiej szafie, znajdującej się obok drzwi. Spojrzała na niego przez ramię, jakby mimo wszystko nadal trochę się go obawiała.

Robert stał pośrodku przedpokoju.

- Pomyślałam po prostu, że to głupie tak wystawać na mrozie i rozmawiać - odezwała się po chwili.

Potwierdził skinieniem głowy.

- Dziękuję - powiedział.

- Chcesz zdjąć palto? Napijesz się kawy? Właśnie zaparzyłam.

Zdjął palto, złożył je podszewką na zewnątrz i powiesił na oparciu drewnianego krzesła stojącego przy drzwiach.

- Bardzo dziękuję, ale przestałem pić kawę. Nie mogę po niej spać. - Wpatrywał się w dziewczynę z niedowierzaniem, w jej miękkie włosy, będące teraz tak blisko niego, nie dalej niż dwa metry, w jej szare oczy - miały niebieskie plamki. Tutaj, dosłownie na wyciągnięcie ręki, były białe zasłonki, te same, które zawieszała, gdy ją podpatrywał, i drzwiczki piecyka, do których tak często się schylała, co także nieraz obserwował. Ale uderzyło go coś jeszcze: przyjemność czy może satysfakcja, jaką mu sprawiało patrzenie na nią z dużo bliższej odległości, wcale nie była większa od tej, jaką odczuwał, kiedy patrzył na nią przez okno - przewidywał wtedy, że gdyby poznał ją trochę lepiej, choćby w niewielkim stopniu, zmąciłoby to jej obraz, a także to, co sobą w jego oczach reprezentowała: szczęście, opanowanie i brak jakichkolwiek napięć.

Podgrzewała kawę w szklanym dzbanku. Kiedy go pilnowała, zerknęła dwa lub trzy razy w stronę Roberta.

- Pewnie uważasz mnie za osobę niespełna rozumu, bo zaprosiłam cię do siebie - odezwała się. - Ale po kilku minutach przestałam się ciebie bać. Pochodzisz z tej okolicy?

- Jestem z Nowego Jorku.

- Naprawdę? Ja pochodzę ze Scranton. Mieszkam tu dopiero od czterech miesięcy. - Naląła kawy do filiżanki.

I co cię tu sprowadziło? - chciał zapytać, ale wcale go to nie ciekawiło. Wyciągnął paczkę papierosów.

- Mogę? - zapytał.

- Och, oczy... wiście - powiedziała, potrząsając odmownie głową, gdy Robert chciał ją poczęstować papierosem. - Pracujesz w Langley?

- Tak. W Langley Aeronautics. Od trzech miesięcy. Mieszkam w „Apartamentach Camelot”.

- Dlaczego wyjechałeś z Nowego Jorku? Wydaje mi się...

- Chciałem zmienić otoczenie.

- Przeniosłam się z tego samego powodu. W Scranton więcej zarabiałam. Wszyscy powtarzali, że zwariowałam, rzucając pracę, ale mieszkałam z rodzicami i uważałam, że jestem już na to za sta-ara - powiedziała z nieśmiałym uśmiechem.

Zaskoczyła go; był tak zdziwiony jej naiwnością, że nie potrafił wydobyć głosu. Kiedy przeciągała niektóre słowa, nie robiła tego dla specjalnego efektu; przypominało to raczej

sposób mówienia dziecka, który, być może bezwiednie, wszedł jej w nawyk. Pomyślał, że ma nie więcej niż dwadzieścia kilka lat, choć sprawiała wrażenie dziewczyny dużo młodszej, podlotka.

Zaniosła kawę do stolika o pałakowatych nogach i postawiła na ciemnoniebieskiej serwetce.

- Proszę, popielniczka - powiedziała, przesuając ją w jego stronę po blacie. - Nie usiądziesz?

- Dziękuję.

Usiadł na krześle naprzeciwko niej. Niemal natychmiast miał ochotę wstać i wyjść. Wstydził się, lecz nie chciał, żeby dziewczyna dostrzegła jego zażenowanie. Pomyślał, że w chwili, gdy skończy palić papierosa, pójdzie stąd. Spojrzał na jej smukłą dłoń, delikatnie mieszającą kawę łyżeczką.

- Wierzysz w dziwne spotkania?

- Nie bardzo rozumiem. - Spojrzał na jej twarz.

- To znaczy przypadkowe, tak myślę. Tak jak ja spotkałam dzisiaj ciebie. Zdarzają się we wszystkich świetnych książkach. No, może nie we wszystkich, ale w bardzo wielu. Ludziom, którzy poznali się przez przypadek, było to przeznaczone. Ma to większą wartość niż wtedy, gdy ktoś nam kogoś po prostu przedstawia, bo wtedy to zależy jedynie od tych osób, które znają już tych ludzi i cię im przedstawiają. Grega, mojego narzeczonego, poznałam przez Ritę, w banku, gdzie pracuję, ale niektórych z moich najbliższych przyjaciół poznałam zupełnie przypadkowo - mówiła wolno i spokojnie.

- To znaczy, że wierzysz w przeznaczenie.

- Oczywiście. Ludzie są symbolami różnych rzeczy. - Jej wzrok wydawał się nieobecny i smutny.

- Tak - przyznał wymijająco, myśląc, że ona z całą pewnością symbolizowała coś dla niego, zanim poznał ją osobiście. Ale teraz? Wyglądało na to, że nie posiada aż takiej mądrości i zdrowego rozsądku, jakie jej przypisywał, gdy patrzył na nią przez okno. - A co ja dla ciebie symbolizuję?

- Jeszcze nie wiem. Ale coś. Niedługo będę wiedziała. Może jutro, a może pojutrze. - Uniosła do ust filiżankę z kawą i wypła łyk. - Kiedy byłam w depresji, w naszym domu przebywał obcy człowiek, przyjaciel ojca. Zatrzymał się u nas na kilka dni. Nie lubiłam go, czułam, że symbolizuje śmierć. Tydzień po jego wyjeździe mój młodszy brat dostał zapalenia opon mózgowych i umarł.

Robert wpatrywał się w nią, wstrząśnięty. Śmierć była ostatnim tematem rozmowy,

jakiego mógłby się po niej spodziewać. Jej słowa przypomniały mu też jego własny sen, przeklęty, powracający sen.

- A co ja symbolizuję dla ciebie? - zapytała.

Odchrząknął, zażenowany.

- Dziewczynę z własnym domem, pracą i... narzeczoną. Dziewczynę szczęśliwą i zadowoloną z tego, co ma.

Roześmiała się. Był to spokojny, łagodny śmiech.

- Nigdy nie uważałam się za osobę zadowoloną z tego, co ma.

- Chyba ludzie nigdy tak o sobie nie myślą. Ale tak cię widzę. Byłem w dołku, a ty w moich oczach wyglądałaś na szczęśliwą. Dlatego właśnie tak bardzo lubiłem na ciebie patrzeć. - Nie miał już ochoty przeproszać ani nie wstydził się tego. Nie była dziewczyną, która mogłaby pomyśleć, że ją podglądał, kiedy się rozbierała. Na to wydawała się zbyt niewinna.

- Co cię wpędza w depresję? - spytała.

- Och, nic takiego, o czym warto by mówić. - Zmarszczył czoło. - Może nie zabrzmiało rozsądnie, ale powiem po prostu: życie nie ma sensu, jeśli nie żyje się dla drugiej osoby. Żyłem dla ciebie od września, choć cię nie znałem. - Skulił się nad stołem, czując, że właśnie wygłosił swoją mowę pogrzebową. Dziewczyna pewnie się roześmieje, zignoruje to albo powie: „Aha”.

Ona zaś westchnęła.

- Wiem, o czym mówisz. Naprawdę to rozumiem.

Spojrzał na nią znad stołu. Miała bardzo poważny wyraz twarzy.

- Pracujesz w Humbert Corners?

- Tak, w miejscowym banku. Jestem kasjerką, pomagam też w księgowości, bo uczyłam się jej w college'u. Moim głównym przedmiotem była co prawda socjologia, ale nie skończyłam nauki. Chyba należę do osób, które najpierw zakładają rodziny, a dopiero potem wracają do szkoły i kończą edukację.

Pomyślał, że pewnie jest trochę leniwa, a właściwie lekkomyślna i leniwa.

- Masz zamiar niedługo wyjść za mąż?

- Aha. Na wiosnę. Greg chciałby wcześniej, ale w końcu znamy się zaledwie od czterech miesięcy. Nazywa się Greg Wyncoop. Jest akwizytorem farmaceutyków.

Robert poczuł się nagle skrępowany.

- Zobaczysz się z nim dziś wieczorem?

- Nie, dziś jest w trasie. Wraca dopiero jutro. - Odruchowo wzięła papierosa, którego

jej zaproponował. Podał jej ogień, a ona zaciągnęła się jak osoba do tego nienawykła.

- Bardzo go kochasz? - Chciał, żeby tak było.

- Tak mi się wydaje - odpowiedziała z ożywieniem. - Nie jest to szalona namiętność, jak... no cóż, był taki chłopak w Scranton, który bardziej mi się podobał, dwa lata temu, ale ożenił się z inną. Greg to wspaniały facet. Jest strasznie miły. I nasze rodziny się lubią, a to pomaga. Rodzicom nie podobał się chłopak ze Scranton. Nie, żeby mi się tym przejmowała, ale wtedy jest jednak trudniej.

W uszach Roberta brzmiało to jak ponura i godna pożałowania historia. Sądząc z tego, co mówiła, nie kochała Grega wystarczająco, ale może należała do kobiet, którym znakomicie układa się w małżeństwie, mimo że nie wielbią namiętnie swoich partnerów, a po prostu bardzo ich lubią. On i Nickie mieli entuzjastyczny początek - i co z tego wynikło? Miał zamiar odsunąć krzesło i wstać, kiedy dziewczyna powiedziała:

- Chyba boję się małżeństwa. - Wpatrywała się w popielniczkę, opierając policzek na dłoni o długich palcach.

- Słyszałem o dziewczynach, które tak mówiły przed ślubem. Zresztą o mężczyznach też.

- Jesteś żonaty?

- Nie.

- Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł być bardziej skory do małżeństwa niż Greg, dlatego jeśli kiedykolwiek wyjdę za mąż, to chyba tylko za niego.

- Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa. - Robert wstał. - Muszę iść. Dziękuję. Dziękuję za...

- Lubisz ciasteczka?

Patrzył, jak otwiera drzwiczki piekarnika, a potem odrywa z rolki kawałek pergaminu. Każde ciastko miało rodzynekę wetkniętą pośrodku. Kilka sztuk zapakowała w papier.

- Wiem - odezwała się nieśmiało - pewnie pomyślisz, że jestem stuknięta albo coś takiego. Może to świąteczny nastrój. Ale przecież nie ma nic złego w dawaniu komuś ciasteczek, prawda?

- Moim zdaniem to bardzo miłe - odpowiedział. Oboje się roześmieli. Schował ostrożnie ciastka do kieszeni palta. - Naprawdę bardzo dziękuję. - Ruszył do drzwi.

- Jeśli kiedykolwiek jeszcze będziesz miał ochotę pogadać, cóż, proszę, zadzwoń i przyjdź. Chciałabym, żebyś poznał Grega. Nie musimy mu mówić, jak się poznaliśmy. Pewnie by nie zrozumiał. Powiem mu na przykład, że jesteś przyjacielem Rity i że przez nią się znamy.

Robert pokiwał głową.

- Dziękuję, panno Thierolf. Jestem przekonany, że Greg by nie zrozumiał. To równie prawdopodobne jak to, że nigdy go nie spotkam.

Zauważył, że przyjęła to jako odrzucenie również jej oferty. Niech i tak będzie, pomyślał.

- Mam nadzieję, że kiedyś jeszcze się odezwiesz - powiedziała po prostu, podchodząc do drzwi. - Masz samochód?

- Kawalek dalej, przy drodze. - Wstyd powrócił z pełną siłą. - Do widzenia.

- Do widzenia. - Zapaliła dla niego lampę na ganku.

Promień oświetlił kilka metrów podjazdu, a dalej musiał posłużyć się latarką. Już na szosie zaczął gwizdać ze zdenerwowania, wstydu, szaleństwa albo ze wszystkich tych powodów naraz.

Pół godziny później był w domu. Kiedy zapalił papierosa, zabrzączał telefon. To Nickie dzwoniła z Nowego Jorku.

- Gdzie byłeś, co?

Robert rozsiadł się wygodnie w fotelu. Chciał, żeby w jego głosie było słychać, że jest zadowolony i odprężony.

- Wyszedłem na chwilę. Przepraszam. Próbowalaś się ze mną skontaktować?

- Od kilku godzin usiłuję przekazać ci radosne wieści. Za miesiąc będziesz wolnym człowiekiem, a ja wychodzę za Ralpa, kiedy tylko będzie to możliwe.

- Miło słyszeć. Cieszę się, że sprawy ruszyły z miejsca. Prawnik w ogóle się ze mną nie kontaktował.

- A po co miałby się kontaktować? Powiedziałam mu dokładnie, co ma robić - w jej głosie pobrzmiwała teraz egzaltacja.

- W każdym razie dzięki za informację.

- Rachunek dostaniesz w odpowiednim czasie. Pół na pół, dobrze?

- Oczywiście.

- A jak twoje emocje? Straciłeś już rozum?

- Nie wydaje mi się. - Jakże teraz żałował, że w ogóle powiedział Nickie cokolwiek o swoim „zdrowiu psychicznym”.

Kiedyś, gdy rozmawiali o jego depresji, niezbyt rozważnie się przyznał, że depresja jest torturą, która może pozbawić człowieka rozumu, lub coś podobnego, a Nickie bardzo mu wtedy współczuła, poradziła, żeby poszedł do psychoterapeuty, a on jej posłuchał. A potem, dosłownie po kilku dniach, zaczęła natrętnie przypominać mu tamte słowa, powtarzała, że

skoro przyznał się do szaleństwa, więc z pewnością jest wariatem, mówiła, że boi się przebywać z nim pod jednym dachem, i pytała, jak można kochać pomyleńca albo ufać komuś takiemu.

- Tam też nadal chowasz głowę w piasek? - mówiła dalej. Usłyszał szcęknięcie zamykanej zapalniczki do papierosów.

- To wcale nie jest takie złe miasto. Ale chyba nie będę tu mieszkał do końca życia.

- Nie interesują mnie twoje plany.

- Nie ma sprawy, Nickie.

- Poznałeś jakieś ciekawe dziewczyny?

- Może zamiast tego pogadamy o obrazach, twoich i Ralpa, a ode mnie się odczepisz, Veronico?

- Odczepię się. Tego możesz być pewny. Jesteś niedołągą i robi mi się od tego niedobrze. Co do moich obrazów, to dzisiaj zappełniłam dwa całe płótna i połowę trzeciego. Zatkano cię? Ralph mnie inspiruje, rozumiesz? Nie jest taki jak ty, nie snuje się z miną nieszczęśnika.

- Tak, wiem, rozumiem.

Zaśmiała się pogardliwie. W czasie kilku sekund, jakich potrzebowała na zastanowienie się, co jeszcze powiedzieć, Robert wtrącił:

- Dzięki jeszcze raz, Nickie, że zadzwoniłaś, żeby mi wszystko powiedzieć.

- Do nie-widzenia! - Rzuciła słuchawkę.

Robert zdjął krawat, poszedł do łazienki i umył twarz. Dlaczego zawsze była taka rozdrażniona, pełna pogardy i chętna do krzywdzenia innych? - zastanawiał się. Zbierało mu się na wymioty, gdy raz po raz zadawał sobie to pytanie, choć z drugiej strony uważał je za całkowicie naturalne. Nawet Peter Campbell - a może Vic McBain? - zapytał go o to samo, kiedy Robert opowiedział mu o jednej z kłótni z Nickie. Była to zabawna awantura, wynikająca z nieporozumienia dotyczącego koloru obicia sofy, i zresztą tylko z tego powodu mu o niej opowiedział. Co prawda jej zakończenie wcale nie było zabawne, Robert dobrze pamiętał, bo Nickie uczepiła się tego i nie mówiła o niczym innym przez cały dzień, wieczór i następny dzień, przez cały weekend. Powiedział o tym Peterowi i teraz przypominał sobie, jak jego uśmiech przygasł i padło pytanie: „Dlaczego była o to taka zła?” Robert mógłby łatwo odpowiedzieć, ale samemu sobie, że na przykład Nickie go nie lubiła, bo często miewał depresję albo z niewiadomych powodów popadał w melancholię, a za to nie mógł jej winić. Albo też, że Nickie jest bardzo ambitna w sprawach malarstwa, więc mężczyzna w jej życiu stanowił zagrożenie, bo zabierał jej czas i tym podobne, a może też próbował ją zdominować

(najlepiej świadczy o tym jej wybór Ralpha Jurgena na męża, zdaniem Roberta człowieka o słabym charakterze, którego Nickie z łatwością weźmie pod pantofel). Albo też ego Nickie jest tak chwiejne lub tak przeczulone, że nie może znieść najmniejszej krytyki, i stąd pod koniec zaczęła oskarżać Roberta o mówienie rzeczy, których nie powiedział, a kiedy zaprzeczał, wmawiała w niego, że postradał rozum. Robert mógł przejść nad tym do porządku dziennego, ale to wszystko nadal nie tłumaczyło w pełni powodów jej zapiekłej złości do niego, nie wyjaśniało w sposób, który by go zadowolił. Istniała gdzieś pewna luka, a on wątpił, czy uda mu się ją znaleźć, czy kiedykolwiek ją odkryje i będzie mógł powiedzieć: „Ach, rozumiem, teraz to ma sens”.

Stał i patrzył przez okno na dwupiętrowy biały dom po drugiej stronie ulicy; w oknach na ostatnim piętrze stało dużo kwiatów w doniczkach. Czasami spoza roślin widać było starszego mężczyznę w fotelu czytającego gazetę, ale tego wieczoru fotel był pusty. W mroku ganku stał dziecięcy trzykołowy rowerek. Na rogu po lewej stronie znajdował się bar szybkiej obsługi, rozsiewający zapach syropu czekoladowego, połączony z drogerią, gdzie Robert kilka razy kupował pastę do zębów i żyłetki. Dalej, na drugim rogu, niewidocznym dla niego z okna, mieściła się dość ponura siedziba YMCA. Dwa lub trzy kwartały dalej na wprost był dworzec kolejowy, skąd odebrał przesłane przez Nickie pudła z przedmiotami, których zapomniał zabrać. Oczywiście nie zapomniał, bo większość kupił po prostu do domu i tam zostawił - elegancką szczotkę do ubrań, wazon, wielką szklaną popielnicę, wysoką statuetkę Majów, znaną w sklepie w Village. Wysyłając je, Nickie po raz kolejny powtarzała: „Między nami skończone, zabieraj każdą przeklętą rzecz, którą tu przyniosłeś!” Tak, zerwała z nim dość niespodziewanie, równie nagle jak zmieniała pseudonimy, którymi podpisywała obrazy. Miała już czwarte czy piąte zmyślone nazwisko - Amat. Może Ralph zainspirował ją do wybrania nowego. Ciekawe, kiedy Ralph zacznie być poddawany procedurze? Procedurze „dobrze-i-źle-i-od-nowa”, preparowanym kłótniom, wybuchom złości, po których następowały przeprosiny. Kiedy Ralph zacznie mieć dość spitych do nieprzytomności ludzi, śpiących w wannie, na sofie w salonie, a niewykluczone, że w jego własnym łóżku?

Robert przeszedł do kuchni i zrobił sobie szkocką z wodą. Niemal sześć miesięcy, ostatnie pół roku, zabrało mu wykrzycie, że Nickie z nim pogrywała, i grała tak dobrze, że umiała wywołać u siebie prawdziwe łzy, kiedy przeproszała, kiedy zapewniała, że go kocha i nadal wierzy, że ich związek może być udany. Robertowi za każdym razem świtała nadzieja, więc mówił: „Oczywiście, że może. Na rany boskie, przecież się kochamy!” Na żądanie Nickie wyprowadzał się z hotelu, do którego przenosił się także na jej żądanie, a potem gra się powtarzała, razem z wywołanymi sztucznie kłótniami: „W r a c a j d o s w o j e j

zaplutej nory w hotelu! Nie chcę cię widzieć dzisiaj w tym domu! Wracaj i weź sobie jakąś kurwę, nic mnie to nie obchodzi!” I tak powoli, ale w sposób nieunikniony, Ralph Jurgen zjawiał się na horyzoncie, a gdy Nickie stała się bardziej pewna Ralpha, jej zainteresowanie grą z Robertem wygasło.

A przecież zaczęli zupełnie inaczej, byli w sobie bardzo zakochani. Nickie powtarzała wiele razy: „Będę cię kochała do końca życia. Jesteś dla mnie jedynym mężczyzną na świecie”, a on miał wszelkie powody, by jej wierzyć. Przyjaciele opowiadali mu, że słyszeli od niej to samo na jego temat. Było to drugie małżeństwo Nickie, ale ci, którzy znali jej pierwszego męża - skądinąd bardzo niewielu, dwie lub trzy osoby, bo Nickie najwyraźniej zerwała wszelkie kontakty z ludźmi związanymi z Orrinem Deschem - potwierdzali, że Orrin nigdy tyle dla niej nie znaczył. Robert i Nickie planowali za dwa lata wyruszyć w podróż, chcieli objechać świat dookoła. Teraz byłoby to za rok, pomyślał Robert. Przypomniał sobie, że kiedyś zjeżdżała cały Brooklyn, żeby kupić mu specjalny ołówek, którego potrzebował. Niewykluczone, że przez jakiś czas, może przez rok, Nickie go kochała. Ale potem zaczęły się incydenty, prawie niezauważalne spięcia, które Nickie potrafiła rozdmuchać do rozmiarów prawdziwej burzy. Co znaczyły listy od Marion, które trzymał w głębi szuflady biurka u siebie w domu? Marion była dziewczyną, którą kochał cztery lata wcześniej. Robert zupełnie zapomniał, że ma te listy. Nickie je znalazła i przeczytała. Podejrzewała Roberta, że spotyka się z Marion - choć ona dawno wyszła już za mąż - od czasu do czasu w Nowym Jorku, może na lunch, a może wtedy, gdy mówił, że pracuje po godzinach. Robert zabrał w końcu te listy i w holu budynku, w którym mieszkał, wrzucił w czeluść pieca do spalania śmieci - a potem tego żałował. Ostatecznie, jakim prawem Nickie szperała w jego biurku? Robert pomyślał, że jej brak pewności siebie - tak to przynajmniej wyglądało - mógł wynikać z tego, że była niezadowolona z siebie jako malarka. Robert poznał ją w czasie, kiedy zaczynała zdawać sobie sprawę, że nie dostanie się do średniejszych galerii tylko dzięki temu, że organizuje wystawne przyjęcia dla krytyków i marszandów. Rodzina wspierała Nickie niewielkimi sumami, a to razem z pensją Roberta wystarczało na dość wykwintne bankiety. Ale najwyraźniej każdy właściciel galerii mówił jej, żeby próbowała najpierw wystawiać się na Dziesiątej Ulicy i pracowała nad sobą, aż wreszcie przyjęła do wiadomości, że musi tak zrobić. Tyle że pokazanie obrazów nawet na Dziesiątej Ulicy nie należało do rzeczy łatwych. Byli małżeństwem przez dwa lata i sześć lub siedem miesięcy i w tym czasie Nickie pokazała swoje obrazy na Dziesiątej Ulicy ze trzy razy, a i to zawsze na wystawach zbiorowych. Recenzenci prawie o niej nie wspominali.

Robert podszedł do szafy i namacał w kieszeni pialta pergamin z ciasteczkami. Wciąż tam były, prawdziwe, a nawet nadające się do jedzenia. Uśmiechnął się. Mimo wszystko zdarzali się na tym świecie mili ludzie, uprzejmi, przyjacielscy, a może nawet małżeństwa, które nie klóciły się jak śmiertelni wrogowie, gdy dochodziło do awantury. Robert wyrzucał sobie, że tak bardzo przejął się zerwaniem z Nickie tylko dlatego, że chodziło o ich związek, że cierpiał zbyt mocno tylko dlatego, że nie dzieliła z nim tego bólu. Człowiek powinien postrzegać sprawy we właściwych proporcjach. To właśnie różniło ludzi przy zdrowych zmysłach od osób nie zrównoważonych. Pamiętaj o tym, powiedział do siebie.

Jadł ciastko i myślał o Bożym Narodzeniu. Jack Nielson zaprosił go na święta, a Robert był skłonny skorzystać z zaproszenia. Kupi mnóstwo zabawek dla ich małej córeczki. Wydawało się, że to dużo lepsze rozwiązanie, niż wlec się do Chicago, żeby zobaczyć się z matką i jej mężem Philem. Poza tym, gdyby tam pojechał, pewnie musiałby im powiedzieć o rozstaniu z Nickie, choć matka nie należała do osób, które zadają zbyt wiele pytań. Ojczym Roberta miał dwie córki z pierwszego małżeństwa, a one miały już własne dzieci, więc dom i tak będzie pełny podczas Gwiazdki. Zaproszenie od Nielsonów było atrakcyjniejsze od dwóch czy trzech innych, które dostał od przyjaciół z Nowego Jorku, bo nowojorscy znajomi byli także przyjaciółmi Nickie.

4

- Halo - powiedziała. - Czujesz się lepiej?

- Kto mówi?

- Jenny Thierolf - odpowiedziała powoli, z uśmiechem w głosie. - Pomyślałam sobie, że zadzwonię i dowiem się, jak się czujesz. Miło spędziłeś święta?

- Bardzo miło, dziękuję. Mam nadzieję, że ty również.

- Och, jasne. Z rodzicami. Moimi i Grega. Domowo.

- No cóż, chyba tak właśnie powinno wyglądać Boże Narodzenie. Sypało śniegiem?

- Czy sypało? Teraz jestem zasypana. Gdzie j e s t e ś , że nie wiesz?

Roześmiał się.

- Jestem w mieście. Tu, jak przypuszczam, wszystko wygląda lepiej.

- Pług ma mnie odkopać jutro rano. Za każdy przejazd osiem dolarów. A to już mój

trzeci raz. Co za zima! Dobrze chociaż, że nie uszkodziło drutów telefonicznych, bo elektryczne zerwało mi któreś nocy.

Milczenie. Nie wiedział, co powiedzieć. Myślał gorączkowo przez kilka sekund, że nie posłał jej kwiatów na święta, że miał taki odruch, ale go powstrzymał. Niczego jej nie wysłał.

- Sądząc po głosie, nie jesteś już w depresji - powiedziała.

- Jest trochę lepiej.

- Pomyślałam, że może któregoś wieczoru w tym tygodniu przyszedłbyś na obiad. Co powiesz na środę?

- Dziękuję, ale... Ale dlaczego to ja nie miałbym zaprosić ciebie? Lubisz chodzić do restauracji?

- Uwielbiam.

- Niedaleko mnie są dwa dobre lokale. Znasz „Jasserine Chains” w Cromwell?

- „Jasserine Chains”?

- To nazwa zajazdu. Z restauracją. Słyszałem, że jest bardzo dobra. Spotkamy się tam?

- Dobrze.

- O dziewiętnastej?

- Doskonale - powiedziała.

Telefon Jenny wprowadził go w dobry nastrój na kilka minut, aż do chwili, gdy pojawiła się myśl: przyjdzie z Gregiem, a Greg doniesie na niego policji. Ale zaraz porzucił ten pomysł. Dziewczyna po prostu nie była tego rodzaju, nie miała w sobie nic z wyrachowania, był o tym przekonany. Cieszył się, że bez zastanowienia zaproponował jej spotkanie w restauracji, zamiast zgodzić się na wizytę u niej. Dzięki temu ich spotkanie będzie wyglądało na trochę bardziej niezobowiązujące. W środę wieczorem na dziesięciodniową pokrywę starego śniegu spadł deszcz ze śniegiem, przez co drogi stały się oblodzone i niebezpieczne. Robert oczekiwał, że dziewczyna się spóźni, może nawet zadzwoni i powie, że w żaden sposób nie zdoła dojechać, ale nie zadzwoniła i w „Jasserine Chains” stawiała się punktualnie o dziewiętnastej. Robert czekał w holu z mahoniowymi schodami, wyłożonym dywanami, z lustrami i obrazami na ścianach, zupełnie jak w holu prywatnego domu. Jenny miała na nogach buty, jakie zwykle nosi się po jeździe na nartach, w rękę trzymała zaś pantofle na wysokich obcasach. Zmieniła buty przed szatnią, opierając się na jego ramieniu.

- Te buciory są okropne - powiedziała przepraszająco.

Usiedli przy stoliku niedaleko kominka. Kiedy Robert zaproponował koktajl, odpowiedziała, że weźmie „Manhattan”. Była ubrana w sukienkę w czarno-niebieski wzór,

która jego zdaniem wyglądała na staroświecką i zbyt nobliwą jak dla niej. W uszach miała kolczyki w kształcie srebrnych półkul. Przez pierwszy kwadrans prowadzili banalną rozmowę. („Och, tylko volkswagen może jeździć po rozmokłym śniegu, inne samochody nie dają rady” - powiedziała Jenny). Robert czuł się skrępowany zapachem swoich włosów: właśnie się ostrzygł, a fryzjer skropił mu głowę tonikiem, zanim zdążył go powstrzymać. Dziewczyna utkwiała w nim wzrok, zapatrzona w niego, Robert nie wiedział jednak, co o nim myśli, a ich rozmowa nie dawała żadnych wskazówek. Zachowując się bardzo naturalnie, opowiadała mu o swojej rodzinie w Scranton, o tym, że staroświecki ojciec nie chciał, żeby szła do college'u, a potem się upierał, żeby wybrała przedmioty ekonomiczne i socjologię. Spytała Roberta o jego wykształcenie. Studiował na Uniwersytecie Kolorado. Powiedział jej, że naukę zakończył dopiero jako dwudziestoczterolatek po trosze ze względu na kłopoty z pieniędzmi, choć tak naprawdę nie udało mu się wcześniej skończyć z powodu depresji, na którą zapadł jako dziewiętnastolatek, w rok po drugim zamążpójściu matki. Robert uważał to za dołek w swoim życiu, okres, którego się w pewien sposób wstydził. Rozsypał się, bo jego rodzina się rozpadła, mimo że szczerze popierał powtórny ślub matki i lubił mężczyznę, z którym się związała. Ojciec Roberta za dużo pił, nigdy nie umiał gospodarować pieniędzmi i jedynie cierpliwość matki utrzymywała rodzinę razem - było ich tylko troje, bo nie miał braci ani siostr - do czasu, gdy ojciec zabił się w wypadku samochodowym. Robert miał wtedy siedemnaście lat. Tego wszystkiego jednak nie powiedział Jenny.

- Jak długo zamierzasz zostać w Langley? - zapytała.

- Nie wiem. A dlaczego pytasz?

- Bo wyglądasz na kogoś, kto nie zabawi tu długo. Na kogoś, kto woli większe miasta.

Robert dolał Jenny trochę wina, napełniając jej kieliszek do połowy. Zdał sobie sprawę, że ma złote spinki do koszuli, które dostał od Nickie na pierwszą rocznicę ślubu. Obciągnął rękawy marynarki, żeby je zakryć.

- Gdzie macie z Gregiem zamiar zamieszkać po ślubie?

- Och, Greg lubi Trenton. Z powodu interesów. Jest ohydne w porównaniu z Princeton, ale z kolei Princeton jest drogie. Wybrał już dom w Trenton i pierwszego czerwca mamy się tam przeprowadzić.

- Podoba ci się nowy dom?

Nie odpowiadała przez dłuższą chwilę, a potem odezwała się bardzo poważnie:

- Moim zdaniem tak naprawdę ważne jest to, że nie mam pewności, czy powinnam wychodzić za Grega.

- Och? Dlaczego?

- Chyba nie kocham go wystarczająco.

Robertowi nie przychodziła do głowy żadna uwaga, którą uznałby za odpowiednią. Jenny skończyła jeść główne danie.

- Nie wyjdę za niego - dodała.

- Kiedy o tym zdecydowałaś?

- Tuż po Bożym Narodzeniu. - Otarła końcówkę zapalonego papierosa o dno popielniczki.

Podszedł do nich kelner, zebrał talerze i przyjął zamówienie na deser. Robert nie chciał deseru, ale ponieważ domowa szarlotka była szczególnie polecana w menu, zaproponował ją Jenny, a potem zamówił dwa kawałki i kawę.

- Jeśli wolno mi coś ci radzić - powiedział - to odłożyłbym ślub na kilka miesięcy. Może się niepokoisz, bo Greg cię ponagla.

Jej cienkie brwi zmarszczyły się lekko.

- Z odkładania nie wyniknie nic dobrego. Mówię, bo wiem.

- Powiedziałaś o tym Gregowi?

- Tak, ale on uważa, że się rozmyśliłam. Rozmawialiśmy między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem.

Podano im kawę i szarlotkę. Robert zamówił dwie lampki courvoisiera. Pomyślał, że i tak skończy się to jej ślubem z Gregiem.

- Mogę zadać ci osobiste pytanie? - odezwała się Jenny.

- Tak myślę. A jakie?

- Czy wyjechałeś z Nowego Jorku z powodu dziewczyny?

Robert popatrzył na nią. Nawet nie mrugnął okiem.

- Nie. Pokłóciłem się w biurze. Poza tym budynek, w którym mieszkałem, został przeznaczony do rozbiórki.

Nie zadała mu więcej pytań. Domyślał się, że wyczuła kłamstwo w jego słowach. Pili w milczeniu.

- Czy moglibyśmy niedługo wyjść? - zapytała.

- Oczywiście. - Rozejrzał się za kelnerem.

Robert zapłacił rachunek przy wyjściu, ale wrócił do stolika, żeby zostawić napiwek. Dziewczyna zmieniła buty w szatni. Podał jej palto.

- Moglibyśmy się gdzieś przejechać? - zapytała.

- Dobrze - odpowiedział zaskoczony. - Twoim samochodem czy moim?

- Twoim.

Robert nie potrafił wyczuć, w jakim była nastroju. Dostrzegł jej samochód na parkingu przed restauracją. Otworzył jej drzwiczki w swoim starym oldsmobilu kabrioletcie. Mieli go z Nickie przez blisko rok, ale ona nie chciała tego samochodu, kiedy się rozstali. Ralph Jurgen miał dwa wozy.

- Dokąd chciałybyś pojechać? - spytał dziewczynę.

- Wszystko jedno.

Jedynymi drogami dobrze oczyszczonymi ze śniegu i lodu były główne autostrady, nudne jako trasy na przejażdżkę. Przesunął pokrętło ogrzewania do górnej granicy, bo dziewczyna skuliła się i szczelniej opatulila paltem. Patrzyła w szybę prosto przed siebie. Postanowił, że nie będzie przerywał milczenia, ale po kilku minutach poczuł się skrepowany. Dlaczego chciała wybrać się z nim na przejażdżkę właśnie w taki wieczór - deszcz ze śniegiem zmienił się w zimny ulewny deszcz - bez konkretnego celu? Do czego zmierzała? Chciała go sprowokować, żeby zaparkował gdzieś na poboczu i zaczął się do niej dobierać? Czy jakakolwiek dziewczyna poprosiłaby mężczyznę zachowującego się jak podglądacz, żeby przewiózł ją swoim samochodem? Robert poczuł się nagle wyczerpany i przygnębiony.

- Paskudny wieczór na jazdę samochodem - powiedział i zjechał do stacji benzynowej.

- Chyba zawrócimy? - spytał i zawrócił w kierunku restauracji.

- Taka pogoda i taki wieczór zupełnie mi nie przeszkadzają. Czasami aż w środku czuję, że muszę gdzieś jechać, ruszyć się z miejsca. - Nadal wpatrywała się w przednią szybę.

- Bywa, że w takich momentach idę na bardzo długi spacer.

Uraza Roberta i jego wrogość stopniowo malały. Dziewczyna w ogóle o nim nie myślała. Niespodziewanie poczuł dla niej dziwne współczucie i zrozumienie - sam często miewał podobne nastroje. Nickie nazywała to „utrata kontaktu z rzeczywistością”.

Wjechali na parking przed restauracją. Dziewczyna otworzyła drzwiczki w chwili, gdy samochód się zatrzymał. On także wysiadł.

- Znasz drogę powrotną? Masz dość benzyny?

- Och, jasne - w jej głosie słychać było zagubienie i smutek.

Robert był rozczarowany, że wieczór kończy się w taki właśnie sposób. Chciał, żeby Jenny była zadowolona, rozmowna, wyobrażał sobie nawet, że zamówią następny koniak i posiedzą przy restauracyjnym stoliku do jedenastej lub dłużej. Teraz dochodziła dopiero dziesiąta.

- Bardzo dziękuję za ten wieczór - powiedział.

Chyba go nie usłyszała. Wsiadła do swojego volkswagena.

- Jenny, jeśli powiedziałem dzisiaj coś takiego, co cię uraziło, to przepraszam. Nie

powiniennem wspominać o Gregu. W końcu to nie moja sprawa.

- Nie, nie twoja. Moja - odpowiedziała. - Ale nie uraziłeś mnie, mówię szczerze. Czasami po prostu nie mogę wykrztusić słowa. Wiem, że to okropne z mojej strony, ale nic na to nie poradzę.

- Mnie to nie przeszkadza. - Uśmiechnął się.

- Odwiedzisz mnie jeszcze kiedyś? - spytała.

- Tak, jeśli masz ochotę. Może jak Greg będzie u ciebie. Przedstawiłabyś mnie jako znajomego Rity.

- Nie zobaczę się z Gregiem do dwudziestego stycznia. Tak się umówiliśmy. Ma wtedy urodziny.

- No to może po nich?

- A dlaczego nie w przyszłym tygodniuuu? - zapytała, uśmiechając się nieśmiało, bezwiednie. - Co powiesz na poniedziałek? Albo sobotę? Umiem gotować, to wiesz.

Powinien wiedzieć. Robert nie chciał jednak przychodzić do niej do domu, kiedy była sama. Nagle zobaczył zachowanie dziewczyny w innym świetle.

- Chyba zaczekam... zaczekam, aż minie dwudziesty stycznia - odpowiedział z bólem w głosie, choć stanowczo.

- Nie bądź uparty, przecież cię z a p r a s z a m . A może jesteś bardzo zajęty?

- Nie, nie jestem aż tak zajęty.

- No to przyjdź na obiad w niedzielę. Około piątej. Po południu wybieram się na narty z przyjaciółką, ale przed czwartą powinnam wrócić. Jeździsz na nartach?

- Kiedyś jeździłem. Teraz nawet nie mam nart.

- Możesz je wypożyczyć tam, gdzie jeździmy. Chodź z nami w niedzielę. Wiesz, gdzie jest Vareckville?

Nie wiedział, ale opisała mu drogę i wyjaśniła, jak dostać się do ośrodka narciarskiego, niecałe dwa kilometry za miastem. Wydawała się bardzo zadowolona, że on najprawdopodobniej przyjdzie. Robert nie potrafił odmówić. Umówili się na czternastą, a potem mieli zjeść obiad u niej w domu.

Tej nocy Robert źle spał. Może z powodu kawy albo koniaku. A może to cały ten wieczór wytrącił go z równowagi. Wziął ostatni z proszków nasennych, które przywiózł z Nowego Jorku. W Langley nie zadał sobie trudu, żeby iść do lekarza po receptę. Myślał, że proszki nasenne nie będą mu już potrzebne, ale najwyraźniej się mylił.

5

Przyjaciółka Jenny miała około dwudziestu lat i nazywała się Susan Escham. Mieszkała po sąsiedzku - jak powiedziała - choć prawie o kilometr dalej przy tej samej szosie, i chodziła do szkoły ekonomicznej w Langley. Niepytana od razu powiedziała o tym Robertowi. Od pierwszej chwili, nawet wtedy, gdy zjeżdżali łagodnym stokiem na skraju lasu i wjeżdżali wyciągiem linowym na wzgórze, Robert czuł, że patrzy na niego, obserwując go bacznie i z zainteresowaniem. Susie bez wątpienia znała Grega, wiedziała o zaręczynach Grega i Jenny i pewnie dlatego wydało jej się dziwne, że Jenny przysła z innym chłopakiem. Robert poczuł się staro, jak dorosły między podlotkami. Starał się zwracać do Jenny bezosobowo i zbytnio jej nie nadskakiwać. Jenny była w świetnym nastroju, śmiała się z Roberta, gdy się przewracał, co przydarzyło mu się dwa razy, a potem ochoczo pomagała mu przy wstawaniu. Robiła wrażenie dobrej narciarki i mogłaby z łatwością pokonywać dużo trudniejsze zbocze niż to, z którego zjeżdżali.

- Znasz Grega? - Susie zapytała Roberta.

Pili gorącą czekoladę z termosu, który Susie przywiozła ze sobą. Jenny opróżniła swój kubek i odeszła już kilka metrów, bo chciała ponownie zjechać.

- Nie, nie znam - odpowiedział Robert.

- Ach? Myślałam, że znasz Jenny od bardzo dawna.

Robert nie wiedział, co przyjaciółka jej powiedziała. Susie nie spuszczała z niego czarnych błyszczących oczu. Miała niewielkie pełne usta, skore do uśmiechu, ale teraz ich kąciki uniosły się złośliwie, wargi miała zaciśnięte.

- Nie, znamy się niezbyt długo.

Długo czy krótko, zwłaszcza w odniesieniu do czasu, to bardzo subiektywne odczucie, pomyślał.

- A jak się poznaliście?

Wścibstwo Susie bawiło go i niepokoiło jednocześnie.

- Przez wspólną przyjaciółkę - odpowiedział. A potem wstał z drewnianej ławki, bo miał ochotę na papierosa. - Zapalisz? - zapytał.

- Nie palę, dziękuję. Jenny mówiła mi, że pracujesz w Langley.

- Tak, w Langley Aeronautics. - Robert spojrział na mankiety swoich spodni, niemodnie zatknięte za cholewki wypożyczonych butów narciarskich. - Chyba spróbuję

jeszcze raz - powiedział, ruszając w kierunku linii startu. Jenny nadjeżdżała z dołu, uczepona linowego wyciągu.

- Masz dom w Langley?

- Nie, mieszkanie - zawołał przez ramię i w chwilę później znalazł się poza zasięgiem jej głosu.

Jenny puściła linę jedną ręką i wyciągnęła ją ku niemu.

- Ufff! - westchnęła niemal pozbawiona tchu. Policzki miała mocno zaróżowione. - Dlaczego nie zbudują tutaj ko-olejki?

Robert opanował odruch, by złapać ją za rękę i podciągnąć ostatnich kilkadziesiąt centymetrów.

- Nie sędzę, żebym po tym wszystkim miał ochotę na jeszcze jeden zjazd - powiedział, patrząc w dół zбочa i marszcząc czoło. - Za nic, mam dość.

- Starzejesz się - odezwała się Jenny.

- To ty powiedziałaś.

- Ile masz lat?

- W czerwcu skończę trzydzieści.

Wyruszyli stamtąd tuż przed czwartą, Jenny i Susie samochodem Jenny, Robert swoim. Jechał za nimi w sporej odległości. Jenny minęła własny dom, żeby podrzucić Susie, a on skręcił w podjazd dopiero wtedy, gdy jej samochód zniknął mu z oczu. Miał nadzieję, że Jenny nie powie Susie o jego wizycie i wspólnym obiedzie. Robert powiedział Jenny „do zobaczenia” z taką intonacją, że mogło oznaczać pożegnanie na resztę dnia. Czekał przy samochodzie, aż volkswagen dziewczyny zaparkował obok.

- Rozpalmy ogień - zaproponowała Jenny.

Choć w domu nie było zimno, Jenny powiedziała, że przez szpary ciepło szybko ucieka na zewnątrz, i ciągle odkrywała miejsca, które trzeba było uszczelnić wełną mineralną albo nieprzemakalną folią. Rozpalili ogień na kominku w salonie. Robert wyszedł, żeby przynieść więcej drewna. Jenny zajęła się gotowaniem knedli i gulaszu z kurczaka. W salonie wypili po „Manhattanie” z bourbona i oglądali album ze zdjęciami. Większość zdjęć przedstawiała rodzinę Jenny, ale znalazło się tam też pięć albo sześć fotografii jej chłopaków.

- To facet, którego bardzo lubiłam - powiedziała Jenny, wskazując krzepkiego młodego blondyna w smokingu.

Dla Roberta nie wyglądał ani wyjątkowo, ani interesująco pod żadnym względem.

- To właśnie jego twoja rodzina nie polubiła? - zapytał.

- Tak. I teraz jestem z tego zadowolona. Ożenił się w zeszłym roku z jakąś idiotką. A

ja byłam po prostu zauroczona.

Więcej zdjęć. Jenny i jej nastoletni brat w strojach kąpielowych na rodzinnym letnisku niedaleko Scranton. To brat Jenny, Eddie, który umarł, mając dwanaście lat.

- Eddie bardzo ładnie rysował. Myślę, że śmiało mógłby zostać malarzem - opowiadała Jenny. - Nadal mam kilka jego rysunków.

Robert zerknął na nią. Choć smutek malował się na jej twarzy, w oczach nie dostrzegł łez.

- Jak wyglądał mężczyzna, o którym mówiłaś, że był w waszym domu, zanim brat zachorował?

- Och... - Jenny zapatrzyła się gdzieś przed siebie. - Bardzo przeciętnie - odpowiedziała. - Brązowe włosy, brązowe oczy. Około czterdziestu pięciu lat. Trochę przyciężki. Miał sztuczną szczękę.

Robert uśmiechnął się, czując zabawną ulgę. W niczym nie przypominał Brata Śmierci z jego snów. Wcześniej bał się, że tak właśnie będzie.

- A dlaczego pytasz?

- Jak by to powiedzieć... Od czasu do czasu miewam sen. Podchodzę do mężczyzny siedzącego samotnie przy stole. Jest ubrany w sutannę. Pytam: „Czy brat Green?”, choć czasami to „brat Smith” albo „brat Jones”, lub coś w tym rodzaju. A wtedy on unosi głowę i patrząc na mnie, mówi z uśmiechem: „Nie, Brat Śmierć”.

- I co dalej?

- Potem się budzę.

- A jak on wygląda?

- Ma proste czarne włosy, nieco szpakowate na skroniach. Na jednym z jego bocznych zębów pobłyskuje złoto. Nosi okulary w czarnej oprawce. - Robert wzruszył ramionami. Mógłby powiedzieć więcej, narysować wierny portret Brata Śmierci na papierze. Odwrócił wzrok od Jenny słuchającej z natężoną uwagą.

- I potem wpadasz w depresję - stwierdziła.

- Och, nie na długo. Najwyżej na dwie minuty - zażartował Robert z uśmiechem. Wstał. - Mogę ci jakoś pomóc w kuchni?

- Nie, dziękuję. Moim zdaniem śmierć przychodzi w taki właśnie sposób. Jako osoba. Kiedy się ją spotka, to się o tym wie, bo będzie to miało z tobą bardzo bliski związek.

Robert miał zamiar powiedzieć, że to jakiś nonsens, ale się nie odezwał. Było jasne, że Jenny z powagą traktuje swoje przekonania.

- Nie widziałem jeszcze piętra twojego domu. Oprowadzisz mnie? - zapytał.

Na górze znajdowały się łazienka i cztery pokoje, do których wchodziło się z holu. Niewiele było w nich mebli, ale sprawiały wrażenie przyjemnych, wszędzie stały doniczki z kwiatami, nie za dużo, ot w sam raz, niektóre na wysokich wiktoriańskich podstawkach.

- Masz może śrubokręt? - zapytał Robert.

- Jasne. Ale po co?

Wskazał ruchem głowy otwarte na oścież drzwi szafy, które wcześniej próbował zamknąć.

- Zreperuję je w minutę. I okno w twojej sypialni. Kiedy umocuję zasuwkę, nie będziesz musiała zastawiać go książką.

Jenny zeszła do kuchni po śrubokręt, ale przyniosła także młotek i pudełko śrub.

Zanim trzy kwadranse później Robert znalazł się na dole, naprawił jeszcze dwa zamki przy drzwiach i w oknie, zdjął też w łazience szklaną półkę, która w każdej chwili mogła się urwać, i przymocował ją do deski pod szafką z lekarstwami. Jenny musiała przyjść na górę i obejrzyć jego dokonania.

- O rany, zrobienie tego wszystkiego zabrałoby mi tydzień! - zawołała.

Robert spostrzegł, że zdążyła się uperfumować.

- Przywiozłem wino - powiedział, nagle sobie przypominając. Włożył kalosze i poszedł po nie do samochodu. Wyjął z bagażnika butelkę białego wina, które szczęśliwym zbiegiem okoliczności pasowało do kurczaka.

Siedzieli przy stole od pięciu minut, gdy na podjeździe pojawił się samochód.

- Ojej, jakiś niezapowiedziany gość! - zawołała Jenny, idąc do drzwi.

Zapisały hamulce, trzasnęły drzwiczki.

- Greg, o-obeceales - powiedziała Jenny, a Robert wstał.

Greg stanął w drzwiach. Nie uśmiechał się.

- Greg, to jest... to jest....

- Robert Forester - odezwał się Robert. - Miło poznać.

- Miło. - Greg zerknął na stół, na Jenny, a potem spojrzał na Roberta. - Pomyślałem, że musimy się poznać.

- No to się poznaliście. - Jenny wyglądała na przygnębioną. - Jesteśmy w połowie obiadu, Greg. Nie możesz po prostu iść stąd? Teraz, zaraz?

Były to absolutnie niewłaściwe słowa, co Robert stwierdził, widząc błysk złości w oczach Grega.

- Nie chciałem wpadać w połowie obiadu, ale nie bardzo rozumiem, dlaczego miałbym sobie pójść. Może po prostu zaczekam w salonie, co?

Jenny bezradnie rozłożyła ramiona i obróciła się do Roberta.

Greg przeszedł do salonu, tupiąc stopami w skarpetach - buty ściągnął prawdopodobnie razem z kaloszami.

- Greg, czy mógłbyś poczekać na górze? - powiedziała do niego Jenny, stojąc w drzwiach kuchni.

Robert uśmiechnął się nerwowo. W ten sposób siostra mogłaby mówić do brata, prosząc, żeby wyświadczył jej przysługę. Greg był roslym facetem, ponad metr osiemdziesiąt. Robertowi nie uśmiechała się myśl o wdaniu się z nim w bójkę.

- Nie - odpowiedział Greg, a Robert usłyszał szelest gazet, gdy tamten siadał na sofie.

Teraz przynajmniej Greg nie widział ich w kuchni. Jenny usiadła, a potem usiadł Robert. Miała łzy w oczach. Robert wzruszył ramionami, ona się uśmiechnęła. Sięgnął po widelec i gestem zachęcił ją, by uczyniła to samo. Uniosła widelec, ale zaraz go odłożyła. Wstała, poszła do salonu i nastawiła płytę. Gdy wróciła do stołu, Robert wstał.

- Wolałabyś, żebym poszedł? - zapytał szeptem.

- Nie. Nie chcę, żebyś wychodził.

Jedli małymi łykami, ale z determinacją. W salonie rozbrzmiewał utwór z baletu *Jezioro łabędzie*. Melodramatyczność sytuacji sprawiła, że Robert odbierał tę muzykę jako zupełnie absurdalną, ale ponieważ Jenny bardzo się przejmowała, nawet się nie uśmiechnął. Podał jej chusteczkę do nosa, którą wyjął z kieszeni na piersi.

- Nie ma się czym denerwować - powiedział łagodnie. - Wyjdę zaraz po obiedzie. Nie zobaczysz mnie więcej. - Ujął nadgarstek jej lewej dłoni, uścisnął na pocieszenie i próbował cofnąć rękę, ale ona zdążyła ją chwycić.

- To takie podłe i niesprawiedliwe. Susie to zrobiła. Wiem, że to ona. Niech ją szlag!

- Nie ma powodu do tragizowania. - Wyswobodził rękę z jej dłoni, ale żeby to zrobić, musiał dwa razy ją szarpnąć.

Wyglądało na to, że kawa się już zaparzyła, dlatego wstał i wyłączył palnik. Jenny siedziała pochylona nad talerzem. Dotknął jej ramienia.

- Będę szedł - powiedział i w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że Greg stoi w drzwiach kuchni. Zanim się pojawił, wyłączył muzykę.

- Panie... panie...

- Forester - dokończył Robert.

- Nie mam w zwyczaju czepiać się ludzi, ale w tych okolicznościach... pan rozumie, tak się składa, że jestem narzeczonym Jenny.

- Wiem - odpowiedział Robert.

- Greg, możesz przestać urządzać sceny? - wtrąciła się Jenny, odwracając się gwałtownie w jego stronę.

- W porządku, nie będę - powiedział Greg, ciężko oddychając. Z trudem hamował złość. - Ale moim zdaniem należy mi się jakieś wyjaśnienie.

- Wyjaśnienie czego?

- No cóż... czy to z j e g o powodu nie chcesz się ze mną widywać? Już nie chcesz za mnie wyjść?

- Greg, to staje się żenujące! - odpowiedziała Jenny. - To mój dom i nie masz prawa...

- Mam prawo do wyjaśnień!

- Greg, nic nas z Jenny nie łączy - wtrącił się Robert.

- Nie? - spytał Greg.

- Jestem pewny, że w każdym razie Jenny nie wiąże ze mną żadnych planów - mówił dalej Robert. - Nie wiem, co słyszałeś.

Jabłko Adama Grega poruszało się w dół i w górę.

- Od jak dawna go znasz, Jenny?

Jenny spojrzała Gregowi w oczy.

- Nie mam zamiaru odpowiadać na to pytanie.

- Susie miała sporo do opowiedzenia.

- A co mnie do tego? Nic jej nie mówiłam. Nie wiem, skąd się dowiedziała, ale powinna pilnować swoich spraw. - Jenny nadal siedziała na krześle. Trzymała się dłońmi oparcia.

- A ja z kolei pilnuję swoich spraw - odezwał się Greg. - Uważam, że zaręczona dziewczyna, która ma potajemne schadzki z innym facetem, do którego się klei, a przynajmniej tak mówią, powinna mi coś wyjaśnić.

- Kto tak mówił? Susie? Nie rozmawiałam z nią na ten temat.

- Pewnie się domyśliła. Robert przetarł czoło dłonią.

- Greg, Susie się myli. A ja ze swej strony mogę ci obiecać, że nie zobaczę się więcej z Jenny, jeśli przez to mają być podobne problemy.

- J e ś l i będą jakieś problemy?

Robert wyjął palto z szafy.

- Skąd jesteś, Forester? Skąd pochodzisz?

- Mieszkam w Langley - odpowiedział Robert.

- No to jesteś daleko od domu.

- Greg, nie podoba mi się sposób, w jaki mówisz - Jenny weszła mu w słowo. -

Obrażasz mojego gościa.

- Mam prawo wiedzieć, dlaczego dziewczyna, z którą jestem zaręczony, odmawia spotkania się ze mną przez całe tygodnie i chce zerwać zaręczyny - odpowiedział Greg.

- Nie z mojego powodu - rzekł Robert lakonicznie i wciągnął kalosze. - Żegnaj, Jenny. I dziękuję ci. Żegnam - ostatnie słowo skierował do Grega.

Jenny wstała.

- Przyjmij przeprosiny za mojego niezbyt taktownego przyjaciela. Bardzo przepraszam, Robercie.

- Nie ma sprawy - odpowiedział Robert z uśmiechem i wyszedł. Przez drzwi usłyszał głos Grega:

- No dobra, k t o t o był?

Jeszcze jedno trafienie kulą w płot, pomyślał Robert. Ale może wszystko obróci się na dobre. Greg zawłaszczy teraz Jenny, a ona nie będzie się mogła spotykać z Robertem ani do niego dzwonić. Robert wyrzucał sobie, że w ogóle się z nią spotkał tego dnia. Powinien powiedzieć stanowczo: „Nie, dziękuję”, kiedy zaproponowała wypad na narty. Greg miał młodą twarz, ale o topornych rysach - guzowaty, mocny nos, gęste czarne brwi, wielkie kanciaste ręce. Ubrany był w szary garnitur w kratkę, w którym już go widział - na jednej klapie miał tłustą plamę, co Robert zauważył dopiero dzisiaj - a koszula wyłaziła mu zza paska. Prawdopodobnie w jego żyłach płynęło mnóstwo irlandzkiej krwi.

6

Robert był w domu od piętnastu minut, kiedy zadzwonił telefon.

- Halo? Robert? Mówi Jenny. Greg już sobie poszedł. O Boże, Robercie, przepraszam za dzisiaj.

- Nie musisz mnie za nic przeproszać. Przykro mi jedynie, że to popsuło obiad.

- Och, możemy kiedyś go powtórzyć. Posłuchaj, Robercie, chcę się z tobą zobaczyć. Jest jeszcze wcześnie. Dopiero wpół do ósmej. Mogę do ciebie przyjechać? Rozmawiałam z Gregiem. Już wie, że za niego nie wyjdę, dlatego nie ma żadnego prawa wtrącać się do tego, co robię ani z kim się widuję. Chyba wreszcie coś do niego dotarło.

Robert od razu pomyślał, że Greg będzie prawdopodobnie sprawdzał, czy Jenny

pójdzie gdzieś wieczorem. A może nawet posunie się do tego, by obserwować jej dom, tak by móc w razie czego ją śledzić.

- Jenny, w twoim głosie nadal słychać niepokój, może lepiej będzie, jeśli dziś zostaniesz w domu?

- Proszę, zobacz się ze mną - jęknęła. - Przyjadę do ciebie, dobrze? - Była uparta.

No cóż, można to zakończyć tylko w jeden sposób - pomyślał - i zrobię to. Zgodził się, tak, może przyjechać do niego, podał jej nazwy dwóch ulic w Langley, na których skrzyżowaniu mieściły się „Apartamenty Camelot”. Odpowiedziała, że od razu wyjeżdża.

Pięć minut później telefon zadzwonił ponownie. Robert miał nadzieję, że to Jenny, która zmieniła zdanie.

Tym razem jednak była to Nickie. Dzwoniła z jakiegoś koktajlu, trochę pijana, jak powiedziała, i choć związała się z Ralphem, życzyła mu wszystkiego najlepszego z okazji trzeciej rocznicy ślubu, która, jak pamiętała, minęła kilka tygodni temu, ale w końcu lepiej późno niż wcale.

- Dziękuję, Nickie - odpowiedział. - Dzięki.

- Pamiętasz naszą drugą? - spytała.

Pamiętał bardzo dobrze.

- Wolę wspominać pierwszą - przyznał się.

- Jesteś sen-ty-men-tal-ny. Chcesz pogadać z Ralphem? R a l p h !

Robert chciał się rozłączyć. Czy nie będzie to jednak wyglądało na dąsy? Tchórzostwo? Trzymał w ręku słuchawkę, patrzył w sufit i czekał. Słabo słyszalne, odległe głosy zlewały się w gwar, przypominający uliczny zgiełk gdzieś na Manhattanie. A potem rozległo się kliknięcie. Odłożyła słuchawkę, a może ktoś zrobił to za nią.

Robert nalał sobie szkockiej z wodą. Tak, pamiętał drugą rocznicę. Zaprosili ośmioro lub dziesięcioro przyjaciół, a Robert przyniósł do domu mnóstwo czerwonych róż i peonii, kupił też cienką złotą bransoletkę dla Nickie. Ale nikt nie przyszedł. Goście mieli się zjawić o ósmej wieczorem na koktajl w połączeniu z zimnym bufetem, tyle że kwadrans po dziewiątej nikogo jeszcze nie było. Robert powiedział: „Do licha, czyżbyśmy zaprosili ich na inny dzień?” A wtedy Nickie, trzymając dłonie na biodrach, odparła: „Nikt nie przyjdzie, kochanie, bo to przyjęcie tylko dla ciebie i dla mnie. Dlatego siadaj przy jednym końcu tego pięknego stołu i pozwól, że powiem ci to i owo”. Nie piła nic poza jednym drinkiem, który wysączyli zaraz po jego powrocie do domu. Robert zawsze nieomylnie wiedział, którego drinka piła, pierwszego, drugiego czy trzeciego. Nie piła od dziesięciu dni, od kiedy planowała ten wieczór - w każdym razie bywała wtedy trzeźwa. Zaproszenie gości wzięła na

siebie. Tamtego wieczoru mówiła do niego przez bitą godzinę, a gdy chciał jej przerwać, ignorowała jego próby, podnosząc głos. Wytykała mu każdy, najmniejszy nawet błąd - poczynając od tego, że zostawił kiedyś żyletkę na brzegu umywalki, zamiast schować ją do szafki; że wiele tygodni wcześniej zapomniał odebrać jej sukienkę z pralni; że ma pieprzyk na policzku, słynny pieprzyk, niespełna trzymilimetrowej średnicy (zmierzył go kiedyś suwmiarką w łazience), który Nickie początkowo nazywała dystyngowanym, potem ohydny, a w końcu zrakowaciałym, teraz z kolei chciała wiedzieć, dlaczego go nie usunął. Robert pamiętał, że w trakcie tego kazania zrobił sobie drugiego drinka, naprawdę mocnego, ponieważ w tych okolicznościach najmądrzejszym posunięciem było cierpliwe znoszenie jej wyrzutów, a alkohol działał uspokajająco. Jego opanowanie tak jej podziało na nerwy, że potem, kiedy się rozbierał przed pójściem do łóżka, napadła na niego w łazience i zaczęła szarpać. „Nie chcesz mnie uderzyć, kochanie?! - krzyczała. - No, dalej, uderz mnie, Bobbie!” Co dziwne, akurat w tamtym momencie nie miał na to najmniejszej ochoty, dlatego z łatwością zdobył się na cichą odpowiedź: „Nie”. Wtedy orzekła, że jest nienormalny. „Któregoś dnia dopuścisz się przemocy - skwitowała. - Wspomnisz moje słowa”. A trochę później tej samej nocy, kiedy leżeli już w łóżku, dodała: „Czy to nie był świetny dowcip, Bobbie?” Ugniatała mu ręką policzek, nie z czułością, ale w gniewie, żeby go sprowokować i nie dać zasnąć. „Czy to nie był śmieszny dowcip, kochanie?” Kiedy chciał położyć się na sofie w salonie, poszła za nim. Ostatecznie zasnęła w łazience około piątej rano i obudziła się, gdy Robert wyszedł już do pracy. Miała potwornego kaca i jak zawsze, gdy cierpiała z powodu przepicia, dręczyły ją wyrzuty sumienia. Całowała go po rękach, powtarzając, że zachowała się okropnie, pytała, czy jej wybaczy, i obiecywała, że nigdy, przenigdy już się to nie powtórzy, że on zachował się jak anioł, że tak naprawdę nie mówiła poważnie, gdy wytykała mu błędy, bo to w końcu tylko drobiazgi.

Robert usłyszał syrenę rzeczno patrolu. Domyślił się, że ktoś wpadł w bystrze albo jakaś łódź znalazła się w niebezpieczeństwie. Syrena wyła bez przerwy, melancholijnie, natarczywie, przygnębiająco. Robert próbował wyobrazić sobie, że wartki nurt rzuca nim o skały, a on, półprzytomny, próbuje ucześć się kamieni, które okazują się zbyt śliskie albo jemu nie starcza już na to sił. Syrena nadal wyła, podczas gdy światła łodzi ratunkowych omiały lustro rzeki Delaware, nie znajdując tego, czego szukały. Koledzy z biura powiedzieli mu, że kiedy ktoś wpadnie w bystrze - a były ich dziesiątki w górę i w dół rzeki - nie ma szans. Patrol rzeczny mógł jedynie odnaleźć ciało i nic więcej. Jeden facet z biura opowiadał, że na tyłach swojego domu znalazł na brzegu zwłoki starszego człowieka, który wpadł do wody jakieś trzydzieści kilometrów w górę rzeki, skąd przyniósł go nurt. Zdarzało

się, że woda unosiła topielca aż do Trenton. Robert zacisnął zęby. Po co o tym myślał, skoro nie miał zamiaru się kąpać, pływać łodzią ani wędkować, nawet gdyby na zewnątrz panowało lato?

Podszedł do biurka i popatrzył na szkic, który zrobił; przedstawiał wiąz rosnący przed jego oknem. Czysty, precyzyjny rysunek, zbyt dokładny jak na szkic, pomyślał, ale był przecież inżynierem i precyzja stała się jego „skrzywieniem zawodowym”. Sąsiednia strona szkicownika była pusta. Postanowił, że później, już wiosną, narysuje na niej z natury liść wiązu.

Rozległo się pukanie. Robert odstawił drinka i poszedł do drzwi.

- Cześć - powiedziała Jenny.

- Wchodź. - Odsunął się, robiąc jej przejście. - Zdejmiesz palto?

Podawała mu okrycie, a on powiesił je w szafie. Tym razem nie miała na nogach botków. Włożyła czółenka na wysokich obcasach.

- Ładne mieszkanie - powiedziała.

Przytaknął w milczeniu.

Usiadła na środku sofy. Robert zapalił papierosa i zajął fotel, ale zaraz wstał, żeby wziąć szklaneczkę z biurka.

- Może zrobić ci drinka? - zapytał. - Albo kawę? Może być espresso lub normalna.

- Nie, dzięki, niczego mi nie trzeba. Chciałabym ci tylko powiedzieć, że kiedy rozmawiałam dzisiaj z Gregiem, nie wspomniałam, że masz z tym coś wspólnego, choć to częściowo prawda.

Robert wpatrywał się w podłogę.

- Dzięki tobie dostrzegłam rzeczy, których wcześniej nie widziałam. Byłeś jak katalizator. Nie, to nie jest właściwe określenie, bo katalizator się w ogóle nie liczy, wywołuje jedynie zmianę, prawda? A ty się liczysz. Bo ciebie lubię. Cokolwiek to znaczy, o to właśnie chodzi.

- Nic o mnie nie wiesz - odezwał się Robert. - Nie wiesz na przykład, że jestem żonaty. Skłamałem ci. Mam żonę od trzech lat.

- Och, a więc to przez nią wyjechałeś z Nowego Jorku. Z powodu żony.

- Tak - potwierdził. Jenny wyglądała na mniej zaskoczoną, niż się spodziewał. - Nie mogliśmy się porozumieć. Nie wiesz także i tego, że jako dziewiętnastolatek miałem załamanie nerwowe. Musiałem się leczyć przez jakiś czas. Nie mam zbyt zrównoważonego charakteru. We wrześniu, jeszcze w Nowym Jorku, byłem na granicy obłądu. Dlatego tutaj przyjechałem.

- A co to ma wspólnego z tym, czy cię lubię, czy nie?

Robert nie chciał wygłaszać banałów o dziewczynach, które gdy polubią jakiegoś mężczyznę, chcą wiedzieć, czy jest żonaty, czy wolny.

- To nie takie proste, bo widzisz, nie jestem rozwiedziony.

- I nie masz zamiaru się rozejść?

- Nie. Chcemy po prostu spędzić trochę czasu z dala od siebie, to wszystko.

- No cóż... Uwierz mi, nie mam zamiaru się wtrącać. Jeśli ją kochasz, to i tak nic nie mogłabym zrobić. Powiedziałam ci po prostu, co czuję. Kocham cię.

Zamrugał oczami, a potem odwrócił od niej wzrok.

- Myślę, że im szybciej stłumisz w sobie to uczucie, tym lepiej.

- Nie mam zamiaru go tłumić. Wiem o tym. Zawsze wiedziałam, że je rozpoznam, kiedy nadejdzie. To mój najzwyklejszy pech, że jesteś żonaty, ale to niczego nie zmienia.

- Jesteś jeszcze taka młoda. - Robert uśmiechnął się. - Właściwie ile masz lat?

- Dwadzieścia trzy. Nie jestem aż tak młoda.

Robert nie dałby jej tylu lat. Za każdym razem, gdy ją widział, wyglądała młodziej.

- Nie znam Grega. Może nie jest odpowiednim facetem dla ciebie. Ale ja też nie. Ze mną naprawdę trudno wytrzymać. Mam mnóstwo dziwactw, w niektórych sprawach rozmijam się z rzeczywistością.

- To samo mogłabym chyba powiedzieć o sobie, czyż nie?

- To, że cię podglądałem przez kuchenne okno, nie jest pewnie najlepszą rekomendacją, mam rację? Powinnaś usłyszeć, co żona o mnie mówi. Uważa, że moje miejsce jest w domu wariatów. - Roześmiał się. - Spytaj ją.

- Nie obchodzi mnie, co mówi twoja żona. - Jenny położyła się na boku na kanapie, podparła się na łokciu. Choć ciało miała odprężone, z jej twarzy można było wyczytać, że niełatwo będzie przekonać ją do zmiany zdania.

- Nie chcę uprawiać żadnych gierek, Jenny.

- Moim zdaniem nie uprawiasz gierek. Jesteś uczciwy.

Robert nagle wstał z miejsca, wziął szklanę, zrobił kilka kroków i postawił ją na stoliku przy końcu sofy.

- Ale wcześniej nie byłem, prawda? Będę szczery, Jenny, jestem mężczyzną, który musi się wysilić, żeby trzymać się... jak by to nazwać?... zdrowego rozsądku. - Wzruszył ramionami. - Dlatego tutaj przyjechałem. Napięcie jest tu mniejsze niż w Nowym Jorku. Bez trudu dogaduję się z facetami, z którymi pracuję. U jednego z nich spędziłem Boże Narodzenie, z nim, jego żoną i ich małą córeczką. Wszystko wspaniale się udało. Ale oni nie

wiedzą, ile wysiłku to czasami kosztuje, jak męczące jest uczucie, że muszę się kontrolować w każdej sekundzie - przestał mówić i spojrział na Jenny w nadziei, że jego słowa odniosły jakiś skutek.

Na jej twarzy nie zaszła żadna zmiana, choć może wyglądała na mniej zaniepokojoną.

- Wszyscy próbują się kontrolować w każdej sekundzie. Co w tym dziwnego?

- Jestem facetem, od którego należy trzymać się z daleka. - Westchnął. - Chcę, żebyś to zrozumiała. Mam chory umysł.

- Kto tak powiedział? Lekarze?

- Nie, nie lekarze. Moja żona. A ona dobrze wie. Mieszkała ze mną.

- A jak byłeś na leczeniu? Jak miałeś dziewiętnaście lat?

- Co wtedy mówili? Że z powodu trudnego dzieciństwa mam chwiejną osobowość. Jak osoba o słabym charakterze. Wpadłem w obłąd, tak. To właśnie słabość, prawda?

- Co wtedy zrobiłeś?

- Musiałem na jakiś czas przerwać naukę w college'u. Pewnej nocy, pod wpływem nagłego impulsu, poszedłem nocą nad jezioro pływać w ubraniu. Byłem prawie pewny, że chcę się zabić, i na środku jeziora spróbowałem, ale widać niezbyt się starałem. Gliniarze interweniowali. Myśleli, że jestem pijany. Wywinąłem się grzywną i jedną nocą spędzoną w areszcie. Upierali się, że byłem pijany, no to się z nimi zgodziłem. Jak myślisz, dlaczego gliniarze wzięli mnie za pijanego? Bo gadałem głupoty. - Nie sposób było ją przekonać. Wysiłił umysł, by spróbować czegoś innego. - Raz celowałem do żony z broni. Usiadłem na krześle naprzeciw Nickie w pokoju i mierzyłem do niej z jej własnej dubeltówki, której używała na polowaniach. Broń była naładowana. - Tak naprawdę nie było w niej naboju. Przerwał, by złapać oddech. Patrzył na Jenny. Dziewczyna zmarszczyła lekko czoło, ale nie wyglądała na wystraszoną. Słuchała go uważnie.

- I co się stało?

- Nic. Zrobiłem to tylko po to, żeby się przekonać, żeby się dowiedzieć, że nigdy nie będę mógł pociągnąć za cyngiel. Pokłóciliśmy się tuż przed tym. Tamtego dnia pomyślałem: „Nienawidzę jej tak bardzo, że mógłbym ją zabić, a wtedy odpłaciłbym jej za wszystko, co powiedziała”. Ale kiedy trzymałem broń w ręku, usiadłem i miałem ją w zasięgu strzału, doszedłem do wniosku, że nikt ani nic nie jest warte tego, żeby odpłacać śmiercią.

- Więc o to chodzi. Zdałeś sobie z tego sprawę.

- Tak, ale możesz sobie wyobrazić, że budzisz się ze snu i widzisz, jak z drugiego końca pokoju ktoś w ciebie celuje? Co twoim zdaniem pomyślała moja żona? Co twoim zdaniem myśleli o tym ludzie, którym to opowiedziała? A ona rozmawiała z wieloma

osobami. Tak, o to chodzi. Twierdziła, że jestem w depresji i mam zahamowania, ale pewnego dnia kogoś zabije. Powtarzała, że chciałem ją zabić. Może i tak było. Kto wie?

Jenny sięgnęła po papierosy leżące na stoliku. Robert podał jej ogień.

- Nadal nie powiedziałaś mi czegoś naprawdę szokującego.

- Nie? - Roześmiał się. - Czego jeszcze chcesz? Wampirów?

- Co się działo, kiedy rzuciłeś naukę w college'u?

- No cóż... Straciłem tylko semestr i w tym czasie się leczyłem. Tak, leczenie i mnóstwo przedziwnych zajęć. Kiedy wróciłem na uczelnię, przenieśli mnie do przyjaciela, Kermita. Mieszkał z rodzicami blisko szkoły. Miał młodszego rodzeństwo, brata i siostrę. W domu panował zupełny chaos. - Robert uśmiechnął się. - Ale mimo wszystko to był prawdziwy dom, rozumiesz? Trudno to pojąć, jeśli zawsze miało się dom. Dostałem małą pokójkę, a znalezienie godziny na naukę, kiedy nikt by mi nie przeszkadzał, było prawie niemożliwe, bo dzieciaki wszędzie biegały, kładły się dopiero około północy. Jeśli z Kermitem uczyliśmy się jeszcze o tej porze, jego matka przynosiła nam ciasto i mleko. Głupio to zabrzmiało, ale to był prawdziwszy dom niż ten, który miałem u rodziców. Nie, żebym winił matkę. Zżerały ją problemy z ojcem, lecz dawała z siebie wszystko. Ale z tego, co miała, nie potrafiła zbudować niczego trwałego. Ojciec i tak chlał bez przerwy, a przecież powinna wystąpić o rozwód czy nawet uciec. Nie wiem, czy mówię zrozumiale. Pewnie nie.

- Gdzie jest teraz Kermit?

- Nie żyje. - Robert wziął kolejnego papierosa. - Zginął zupełnie przypadkowo w wypadku na Alasce. Służyliśmy razem w wojsku, udało nam się dostać do tej samej jednostki. Przypuszczaliśmy, że mogą nas wysłać do Korei, ale żaden z nas nigdy nie zobaczył Korei ani nie posmakował walki. Kermita zabiła katapulta. Dostał nią w plecy. Wydarzyło się to pewnego ranka. Zostawiłem go na pięć minut i poszedłem po kawę dla nas obu, a kiedy wróciłem, on leżał już na ziemi nieżywy. Wokół niego stało kilku kumpli. - Robert poczuł się nagle skrępowany ciągłym poważnym spojrzeniem Jenny. Od lat nikomu nie mówił o Kermicie, nigdy nie opowiedział tej historii żadnemu z nowojorskich przyjaciół. - Kiedy służba w wojsku dobiegła końca, pojechałem do Nowego Jorku.

Jenny pokiwała głową.

- Więc ty też wiesz coś o śmierci.

- Wiem coś o utracie przyjaciela. Ale o śmierci?... Nigdy nie widziałem kumpli zabijanych wokół mnie, co wielu facetów przeżyło na wojnie. O śmierci? Nie. - Robert pokręcił przecząco głową.

- Rozumiem bardzo dobrze, kiedy mówisz o trzymaniu się zdrowego rozsądku. Ja też

muszę to robić. Kiedy trzy lata temu zmarł mój młodszy brat, nagle wszystko przestało mieć dla mnie jakikolwiek sens. Wydawało mi się, że wszyscy powariowali i tylko ja jestem normalna. Wiesz, co się mówi o prawdziwych wariatach, którzy tak uważają? - Nieśmiały uśmiech pojawił się na jej ustach, w oczach błysnęła iskierka. - To znaczy życie potoczyło się dalej, jakby nic się nie stało, ojciec chodził do pracy, matka sprzątała dom, ale mimo to śmierć była z nami. - Zaciągnęła się papierosem i zapatrzyła w przestrzeń. - Bałam się śmierci. Musiałam o niej bez przerwy myśleć, aż się z nią pogodziłam... na swój sposób. Aż okazała się czymś znanym, oczywistym, wiesz, co mam na myśli? - Spojrzała na Roberta, ale zaraz potem znowu zapatrzyła się w pustkę przed sobą. - Teraz już w ogóle się jej nie boję. Rozumiem, dlaczego ten mężczyzna w twoim śnie przedstawia się jako „Brat Śmierć”.

- Cóż... Szczerze mówiąc, niezbyt lubię ten sen - powiedział Robert.

- Może któregoś dnia będzie inaczej, gdy to przemyślisz. - Jenny popatrzyła na niego.
- Jeśli będziesz myślał wystarczająco długo.

Robert odruchowo pokręcił głową. Było to niemal jak dreszcz. Wpatrywał się w jej młodą twarz, stanowiącą teraz zagadkę.

- Kiedy uświadomiłam sobie to wszystko o śmierci - Jenny mówiła dalej - spojrzałam na świat w zupełnie inny sposób. Greg myśli, że śmierć wpędza mnie w depresję, ale się myli. Po prostu nie lubię słuchać, kiedy ludzie opowiadają o niej z typowym przerażeniem. Rozumiesz. A... po tym, jak cię spotkałam... dzięki tobie zobaczyłam świat odmieniony, wydał się o wiele szczęśliwszy. Weźmy na przykład bank, w którym pracuję. Zwykle nu-udziłam się tam, siedziałam ponura. A teraz jest inaczej. Jest miło. Wszystko stało się łatwiejsze.

Och, znał to uczucie. Być zakochanym. Nagle cały świat pięknieje. Nawet bezlistne drzewa zaczynają śpiewać. Dziewczyna była taka młoda. Zmieniła temat i mówiła teraz o Dostojewskim. Robert prawie jej nie słuchał, bo zastanawiał się, jak z nią zerwać w miarę bezboleśnie. Czuł, że jedynym skutkiem ich rozmowy było to, że dziewczyna jeszcze bardziej się do niego przywiązała. Zaczął chodzić po pokoju, podczas gdy ona mówiła o „przeznaczeniu” i „wieczności” - zapewne wierzyła w życie po śmierci - a potem się odezwał:

- Jenny, wszystko, co wcześniej chciałem ci powiedzieć, sprowadza się do tego, że nie mogę się więcej z tobą widywać. Przepraszam cię, ale tak już jest.

Nagle wydała się tragiczną postacią. Kąciki jej szerokich ust opadły. Żałował, że wyraził się tak obcesowo, ale jak inaczej mógł postąpić? Chodził w tę i z powrotem z rękami w kieszeniach.

- Widywanie się ze mną nie sprawia ci przyjemności? - zapytała.

- Ależ sprawia, i to dużą. Ale nie postępujemy właściwie. Lubię myśleć, że jesteś szczęśliwa. Potrafisz to zrozumieć? Kiedy patrzyłem na ciebie przez kuchenne okno, wyobrażałem sobie, że jesteś szczęśliwa, masz chłopaka, którego poślubisz, i to wszystko. Popełniłem błąd, zawierając z tobą znajomość, i drugi... - Najwyraźniej uznał, że nie musi kończyć tego zdania. Chciał, żeby już poszła. Odwrócił się. Słyszał, że wstała.

- Za jedno chciałabym ci podziękować - powiedziała. - Za to, że dzięki tobie dotarło do mnie, że nie kocham Grega i nie powinnam za niego wychodzić. Bardzo ci za to dziękuję.

- Przypuszczam, że Greg jest innego zdania.

- Na to nic nie mogę poradzić. Sam powiedziałeś, że tak już jest. - Próbowała się uśmiechnąć. - Żegnaj zatem.

Odprowadził ją do drzwi. Wyjęła palto z szafy i włożyła, zanim zdążył jej pomóc.

- Żegnaj.

I nagle jej nie było. Pokój ponownie wypełnił się pustką.

7

- Daj spokój, Jen, gdzie on mieszka w Langley? - pytał Greg. - Mam jego numer telefonu, a teraz chcę mieć adres.

- To go zapytaj. Jeśli będzie chciał się z tobą zobaczyć, to ci poda.

- Bardzo wątpię, żeby chciał ze mną gadać. A ja chcę wiedzieć.

Jenny westchnęła, zniecierpliwiona, i zerknęła ponad ramieniem, czy w pobliżu nie widać pana Stoddarda. Nie lubił, kiedy pracownicy prowadzili prywatne rozmowy przez telefon, o czym mówiła Gregowi wiele razy.

- Greg, muszę się rozłączyć.

- Mam prawo wiedzieć i mam prawo zobaczyć się z tym facetem, jeśli przyjdzie mi na to ochota.

- Nie mam pojęcia, jakim cudem rozpracowałeś to wszystko w dwadzieścia cztery godziny. Jesteś po prostu dziecinny.

- Tchórzysz, Jenny. Nigdy się tego po tobie nie spodziewałem. A pan...

- Nazywaj to, jak chcesz, guzik mnie to obchodzi. - Rozłączyła się.

Pomyślała, że Greg jest prawdopodobnie w Rittersville. W poniedziałkowe

popołudnia zwykle się tam zatrzymywał, odwiedzał drogerię w mieście albo inną, w centrum handlowym. Nie miała wątpliwości, że kiedy Greg zadzwoni do Roberta o piątej trzydziści lub szóstej po południu, Robert wróci już z pracy do domu. Robert zapewni go, że już się z nią nie widuje. Jenny nie chciała sama mówić o tym Gregowi, bo odniósłby wtedy zwycięstwo, a jej zdaniem zachował się wstrętnie i nie zasłużył na żadne zwycięstwo, nawet najmniejsze, to zaś z pewnością takie właśnie było, bo jej uczucia wobec niego, tak samo jak wobec Roberta, nie zmieniły się.

Teraz musiała od nowa przeliczyć pieniądze w szufladzie, bo w chwili, gdy Steve zawołał ją do telefonu, nie zanotowała sumy. Zaczęła od pięciu banknotów studolarowych.

- Buuuu! - krzyknął Steve, łapiąc ją w pasie od tyłu. - Kto dzwonił?

- Przestań, Steve, liczę.

- Greg pewnie nie może się doczekać, co? - powiedział i odszedł.

Jenny liczyła zawzięcie z pochyloną głową. Owiewało ją ciepło z grzejnika stojącego na dole. W jej domu będzie zimno, kiedy wróci po pracy. Włączy termostat i w dziesięć minut wewnątrz się nagrzeje, ale tego wieczoru będzie sama, nie będzie miała z kim zjeść obiadu. A Robert będzie tam, w Langley, niecałe dwadzieścia pięć kilometrów od niej. Nie powiedział przecież, że wraca do Nowego Jorku. Jenny zastanawiała się, czy wierzyć w jego opowieść o żonie. Nie przypuszczała, żeby kłamał, bo nawet jeśli próbował, to nie byłby tak przekonujący jak wczorajszego dnia, dlatego musiała uwierzyć, że ma żonę. Może nie uda im się zejść ponownie, pomyślała. Czy ktokolwiek wie, co przyniesie przyszłość? Nikt. Nie życzyła Robertowi powrotu do żony ani tego, żeby tu został, bo wiedziała, że takie życzenia są daremne. Poza tym, a właściwie przede wszystkim, chciała, żeby Robert był szczęśliwy. To zabawne, bo ciągle powtarzał, że jej życzy tego samego. Jenny podsumowała kasę - jedenaście tysięcy pięćdziesiąt pięć dolarów i siedemnaście centów - włożyła szufladę do sejfów, zamknęła go kluczem, jednym z wielu, które miała na kółku. Potem zebrała złe wypełnione blankiety z książeczek oszczędnościowych, anulowane czek, pokwitowania spłaty kredytu, wyciągi i formularze depozytowe Fundacji Bożonarodzeniowej i zaniósła je Ricie, która siedziała przy urządzeniu do sprawdzania autentyczności banknotów w pokoju na zapleczu.

- Pani McGrath uważa, że wypłacono jej o dziesięć dolarów za mało reszty - powiedziała Jenny. - Więc w razie czego daj mi znać. Tu masz moje zestawienie.

- Och, pani McGrath! Ona twierdzi, że dostała za mało reszty, dwa razy w tygodniu - odpowiedziała Rita, nie odrywając oczu od pracy.

Jenny wyszła z banku dwadzieścia po czwartej. Miała nadzieję, że Robert będzie

szorstki, zasadniczy i nie zgodzi się na spotkanie z Gregiem. Z łatwością wyobrażała sobie, że Greg wymyślił wystarczająco dużo powodów, żeby uderzyć Roberta, a może nawet pobić. Greg trenował boks na siłowni i był dumny ze swoich ciosów. Też mi powód do dumy, pomyślała Jenny. Byle dupek potrafi się nauczyć, jak uderzyć kogoś w twarz. Była pewna, że Robert nie uderzyłby nikogo. Wyglądał na bardzo łagodnego, a dla Jenny była to najbardziej męska cecha ze wszystkich - łagodność. Widziała przed sobą twarz Roberta, jego gęste brązowe włosy, jaśniejsze, ale też brązowe oczy, lewy kącik ust opadający lekko w dół, brodę z niewielkim dołkiem, widziała go takim, jak wyglądał wczoraj po jeździe na nartach, w białej koszuli i ciemnoszarych spodniach, pochylającego się nad kominkiem, by dorzucić drewno do ognia. Rozklejała się zupełnie, musiała mocniej chwycić kierownicę, żeby utrzymać samochód na drodze.

Gdy dojechała na miejsce, schowała do lodówki sałatę i kotlety wieprzowe, które kupiła na obiad w Wayside Grocery, między Humbert Corners a domem, a potem wzięła kąpiel. Nie była to co prawda jej zwykła pora kąpieli, ale pomyślała, że w gorącej wodzie się odpręży i jakoś zabije czas do nieuniknionego wieczorem telefonu od Grega. Dlaczego niektórzy ludzie tak utrudniają innym życie? Kiedy Fritzie Schall, chłopak ze Scranton, ten, którego tak bardzo lubiła, rzucił ją dla innej dziewczyny, pogodziła się z tym i nie próbowała do niego dzwonić ani go widywać. Ale nie Greg!

Włożyła stary sweter i spódnicę, buty na płaskim obcasie i podlała rośliny. Odkurzyła salon, pozmywała kilka naczyń leżących w zlewie, które zostawiła tam rano, bo niemal spóźniła się do pracy. Usiadła w salonie z filiżanką kawy i tomikiem Keatsa i Shelleya, wydanym w serii „Biblioteki Współczesnej”. Otworzyła na Keatsie. Okazało się jednak, że Keats to nie było to, o co jej chodziło. Wołałaby Blake'a. Wzięła z półki wielką książkę z poezją Donne'a i Blake'a. Podkreśliła niektóre strofy we *Wróżbach niewinności*:

*Gacek o zmierzchu - on wyfrunął
Z umysłu, co nie wierzy w Boga.*

*Krzyk sowy o północy głosi,
Jaka jest niedowiarka trwoga.*

Przypomniała sobie, że ilekroć czytała te słowa, zawsze przenikał ją dreszcz.

Ten, kto wyśmiewa wiarę dziecka,

Będzie wyśmiany w dniach starości.

*Temu, kto uczy dziecko wątpić,
Zgnilizna grobu strawi kości.*

*Kto wiarę dziecka czci, pokona
Śmierć i piekiel moc w wieczności*.*

Silny rytm tych wersów niósł takie samo ukojenie jak ich treść.

Aż podskoczyła na dzwonek telefonu. Było dopiero pięć po szóstej.

- Łączę międzymiastową, proszę mówić.

Dzwoniła matka Jenny ze Scranton. Zaniepokoiła się listem córki, z którego się dowiedziała, że Jenny nie wychodzi za Grega.

- Co złego się stało, Jenny? Nawet ojciec się zmartwił.

Wyobraziła sobie matkę siedzącą prosto na krześle w holu, prawdopodobnie ubraną w kuchenny fartuch, bo zwykle o osiemnastej rodzina jadła obiad, ale matka opóźniła posiłek o kilka minut, bo telefony po szóstej były tańsze.

- Nic się nie stało, mamó. Po prostu nie kocham go dość mocno. Wiedziałam to już od wielu tygodni, ale...

- Ale nie masz nikogo innego, prawda, Króliczku?

Jenny ucieszyła się, że Greg nie zadzwonił jeszcze do jej rodziców. Chciała powiedzieć im o Robertcie i jednocześnie zachować jego istnienie w tajemnicy. Żonaty mężczyzna, powtarzaliby z przerażeniem. Równie łatwo jednak potrafiła sobie wyobrazić, że siedzi z nimi przy stole i zabawia ich opowieściami o tym, co Robert powiedział lub zrobił, jak wygląda, jaki jest dojrzały - jak zawsze, gdy mówiła o swoich chłopakach, ale także o dziewczynach, z którymi przyjaźniła się w szkole. Musiała rozmawiać o ludziach, którzy budzili w niej sympatię, choć może było to oznaką naiwności.

- Jest ktoś taki, Jenny? Jest?

- Tak, ale nie sądzę, abym się jeszcze z nim zobaczyła, bo nie mogę. Kurczę, mamó, traktujesz mnie jak małe dziecko!

- Czego innego możesz oczekiwać od rodziny w chwili, gdy niemal wysłaliśmy już zaproszenia na ślub, a tu przychodzi od ciebie taki list? Kto to jest?

* Przełożył Zygmunt Kubiak.

- Ma na imię Robert. - Ucieszyła się, że jej słowa dotrą do Scranton.

- Jaki Robert?

- Mamo, to bez znaczenia, bo bardzo wątpię, czy jeszcze kiedykolwiek go zobaczę.

- Jestem pewna, że tak byłoby najlepiej. Jak go poznałaś?

- W sposób najzwyczajniejszy na świecie - odpowiedziała, akcentując ostatnie sylaby, co robiła zawsze, gdy chciała, by jej głos brzmiał rzeczowo. - Ale umówiliśmy się, że nie będziemy się już widywać, to wszystko.

- No cóż, moim zdaniem, gdyby mu na tobie naprawdę zależało, to chciałby cię widywać. Radzę ci teraz, ochłoń trochę i spojrzij nowym okiem na Gregory'ego. To miły, stateczny chłopak, Króliczku, i jest do ciebie bardzo przywiązany, co widać gołym okiem. Ojciec go lubi - dodała, jakby to był rozstrzygający argument. - Będę już kończyć, bo to przecież międzymiastowa, uznałam jednak, że muszę dzisiaj z tobą porozmawiać.

- A jak się miewa Don, mamo?

- Świetnie. Odrabia dziś lekcje u kolegi i zostanie tam na kolacji, dlatego nie ma go w domu, bo gdyby był, kazałabym mu przywitać się z tobą.

Lekcje, pomyślała Jenny, przecież Don jest w ostatniej klasie college'u. Matka mówiła o nim, jakby miał dziesięć lat.

W końcu rozłączyły się, obiecując, że do siebie napiszą.

Jenny zaczęła smażyć dwa kotlety, bo pomyślała, że jeśli się do tego nie zabierze, prawdopodobnie nie zje dziś gorącego posiłku. Najbardziej lubiła sałatki, mogłaby się odżywiać wyłącznie nimi. Surówki z sałaty, rzodkiewek, selera, pomidorów, surowej fasolki szparagowej, marchewki, ze wszystkiego, co świeże i zielone. Dlatego właśnie w rodzinie nazywano ją „Królikiem”. Ojciec bał się, że Jenny dostanie od tego anemii. Jej rodzina zawsze się czegoś bała. Jenny zdjęła z patelni kotlet. Uznała, że jeden w zupełności wystarczy na obiad. Drugi włożyła do zamrażarki, a potem zabrała się do przyrządzania sałatki.

Greg zadzwonił tuż przed siódmą.

- Dobry wieczór - powiedział. - Mam dla ciebie interesującą nowinę. Pan Forester wraca do Nowego Jorku.

- Och, czyżby? - odpowiedziała Jenny. - Wydaje mi się jednak, że to wiadomość bardziej interesująca dla ciebie niż dla mnie.

- A może na równi. To jego decyzja z ostatniej chwili. Okazał się zbyt wielkim tchórzem, żeby mi powiedzieć, gdzie mieszka. Pomyślałem, że ciebie też to zainteresuje.

- W ogóle mnie to nie obchodzi.

- Mam jeszcze jedną ciekawostkę. Tak z głupia frant zadzwoniłem na jego stary

nowojorski numer i pogadałem sobie z żoną pana Forestera. Rozwodzą się, Jenny, a sądząc z tego, co mi powiedziała, łatwo się domyślić, dlaczego. To wariat.

- Och, naprawdę?

- Tak, naprawdę.

- I to ma być powód do rozwodu? Bardzo wątpię.

- No nie, w Nowym Jorku podstawą może być tylko cudzołóstwo, rozumiesz. Jestem pewny, że pan Forester posmakował i tego. Tyle że jego żona oznajmiła wprost, że to wariat. Nie myślisz chyba, że pan Forester sam by ci o tym powiedział, co? Czy zdajesz sobie sprawę, że twoje życie wisiało na włosku, kiedy zaprosiłaś go do siebie na obiad? Zapraszać go na obiad! Dobry Boże! Czasami mi się wydaje, że powinnaś sobie zbadać głowę, Jenny.

- Mam dość twoich rad! - krzyknęła Jenny ze złością, jakiej nigdy przedtem mu nie okazywała. - Co za pomysł, żeby dzwonić do jego żony do Nowego Jorku! Rany, to chyba śmiało można nazwać wtrącaniem się w nie swoje sprawy, mam rację?

- Ja nazywam to śledztwem i cieszę się, że to zrobiłem. Wypłoszyłem tego łobuza z miasta, Jen, i masz szczęście, że tak się stało. A przy okazji, twoja przyjaciółka Rita nigdy o nim nie słyszała. Co powiesz na to?

- Proszę, proszę, jak nic cały dzień wisiałeś dziś na telefonie, prawda?

- Dlaczego powiedziałaś, że to przyjaciel Rity?

- Bo jesteś wścibski, dlatego musiałam coś wymyślić, żebyś siedział cicho.

- Ja nie potrafię siedzieć cicho, dziewczynko.

- Jeśli uważasz, że mnie tym ujmiesz, to się grubo mylisz.

- Nie, nie. Może jednak nie. Mimo wszystko najlepiej jest znać prawdę, chyba się z tym zgodzisz? Pan Forester nie wyjawiał prawdy. Nie potwierdziłby, że się w nim durzysz albo że coś o tym wie.

- Niby o czym? - odparowała Jenny.

- Och, Jen, nie kłóćmy się. Kiedy jego żona powiedziała mi, że to wariat, coś mi przyszło do głowy. Czy to aby nie on był tym podglądaczem? On?

- Chyba ci zupełnie rozum odjęło - stwierdziła Jenny.

- Dlaczego płaczesz? Na rany boskie, Jenny, wcale nie chciałem doprowadzić cię do łez. Posłuchaj, mogę do ciebie przyjechać? Jestem w Langley. Nie zabierze mi to nawet pół godziny.

- Nie chcę cię widzieć.

- Ummm - jęknął. - Pan Forester nie chciał powiedzieć, jak się poznaliście, kiedy mu wspomniałem o Ricie. Spytałem, czy kręcił się koło twojego domu i podglądał, bo

poinformowałem go też o hałasach, które słyszeliśmy. Powtórzyłem mu, co żona o nim mówiła. Słysząc było wyraźnie, że pan Forester się zdenerwował, panno Thierolf. Ma wyjechać z miasta, w porządku, ale jeśli nie wyjedzie, dopilnuję, żeby zmienił zdanie.

Jenny odłożyła słuchawkę. Podeszła do zlewu i obmyła twarz zimną wodą. Przeklęty Greg! Był gorszym mściwością niż Susie Escham. Rita mogła chwilę pomyśleć i potwierdzić, że tak, przedstawiła jej Roberta, ale pewnie Greg za bardzo naciskał. Poza tym Rita nie należała do najbystrzejszych, więc na pewno nie miała złych zamiarów i trudno było mieć do niej pretensję.

Jenny bardzo chciała zobaczyć się z Robertem, żeby mu powiedzieć, że to wszystko nie ma znaczenia, żeby się tym nie przejmował i zapomniał o całej sprawie. Tyle że Robert powiedział, co powiedział. Nie chciał się więcej spotykać. Pomyślała, że najlepiej będzie do niego nie dzwonić, nawet po to, żeby przekazać mu dobre słowo. Zastanawiała się, jaką kobietą musi być jego żona, skoro opowiada nieznajomemu tak straszliwe rzeczy o własnym mężu.

8

Greg dzwonił co wieczór przez pięć dni i prosił, żeby się z nim zobaczyła. Jenny powtarzała stanowcze „nie”, choć w jej głosie brzmiała uprzejmość i nie padło nawet jedno słowo wypowiedziane w złości. Mówiła, że przez jakiś czas powinna być sama, i coraz bardziej się w tym utwierdzała, przez co stawała się bardziej przekonująca dla Grega. Była zadowolona, że jego bank znajduje się w Rittersville, a nie w Humbert Corners. Nie miała ochoty go oglądać nawet przez kratę bankowego okienka. Minęło dziesięć dni, w tym dzień urodzin Grega, z okazji których Jenny wysłała mu przyjazną, ale mało zachęcającą kartkę pocztową. Była zdziwiona i jednocześnie wdzięczna, że nie zjawił się tego dnia na podjeździe domu. Pewnie czekał, aż poczuje się bardziej samotna na swoim odludziu, i sądził, że za kilka tygodni ucieszy się z jego powrotu.

Kiedy myślała o Robertcie, odczuwała niewielki, ale ostry ból, który mijał niemal natychmiast, a zaraz potem w jej umyśle pojawiła się seria obrazów: Robert w restauracji, wyglądający bardzo dystyngowanie w świetle świec; Robert na zboczu wzgórza w czasie zjazdu na nartach, najwyraźniej nie czujący się zbyt pewnie; Robert w jej salonie w samej

koszuli, a potem chodzący nerwowo, jak ostatnim razem, kiedy go widziała. Jednak najbardziej przejmujący był zapamiętany widok, gdy stał w świetle płomieni obok jej domu - kiedy jeszcze go nie znała. Nie bała się tych wspomnień i to, że większość ludzi na jej miejscu w takiej sytuacji by się wystraszyła, wydawało jej się dziwne i niedorzeczne. Ludzie nie wiedzą, o co naprawdę w życiu chodzi. Nie uważała, że posiada pełną wiedzę o życiu, ale czuła, że jest na dobrym tropie, żeby ją poznać. Nie rezygnowała z poszukiwań w różnych kierunkach, jak prawie wszyscy ludzie. Być może jej znajomość z Robertem się skończyła, a jeśli tak, to trudno, lecz niewykluczone, że coś innego było im przeznaczone - albo dobrego, albo złego. Może zachowuje się zbyt biernie, nie próbując się z nim teraz skontaktować.

Pewnego wieczoru, około dziewiętej, zadzwoniła pod stary numer Roberta w Langley. Liczyła się z tym, że zgłosi się telefonistka i powie, że linia została odłączona. Albo odbierze jakiś człowiek, któremu przydzielono numer po Robercie.

- Dzwoni pani pod numer, który został odłączony - powiedziała telefonistka. - Czy podać nowy numer?

- Tak, proszę - odpowiedziała Jenny.

- Och, przepraszam, nie mamy zgody na ujawnianie tego numeru. Jest zastrzeżony.

- Ale to w Langley? Numer pana Roberta Foreстера?

- Tak, to numer w Langley, ale zastrzeżony.

- Dziękuję.

Jenny pomyślała, że Greg nie wie, że Robert jest nadal w mieście. Dzwonił do niej dwa tygodnie wcześniej i obwieścił triumfalnie, że Robert wyjechał, ale musiał chyba opierać się na tym, że stary numer telefonu jest już nieaktualny. Może telefonistka, z którą Greg rozmawiał, nie przekazała mu, że Robert ma teraz zastrzeżony numer. Jenny mogłaby zadzwonić do niego do biura, bo najprawdopodobniej ciągle tam pracował. Położyła się, wciąż o tym rozmyślając, choć wiedziała, że rankiem, kiedy się lepiej zastanowi, dojdzie do wniosku, że telefonowanie do niego to zły pomysł.

Zadzwoniła następnego dnia około jedenastej. Wyszła z banku w czasie przerwy na kawę, wymyślając jakiś pretekst, bo ekspres elektryczny znajdował się w pokoju za skarbcem. Rozmawiała z dwojgiem ludzi, kobietą i mężczyzną, zanim usłyszała głos Roberta.

- Cześć. Jak się czujesz, Robercie?

- Och, świetnie, dziękuję, a jak ty się miewasz, Jenny?

- Aż do wczoraj nie wiedziałam, że nadal jesteś w mieście. - Przycisnęła mocniej słuchawkę do ucha. - Dzwoniłam na twój stary numer. - Wszystkie zwykłe, wesołe słowa, które zamierzała mu powiedzieć, wyleciały jej z głowy.

- No cóż, przeprowadziłem się. Wynająłem dom.

- Naprawdę nic ci nie jest?

- Oczywiście, że nie. Myślę, że mam się znacznie lepiej, niż kiedy widzieliśmy się ostatnim razem.

- Dostałeś już rozwód?

- Tak.

- Przepraszam, że Greg do ciebie dzwonił, Robercie. Wygląda na to, że cały czas mogę cię jedynie za niego przeproszać.

- Och, to było tak dawno temu. Chyba miesiąc, prawda? Szkoda tylko, że dzwonił do Nowego Jorku.

- Zrobiłam mu o to piekło. Nie widziałam się z nim od dnia, kiedy zepsuł nam obiad - przerwała, bo chciała dodać, że skoro się rozwiódł, to czy nie mogliby się spotkać? Pamiętała, co powiedział: że lubił ją widywać, że lubił patrzeć na nią przez kuchenne okno. To samo ona teraz czuła wobec niego. Po prostu chciała go zobaczyć.

- Chyba muszę kończyć, Jenny. Dzięki za telefon.

Odłożył słuchawkę, zanim się zorientowała. Besztła się teraz w myślach, że niepotrzebnie wyskoczyła z rozwodem: bo niby skąd miałyby o nim wiedzieć? Była pewna, że Robert poczuł się skrępowany. A z kolei to, że nie spotyka się z Gregiem, zupełnie go nie obchodziło.

Kiedy skończyła pracę o czwartej trzydzieści pięć, pojechała do Langley. Słońce zachodziło, zapadał zmrok. Jenny przypuszczała, że w Langley Aeronautics kończono pracę o piątej. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że ma niewielką szansę znaleźć jego samochód pośród setek innych, ale on tam gdzieś będzie, może nie więcej niż kilkaset metrów od niej, a może bliżej. Parking Langley Aeronautics przypominał plac komisji z używanymi samochodami, jakich wiele minęła po drodze. Stał tam nawet policjant, który kierował pojazdy ku bramom z metalowej siatki. Prowadziły stamtąd trzy drogi wyjazdowe. Robert jeździł czarnym kabrioletem z chromowanymi listwami na bokach składanego dachu - nie było wiele takich wozów, ale generalnie panował tu samochodowy tłok. Przejeżdżała wolno obok wszystkich bram wyjazdowych, aż na parkingu nie zostało więcej niż dwadzieścia samochodów, lecz nigdzie nie dostrzegła Roberta. W końcu pojechała do domu. Tesserowie zaprosili ją na obiad na siódmą, jednak nie cieszyła się na tę wizytę. Tesserowie myśleli, że wpadła w depresję po zerwaniu z Gregiem - czego nie potrafili zrozumieć - i usiłowali ją pocieszać. Nie powiedziała im o Robercie. Ale może zrobi to dzisiaj. Musiała komuś powiedzieć.

W chwili gdy otwierała drzwi, rozległ się dzwonek telefonu. Miała nadzieję, że dzwoni Robert, ale to był Greg. W rocznicę urodzin Waszyngtona organizowano koncert w Langley Auditorium i Greg chciał ją zabrać. Podziękowała i odmówiła.

- Jak długo ma to trwać, Jenny? Dałem ci już ponad miesiąc. Co ty wyrabiasz? Oplakujesz pana Forestera czy co? Myślisz, żeby pojechać za nim do Nowego Jorku?

- Chcę po prostu być sa-ama, Greg.

- Z kim się widzisz? Z Susie? Z którymś z jej chłopaków?

- Nie!

- No dobrze, maleńka. Kocham cię. Czasami jednak myślę, że parę klapsów w pupę dobrze by ci zrobiło. Odezwę się niedługo.

To było w czwartek wieczorem, a w sobotę dostała od niego list. Cztery strony wypełnione pismem maszynowym, osiągającym crescendo na ostatniej kartce, gdzie pisał o jej nieczułości, przejawiającej się tym, że od tak dawna nie chce się z nim zobaczyć, za co on odpłaca jej nadludzką wprost cierpliwością, na jaką byłoby stać bardzo niewielu mężczyzn.

We wtorkowy wieczór, kiedy Jenny usiłowała po raz czwarty albo piąty odszukać samochód Roberta w zakładach Langley Aeronautics, wreszcie go dostrzegła. Wyjechał z parkingu i skręcił na północ. Pomiędzy nimi jechało sześć innych samochodów, ale zauważyła, że niecały kilometr dalej zjechał na lewo. Była tam szosa z dala od miasta, która biegła między polami. Trzymała się za nim w rozsądnej odległości, bo teraz nie było już między nimi żadnych pojazdów. Zależało jej jedynie na tym, żeby zobaczyć jego dom i dowiedzieć się, gdzie to jest. Czerwone tylne światła jego samochodu skręciły w prawo, przednie reflektory oświetliły niewielki budynek ze spadzistym dachem. Jenny zwolniła, widziała, jak Robert wysiada, zostawiając włączone światła, i idzie w stronę domu. Kiedy się znalazła w pobliżu podjazdu prowadzącego do jego posesji, zwolniła jeszcze bardziej, bo chciała, żeby ją zauważył, żeby ją zatrzymał. Podjazd nie był długi.

- Jenny?! - zawołał.

Wjechała na podjazd i zatrzymała się. Patrzyła, jak Robert podchodzi. Uśmiechał się, zaskoczony, ale wyglądał na zadowolonego, nie był zdenerwowany.

- A więc to ty - powiedział. - Coś się stało?

- Nic.

- No cóż, wstąpisz? Chodź.

Zgasiła silnik, wysiadła i poszła z nim w kierunku domu. Drzwi znajdowały się od strony podjazdu, górną połowę zdobiła ciosana niczym brylant szyba. Kolumny niewielkiej zadaszonej werandy były rzeźbione w spirale. Widziała tylko, że są czarne i brązowe, bo

dostrzegając niewiele więcej, świadoma wyłącznie obecności Roberta. Nie potrafiła znaleźć słów, by coś z siebie wydusić, choćby przeprosiny lub dowcip. Miała pustkę w głowie.

Włączył światło przełącznikiem znajdującym się wewnątrz przy drzwiach.

- Wejdz. Zaraz do ciebie przyjdę. - Poszedł zgasić reflektory w samochodzie.

Pokój wyglądał jak główna komnata średniowiecznego zamku. Po lewej stronie znajdował się kominek wysoki na trzy metry, przez co gzyms nad nim nie nadawał się do wykorzystania, oraz ustawiona przy ścianie kanapa rodem z szekspirowskiej sztuki, obita czerwoną tkaniną. Najwyraźniej na górze na antresoli znajdowała się sypialnia, bo salon zajmował niemal całą powierzchnię parteru.

- Zabawne miejsce, prawda? - powiedział Robert. Znowu się uśmiechał. - Podoba mi się.

- Wygląda jak z bajki.

- Podaj mi palto, proszę.

Odwiślał jej palto do szafy, potem poszedł do kominka, gdzie leżały już polana gotowe do podpalenia, zajmując absurdalnie mało miejsca w ogromnym palenisku. Zapalił zapalniczkę, przyłożył ją do papieru, wetkniętego między drwa, a później otworzył przewód kominowy. Włączył lampę na stole stojącym pośrodku pokoju i zgasił górne światło. Stół pokrywały rysunki jakichś maszyn, wykonane ołówkiem i tuszem.

- Siadaj. Napijesz się czegoś?

Usiadła w skórzanym fotelu blisko kominka.

- Coś mi się wydaje, że nie jesteś dziś zbyt rozmowna. - Stał w drzwiach prowadzących do kuchni.

Poszła za nim. Kuchnia była mała, ale bardzo czysta i schludna. Wyjął lód, odmierzył whisky miarką do alkoholu i przelał do pękatych szklanek. Dwa razy zerknął na Jenny przez ramię, a jej przypominały się chwile, gdy pierwszy raz zaprosił go do domu, kiedy - musiała to przyznać - spoglądała na niego trochę wystraszona. Robert uśmiechał się i wyglądał na zadowolonego. Podał jej szklankę i wrócili do salonu. Dopiero teraz zauważyła gramofon, a pod nim stojak z płytami.

- Wygląda na to, że się tu naprawdę zadomowiłeś. Podpisałeś umowę najmu? - zapytała i natychmiast zniechęciła się za banalność tego pytania. Wypiła trzy duże łyki whisky.

- Tak, na rok. Sto dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie, w tym ogrzewanie. Jak sądzisz, chyba nieźle? - Patrzył na nią wesołymi oczami. Siedział na pufie blisko ognia.

- Nie za wiele tu miejsca - powiedziała krytycznie i spojrzała na spadzisty sufit w

kształcie odwróconej litery „V”.

- Nie potrzebuję więcej. Cieszę się, że przyjechałaś. Czuję się tutaj trochę samotnie. Zupełnie inaczej niż w pensjonacie.

Pomyślała, że w ogóle nie wygląda na osamotnionego. A potem przypomniała sobie o rozwodzie.

- Przepraszam, że wspomniałam o rozwodzie. Dowiedziałam się o nim od Grega.

Uśmiech zniknął mu z twarzy, ale za chwilę pojawił się z powrotem.

- Nie ma sprawy. Cieszę się z rozvodu. Jestem pewny, że Nickie jest szczęśliwsza, a to miłe. Tak więc wszystko dobrze się skończyło. A jak się ma Greg? Widziałaś się z nim?

- Mówiłam ci - odpowiedziała Jenny. - Nie widziałam go od niedzieli, kiedy byliśmy na nartach.

- Och. - Robert dołożył polano do ognia.

Jenny spojrzała na półki z książkami, stojące obok kominka. Większość miała nowe okładki. Głównie historia i biografie. Wyjął jej szklanekę z dłoni.

- Jeszcze jednego? Masz ochotę?

- Tak, poproszę.

Alkohol szybko uderzył jej do głowy. Odprężyła się, ale jednocześnie posmutniała. Bała się, że mogła zrobić lub powiedzieć coś niefortunnego, co nie spodobało się Robertowi, i nigdy już nie będzie chciał się z nią spotkać. Widziała, że Robert popada w przygnębienie z powodu jej stopniowego wyciszania się, ale wtedy zaproponował, żeby została na obiedzie. Miał stek wystarczająco duży dla dwóch osób, który mogliby upiec nad ogniem. Zgodziła się. Jej praktyczny aż do przesady umysł zadziałał - zastanawiała się, czy stek jest już rozmrożony, a chwilę potem zobaczyła, jak Robert kłęczący przed kominkiem, zawijając ziemniaki w folię. Stek leżał na grillu gotowy do pieczenia, bez wątplenia rozmrożony.

- Mogę zrobić sałatkę? Jestem w tym bardzo dobra. - Wstała trochę chwiejnie, czując, że głupawy uśmiech rozciąga jej usta od ucha do ucha. Była przekonana, że wygląda i zachowuje się jak szesnastolatka, za co się nienawdziła.

W kuchni jednak, kiedy robiła dresing w ciemnej drewnianej misie, zapomniała o swoim skrupowaniu. Robert miał czosnek, cebulę i zioła wszelkiego rodzaju. Obwiązał ją bawełnianym fartuchem kuchennym, przypominającym fartuch stolarza. Zapamiętała przelotny dotyk jego dłoni w talii. Sałatka była dość wymyślna, więc kiedy ją skończyła, stek i ziemniaki były już upieczone, Robert zdążył tymczasem nakryć stół ustawiony przy jednej ze ścian w salonie, choć Jenny sama chciała to zrobić. Na stole stała także butelka czerwonego wina z francuską etykietą.

W czasie obiadu Robert opowiadał jej o pracy i wspominał o możliwości przeniesienia się do Filadelfii, gdzie znajdował się główny zakład Langley Aeronautics. Robert pracował właśnie nad kombinacją dwóch części wchodzących w skład silnika helikoptera. Ich rysunki leżały na biurku. Pokazał jej jeden i Jenny usiłowała coś z niego zrozumieć, ale widziała podwójnie. Może dlatego, że prawie nic nie powiedziała, Robert wyjął teczkę z rysunkami owadów - Jenny rozpoznała jedynie modliszki, które wyglądały przerażająco na jego obrazkach. Robert wyjaśnił jej, że były to rysunki do książki i na dniach miał je wysłać do Nowego Jorku. W chwilę potem Jenny zamarła, bo Robert spytał, czy była na koncercie muzyki Mozarta i Strawińskiego w Langley Auditorium. Zaprzeczyła. Nie wspomniała jednak, że Greg ją tam zapraszał. Z zapałem zaczęła jeść stek, ale nagle poczuła, że nie przełknie ani kęsa więcej. Przy sałacie miała ochotę się rozpłakać.

- Kocham cię, Robercie - powiedziała, przerywając mu jakąś wypowiedź.

Wydał z siebie dźwięk pośredni między śmiechem a okrzykiem zaskoczenia. Potem Jenny znalazła się na kanapie obitej czerwonym materiałem, oparta o kilka poduszek. Robert mówił bardzo spokojnie:

- ...kawę. Trzymaj. To dobre mocne espresso. Nie powinienem dawać ci drugiej szkockiej. Ale przecież nie wypijaś aż tak wiele. Za minutę poczujesz się lepiej.

Słowa, słowa, słowa, przelatywały jej przez głowę, ale żadnego nie mogła wymówić.

Robert chodził w tę i z powrotem z papierosem. Zatrzymywał się przy małym okrągłym stoliku do kawy, żeby wypić łyk z filiżanki. Jenny pomyślała: Jesteśmy małżeństwem i właśnie tu mieszkamy, śpimy w jednym łóżku, a on zdążył się do mnie przyzwyczaić. Śledziła wzrokiem jego postać zawracającą raz po raz, wsłuchiwała się w jego kroki, prawie niesłyszalne na dywanie. Nie patrzył na nią. Zamknęła oczy, zmęczona widokiem jego przemieszczającej się białej koszuli, i zasnęła. Obudziła się, gdy dotknął jej ramienia. Już wcześniej okrył ją kraciatym kocem, a teraz siedział obok niej na skraju kanapy.

- Lepiej się czujesz? Dopiero wpół do dwunastej. Pomyślałem, że może będziesz chciała wrócić do domu.

- Nie chcę wracać do domu.

- No dobrze, więc śpij tutaj. Nie ma co prawda pościeli, ale w minutę przygotuję ci posłanie. - Wyglądał na zmieszanego. Podeszedł do fotela, na którym okładką do góry leżała otwarta książka. Zamknął ją i położył na stole. Kominek niemal wygasł, tlił się w nim jedynie pomarańczowoczerwony żar. Robert obrócił się do Jenny i spojrzał na nią, jakby oczekiwał, że zmieniła zdanie, że rozbudziła się zupełnie i powie, że mimo wszystko pojedzie do siebie.

- Masz jakąś piżamę? - spytała.

- No pewnie. Będzie chyba za duża - odpowiedział.

Jenny wzięła prysznic, odruchowo uprała pończochy i powiesiła je na drążku zasłonki prysznicowej, wycisnęła trochę pasty na palec i wyczyściła zęby; miała ochotę użyć jednej z dwóch szczoteczek Roberta, ale zabrakło jej śmiałości. Wstyd z powodu wproszenia się ustąpił miejsca zuchwałości, z którą będzie musiała jakoś się uporać, gdy później o tym pomyśli i będzie czynić sobie wyrzuty. Kiedy wyszła z łazienki, Robert stał w piżamie i szlafroku i trzymał w ręku szklanekę z mlekiem.

- Pomyślałem, że chętnie się napijesz - powiedział.

- Nie, dzięki. Wolałabym kieliszek wina.

Poszedł do kuchni. Jenny stała i patrzyła, jak nalewa wino do kieliszków na wysokich nóżkach, z których pili podczas obiadu. W kuchni znowu panował porządek. Robert zdążył pozmywać naczynia. Postawiła kieliszek na stoliku do kawy, który przysunął bliżej kanapy, położyła się i wypila trochę wina. Robert dołożył drewna do kominka.

- Nie po to, żeby ci było ciepiej, ale żeby było przyjemniej - powiedział. - O której chcesz wstać?

- O wpół do ósmej.

- Świetnie. Ja też wstaję o tej porze. Dobranoc, Jenny.

- Dobranoc.

Stał z głową odchyloną lekko do tyłu i wpatrywał się w nią. Ręce trzymał w kieszeniach szlafrocka. Dla Jenny ta chwila była czymś wspaniałym, nieważne, czy ją pocałuje, czy nie, cudownie się czuła w łóżku w jego domu, w którym on także spał, i oddychała tym samym co on powietrzem. Zamknęła oczy. Leżała na brzuchu, z policzkiem przytulonym do dłoni. Chciała je ponownie otworzyć, żeby znowu spojrzeć na Roberta stojącego w szlafroku w niebieskie pasy. Kiedy uniosła powieki, wokół panowała ciemność, a Roberta już nie było, jedynie nikłe światło na górze potwierdzało jego obecność. Wydawało się jej, że minęło nie więcej niż pięć minut, czas jakby przestał istnieć. Może będzie czuwała, a może zaśnie. Obie perspektywy uznała za przyjemne. Nie była to noc ani dzień. Czuła jedynie, że istnieje. Jej stan najlepiej oddałoby słowo „wieczność”.

9

Kiedy Greg zorientował się o pierwszej w nocy, że samochodu Jenny nie ma przed jej domem, a w oknach jest ciemno, wrócił do mieszkania w Humbert Corners i zaczął do pierwszej czterdzieści, zanim pojechał tam znowu. Jej samochodu nadal nie było. Nie stał też przed domem Susie Escham. Przejeżdżał obok Susie o dziewiątej, a potem o północy. W pierwszej chwili pomyślał, że Jenny wyjechała do Nowego Jorku, żeby się spotkać z Robertem Foresterem. Albo gdzieś indziej na randkę z nim. A może postanowiła spędzić tę noc u Tesserów? O ile wiedział, nigdy u nich nie zostawała. Zadzwoił do Susie o drugiej. Zdawał sobie sprawę, że to bardzo nieodpowiednia pora na telefon, ale chciał, żeby wiedziała, jak się denerwuje. Susie świetnie rozumiała, co czuł. Trzymała jego stronę.

- Nie, nie widziałam jej - odpowiedziała szeptem, bo jej rodzina spała, jak mu wyjaśniła, a aparat telefoniczny stał w holu.

- Mam przeczucie, że jest z Robertem. Bo z kim innym? W końcu nawet w Langley ostatni seans filmowy kończy się o wpół do dwunastej. W tygodniu nigdy nie zostawała tak długo poza domem.

- Myślałam, że Robert wrócił do Nowego Jorku.

- Nowy Jork jest o dwie godziny drogi stąd, prawda?

- A może jest u Tesserów?

- Jakoś nie bardzo mam ochotę do nich dzwonić, żeby zapytać.

- Jak chcesz, to ja zadzwonię.

- Hmm, nie, dzięki, Susie - powiedział Greg znękany głosem.

- Boże, Greg, tak bardzo chciałabym ci pomóc. Naprawdę ją kochasz, prawda?

- Pewnie, że tak.

Trzy minuty później rozmawiał z byłą panią Forester w Nowym Jorku. Dowiedział się od niej, że Robert wciąż jest w Langley i nadal pracuje dla Langley Aeronautics.

- Powiedział mi, że wyjeżdża z miasta - mówił Greg. - Czy wspomniał, że ma zamiar zostać w Langley?

- Nie, ale domyślałem się, że został. Był w Nowym Jorku kilka tygodni temu, żeby podpisać papiery rozwodowe, ale ja się z nim nie widziałam. Mój adwokat nie wspominał, że Robert ma zamiar się przenieść - tłumaczyła ospale. Dodała też, że choć spała, jego telefon w ogóle jej nie przeszkadza.

- Może wiesz przypadkiem, gdzie teraz mieszka? Zmienił numer telefonu, a na centrali nie chcą mi podać nowego.

- Nie mam zielonego pojęcia i nic a nic mnie to nie obchodzi - odpowiedziała, wydmuchując dym z papierosa w słuchawkę. - Ale cała ta sytuacja mnie zainteresowała. Jest absolutnie typowa dla Roberta. Zawsze się w coś wpakuje. Ckliwy i podstępny romans.

- Mam nadzieję, że sprawy nie zaszły tak daleko. Kocham tę dziewczynę. Gdybym dorwał tego drania w swoje ręce... Znam Jenny i wiem, że się w nim po wariacku zadurzyła. Ona... nie bardzo wiem, jak to ująć... ona jest takim romantycznym dzieciakiem. Kiedy już się przy czymś uprze...

- To wariat. Lepiej, żeby na siebie uważała.

- Wiem, już to mówiłaś. I to właśnie mnie niepokoi. A teraz, kiedy on jest w
L a n g l e y ...

- Posłuchaj, Greg. Informuj mnie o przebiegu wypadków, dobrze? A ja z przyjemnością zrobię wszystko, żeby ci pomóc, w porządku?

Po tej rozmowie Greg poczuł się znacznie pewniej. Wiedział, że ma sojusznika w byłej pani Forester, najlepszym z możliwych źródeł informacji o Robertcie. Już za pierwszym razem, kiedy do niej zadzwonił, poprosiła, żeby zwracał się do niej per Nickie. Obecnie Nickie Jurgen. Ponownie wyszła za mąż. Greg miał przeczucie, że walka o odzyskanie Jenny będzie długa i ciężka, ale ją wygra - niezależnie od tego, czy tej nocy była z Foresterem, czy nie. Włączył radio, zapalił papierosa i ściągnął buty. Czy w Langley Aeronautics pracowali na nocną zmianę? Warto by sprawdzić. Znalazł numer w książce telefonicznej i zadzwonił. Nikt nie odbierał. Zadzwoni tam jutro rano i zapyta o adres Forestera. Jeśli mu nie podadzą, istniały też inne możliwości - na przykład pralnie, mleczarnie w Langley, gdzie mogą znać jego adres. Greg pomasował sobie wielką prawą pięść i wstał z kanapy. Solidny cios w szczękę mógłby wystarczająco zniechęcić Roberta Forestera. Greg, co musiał przyznać, sprawdził już wcześniej skuteczność tej metody w przypadku dwóch dziewczyn z Filadelfii, a przy okazji miał ogromną satysfakcję, że rozprawił się z rywalami.

Greg dostroił radio i zaczął się rozbierać. Miał za małą szafę i od dziesięciu miesięcy, od kiedy tu mieszkał, okropnie go to złościło. Za każdym razem, gdy wciskał do środka garnitur na wieszaku, myślał o tym, że za kilka tygodni zamieszka z Jenny w Trenton, a tam będą przestronne szafy w każdym pokoju i nawet w kuchni. Tej nocy wizja wspólnego domu trochę się zachwiała, a to go rozwścieczyło. Żeby taki gnojek, wariat jak Robert Forester aż tak psuł mu szyki! Niemal każdego dnia po zmroku przejeżdżał obok domu Jenny, żeby zobaczyć, czy stoi tam jej samochód, i stwierdził, że przez kilka wieczorów go nie było, ale

myślał, że pewnie odwiedzała Ritę albo Tesserów, bo wracała przed północą. Teraz nabierał przekonania, że Jenny spędza ten czas z Foresterem, a ostatnia noc mogła nie być pierwsza, bo nie kontrolował jej przecież codziennie.

Następnego ranka o wpół do dziesiątej z przydrożnej restauracji, odległej o sześćdziesiąt kilometrów od Langley, Greg zadzwonił do Langley Aeronautics. Kobieta, która odebrała telefon, powiedziała niemal lodowatym tonem, że nie ujawniają adresów pracowników. Pół godziny później zadzwonił z innego miejsca i chciał rozmawiać z Robertem Foresterem. Znalezienie go zabrało mniej więcej trzy minuty, bo Greg nie wiedział, w jakim dziale pracuje. W końcu usłyszał głos Roberta w słuchawce:

- Halo.

- Mówi Greg Wyncoop. Chciałbym się z tobą zobaczyć dziś po pracy.

- Po co?

- Powiem ci, jak się zobaczymy. O której kończysz?

- Wychodzę o piątej. Ale dzisiaj to nie bardzo mi na rękę.

- Nie zajmę ci dużo czasu. W takim razie do zobaczenia. O piątej, panie Forester?

- Dobrze, o piątej.

Greg zjawił się punktualnie, ale kiedy usiłował wjechać przez bramę, przez którą wyjeżdżały już samochody, zatrzymał go ochroniarz i zażądał okazania przepustki. Greg wyjaśnił, że ma spotkanie z jednym z pracowników. Poproszono go, by zaparkował w określonym miejscu, oznaczonym jako „Dostawy - nie dla personelu”, niedaleko głównego budynku. Greg uśmiechnął się lekko. Zarządzano tą firmą niczym ściśle tajną organizacją, a produkowano tu jedynie części do jakichś idiotycznych samolocików, należących do prywatnych obywateli. Wysiadł z wozu i chodził po parkingu, rozglądając się za Robertem. Przyglądał się też samochodom jadącym drogą, bo myślał, że może zobaczy niebieskiego volkswagena Jenny. Dlaczego dzisiejszy dzień był panu Foresterowi nie na rękę? Greg wyrzucił papierosa i dostrzegł zbliżającego się Roberta, który trzymał rulon papierów.

- Cześć - odezwał się Greg i obcesowo skinął głową.

- Dobry wieczór.

- Przypuszczam, że wiesz, po co chciałem się z tobą zobaczyć.

- Niezupenie - odpowiedział Robert.

- Byłeś z Jenny zeszłej nocy? A może powinienem spytać, czy wczoraj ona była z tobą?

Robert ujął rulon papieru w obie dłonie i lekko ścisnął.

- Radziłbym spytać Jenny.

- Pytam ciebie. Gdzie mieszkasz, panie Forester?

- Dlaczego chcesz wiedzieć?

- Istnieje wiele sposobów, żeby to sprawdzić. Powiedz mi po prostu, czy byłeś z Jenny zeszłej nocy?

- Moim zdaniem to sprawa Jenny i moja.

- Naprawdę? Nadal uważam się za jej narzeczonego, panie Forester. Zapomniałeś o tym? W styczniu wyjawiałeś mi swoje „intencje”, powiedziałeś, że nie masz wobec Jenny żadnych zamiarów. Czy to nadal prawda?

- Tak, to nadal prawda.

Jego opanowanie jeszcze bardziej zezłościło Grega. Nie było czymś naturalnym. Przypomniał sobie, co powiedziała mu była żona Roberta: on nie jest normalny.

- Forester, uważam, że nie ma takiej dziewczyny, dla której byłbyś odpowiednim towarzyszem, a na pewno nie dla mojej. Ostrzegam cię. Nie widuj się z nią i nie próbuj się widywać. Zrozumiano?

- Rozumiem - odpowiedział Robert, ale tak rzeczowo, że Greg nie odczuł żadnej satysfakcji.

- To ostrzeżenie. Złamię ci kark, jeśli ją tkniesz.

- W porządku - zgodził się Robert.

Greg obszedł go dookoła i oddalił się. Krew burzyła się w nim ze złości. Na twarzy Forestera nie zobaczył strachu, na co liczył, ale uważał, że i tak wygrał pierwszą rundę. Mówił krótko i na temat. Greg obrócił się na pięcie, tknięty nagłym pomysłem, i szukał wzrokiem ciemnego palta Roberta, ale nigdzie go nie dojrzał. Niech i tak będzie, powiedział przeciwieństwu wystarczająco dużo. Potem starał się odnaleźć jego samochód. Pamiętał, że jest to dwudrzwiowy kabriolet. Pomyślał, że mógłby za nim pojechać i dowiedzieć się, gdzie mieszka, ale było tu zbyt wiele samochodów, by cokolwiek dostrzec.

Greg pojechał prosto do Jenny. Kiedy się tam znalazł, dochodziła za kwadrans szósta. Jej samochodu nie było. Zwykle wracała do domu o piątej, piątej trzydzieści. Ruszył z powrotem do Langley. Wiedział, że tego wieczoru to raczej daremny trud, ale byłby zły na siebie, gdyby pojechał prosto do domu i przynajmniej nie spróbował. Zatrzymał się przy pralni chemicznej w Langley, która była jeszcze otwarta. Nikt nie znał tam adresu Forestera ani nawet jego nazwiska, ale zapytano go, po co jest mu potrzebny.

- Chodzi o paczkę - wymyślił Greg na poczekaniu. - Mam mu dostarczyć paczkę.

- Może na poczcie będą wiedzieli, ale poczta jest już zamknięta.

Podobnie było z drogerią, która także była już nieczynna. Prawie trzydzieści

kilometrów przejechanych na próżno. Z drogą powrotną to sześćdziesiąt. Nieważne. Jutro dowie się wszystkiego.

Następnego ranka Greg zjawił się na poczcie w Langley tuż po jej otwarciu. Powiedział, że ma dostarczyć paczkę Robertowi Foresterowi, i dostał adres: skrzynka pocztowa 94, R. D. 1, co oznaczało Gursetter Road, niewiele ponad trzy kilometry od miasta. Urzędnik wyjaśnił mu nawet, jak tam dojechać. Choć Greg był już spóźniony na umówione spotkanie, ruszył do domu Forestera, tylko po to, żeby go obejrzeć.

Patrzył uważnie na skrzynki pocztowe przy drodze i w końcu dostrzegł nazwisko Roberta napisane białą farbą na jednej z nich. Jego zdaniem budynek wyglądał głupio ze spadzistym dachem, tylko jakiś dziwak mógłby chcieć w czymś takim mieszkać, pomyślał. Poza tym dom sprawiał przygnębiające wrażenie. Greg zatrzymał samochód przy podjeździe, rozejrzał się wokół, wysiadł z wozu i zajrzał przez szybę w drzwiach do środka. Wnętrze przypominało go o gęsią skórkę. Przypominało loch albo komnatę w starym zamczysku. Podeszedł do okna, zajrzał przez nie do kuchni. Wtedy też zauważył coś na parapecie. Serce mocniej mu zabiło, czuł, jak narasta w nim złość. Stał tam jeden z kwiatów Jenny. Rozpoznał doniczkę i roślinę, nie mogło być mowy o pomyłce. Pamiętał, że nazywała ją językiem teściowej, a doniczka była z nakrapianego białego szkła. Greg wrócił do samochodu, z piskiem opon zawrócił na podjeździe i pomknął na spotkanie.

O szóstej po południu, punktualnie, bo zmusił się, by zaczekać do tej pory, ponownie przejechał obok domu Forestera. Stał tam samochód Jenny, podobnie jak wóz Roberta. Najwyraźniej spędzała tu noce. Z tego, co wiedział, mógł to być siódmy albo nawet dziesiąty raz. W domu paliły się światła. Oczami wyobraźni widział ich, jak się śmieją, rozmawiają, wspólnie przygotowują obiad, Jenny robi jedną ze swoich olbrzymich sałatek, a potem... Greg nie mógł znieść tego obrazu.

Zatrzymał się obok przydrożnego baru, odpowiednio ponurego - ponurego w jego odczuciu - z trzema klientami pochylonymi nad piwem, oglądającymi telewizję. Zamówił rum, ale nie dlatego, że zwracał uwagę na to, co pije, podobał mu się sam dźwięk tego słowa, bo pasował do jego nastroju. Rum. Wypił jednym haustem, zapłacił i zyskał trochę drobnych na telefon do Nowego Jorku.

Telefon Nickie Jurgen nie odpowiadał.

Greg pojechał do siebie i przez cały wieczór usiłował się dodzwonić do Nowego Jorku. Dopiero dziesięć minut po północy ktoś podniósł słuchawkę. Odezwał się męski głos, więc Greg poprosił do telefonu panią Jurgen.

- Cześć, Greg - przywitała go Nickie. - Jak leci?

- Niezbyt dobrze - odpowiedział, choć przyjazny ton jej głosu sprawił, że od razu poczuł się lepiej. - Przypuszczam... myślę... No cóż, jak to mówią, moje najgorsze domysły się potwierdziły.

- Czyli co?

- Moja... moja dziewczyna... to znaczy moja narzeczona... najwyraźniej spędza teraz noce z Robertem.

- Co takiego? Ale dlaczego? To okropne.

Nickie ogromnie mu współczuła. Poprosiła o adres Roberta i zapisała go. Radziła Gregowi, „by wziął Jenny w karby”, i ponownie ostrzegła, że Robert jest nieobliczalny i nie da się przewidzieć jego zachowania, może nawet być niebezpieczny.

- Jestem pewna, że niedługo to wszystko się skończy - mówiła - chyba że twoja narzeczona ma nierówno pod sufitem, w co wątpię. Każda dziewczyna szybko się zorientuje, czego może się spodziewać po Robertcie.

- Ale nie myślisz chyba, że on zrobi jej krzywdę? - zapytał Greg, nagle zaniepokojony.

- Trudno przewidzieć.

- Mówiłem mu, żeby trzymał łapy z daleka od niej. Rozmawiałem z nim kilka dni temu. A potem, tego samego wieczoru, ona się z nim widziała.

- Rozumiem, co czujesz. Robert zawsze tak postępuje, wdaje się w romans z jakąś kobietą, najchętniej młodą i niewinną, a kiedy mu się znudzi, rzuca ją, co zdarza się zwykle po sześciu tygodniach albo wcześniej. Po raz pierwszy jednak mam okazję porozmawiać z jednym z nieszczęśników...

- Zberek i tyle - wymamrotał Greg. - Jutro mam zamiar zobaczyć się z Jenny i porozmawiać z nią. Od jakiegoś czasu jest w takim stanie, że nie chce mnie oglądać, a ja nie chciałem jej niepokoić, ale w tej sytuacji nie mam wyboru.

- Zabierz ją z e s o b ą do domu.

- Tak, racja. - Greg usiłował się roześmiać. - Szkoda tylko, że nie mam żadnego pomysłu, jak wykurzyć tego drania z miasta. Jak bardzo jest obłąkany? Czy leczył się kiedyś psychiatrycznie albo coś w tym rodzaju?

- Czy się leczył? Pewnie. Co najmniej dwa razy. On należy do tych, którzy nie są aż tak szaleni, żeby ich zamknąć, więc łążą, gdzie chcą, i mieszają ludziom w życiu. Dlaczego go nie postraszysz, że mu solidnie dołożysz? To okropny tchórz, a w twoim głosie słychać, że raczej nie jesteś bojaźliwy.

- Nie mylisz się. Dobra, zastanowię się nad tym, ale najpierw muszę zobaczyć się z Jenny.

- Powodzenia, Greg.

Greg zaplanował, że spotka się z Jenny następnego ranka, w sobotę, a jeśli nie zastanie jej w domu, to spróbuje po południu. Ale nie wróciła przez cały dzień i nie było jej też w sobotę wieczorem. Samochód Jenny stał zaparkowany przed domem Roberta. Można było niemal pomyśleć, że się do niego wprowadziła. Greg nie potrafił jednak zdobyć się na to, by zapukać i wywołać ją stamtąd. Przez całą niedzielę także nie pojawiła się u siebie w domu. Nawet jeśli przyjechała w poniedziałek rano, żeby przebrać się przed pracą albo podlać kwiaty, musiał to przegapić.

10

Kiedy tylko w poniedziałek Jenny otworzyła drzwi, Robert wiedział, że coś się stało i że ma to związek z Gregiem.

- Właśnie widziałam się z Gregiem - powiedziała. Niedbale położyła książkę i papierową torbę na krześle przy drzwiach.

Robert pomógł jej zdjąć palto i odwiesił je do szafy.

- U siebie w domu? - Wiedział, że po pracy wpadła tam po jakąś rzecz, której potrzebowała.

- Przyszedł o wpół do szóstej. Znowu dzwonił do twojej żony. Mówił, że mu powiedziała, że jesteś psychopata.

- Jenny, i co ja mam na to poradzić? - jęknął. - Ona nie jest już moją żoną, nie zapominaj o tym.

- Dlaczego nie zostawiaj nas w spokoju? - zapytała Jenny, jakby spodziewała się po nim odpowiedzi.

- Co jeszcze Greg ci mówił?

Jenny usiadła na czerwonej kanapie, skuliła ramiona. Bezwładne dłonie położyła na udach.

- Powiedział, że ci się znudzę za parę tygodni, bo tak właśnie przedstawiła to twoja żona. Boże, czy prosić o trochę p r y w a t n o ś c i to tak strasznie dużo?

Robert poszedł do kuchni, wysypał resztę lodu z foremki do kubelka na lód i wrócił z nim do salonu.

- No cóż, Jenny, spędziłaś tu cztery czy pięć nocy. Jak uważasz, co Greg o tym myśli? Czy to, że spaliśmy jak para mnichów, ja na górze, ty na dole, ma jakieś znaczenie?

- Węszył, żeby odkryć miejsce, gdzie stoi mój samochód! Co za pomysł! Zabawił się w detektywa, żeby się dowiedzieć, gdzie mieszkasz. Zapytał o adres na pocztę.

- Ludzie wężą, tak już jest i nic na to nie poradzisz. - Robert wziął papierosa z paczki leżącej na stoliku do kawy.

- Ale przecież to nie ich sprawa?

- Domyślam się, że powiedział też Nickie, że nocowałaś tu kilka razy? - Robert spojrzał na nią.

- Och, jasne - odpowiedziała Jenny.

Patrzyła na niego zdumiona, a on wiedział, że to zdumienie bierze się stąd, że potrafiła wyczytać wszystko z jego twarzy.

- Nie, to nie i c h sprawa - dodał. - A już na pewno nie Nickie.

Jenny wstała i sięgnęła po papierosa. Robert podał jej ogień. Marszcząc czoło, wpatrywała się w podłogę. Przypominała dziecko, któremu zagrożono, że zostanie pozbawione jakiejś niewinnej i nieszkodliwej według niego przyjemności. W piątkowy wieczór, kiedy zjedli drugi wspólny obiad, powiedziała: „Czy mogę spędzić z tobą weekend, Robercie? Ugotuję coś i nie będę ci przeszkadzała, jeśli zechcesz pracować”. Wiedział, że gdyby odmówił, sobota i niedziela byłyby dla niej pośępnymi, wlokącymi się w nieskończoność dniami. Nie przychodziła mu do głowy żadna sensowna wymówka, pozwalająca powiedzieć „nie”. Był wolnym człowiekiem, więc jeśliby zaprosił jakąś dziewczynę na weekend, to cóż w tym złego? Pogróżki Grega, o których nie powiedział Jenny, budziły w nim niepokój i czuł, że gdyby odmówił spełnienia jej prośby, byłoby to równoznaczne z podporządkowaniem się jego woli. Niemniej w czasie weekendu Robert raz czy dwa żałował, że nie ma kilku godzin dla siebie, ale nie dlatego, że Jenny mu przeszkadzała, kiedy pracował, ale ponieważ przewidywał, że będzie coraz bardziej skupiała na nim uwagę, bo należy do tego typu kobiet, które żyją dla ukochanego mężczyzny - wtedy był zły na siebie, że pozwolił jej zostać na weekend. Miał do siebie pretensję, że dzisiaj znowu zgodził się, żeby przyszła na obiad, ponieważ potraktowała to jak coś oczywistego. Przypomniał sobie sobotni wieczór, kiedy leżała na czerwonej kanapie, on siedział w fotelu, ogień na kominku dogasał, a światło było wyłączone na jej prośbę. Patrząc w sufit, powiedziała:

- Jestem taka szczęśliwa, że mogłabym umrzeć. - A potem dodała: - Myślisz, że kiedyś mnie pokochasz, Robercie?

Już teraz cię kocham, pomyślał. Ale nie była to miłość, jaką ludzie zwykle odczuwają. Ani trochę nie przypominała uczucia, jakie łączyło go z Nickie.

- Nie wiem, Jenny - odpowiedział. - Może i pokocham. Nie chcę po prostu niczego obiecywać.

Milczeli przez kilka sekund.

- Boisz się obietnic? Słów? - zapytała.

- Tak. Chociaż nie mają żadnego wpływu na nasze uczucia, boję się obietnic, których się nie dotrzymuje. Kiedy ludzie się kochają, słowa nie sprawiają, że ich miłość stanie się silniejsza, ani niczego nie zmieniają. - Myślał o Nickie, o związku zerwanym mimo słów i przyrzeczeń. - Gdybym cię teraz kochał, nie powiedziałbym ci tego. Nie obiecuję ci, że kiedyś cię pokocham. Ale jeśli kiedykolwiek poczuję coś do ciebie, nie wypowiem tego głośno, bo to w żaden sposób nie zmieni faktów. Coś się zdarza albo nie.

- Kocham cię, Robercie. - Jenny leżała nieruchomo. - I nic więcej się dla mnie nie liczy. Chciałabym jedynie wiedzieć, co do mnie czujesz.

- No cóż, lubię być z tobą. Czuję się przy tobie swobodnie, nawet kiedy pracuję. Dzięki tobie jestem szczęśliwszy. - Nie potrafił wyznać więcej.

- Co jeszcze?

- Jenny, nie możemy tego ciągnąć w ten sposób, nie możesz zostawać tu na noc, bo ludzie będą gadać. Nawet gdyby nie było Grega, to na przykład tacy państwo Kolbe, mieszkający po sąsiedzku, niedługo wezmą nas na języki. Wiedzą, że nie jestem żonaty. Zauważą twój samochód, szybko się dowiedzą, że jesteś śliczną dwudziestotrzyletnią dziewczyną. Poza tym masz przyjaciół, jak choćby Tesserowie i tak dalej. Kiedy raz zaczną się komentarze... Nie powinniśmy widywać się co dzień, Jenny. Z Gregiem też nie spotykałaś się codziennie, prawda?

- W Gregu nie byłam zakochana - odpowiedziała Jenny stanowczym tonem. Popiół z papierosa spadł jej na podłogę, zauważyła to, pochyliła się i zgasiła niedopałek w popielniczce stojącej na stoliku do kawy.

Robert popatrzył na jej smukłą postać w czarnej garsonce z krótkim zakietem. Nawet w butach na płaskim obcasie, które nosiła, bo uważała się za zbyt wysoką, miała mnóstwo wdzięku, można było nawet nazwać ją piękną. W piątek po raz pierwszy widział ją w tym ubraniu. Powiedziała mu wtedy, że to stare ciuchy - kupione przed czterema laty - ale jemu się podobały, więc włożyła je ponownie.

- Dobrze, nie muszę cię widywać co wieczór - zgodziła się ze smutkiem. - I nie będę przychodziła, kiedy będziesz potrzebował trochę samotności. Ale to nie z powodu Grega

przestaniemy się tak często widywać, lecz dlatego, że oboje tak postanowiliśmy. Jeśli na przykład wolałbyś, żebym jutro nie przychodziła, nie przyjdę. Zobaczymy się w środę.

- Dobrze. - Robert się uśmiechnął.

Nie odwzajemniła uśmiechu.

- Masz ochotę iść dziś na obiad do restauracji? - zapytał.

- Ugotowałam zupę. Nie pamiętasz? - Podeszła do torby stojącej na krześle.

Zapomniał o zupie. Pojechała wczoraj do domu, żeby ją przygotować, bo u siebie miała wszystkie potrzebne składniki, potem wróciła na noc do niego, a dziś po pracy znowu pojechała do domu i dokończyła gotowanie. A teraz niemal uroczyście zabierała się w kuchni do szykowania obiadu - zupy z porów i ziemniaków oraz ogromnej salaterki sałaty - jakby byli małżeństwem co najmniej od roku.

Robert wziął z biurka kartkę pocztową.

- Chcesz zobaczyć kciukossacza żółtobrzuszka? - Przeszedł do kuchni.

- Co takiego? - Jej zmarszczone czoło wygładziło się. Wzięła od niego kartkę, spojrzała na nią i uśmiechnęła się bardzo szeroko. - Gdzie go znalazłeś?

- Przez cały czas przesiaduje u mnie na parapecie. A tu następny, suszarek. Pokrzykuje: „A-jiiii, a-jiiii”, jak zardzewiałe kółko suszarki do bielizny.

Robert narysował wcześniej dwa ptaki uwijające się przy sznurze do bielizny, pełnym maleńkich spodenek i koszulek.

- Znam tego ptaszka. Słyszałam go - odpowiedziała Jenny. - Ale nigdy nie widziałam go w naturze.

Roześmiał się. Jenny traktowała narysowane ptaki, jakby istniały naprawdę.

- Masz ich więcej? - zapytała.

- Nie, ale narysuję. Czy zupa powinna się gotować?

- Oooooch, nie! - Wyłączyła kuchenkę i odsunęła garnek z palnika. - Chyba wszystko gotowe, jeszcze tylko nakryję do stołu.

- Ja nakryję.

Jenny zjadła trzy porcje sałaty. Robert zostawił sobie miejsce na zupę i kilka kromek razowego chleba z masłem. Potem wypili przy kominku kawę i brandy. Jenny siedziała w fotelu wygodnie odchyłona do tyłu, cicha i zamyślona, a Robert wpatrywał się w jej szczupłą twarz, okoloną ciemnością - czernią garsonki i cieniami wypełniającymi pokój. Była szczęśliwa czy smutna? Robert wstał pod wpływem impulsu, dotknął lekko jej ramienia i pocałował ją w policzek.

- Przepraszam, że dziś zachowałem się jak ponurak.

Spojrzała na niego poważnymi oczami.

- Nie jesteś ponurakiem. To raczej ja.

Nie poruszyła się. Jej dłonie nie przesunęły się z poręczy fotela. Może to i lepiej, pomyślał Robert, bo zaczynał już żałować, że ją pocałował, choć w taki sposób równie dobrze mógł ją pocałować brat. Ale nie spuszczała z niego wzroku. Rzucił papierosa w ogień i zaczął sprzątać ze stołu. Potem napełnił zlew wodą, żeby zmyć naczynia. Jenny odsunęła go gestem i przepłoszyła uśmiechem, założyła fartuch i sama pozmywała, bardzo starannie, nie mocząc przy tym mankietów garsonki. Kiedy odstawiała talerze na suszarkę, Robert je wycierał. Był zadowolony, niczym się nie martwił. Greg wydawał mu się zupełnie nieważny i trochę głupawy. Nabierał znaczenia tylko wtedy, gdy Jenny przypisywała mu jakieś znaczenie, a ona chciała po prostu pozbyć się go ze swego życia i na tym koniec. W rzeczywistości przecież oboje byli wolni, on i Jenny. Patrzył na jej miękkie włosy okalające twarz. Niektóre wysunęły się spod spinki za uchem. Znowu miał ochotę pocałować ją w policzek. Jenny wycierała zlew. Potem się wyprostowała, zdjęła fartuch, położyła go na blacie i otworzyła ramiona przed Robertem. Ich usta się dotknęły, przywarły do siebie, a zetknięcie się koniuszków języków odczuła jak ciepłe i łagodne porażenie prądem. Obejmował ją ciasno - jej obce mu, gorące ciało, wyższe od ciała Nickie i smuklejsze, pachnące innymi perfumami. Była pierwszą dziewczyną, którą przytulał od rozstania z Nickie. Ale zaraz potem się odsunął i poszedł do salonu. Jenny została w kuchni. Czuł na sobie jej spojrzenie. Przez minutę stał i wpatrywał się w ogień na kominku. Później dość niespodziewanie podbiegł do gramofonu i nastawił płytę, pierwszą, jaką wziął do ręki.

Nie chciał, żeby Jenny spała u niego, ale wiedział, że dla niej zostanie na noc było czymś oczywistym, dlatego nie potrafiłby jej powiedzieć: „Jenny, w związku z tym, o czym dzisiaj rozmawialiśmy...” Co gorsza, mógłby z nią spać, mógłby zaprosić ją do sypialni na górze, a ona przyszlaby do niego bez słowa. To wszystko było takie proste, naturalne, wyczekane przez nich oboje. I prawdopodobnie nieuczciwe. Gdyby tej nocy do tego doszło, niewykluczone, że nigdy więcej nie chciałby tego powtórzyć. Gdyby stało się to dzisiaj, mogłaby się rozczarować - jakie fantazje zrodziły się już w jej głowie, jakie ideały nie do zrealizowania? - a może zaczęłaby oczekiwać, że potem będą to robić „noc w noc”, jak się wyraziła w sobotę, gdy mówiła o ich wieczornych spotkaniach. Robert nie chciał tego zaczynać. Jutro miało jej tu nie być i to stanie się początkiem odwracania czegoś, co nigdy nie powinno było się rozpocząć.

Stał i patrzył na nią, gdy leżała w pościeli na czerwonej kanapie. Ręce trzymał w kieszeniach szlafroka, podobnie jak pierwszej nocy, którą tu spędziła. Jenny wzięła prysznic i

położyła się do łóżka niczym posłuszne dziecko, teraz jednak wpatrywała się w niego pytającym, czujnym wzrokiem.

- Dobranoc, Jenny.

Uśmiechnęła się powoli, jakby powiedział coś wesołego.

- Bez buziaka w czółko? Bez buziaka w policzek?

Roześmiał się i odszedł w poszukiwaniu papierosa.

- Bez. - Znalazł go, zapalił i zaczął wchodzić po schodach. Przystanął jednak, obrócił się do niej i po raz ostatni powiedział: - Dobranoc... - Zanim jednak dodał jej imię, Jenny weszła mu w słowo.

- Chcę... - zaczęła. Nastąpiła długa cisza. Trzymała ramiona nad głową, miała zamknięte oczy i widać było, jakby ją coś bolało. A potem uniosła powieki i powiedziała: - Jestem taka szczęśliwa, Robercie. Jak mogłabym ci się odwdziaczyć?

- Nic nie przychodzi mi do głowy, ale dziękuję.

- Nic? Nawet zrobienie swetra na drutach?

Robert pokiwał głową.

- Właściwie jest coś takiego. Jeśli znasz jakiegoś lekarza, może udałoby ci się załatwić mi proszki nasenne, najlepiej seconal.

- Nie ma sprawy. Bez problemu.

- Jestem za leniwy, by chodzić po przychodniach. Dzięki, Jenny. A teraz już dobranoc.

- Dobranoc.

Wszedł po schodach na górę, położył się do łóżka i jednocześnie zgasił lampę. U Jenny lampa paliła się jeszcze przez pół godziny. Robert zażył dwie pastylki łagodnego środka uspokajającego, który kupił w aptece bez recepty, ale równie dobrze mogłoby to być zwykłe placebo. A tej akurat nocy potrzebował czegoś znacznie silniejszego.

11

Robert spędził wtorkowy wieczór nad rysunkami technicznymi cylindrycznej części - jak dotąd bez nazwy - która byłaby wzorcem mogącym służyć za podstawę do produkcji dla Langley Aeronautics. W zakładach istniała forma odlewnicza podobnego, również cylindrycznego detalu, jednego ze standardowych elementów transmisyjnych, montowanych

w każdym helikopterze. Ponieważ jednak formy były drogie, Jaffe i Gerard, szefowie Roberta, a także prezes zakładów chcieli, by zaprojektował tę nową część tak, aby mogła być produkowana w starych formach, które były własnością firmy, mimo że oba te cylindryczne elementy pełniły zupełnie różne funkcje. Rozwiązanie Roberta - jeśli udałoby się wdrożyć je do produkcji - wyeliminowałoby konieczność odlewania tych dwóch detali i stwarzało możliwość połączenia trzech części w jedną, dzięki czemu osiągnięto by spore oszczędności na dwóch formach, choć taka perspektywa nie robiła zbyt wielkiego wrażenia na Gerardzie. Zarząd nie miał zamiaru wyłożyć pieniędzy na nowy detale po to tylko, żeby go wypróbować. A może po prostu sprawdzali jego pomysłowość i chcieli się przekonać, czy sobie z tym poradzi. Ich postawa wobec niego była trochę denerwująca. Niemniej zadanie stało się dla niego wyzwaniem, zagadką albo grą i wierzył, że jeśli się przyłoży, znajdzie rozwiązanie. Raz po raz porównywał rysunki ze schematami istniejących form i przekonywał się, że błądzi. Nieodmiennie popadał potem w niemoc twórczą.

Czy to w ogóle miało jakieś znaczenie? Czy naprawdę zależało mu na unowocześnieniu helikopterów Langley Aeronautics? Czy może chciał w ten sposób dostać podwyżkę? Nie. Chodziło o coś całkiem innego, na co zwrócił uwagę, kiedy któregoś dnia przyjrzał się lepiej jednemu z podzespołów helikoptera. „N i e m a s z z a g r o s z a m b i c j i ” - słyszał w głowie głos Nickie. Bez wątplenia miała rację. Przez przypadek zajął się projektowaniem przemysłowym na ostatnim roku w college'u. Studiował inżynierię i jego specjalnością mogło być cokolwiek spoza inżynierii przemysłowej. Nic nie pociągało go w szczególny sposób. Robert przypuszczał, że to rodzaj defektu, jakaś niedoskonałość. Może któregoś dnia coś go wyjątkowo zainteresuje, stanie się jego pasją, a wtedy mógłby się uczyć choćby przez wiele lat, by osiągnąć w tym mistrzostwo. Przydarzało się to przecież innym ludziom, którzy swoje życiowe powołanie, albo przynajmniej bliską im specjalizację, odkrywali w wieku około trzydziestu lat. Kiedy zadzwonił telefon, uniósł głowę, zamrugał oczami i spojrzał na zegarek. Dziesiąta trzydzieści pięć. Pomyślał, że to może Jenny chce życzyć mu dobrej nocy. Nie rozmawiał z nią przez całą wieczór.

- Halo? - powiedział do słuchawki.

- Ukrywasz swój numer telefonu, kochanie, prawda? - usłyszał głos Nickie.

- Aha. Jak go zdobyłaś?

- Och, dostałam od Grega. Powiedział telefonistce, że ma dla ciebie bardzo ważną wiadomość o chorej matence. - Nickie roześmiała się. - Po co zastrzeżać numer, skoro to i tak nic nie daje? Za kogo się uważasz, za jakiegoś VIP-a czy kogoś w tym rodzaju?

- Nickie, pracuję. Po co dzwonicz?

- Dzwonię, żeby dać ci radę - jej głos przypominał syczenie. - Pan Wyncoop jest z ciebie niezadowolony i chyba nie winisz go za to. Ukradłeś mu dziewczynę, narzeczoną. Słyszałam, że jest dostatecznie młoda, by być twoją córką.

- Och, Nickie, daj sobie spokój.

- Mówię ci to dla twojego dobra - przerwała mu stanowczym tonem, w którym słychać było złość. - Pan Wyncoop to człowiek czynu. Najlepiej będzie, jeśli odczepisz się od tej dziewczyny, zanim będzie za późno. Rozumiem, że zacząłeś z nią sypiać. Dobry Boże! - wykrzyknęła z oburzeniem.

- Posłuchaj, Nickie. Jesteśmy rozwiedzeni, zapomniałaś? To, co robię, to wyłącznie moja sprawa i nic ci...

- Po prostu dobrze ci radzę. Zostaw tę dziewczynę, nim będzie za późno.

- Co masz na myśli, mówiąc „za późno”?

Roześmiała się.

- Mam na myśli, że kiedy to odkryjesz, prawdopodobnie już będzie za późno. Chwytasz? Mam na myśli twoje zdrowie, lepiej na nie uważaj.

Teraz to Robert się roześmiał.

- Bardzo ciekawe - powiedział.

- Och, ty debilu. Jesteś głupi jak but.

- Dobranoc, Nickie. - Czekał na kolejne wyzwiska, ale ponieważ milczała, odłożył słuchawkę.

Wrócił do biurka i usiadł na krześle, ale nie potrafił się skupić na rysunkach. Niech mnie szlag trafi, jeśli jej pozwolę zakłócać mi spokój, pomyślał. Nawet gdyby nie było Jenny, to padłoby na inną dziewczynę, każdą, którą by się zainteresował. Nickie dowiedziałaby się w jakiś sposób, a potem znalazła czas i energię, żeby wisieć na telefonie i przeszkadzać mu w podtrzymywaniu znajomości. Rzucił ołówek na blat i wstał.

Myślał o tym przez cały czas, nawet gdy już położył się do łóżka. Oczywiście, to jasne, że Nickie dostała numer od Grega, więc niepotrzebnie pytał, skąd go wzięła. Zaskakujące było jedynie to, że sama się o niego nie postarała wiele tygodni wcześniej, w taki sam sposób, w jaki zdobyła jego numer w „Apartamentach Camelot”. Szkoda, że nowe małżeństwo nie absorbuje jej trochę bardziej, nie zapewnia większego zadowolenia. Wyszła za Ralpa mniej więcej przed miesiącem. Którejś niedzieli Robert przeczytał w „New York Timesie” zapowiedź tego wydarzenia. Zapamiętał, że ceremonia ślubna miała się odbyć w rodzinnej kaplicy Ralpa, gdzieś na północy stanu Nowy Jork, i uznał za dość niezwykle to, że człowiek pokroju Jurgena, pracujący w branży reklamowej, wybiera w sumie

sentymentalne miejsce na ślub. Ale przecież tak naprawdę nie znał Ralpa. Kiedy dwa czy trzy razy wpadli na siebie w nowojorskim mieszkaniu Roberta i Nickie albo wtedy, gdy Robert przyjmował telefoniczną wiadomość od niego dla Nickie, byli wobec siebie uprzejmi, i nic więcej.

Telefon zadzwonił ponownie. Robert wstał z łóżka i odebrał go ze zmarszczonym czołem.

- Halo, Robert? - To była Jenny. - Tak sobie myślę, czy nie spotkałbyś się z moimi przyjaciółmi Tesserami w środę? Chciałabym zaprosić ich na obiad. To mili ludzie, łatwo nawiązują kontakt. Przyjdiesz? - mówiła łagodnie i płynnie, jakby tych słów nauczyła się wcześniej na pamięć.

- Jenny, nie jestem pewny, czy będę wolny w środę. - Robert mocno zacisnął powieki.
- Nie rozpracowałem jeszcze tego cylindrycznego detalu. Chyba lepiej będzie, jeśli ten tydzień spędzę w domu.

- To może w piątek? Dla nich to nawet lepiej, wiem, bo...

- Dobrze, niech będzie w piątek.

- Koło siódmej? Domyślam się, że jesteś w połowie roboty, więc nie będę cię długo trzymać. Dobranoc, Robertcie.

W piątek poznał Tesserów. Dick Tesser okazał się wysokim, szczupłym facetem tuż po trzydziestce, o czarnych włosach i czarnych sumiastych wąsach. Pracował jako przedsiębiorca budowlany. Jego żona Naomi była drobną blondynką, wesołą i gadatliwą. Najwyraźniej poczuwali się do rodzicielskiej opieki nad Jenny. Robert miał wrażenie, że go polubili i „zaaprobowali” jako odpowiedniego mężczyznę dla Jenny, co zapewne wynikało z jej wcześniejszych opowieści o nim, bo Robert mówił niewiele przez cały wieczór. Robert i Dick wypytali się uprzejmie o pracę, a potem rozmowa zeszła na rozsadzony lodem wodociąg Tesserów i trójkę ich dzieci.

- Greg dzwonił do nas kilka razy, od kiedy ostatnio cię widzieliśmy - powiedział Dick Tesser do Jenny, kiedy siedzieli już w salonie przy kawie.

- Naprawdę? - spytała Jenny.

- Dick, czy musimy poruszać tę sprawę? - wtrąciła się Naomi.

- Tak, a poza tym to bardzo odpowiednia chwila, biorąc pod uwagę, że poznaliśmy dzisiaj pana Forestera. Pan Forester, tak właśnie Greg zawsze o tobie mówi - dodał Dick poważnym tonem, zwracając się do Roberta. Był już trochę pijany.

- Greg jest okropnie zadziorny - stwierdziła Naomi i wzdrygnęła się, a potem posłała uśmiech Robertowi. - Łatwo go zrozumieć.

- Strasznie mi przykro, że w a s niepokoi - powiedziała Jenny.

- Chce, żebyśmy użyli swoich wpływów - Dick mówił dalej. - Chyba myśli, że jesteś marionetką ze sznurkami, które trzymamy w rękach. Dzwonił trzy albo cztery razy, prawda, kwiatuszku?

- Tak, ale nie ma sensu zawracać sobie tym głowy, bo nie warto. - Naomi popatrzyła na męża zwięzonymi oczami. Dawała mu sygnał, żeby się zamknął, ale on go przeoczył.

- Nie lubię ludzi - kontynuował niezrażony Dick - którzy chcą się pozbyć konkurencji, oczerniając czyjś charakter. Chciałbym wiedzieć, co takiego wspaniałego jest w charakterze Grega? To zwykły młody człowiek, mający przeciętne zajęcie. Dam głowę, że jest zazdrosny. Może dlatego, że pan Forester ma lepszą pracę.

- Och, bardzo wątpię, że to z powodu pracy! - Naomi roześmiała się.

Robert wpatrywał się w podłogę i marzył o chwili, kiedy zmienią temat. Jenny wyglądała na równie skrępowaną jak on.

- To wszystko przeze mnie, niepotrzebnie obiecywałam Gregowi cokolwiek - odezwała się Jenny. - Żałuję, że nie byłam mądrzejsza.

- A kto jest mądry przed szkodą, kochanie? - powiedziała Naomi. - Wszyscy popełniamy błędy.

- Greg powinien poderwać sobie inną dziewczynę, może jakąś sprzedawczynię z drogerii...

- Och, daj spokój, Dick - przerwała mu Naomi. - Pamiętam, że kiedy Jenny go lubiła, uważałeś go za przyzwoitego człowieka, dlatego przestań teraz nim poniewierać.

- Dobrze, dobrze, ale wiesz przecież, co mi powiedział i że wcale mi się to nie spodobało, to wszystko. - Dick wpatrywał się w żonę z uporem pijaka.

- Co takiego powiedział? - dopytywała się Jenny.

- Dick, czy musimy o tym mówić? - na w pół stwierdziła, na w pół spytała Naomi.

- Opowiedział historyjkę o podglądaczu kręcącym się koło twojego domu - wyjaśnił Dick. - Mówił o dziwnych odgłosach, które słyszałaś na zewnątrz i w środku. A potem, kiedy poznałaś pana Forestera, hałasy się skończyły. Wniosek Grega: pan Forester był tym podglądaczem. - Dick zrobił nachmurzoną minę, czekając na efekt, jaki wywrą jego słowa.

Skutkiem była jednak tylko trzysiekundowa cisza, a potem Jenny powiedziała:

- To nieprawda.

- Wcale nie pomyśleliśmy, że to prawda, kochanie - wyjaśniła Naomi.

Dick spojrzał na Roberta.

- Powoływał się przy tym często na rozmowy z byłą żoną pana Forestera z Nowego

Jorku - Dick zwracał się teraz do Jenny - która twierdziła też podobno, że miejsce Roberta jest w domu wariatów.

Filizanka Jenny zadzwoniła na spodeczku. Niemal ją upuściła. Podniosła się.

- To zwykle kłamstwo, Dick, więc po co je powtarzasz?

Dick patrzył na nią zaskoczony.

- W porządku, Jenny. Przepraszam. Nie chciałem cię zdenerwować. Powiedziałem to bo... bo...

- Czy nie powiedziałeś już dość? - Naomi weszła mu w słowo.

Ale Robert zorientował się, że ona także była zaskoczona reakcją Jenny. Usłyszał, jak Jenny głośno wciąga powietrze, jakby za chwilę miała się rozplakać.

- Bo uznałem - kontynuował Dick - że ty i twój przyjaciel Robert powinniście to wiedzieć. To nieprzyjemna historia, Jenny, i nie powinna krążyć w społeczności tak małej i rozplotkowanej jak nasza. Tak, to dobre określenie. A po drugie, bo chciałem dodać, że jedno spojrzenie na pana Forestera wystarcza mi, żeby stwierdzić, że nie jest człowiekiem, który mógłby kogoś podglądać. Ani też nie wygląda na kandydata do domu wariatów.

- Moim zdaniem powinieneś zachować swoje wrażenia dla siebie - odezwała się jego żona. - Rzeczy oczywistych nie trzeba mówić głośno, zgodzisz się chyba ze mną, kochanie?

Dick Tesser popatrzył na żonę i pokazał zęby w wymuszonym uśmiechu.

- Tak, tak - odpowiedział i usiadł z powrotem.

- To już trzecia dziewczyna, którą Greg traci, Robertcie - mówiła Naomi. - Stąd łatwo zrozumieć, dlaczego cierpi. Znałam jedną z nich, z Filadelfii. Powiedziała, że tak naprawdę nigdy niczego Gregowi nie obiecywała, a on się wściekł, kiedy wyszła za innego.

Robert zerknął na nią, a potem utkwiał wzrok w filizance z kawą.

- Przepraszam za to całe zamieszanie - wymamrotał. Przez dłuższą chwilę czuł na sobie spojrzenie Naomi i Dicka. Czego się po nim spodziewali? Uśmiechu? Dowcipnego komentarza? Zastanawiał się, czy Jenny w przypiływie egzaltacji i entuzjazmu nie powiedziała Tesserom, że się z nim zaręczyła, albo czegoś podobnego?

- Czy ktoś chce jeszcze kawy? - zapytała Jenny w końcu.

Tesserowie zostali jeszcze tylko dwadzieścia minut, ale wieczór zakończył się już w zupełnie innym nastroju. Opowiadali zabawne historyjki o jakimś duńskim farmerze z Pensylwanii, mieszkającym teraz niedaleko nich, żyjącym wyłącznie z handlu wymiennego. Robert miał wrażenie, że wyszli wcześniej, żeby dać Jenny i jemu chwilę na rozmowę w cztery oczy.

- Mam dla ciebie tabletki nasenne. Seconal - odezwała się Jenny. - Są na górze.

Przyniosę je.

Robert przechadzał się po salonie i palił papierosa. Na półce pod zdjęciem Jenny zauważył robótkę z białej wełny ze sterczącymi drutami. Widać było warkoczowy ścieg. Jenny spytała przy okazji, czy może mu zrobić sweter. Robert uśmiechnął się, wzruszony zajęciem, które musiało pochłaniać Jenny wiele godzin, kiedy nie była u niego.

- Proszę, oto one. Dziewięćmiligramowe. Nie są za mocne?

- To chyba najmocniejsze. - Uśmiechnął się do niej. - Tak myślę. Mogę brać po pół. - Wziął od niej buteleczkę z czerwonymi pastylkami. - Cieszę się, że je załatwiłaś. Wielkie dzięki, Jenny. Zwrócę ci pieniądze. Ile?

- Nie ma o czym mówić.

Spodziewał się tego. Wyjął portfel z kieszeni.

- Będę się upierał. Masz piątkę. Czy tyle kosztowały?

- Och, nie pięć dolarów. Nie wezmę ich.

Podszedł do niej z banknotem, udał, że kładzie pieniądze na jej dłoń, która nie była wyciągnięta, ona odruchowo ją wysunęła, chwyciła go za rękę, trzymała przez minutę, a potem Robert cofnął rękę. Zawstydzony, położył banknot na stoliku do kawy.

- Co myślisz o Tesserach?

- Moim zdaniem są bardzo mili.

- Zawsze trochę się przytyskają, kiedy Dick sobie popije. Polubili cię. Oboje mi to powiedzieli, kiedy nie słyszałeś.

Nic na to nie odpowiedział.

- Możemy ich czasem zaprosić do siebie?

- Jasne. Dlaczego nie?

- Nie usiądziesz?

- Chyba powinienem już jechać, Jenny. Obiad udał się wspaniale.

Jego wyświechtany komplement sprawił jej przyjemność.

- To nowy przepis na filety cielęce. Dopiero co go przeczytałam.

Wyjął palto z szafy w kuchni.

- Kiedy cię zobaczę? - zapytała Jenny. - Jutro wieczorem?

Zadała pytanie takim tonem, jakby to, że nie spędzi z nim całego dnia - soboty - było z jej strony poświęceniem.

- Idę do Nielsonów - odpowiedział i widział, jak powoli rzednie jej mina. Zdawał sobie sprawę, że zastanawiała się, dlaczego ich nie spytał, czy może ją przyprowadzić.

- Chciałabym ich kiedyś poznać - odpowiedziała jedynie.

- Och, poznasz. Zaproszę ich do siebie. No więc zadzwonię do ciebie jutro, Jenny. - Nie wiedzieć jak i kiedy, ujął jej prawą dłoń. Uściskał ją i szybko wyszedł.

W następnym tygodniu Robert zaprosił do siebie Nielsonów na obiad, a Jenny przyrządziła udziec jagnięcy. Wieczór bardzo się udał, Nielsonowie polubili Jenny. Cieszyli się, że Robert ma dziewczynę, i było to widać gołym okiem, podobnie jak nie ulegało wątpliwości, że od tej pory będą zapraszać ich oboje. Robert nie okazywał Jenny więcej troskliwości niż podczas wizyty Tesserów, zresztą zachowywał się tak samo, gdy spotykali się tylko we dwoje, ale wpatrzone w niego bez przerwy oczy Jenny dominowały nad jego powściągliwością. Robert był pewny, że Nielsonowie nabiorą przekonania, że to on jest w niej zakochany. Później, podczas rozmowy w pracy, powiedział Jackowi Nielsonowi, że nie ma z Jenny żadnego romansu i po prostu widział się z nią kilka razy.

W tym tygodniu Robert znalazł rozwiązanie problemu cylindrycznej części, pokazał rysunki Jaffe'owi. Konsultacja z inżynierami odpowiedzialnymi za produkcję została wyznaczona na piątek. Notowania Roberta w Langley Aeronautics rosły, powoli, ale pewnie. Spodziewał się, że niedługo przeniosą go do głównego zakładu w Filadelfii. To, jak myślał, zapobiegnie wszelkim przyszłym komplikacjom z dziewczyną, bo zniknie ze sceny. Do Filadelfii były dwie godziny jazdy samochodem i choć pozostaną przyjaciółmi, trudno im będzie często się widywać. Tyle że określenie tego, co ich łączy, przyjaźnią nie było w odniesieniu do Jenny właściwe, dlatego Robert przypuszczał, że gdy przeniesie się do Filadelfii, Jenny przeżyje okres osamotnienia, żalu, może nawet zgorzknienia i zechce wtedy zerwać z nim kontakt na zawsze. Przewidując taki rozwój wydarzeń, był wobec niej bardziej ostrożny niż zwykle. Skończyły się pocałunki, muskanie dłoni.

Kiedy Robert mówił o Filadelfii, Jenny nie okazywała urazy. Nie robiła najmniejszych aluzji, że chciałaby zostać na noc, gdy zasiedziała się do późna. Wydawało się, że wystarczają jej dwa spotkania w tygodniu, bo tak się umówili. Choć z drugiej strony, im rzadziej się widywali, tym jej uczucie stawało się silniejsze, i Robert to dostrzegał. Roztaczała wokół siebie aureę, jakby chłoneła każdą chwilę, a jednego wieczoru po zupełnie zwyczajnym, a może nawet gorszym niż zwykle obiedzie w restauracji w Rittersville powiedziała smutno:

- Gdyby ta kawa była zatruta, chybabym ją wypila, pod warunkiem że ty wsypałbyś truciznę.

Przez chwilę Robert popatrzył na nią obojętnie, a potem się uśmiechnął.

- Właśnie myślałem, że jest zatruta, i to całkiem solidnie.

Jenny nie odwzajemniła uśmiechu.

- Jestem z tobą taka szczęśliwa. Śmierć to jedynie kontynuacja, jeśli umiera się

szczęśliwym. Żaden koniec czegokolwiek.

Robert zaczął się wiercić na krześle. Nie chciał jej zbyć jakąś banalną uwagą, ale nie potrafił też powiedzieć czegoś równie poważnego. Milczenie, które potem zapadło, stało się krępujące i zupełnie nie na miejscu.

- Musimy rozmawiać o śmierci, Jenny? To znaczy wspominałaś kiedyś, że trzeba przestać się jej bać. Może mnie się to jeszcze nie udało. Ten temat nadal wpędza mnie w depresję.

- Przepraszam, Robercie.

- Och, nie musisz mnie przepraszać. Ale to kompletny bezsens, żeby dziewczyna, młoda jak ty, rozprawiała o niej tak często. Każdy umrze, zgoda, ale może nie zaraz. Przynajmniej nie my. - Zaraz potem pożałował, że powiedział „my”. Odwrócił od niej oczy.

- Nie przepraszam za to, że o tym mówię, lecz za to, że wpędzam cię w depresję. Ale rozumiem. Trzeba być blisko niej przez jakiś czas, żeby ją pokonać. W końcu śmierć niewiele różni się od snu. Byron tak powiedział. Mówił, że sen i śmierć to rodzeństwo.

Robert westchnął.

Drugiego maja Robert dostał list od Ernesta Gunnarote'a, prezesa Arrobrit Company - tak nazywał się główny zakład Langley Aeronautics w Filadelfii - w którym zapraszał go do przyjazdu i proponował pracę w tamtejszym wydziale inżynieryjnym. Robert planował wyjazd na pierwszego czerwca, bo chciał do tego czasu podjąć dom na resztę okresu wynajmu, przewidzianego umową. Chciał na pożegnanie podarować Jenny coś z biżuterii, naszyjnik lub szpilkę, i zaczął rozglądać się za czymś takim w niewiele obiecujących sklepach jubilerskich w Rittersville i Langley. Był pewny, że Jenny podaruje mu przy rozstaniu biały sweter.

12

Robert pogwizdywał, wspinając się po chybotałej drabinie na strych pod spadzistym dachem. Chwytał ostatni szczebel i był gotów w każdej chwili złapać się krokwi, gdyby podstawa drabiny się obsunęła. Widział w wyobraźni, jak wisi na belce parę metrów nad podłogą. Nie obsunęła się jednak. Robert wspiął się na strych i podszedł do walizek. Przeglądał pobieżnie ich zawartość, bo nie chciał przypominać sobie historii związanych z

poszczególnymi rzeczami - znalazł zapomnianą parę skarpet, znoszoną koszulę, program z musicalu, który oglądali razem z Nickie w Nowym Jorku. Pamiętał dobrze tamten wieczór, ale po co zachował program? Następna walizka zawierała garnitur z kory, który niedługo będzie mógł nosić, gdy zrobi się dostatecznie ciepło. Zrzucił walizki na dół na czerwoną kanapę. Do Filadelfii miał się przenieść dopiero za szesnaście dni. Nie wybrał się tam jeszcze, żeby poszukać mieszkania, a chciał mieć walizki na widoku, by przypominały mu o przeprowadzce.

Schował drabinę do poziomej szafki ukrytej za kanapą. Potem wyjął ołówek, buteleczkę z tuszem i szkicownik z drzewami. Postawił tusz na parapecie. Odkładał narysowanie wierzby rosnącej przed domem, bo miał ją przed oczyma przez cały czas. Był to jego trzydziesty drugi rysunek drzewa. W górnym prawym rogu każdej strony wpisywał nazwę i rodzaj rośliny. Nazwa wierzby po łacinie brzmiała *Salix nigra*. Kiedy skończył rysować, wyjął z szuflady kartkę pocztową i namalował na niej pękatego, uśmiechniętego ptaszka z walizką pod skrzydłem, stojącego na wycieracze przed drzwiami. Małymi zgrabnymi literami napisał w prawym górnym rogu:

Uparciuszek czekacz (*Stat semper*)

WYSTĘPOWANIE: domy zamożnych ludzi

UBARWIENIE: jaskrawo nakrapiana pierś, czerwono na białym; niebieska obwódka na czerwonych skrzydłach; czarny rozdwojony ogon

GŁOS: przypomina wołanie „Tutaj! Tutaj!”

Był to dziesiąty lub dwunasty rysunek ptaka wykonany przez Roberta. Jeny cieszyła się, gdy dostawała je pocztą. Zbierała je w małym albumie o niebieskiej okładce z jedwabiu. Zapomniał o większości z tych, które jej wysłał. Pamiętał jedynie o srebrnoszarym dotykaczu, długonogim szosobiegu i suszarku, szczególnie lubianych przez Jenny.

Zorientował się, że dochodzi kwadrans po szóstej. Miał się spotkać z Jenny o wpół do ósmej w „Jasserie Chains”, gdzie nie byli od czasu pierwszego wspólnego obiadu. Robert wziął prysznic, umył głowę, włożył spodnie od garnituru świeżo odebranego z pralni i białą koszulę, po czym usiadł do maszyny, żeby napisać list do matki. Zaczął od wyjazdu do Filadelfii, bo kiedy ostatnio do niej pisał, sprawa nie była jeszcze przesądzona. Wyjaśnił, że to awans łączący się z podwyżką. Wcześniej tylko raz wspomniał jej o Jenny, co bardzo dobrze pamiętał, i to jedynie w kontekście relacji na temat nielicznych nowo poznanych przyjaciół. Teraz pisał:

Pod pewnymi względami żał mi zostawiać Langley, bo Nielsonowie i kilka innych osób z pracy stali się moimi dobrymi przyjaciółmi, i będę też tęsknił za Jenny Thierolf. Bardzo ją lubię i choć jest dużo młodsza ode mnie, ma już dwadzieścia trzy lata. Nie ma w niej nic wyrafinowanego, ale też nie można jej nazwać prostą dziewczyną. Takich kobiet nie spotyka się co dzień.

Brzmiało to sztywno, chropawo i zupełnie nie w jego stylu, jednak nie potrafił napisać o Jenny niczego więcej. W innym akapicie dodał: „Czuję się znacznie lepiej i ogólnie jestem weselszy”.

Robert postanowił jechać wzdłuż rzeki drogą, która wiodła meandrami do Cromwell. Prowadziła tam prostsza trasa boczną szosą, ale było jeszcze wcześniej i na pokonanie dziesięciu, dwunastu kilometrów miał mnóstwo czasu. Lubił ciemność zasnuwającą drogę nad rzeką - choć jej powierzchnia pełna była dziur, powstałych na skutek mrozów - podobały mu się konary i gałęzie drzew, które wydobywane z mroku na krótkie chwile przez blask reflektorów układały się w ruchome wzory czerni i szarości. Dostrzegł za sobą światła samochodu, więc zwolnił, żeby pozwolić się wyprzedzić. Samochód również zwolnił. Robert przyspieszył do normalnej prędkości sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, zerknął na zegarek - było pięć po siódmej - i zapalił papierosa.

Po chwili wóz jadący z tyłu bardzo się przybliżył. Robert ponownie zwolnił. Zrównali się, ale samochód go nie wymijał. Robert dostrzegł jego kolor. Był to jasnozielony plymouth, kabriolet Grega. Zauważył gest, który Greg zrobił, i słyszał jego głos, choć nie rozróżniał słów. Greg chciał, żeby Robert się zatrzymał, i spychał go na prawy skraj szosy, sąsiadujący z rzeką. Robert zjechał na pobocze, częściowo dla bezpieczeństwa, bo samochód Grega niemal się o niego ocierał, a częściowo dlatego, że chciał stanąć z nim twarzą w twarz. Greg wyminął go i zatrzymał się, zaciągając ręczny hamulec. Robert otworzył drzwiczki i wysiadł. Wyrzucił papierosa i zacisnął dłonie.

- Pan Forester? - odezwał się Greg. - W drodze na randkę z Jenny? - Greg podszedł bliżej, przystanął, rozstawił szeroko stopy. Zgasił światła w swoim samochodzie, ale reflektory wozu Roberta paliły się nadal i oświetlały twarz tamtego, uwypuklając czarne brwi.

Robert zrobił unik. Choć cios Grega trafił go w ramię, przewrócił się. Grunt pod nogami od strony rzeki okazał się spadzisty i stromy, dlatego stracił równowagę. Natychmiast poderwał się z ziemi, zanim Greg zdążył pokonać dzielący ich dystans. Greg chciał uderzyć pięścią w głowę Roberta wspinającego się po zboczu. Robert chwycił go za ramię i szarpnął, wciągając się na równy grunt i spychając Grega między drzewa za sobą. Greg wrócił

rozwścieczony jak nigdy dotąd i z całej siły walnął Roberta w usta wierzchem dłoni. Następny cios trafił go w lewe oko. Nagle Robert znalazł się na ziemi - na czworakach. Czekał - wydawało mu się, że całą długą minutę - na Grega, który jednym susem znalazł się nad zboczem i zrobił zamach nogą, by kopnąć go w twarz. Robert chwycił go za stopę i podniósł się. Greg ponownie potoczył się w ciemność, w dół. Rozległ się trzask łamanych krzaków. Robert ruszył za nim, dostrzegł czarny owal głowy Grega na idealnej wysokości do zadania ciosu, zebrał wszystkie siły i uderzył prawą pięścią. Rozległ się przeciągły odgłos pękających gałęzi, gdy Greg turlał się ku wodzie. Robert zszedł powoli po zboczu nad brzeg rzeki, spodziewając się, że napotka po drodze wspinającego się z powrotem Grega, ale wychwytywał jedynie ciche trzaski pękających patyków. Zdał sobie sprawę, że to jego własne kroki. Wokół panowała ciemność. Nie widział rzeki, ale ją słyszał.

I nagle Greg zjawił się po jego lewej stronie. Chwycił Roberta za kłapy płaszcza. Zakręcił nim i chciał wrzucić do rzeki. Robert wiedział już, że walka na pięści dobiegła końca, teraz w grę wchodziło morderstwo. Niewielkie smukłe drzewko rosnące nad brzegiem uratowało Roberta przed wpadnięciem do wody, ale nie odzyskał równowagi przed kolejnym pojawieniem się Grega, który z sykiem oddychał przez zaciśnięte zęby - podobnie syczała woda omywająca skały za Robertem. Robert zrobił unik - co i tak niewiele mu pomogło, bo Greg mierzył w jego nogi, ale nie zdołał go uderzyć, bo się pośliznął. Ciemna postać Grega przemknęła obok Roberta, rozległ się głośny plusk.

Robert opuścił się ostrożnie w jego kierunku, trzymając się krzaków. Zbocze stawało się coraz bardziej strome. Robert usłyszał cichszy plusk, a potem jęk. Wyciągnął rękę, chwycił Grega za kostkę i pociągnął. Stał jedną nogą w błocie, drugą opierając na omywanej wodą skale, i obiema rękami złapał przód płaszcza Grega. Mokre włosy Grega otarły się o twarz Roberta. Robert rzucił go na ziemię, a potem wspiął się o jakiś metr wyżej.

Greg jęczał, siedząc na pochyłym brzegu.

Robert zacisnął dłoń w pięść, ale nagle stracił w ogóle ochotę, by go uderzyć. Odwrócił się i wspiął pod górę z zadziwiającą łatwością. Czuł się tak, jakby przefrunął odcinek dzielący go od poziomu szosy. Silnik w jego wozie nadal pracował. Cofnął, skręcił, wyminął samochód Grega i pojechał dalej. Bolał go lewy kieł. W kąciku ust poczuł ciepłą stróżkę krwi. Zatrzymał samochód i sięgnął po chustkę do nosa. Przeklęty kieł był złamany. Przesunął językiem po ostrej, chropowatej krawędzi zęba. Coś niedobrego działo się też z jego lewym okiem. Zdał sobie sprawę, że powieka sama opada. Był tak pokiereszowany, że wydało mu się to niemal śmieszne. A najzabawniejsze w tym wszystkim było to, że w jakimś sensie pokonał Grega. Gdyby go nie wyciągnął, mógłby utonąć, bo Greg był mocno

oszołomiony. Dlaczego nie zostawił go w tej cholernej rzece? Krew ciekła mu z górnej wargi, Robert czuł, że jest rozcięta w pobliżu złamanego zęba. Ponownie uruchomił samochód. Zadziwiające, jak wiele szkód może wyrządzić kilkusekundowa walka na pięści.

Potem nagle znalazł się przy „Jasserie Chains” i wjeżdżał na słabo oświetlony parking. Starsza pani, która wychodziła z restauracji, cofnęła się trochę na jego widok, ale potem przeszła obok. Kierownik sali, stojący w holu, popatrzył na niego.

- Słucham pana? - powiedział.

- Zarezerwowałem stół na nazwisko Robert Forester. Na siódmą trzydzieści. Spóźniłem się pięć minut.

Kierownik sali spojrzał na niego ponownie, obojętnym wzrokiem.

- A, tak. Pan Forester. Czy miał pan wypadek? - zapytał.

- Nie. Wrócę za chwilę - odpowiedział Robert i pobiegł po wyłożonych dywanem schodach na piętro, gdzie znajdowała się męska toaleta.

Umył twarz i pocierane kostki rąk, wytarł je papierowym ręcznikiem, uczesał włosy i poprawił krawat. Po tych zabiegach wyglądał znacznie lepiej, choć niewiele mógł poradzić na opadającą powiekę. Zszedł na dół, oddał palto do szatni i starając się panować nad sobą najlepiej, jak umiał, poszedł do baru, gdzie miał się spotkać z Jenny. Siedziała w klubowym fotelu przy kominku i poderwała się na jego widok.

- To nic, nie denerwuj się. Usiądźmy przy stoliku - powiedział, odsuwając dla niej krzesło.

- Co się stało?

- Wpadłem na Grega. Napiłbym się czegoś.

W tej samej chwili zjawił się kelner. Robert zamówił „Manhattan” dla Jenny i podwójną szkocką dla siebie. Nadszedł kierownik sali i powiedział, że bardzo przeprasza, ale ich stół nie będzie gotowy przez najbliższe dwadzieścia minut. Robert odpowiedział, że to nic nie szkodzi, wypiją drinki w barze.

- Gdzie? - Jenny zapytała szeptem.

Robert opowiedział jej, co się stało.

- Tak naprawdę nie wygrał. Z drugiej strony sam nie wiem, kto został zwycięzcą. Nie pytaj, dlaczego go wyciągnąłem. Byłem tak wściekły, że mogłem spokojnie go zostawić.

- Uratowałeś mu życie.

Robert roześmiał się.

- Tego bym nie powiedział. Myślę, że woda była płytka. Mnóstwo tam skał. - Pochylił się i poprawił mokre mankiety u spodni. Lewe oko miał zamknięte, czuł pulsujące w nim

ciepło, jakby ktoś dociskał mu powiekę gorącym palcem. Patrzył, jak Jenny bierze drinka z okrągłego stolika, a potem uniósł swoją szklaneczkę. - Na zdrowie. Kto wie, może skończyły się nasze problemy z Gregiem. A może on lubi bić się z facetami dwa razy?

- Uważam, że powinno się go aresztować.

Ta uwaga wydała się Robertowi śmieszna.

- Podoba mi się twoja sukienka - powiedział.

Jenny wiedziała, że lubił, kiedy nosiła czarne rzeczy. Wspomniała mu wcześniej, że na ten wieczór ma zamiar kupić czarną sukienkę, którą widziała w Rittersville.

- Naprawdę? - spytała. Twarz jej pojaśniała od jego pochwały. Trochę zawstydzona dotknęła bioder, ale chwilę potem znowu spoważniała i spojrzała na Roberta. - Złamał ci ząb. To widać.

Robert dopiero teraz zauważył, że ma zupełnie inne uczesanie. Upięła włosy z tyłu, tak że tworzyły jasnobrązową chmurę nad uszami. Nie opadały już luźno na ramiona. Wydawała się trzy do czterech lat starsza.

- No cóż, to tylko jeden ząb - odpowiedział.

Zamówili po drugim drinku. Robert zaczynał czuć się coraz lepiej. Był mile wyczerpany, odprężał się. Nic go już nie bolało i właściwie uważał się za zwycięzcę. Jenny wyglądała prześlicznie, z gładkimi błyszczącymi włosami, z paznokciami pomalowanymi na czerwony kolor, dający się zaakceptować, ze szminką na ustach, której zawsze używała przy uroczystych okazjach - z górną wargą tak obrysowaną, by wydawała się większa niż w rzeczywistości. Jenny tłumaczyła się z wąskiej górnej wargi, co go rozbawiło. Miała tak wiele innych uroczych, rozczulających cech, że zamartwianie się z powodu górnej wargi, w sumie przecież pełnego drobiazgu, wydało mu się naiwne i bardzo młodzieńcze. Kiedy wstali i ruszyli do sali restauracyjnej, Jenny szła przed nim. Robert dostrzegł wtedy, że bardzo schudła. Postanowił jednak to przemilczeć. Mogłaby poczuć się dotknięta.

- To chyba jeden z naszych ostatnich wspólnych obiadów - powiedziała, gdy siedzieli już przy stole.

Robert zmarszczył czoło.

- Nie, dlaczego? Będę przyjeżdżał od czasu do czasu. Ty też możesz mnie odwiedzać.

- Zastanawiam się, czyby nie przenieść się do Filadelfii. Nie przeszkadzałoby ci to, Robercie?

Robert milczał przez chwilę.

- Nie, ale...

- Bo co mnie tu trzyma? Nędzna mała miejscina. W Filadelfii mogłabym znaleźć

lepszą pracę. Jako sekretarka zarabiałabym znacznie więcej, niż dostaję tutaj. Umiem trochę stenografować. Jestem w tym dość dobra. A dom, w którym mieszkam... - Urwała w pół zdania.

- Wydawało mi się, że lubisz ten dom.

- Kiedy ciebie nie będzie w pobliżu, już nie będzie mi się tak podobał. W pobliżu, to znaczy kiedy nie będziesz do mnie przyjeżdżał.

Rozmowa stawała się smętna. Robert wiedział, że gdyby spróbował polepszyć nastrój, mówiąc coś zabawnego, byłoby to bezcelowe. Zamówili główne dania. Podano mu listę win. Przejrzał ją i wybrał butelkę Château Haut-Brion. Jenny zdecydowała się na filet mignon. I wtedy Robert zobaczył wszystko w innym świetle: gdyby opuścili z Jenny ten rejon, Greg byłby pozostawiony sam sobie, bo nie pracował w okolicach Filadelfii. Dużo trudniej byłoby mu się im naprzykrzać. A może któregoś dnia Robert poczułby do Jenny coś więcej, może po trzech, czterech miesiącach pokochałby ją równie mocno, jak ona kochała jego? Nie mógł tego wykluczyć.

- O czym myślisz? - zapytała Jenny.

- Myślałem... że twoja przeprowadzka do Filadelfii to wcale niezły pomysł. Jeśli naprawdę byś tego chciała. Powinnaś poważnie się nad tym zastanowić. Ja będę tam przez dwa lata.

- Nie potrzebuję więcej czasu na decyzję. Już to przemyślałam.

Spojrzał w jej poważne szaroniebieskie oczy. Nie wydawały się dziecinne ani nawet młode. Może to z powodu uczesania, może wyrafinowanej sukni - Jenny wyglądała teraz na dojrzałą kobietę.

- Miałbyś coś przeciwko temu, żebyś zamieszkała niedaleko ciebie? - zapytała.

- Mmm... - Tak naprawdę nie chciał tego. - Skoro mamy samochody, to chyba nie jest konieczne.

Jego odpowiedź zasmuciła Jenny. Sprawiała wrażenie dotkniętej, jej usta wykrzywiły się w podkówkę. Mimo to reszta wieczoru minęła im dość przyjemnie, Robert opowiadał o Albuquerque i San Francisco, służbie wojskowej na Florydzie i Alasce. Jenny cały czas wyglądała na rozczarowaną. Typowe dla niej rozkoszowanie się każdą chwilą spędzaną wspólnie z Robertem przepadło bezpowrotnie.

- Powiedz, Robertcie, pokochasz mnie kiedyś na tyle, żeby się ze mną ożenić? - zapytała.

Trzymał akurat papierosa w ustach. Wciągnął dym tak głęboko, że niemal się zakrztusił.

- Nie wiem, Jenny. Boję się obiecywać ci cokolwiek. Nie chcę, żebyś na to liczyła albo na to czekała.

- W porządku. Rozumiem.

- Naprawdę tak uważam. Nie chcę, żebyś czekała.

Kiedy wychodzili, Robert dostrzegł skrzynkę pocztową, przeszedł przez ulicę i wrzucił do niej list do matki i pocztówkę z ptaszkiem dla Jenny. W następną sobotę mieli pojechać oboje szukać domu lub mieszkania dla niego w Filadelfii. Albo dla niej.

13

W poniedziałek rano pani Van Vleet, gospodyni Grega, u której wynajmował mieszkanie, zadzwoniła do Jenny do banku. Chciała się dowiedzieć, czy Jenny wie, gdzie jest Greg.

- Nie, żałuję bardzo, pani Van Vleet. W tej chwili niczego nie wiem, nie widziałam go od kilku dni.

- Hmm... Zaginął w sobotę.

- Zaginął? Może pojechał do Filadelfii?

- Moim zdaniem nie ma go w Filadelfii. Policja znalazła wczoraj jego samochód na drodze przy rzece niedaleko Queenstown. Samochód był porzucony, miał nawet otwarte drzwiczki. Policja nie wyklucza, że utonął - głos jej zadrżał, gdy wymawiała ostatnie słowo.

- Utonął?

- No właśnie. Policja mówi, że w nadrzecznych krzakach odkryto ślady walki. Policjanci właśnie przeszukują rzekę. Moim zdaniem padł ofiarą przestępstwa.

Wyrażenie „przeszukują rzekę” wywołało u Jenny dreszcz. Widziała w gazetach zdjęcia ciał wyrzuconych na skały przy bystrzach.

- Nie wiem, co powiedzieć, pani Van Vleet. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało. Zadzwonię do pani po południu, żeby sprawdzić, czy wrócił do domu, dobrze?

Rozłączywszy się, Jenny podeszła z powrotem do okienka przy kasie, gdzie czekał klient z książeczką oszczędnościową. Patrzyła przez chwilę na mężczyznę pochylonego przed dzielącą ich szybą.

- Przepraszam pana na moment. Nie mogę... - usiłowała się wytłumaczyć.

Odwróciła się i pobiegła do gabinetu Stoddarda na tyłach banku. Powiedziała mu, że chce wyjść, bo musi zadzwonić w bardzo ważnej sprawie. Pan Stoddard zawsze wymagał od pracowników, żeby zgłaszali, kiedy wychodzą i w jakim celu, dlatego niechętnie prosili o pozwolenie, ale Jenny zwróciła się do niego tak, jakby odmowy w ogóle nie brała pod uwagę.

- Ależ tak, oczywiście, Jenny - odpowiedział Stoddard.

Poszła do drogerii, rozmieniła pieniądze, żeby mieć drobne na telefon, i zadzwoniła do Langley Aeronautics. Minęło pięć minut, zanim usłyszała w słuchawce głos Roberta.

- Robercie, Greg zaginął.

- Jak to zaginął? Co masz na myśli?

- Wczoraj na drodze przy rzece znaleźli jego samochód, a po Gregu ani śladu. Jego gospodyni do mnie dzwoniła. Jesteś pewny, że tamtej nocy nie wpadł do rzeki, powiedz, jesteś pewny?

- Absolutnie. Siedział na brzegu, kiedy odchodziłem. Być może kiedy się podniósł, był tak oszołomiony, że zakręciło mu się w głowie i upadł.

- Zostawiłeś go siedzącego na brzegu?

- Prawdę mówiąc nie odprowadziłem go do samochodu. Policja znalazła jego wóz?

- Tak. Teraz przeszukują rzekę.

Usłyszała ciężkie westchnienie Roberta.

- W takim razie chyba powinienem porozmawiać z policją. Jak myślisz, czy mógł zaszyć się u któregoś ze swoich przyjaciół w okolicy? To było chyba niedaleko Queenstown.

- Tak, zresztą podobnie myśli pani Van. Nie wiem, kogo Greg tutaj zna. Ale, Robercie, nie chcę, żebyś zgłaszał się na policję. Nie w sytuacji, gdy zostawiłeś go siedzącego na brzegu. To nie twoja wina i nie musisz czuć się odpowiedzialny za to, co się stało.

- Nie mam powodu, by się za cokolwiek obwiniać, ale gdyby się nie odnalazł, chyba jednak powinienem zgłosić się na policję.

- Nie rób tego dzisiaj, zaczekaj, Robercie.

- Dobrze, poczekam.

- Możemy się zobaczyć wieczorem? - Tego nie mieli w planach, wcześniej umówili się niezobowiązująco na środę.

- Chyba tak. Przyjechać do ciebie po obiedzie? Mam umówioną wizytę u dentysty w Langley o wpół do szóstej i nie wiem, jak długo zejdzie mu się przy moim zębie. Musi go spiłować pod koronkę.

- Nieważne, zaczekam z obiadem. Przyjdź na obiad, Robercie. Wszystko jedno o której. Dla mnie każda pora będzie odpowiednia. Mam tylko nadzieję, że nie nacierpisz się u

dentysty.

Robert się roześmiał.

Jenny wróciła do domu piętnaście po piątej. Zakupy zrobiła w sklepie spożywczym w Humbert Corners. Kupiła też wydawaną w Langley „Gazette”. Przejrzała ją, zanim wyładowała sprawunki. Na drugiej stronie znajdowało się zdjęcie samochodu Grega z lewymi drzwiczkami częściowo otwartymi, tak jak go znaleziono na drodze przy rzece. Pod spodem zamieszczono krótką notatkę, z której wynikało, że Gregory Wyncoop, lat dwadzieścia osiem, z Humbert Corners, zaginął w sobotę wieczorem, co zgłosiła jego gospodyni, bo zauważyła, że nie wrócił do domu. Połamane krzaki i odciski stóp na skarpie między drogą a rzeką wskazywały, że być może doszło tam do walki. Jedynym śladem, na jaki natrafiła policja, były trzy małe guziki urwane od męskiego garnitur.

Od garnitur Roberta, pomyślała Jenny. A dlaczego nie od ubrania Grega? Nie zauważyła, żeby w sobotni wieczór Robertowi brakowało guzików przy marynarce. Uznała, że gazeta robiła z tego zdarzenia sensację, eksponując towarzyszące mu niejasne okoliczności. Greg prawdopodobnie pojawi się - potwornie skacowany - po nocy spędzonej w domu jakiegoś kumpla, jak podejrzewał Robert. Greg miał w Rittersville przyjaciela o nazwisku Mitch, mechanika samochodowego, który ostro popijał, więc mógł do niego zajrzeć. Dwu-, trzydniowa libacja po bójce nie byłaby niczym niezwykłym w życiorysie Grega. Sam jej wyznał, że pił przez dwa dni, gdy zerwała zaręczyny. Jenny na próżno usiłowała sobie przypomnieć, jak Mitch ma na imię. W książce telefonicznej Rittersville figurowało ze trzydzieści osób o nazwisku Mitchell. Zadzwoiła do pani Van Vleet.

Pani Van Vleet nie miała żadnych wieści od Grega, ale powiedziała Jenny, że „eskadra” sześciu łodzi patrolowych z reflektorami przeczesuje rzekę od Queenstown po Trenton w poszukiwaniu ciała Grega. Jenny jeszcze w Humbert Corners słyszała syreny - bank znajdował się dużo bliżej rzeki niż jej dom.

- Czy zna pani imię Mitcha, przyjaciela Grega? Tego z Rittersville, pani Van Vleet.

- Mitch? Nie, Greg nigdy o nim nie wspominał. A dlaczego? Myślisz, że on ma z tym coś wspólnego?

- Nie, ale pomyślałam, że Greg może być u niego. Nie sędzę, żeby utonął.

- Nie sądzisz? Niby dlaczego?

- Bo... nie.

- Kiedy ostatnio się z nim widziałaś?

- Mniej więcej miesiąc temu.

- Po waszym zerwaniu wyglądał na bardzo nieszczęśliwego człowieka, Jenny.

Rozczulał się nad sobą całymi tygodniami. Co prawda nie słyszałam słowa skargi ani od niego, ani też od nikogo innego, ale moim zdaniem mógł popełnić samobójstwo. Rzucił się do rzeki.

- Och, nie. Bardzo wątpię, pani Van Vleet. Poczekamy, zobaczymy. Do widzenia.

Robert przyjechał o siódmej trzydzieści z opuchniętą górną wargą.

- Szklaneczka dobrze oziębionej szkockiej dobrze by mi zrobiła - powiedział.

Jenny przygotowywała mu drinka, podczas gdy on przeglądał „Gazette”.

- Guziki? - Robert spojrział na swoje mankiety. Potem podszedł do szafy w kuchni, gdzie powiesił płaszcz. - No, proszę, przy prawym rękawie brakuje trzech guzików. - Odwrócił się do Jenny. - Chyba lepiej będzie, jak powiem o tym policji.

Jenny stała na środku kuchni z drinkiem w ręku.

- Z powodu kilku guzików?

- Dzięki. - Wziął od niej drinka. - Mógłbym przynajmniej powiedzieć im, że zostawiłem go siedzącego nad brzegiem Delaware.

- Jak będziesz z nimi rozmawiał, to koniecznie dodaj, że raz go tam wrzuciłeś.

Robert zmusił się do uśmiechu i wypił łyk.

- Zadzwoń do Susie - powiedziała Jenny.

- Po co?

- Może wiedzieć, jak Mitch ma na imię. Mitch to przyjaciel Grega. - Jenny wykręciła numer przyjaciółki.

Susie odebrała telefon.

- O rany, o co w tym wszystkim chodzi? - spytała. - Myślisz, że Greg się zabił?

- Nie, absolutnie nie - odpowiedziała Jenny. Robert obserwował ją z kuchni. - Posłuchaj. Znasz imię Mitchella? Wiesz, tego kumpla Grega...

- Chyba Charles. Jasne, Charles. Dał mi numer telefonu tego wieczoru, kiedy poszliśmy na wariackie tańce. Jakbym tańczyła z gorylem! Po co ci on?

- Nadal go masz? Możesz mi go podać?

- Z przyjemnością. Poczekaj chwilę.

Jenny czekała, patrzyła na Roberta, który chodził po kuchni, sącząc drinka.

- To Cleveland, siedem, trzy, dwa, dwa, osiem - mówiła Susie. - Twoim zdaniem Greg pobił się z Mitchem?

- Nie, nie sędzę. Pogadamy później, Susie, dobrze? - Odłożyła słuchawkę i wybrała numer Mitcha.

Odebrała jakaś kobieta. Jenny domyśliła się, że to matka Mitcha. Jego nie było w

domu.

- Nie wie pani przypadkiem, czy Mitch widział się z Gregiem? Gregiem Wyncoopem?

- spytała Jenny. - Mówi Jenny Thierolf.

- Och, nie, dlaczego, Jenny? Też czytaliśmy gazety. Mitch wyszedł jakieś pięć minut temu. Powtarzał, że Greg mógł popełnić samobójstwo, bo tak się załamał... z powodu waszego zerwania. Mitch poszedł od razu porozmawiać z kimś, o kim mówił, że pewnie coś wie.

- Czy mogłaby pani go poprosić, żeby do mnie zadzwonił, gdyby się czegokolwiek dowiedział? - Jenny podała jej swój numer. - Będę w domu przez cały wieczór. Może dzwonić o każdej porze.

- Przekażę mu, oczywiście, Jenny. Dziękuję za telefon.

Jenny rozłączyła się.

- Mitch to kumpel Grega - powiedziała do Roberta. - Pomyślałam, że może jest u niego, ale go tam nie ma.

Robert nic nie odpowiedział. Chodził wolno po kuchni, wpatrzony w podłogę.

Jenny włożyła do nagrzanego piekarnika dwie zamrożone porcje kurczaka w cieście. Potem zabrała się do robienia sałatki. Robert przeszedł do salonu. Chwilę później Jenny wpadła na kolejny pomysł. Stała w drzwiach salonu i powiedziała:

- Niewykluczone, że Greg jest u rodziców w Filadelfii. Może policja już wie, że nic mu się nie stało. Gazetę wydrukowano wiele godzin temu.

Robert pokiwał po prostu głową. Siedział na sofie z gazetą w ręku. Odłożył ją i wstał.

- Jedyne, co mogę zrobić, to zadzwonić i zapytać - powiedział i ruszył w kierunku aparatu.

- Do kogo? Do jego rodziców?

- Nie, na miejscowy posterunek. Jestem pewny, że policja sprawdziła, czy jest u rodziców.

- Robercie, nie zaczynaj z poli-icją - odezwała się błagalnym tonem.

- Od kiedy to boisz się policji? Przecież próbujemy tylko odszukać tego faceta. - Popatrzył przez chwilę na Jenny, trzymając rękę na słuchawce telefonu, a potem podniósł ją do ucha. Poprosił o połączenie z posterunkiem policji w Rittersville. Kiedy je uzyskał, podał swoje nazwisko i zapytał, czy są jakieś nowe wiadomości o Gregu Wyncoopie. Oficer odpowiedział, że nie. - To ja biłem się z Wyncoopem w sobotę wieczorem - dodał.

Policjant z Rittersville bardzo zainteresował się tym, co Robert ma do powiedzenia.

- Gdzie pan jest? - zapytał.

Robert odparł, że w domu przyjaciółki, Jennifer Thierolf, niedaleko Humbert Corners. Oficer powiedział, że chciałby wysłać do niego kogoś na rozmowę, więc Robert opisał mu szczegółowo, jak można tu dojechać.

- Och, Robercie! - zawołała Jenny.

- Nic nie mogę na to poradzić - rzekł Robert po odłożeniu słuchawki. - Jeśli nie teraz, to kiedy indziej. Ale tak właśnie należało postąpić, Jenny. Dojazd tu zabierze policji przynajmniej pół godziny. Możemy...

- Kurczak nie będzie gotowy w pół godziny - oznajmiła Jenny.

Robert stał w drzwiach kuchni.

- Przepraszam, Jenny. Nie możesz go wyjąć i wstawić później?

- Nie! I co takiego masz zamiar powiedzieć policji? - Była zła.

Robert patrzył na nią przez chwilę, a potem odwrócił się powoli i poszedł usiąść na sofie.

Jenny przekręciła gałkę przy kuchence, zwiększając temperaturę w piekarniku. Byleby kurczak się zagrzał, pomyślała. Po wyjściu policji nie będzie się nadawał do zjedzenia. Greg znowu wtrącał się w ich życie. Greg - było jej obojętne, czy żyje, czy skończył w Delaware. Ubiła z furią sos do sałaty i wylała na zieleninę w misce. Zawołała potem Roberta do stołu.

- Zjemy najpierw sałatkę - powiedziała.

Robert jadł posłusznie.

Jenny zdała sobie sprawę, że nie podała wina. Obiad minął im w ponurym nastroju. Kiedy nalewała kawę, na podjazd przed domem wjechał policyjny radiowóz. Robert wstał od stołu, żeby otworzyć drzwi.

Policjant i detektyw przedstawili się jako McGregor i Lippenholtz.

- Robert Forester - powiedział Robert. - A to Jenny Thierolf. - Zrelacjonował im, co wydarzyło się w sobotni wieczór. Dodał, że już rano usłyszał od Jenny o zaginięciu Grega, ale zwlekał ze zgłoszeniem się na policję, bo miał nadzieję, że Greg niebawem się pojawi. - Znalezione trzy guziki są od rękawa mojego płaszcza.

Policjanci słuchali spokojnie, z wyrazem uprzejmości na twarzach. A potem McGregor, wysoki, potężny mężczyzna, zapytał:

- O co się pobiliście?

Robert wziął głęboki wdech.

- Przypuszczam, że miał do mnie żal o to, że spotykam się z panną Thierolf. Ona zerwała z nim zaręczyny. Już wcześniej mi groził. Spodziewałem się, że dojdzie między nami do bójki. Nie miałem złudzeń, że ją sprowokuje wcześniej czy później.

Lippenholtz pokiwał głową.

- To samo słyszeliśmy od przyjaciół Wyncoopa. Facet w gorącej wodzie kapany, co?

- Raczej tak. A przy okazji, nie jestem zaręczony z panną Thierolf. Mówiła Wyncoopowi, że zerwanie zaręczyn nie ma ze mną nic wspólnego. Ale on wiedział swoje.

McGregor zapisywał coś w notesie. Lippenholtz spojrział na Roberta.

- Więc zostawił go pan siedzącego na brzegu, czy tak? - zapytał. - Jak daleko od rzeki?

- Sądzę, że dobrze ponad metr - odpowiedział Robert. - Było zupełnie ciemno. Nie umiem określić tego precyzyjnie.

- Siedział? A nie leżał na ziemi ogłuszony ciosem?

- Jestem pewny, że siedział. Nie wiem natomiast, na ile był przytomny.

- Ale kilka minut wcześniej był na tyle nieprzytomny, że musiał go pan wyciągnąć z wody - mówił dalej Lippenholtz. - Nie wydostał się na brzeg o własnych siłach?

- Nie. Moim zdaniem nie był w stanie.

Zapadło milczenie. Drugi policjant robił notatki.

- Czy uważacie panowie, że wstał i ponownie wpadł do wody? - zapytał Robert.

- Myślę, że to jedna z możliwości - odpowiedział Lippenholtz. Był niskim, drobnym mężczyzną o bladoniebieskich oczach i dziobach po ospie na lewym policzku. - W końcu nikt nie zostawia otwartego samochodu na środku drogi...

Obaj policjanci patrzyli na Roberta, a potem bez pośpiechu przenieśli wzrok na Jenny, jakby chcieli zobaczyć jej reakcję.

- Dzwonili panowie do jego rodziców w Filadelfii, żeby sprawdzić, czy może tam jest? - spytała Jenny.

- Oczywiście - odpowiedział Lippenholtz. - Od razu do nich zatelefonowaliśmy. Rozmawialiśmy też z wieloma jego przyjaciółmi z Hubert Corners. Nikt go nie widział.

Robert zwilżył wargi.

- Jak w tym miejscu wygląda woda? - zapytał. - Nic nie widziałem w ciemności. Wiem, że są tam skały...

- Skały blisko brzegu, ale niewiele - powiedział McGregor. - Potem robi się naprawdę głęboko. Na jakieś trzy metry.

- Czy ktoś, kto by upadł na skały przy brzegu, nie zatrzymałby się na nich? - pytał dalej Robert.

- Jasne, zakładając jednak, że przy upadku nie straciłby przytomności - wyjaśnił Lippenholtz. - Człowiek ogłuszony mógłby na nich leżeć, utopić się, a potem woda zniosłaby go w dół rzeki. - Detektyw zmarszczył czoło.

- Co pan odpowiedział Wyncoopowi na jego pogrożki, panie Forester? Czym panu groził?

- Och, że złamie mi kark, czy coś w tym rodzaju, jeśli nie przestanę spotykać się z Jenny.

- Co mu pan odpowiedział?

- Powiedziałem: „Rozumiem”. - Robert wzruszył ramionami. - W każdym razie jakoś tak. Niczym mu nie groziłem, jeśli o to panu chodzi.

- Zachował pan zimną krew - stwierdził Lippenholtz.

- Tak, i to chyba go rozzłościło.

- Nie powiedział mu pan, że przestanie spotykać się z panną Thierolf?

- Nie.

- Gdzie byliście, kiedy panu groził?

- Na parkingu Langley Aeronautics, pracuję tam. Greg zadzwonił do mnie i zażądał rozmowy, więc umówiliśmy się na spotkanie.

- Kiedy to było? - zapytał McGregor.

- Jakiś miesiąc temu.

- Odzywał się potem do pana?

- Nie, aż do ostatniej soboty.

- Ma pan tutaj ten płaszcz? - zapytał Lippenholtz.

Robert wyjął go z szafy. Lippenholtz ujął mankiet pozbawiony guzików i zaczął mu się przyglądać. Potem obejrzał drugi, z trzema guzikami, i pokiwał głową.

- Cóż, będziemy dalej przeszukiwać rzekę - powiedział ponuro detektyw i westchnął.

Zadzwonił telefon. Jenny przeprosiła i przeszła do salonu, żeby odebrać. Obaj policjanci czekali w kuchni z zaciekawieniem malującym się na twarzach. Spoglądali na nią zza futryny.

- Och, tak, Mitch... Nie, nie miałam i dlatego dzwoniłam do ciebie... A rozmawiałeś ze wszystkimi ludźmi, o których wiesz, że go znali? - Jenny zauważyła, że policjanci przestępują z nogi na nogę, rozczarowani. - Zadzwoni do mnie, jak tylko się czegoś dowiesz, dobrze?... Nie wiem, Mitch... Do widzenia.

Jenny wróciła do kuchni.

- To był przyjaciel Grega - wyjaśniła. - Nic nie wie. Chciałabym jedynie dodać - mówiła, patrząc na policjantów - że Greg czasem wpada w ciąg. Ukrywa się gdzieś i po prostu upija się przez parę dni z rzędu.

- Ma pani jakiś pomysł, z kim mógłby teraz być? - zapytał McGregor.

- Nie, i dlatego dzwoniłam do Mitcha. To znaczy Charlesa Mitchella z Rittersville. Tylko o nim wiem, że pił z Gregiem. Od razu wyjaśnię... - nerwowym ruchem odgarnęła włosy z policzka - ... że nie przydarzało się to Gregowi zbyt często, ale po takiej bójce to niewykluczone.

- Mmm. Muszę teraz zadać panu rutynowe pytanie, panie Forester - zaczął McGregor.

- Czy był pan kiedykolwiek notowany na policji?

- Nie - odpowiedział Robert.

- Kto pana zdaniem wygrał w tej bójce?

Robert wzruszył ramionami.

- Żaden z nas. Choć wątpię, czy Greg jest aż tak pokancerowany jak ja.

- A zatem dziękuję panu - powiedział Lippenholtz. - I pani również.

Pożegnali się, życząc im dobrej nocy, i wyszli.

- Nie wiedziałam, że widziałeś się z Gregiem miesiąc temu - odezwała się Jenny. - Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Nie chciałem cię martwić.

- Groził ci? Czy... czy dlatego zaczęliśmy się rzadziej spotykać?

- Nie, Jenny. Przestaliśmy się tak często spotykać, zanim rozmawiałem z Gregiem. - Uciekł wzrokiem przed jej zranionym spojrzeniem. - Napiłbym się gorącej kawy, a ty?

- Czy wtedy chciał się z tobą bić?

- Na oczach setek ludzi? To nie w stylu Grega. - Włączył elektryczną kuchenkę i postawił na niej dzbanek z kawą.

- Robercie, tak naprawdę chyba nie myślisz, że Greg wpadł do rzeki, prawda?

- Nie. Gdybym tak uważał, tobym ci powiedział. Z tego, co widziałem, skały w tym miejscu nie tworzą bystrza. Głębsza woda jest dużo dalej i żeby do niej wpaść, nie wystarczy stoczyć się z brzegu. Najważniejsze moim zdaniem jest to, że Greg był na tyle przytomny, że nie mogło mu się to przytrafić.

Jenny myślała jednak, że nie należy wykluczać takiej możliwości. Dokąd mógłby pójść, przepaść bez śladu, tak że nie można go teraz odnaleźć? W wyobraźni widziała Grega, jak podnosi się w minutę po odejściu Roberta i wściekły idzie, potykając się, w złym kierunku, bo chce się od nowa bić. Znała go dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że targała nim wtedy furia. Popatrzyła na poważną twarz Roberta, pilnującego dzbanka z kawą, i zastanawiała się, o czym teraz myśli. Z pewnością nie o niej.

- Dlaczego tak ci zależało, żeby ich przekonać, że nie jesteśmy zaręczeni? - zapytała.

- Bo... nie jesteśmy. Poza tym uznałem, że takie wyjaśnienie zmniejszy trochę

melodramatyczność całej sytuacji. Pewnie to nie było konieczne. Chyba nie myślisz, że może to komuś zaszkodzić, prawda?

- Zaszkozić? Jak?

- Och, Jenny, nie wiem. Ale przy tego typu sprawach policja lubi znać rozmaite szczegóły.

- Co masz na myśli, mówiąc o „tego typu sprawach”? - Jenny łapała go za słowa, nie bardzo wiedząc, dlaczego o to pyta, czuła jedynie, że musi to zrobić.

Robert zmarszczył czoło, niezadowolony albo zmieszany.

- Chodzi mi o zaginięcie człowieka, domniemane zaginięcie. Policja mnie nie zna, mieszkańcy miasteczka też nie. Skąd mają wiedzieć, że nie zepchnąłem go celowo i nie zostawiłem, żeby pozbyć się rywala? - Wyłączył palnik pod dzbankiem i nalał kawę najpierw do filiżanki Jenny, a potem do swojej. - Moim zdaniem Greg poszedł w tango i zjawi się niedługo, ale tymczasem trzeba odpowiadać na pytania policji, co wcale nie jest przyjemne, zwłaszcza że mogą podejrzewać mnie o kłamstwo. - Usiadł z kawą przy stole.

- Miałeś wrażenie, że cię o to podejrzewają?

- Nie. Chyba nie. A ty?

- Sama nie wiem. Zachowywali się tak obojętnie. Mimo to uważam, że opowiadanie im o wszystkich szczegółach nie było konieczne.

- Chodzi ci o moje wyjaśnienie, że nie jesteśmy zaręczeni?

- Tak - odpowiedziała z przekonaniem. - To ich w ogóle nie obchodzi. Naprawdę interesuje ich to, czy Greg rzeczywiście siedział na brzegu i czy był w stanie wdrapać się po zboczu do drogi.

- Tak, wiem. Próbowałem ci wyjaśnić, dlaczego im powiedziałem, że nie jesteśmy zaręczeni, Jenny, i dla mnie brzmiało to rozsądnie. Przykro mi, jeśli twoim zdaniem zachowałem się bez sensu.

Mówił łagodnie i pojednawczo, ale Jenny wyczuła w jego słowach oschłość, która ją zaskoczyła i zraniła. Nie byli zaręczeni, to fakt. Może nigdy nie będą. Wypełniła ją pustka, strach przed niespodziewanym bólem. W wyobraźni widziała Roberta, jak trafia Grega pięścią, a potem bije go nadal, popycha ku skałom, idąc za nim krok w krok, żeby się upewnić, że wpadł do głębokiej wody.

- Co się stało? - zapytał Robert.

- Nic. Dlaczego pytasz?

- Wyglądasz na...

- Nie rozumiem cię - przerwała mu.

Robert wstał.

- Jenny, co cię dzisiaj dręczy? Powiedz mi. Jesteś zmęczona, prawda? To wszystko jest wyczerpujące. - Ruszył w jej stronę, ale zatrzymał się i opuścił wyciągnięte ramiona. - Co miałaś na myśli, mówiąc, że mnie nie rozumiesz?

- To, co słyszałeś. Nadal stanowisz dla mnie zagadkę. To dziwne.

- Och, Jenny Jestem zagadką w takim samym stopniu jak ta... ta szyba.

- Czyli że powinnam to powiedzieć o sobie, tak? Sama dla siebie jestem zagadką.

- Jenny, czy usiłujesz zasugerować, że nie wierzysz w to, co ci mówiłem o tym wszystkim? Opisałem ci każdą sekundę tamtego wieczoru.

Nie to jednak martwiło Jenny. Widziała, że Robert zaczyna się niecierpliwić, ale teraz mało ją to obchodziło.

- Co takiego usiłujesz mi przekazać? - dopytywał się Robert.

- Nie wiem. Ale się dowiem. Niedługo. - Zauważyła, że oczy zwięzły mu się trochę, kiedy na nią patrzył.

Robert zapalił kolejnego papierosa i zaczął chodzić po kuchni. Okrążył stół i powiedział:

- Pojadę już, Jenny. Prześpij się trochę.

Wyczuwała w nim znudzenie, a także złość i obojętność. W niej zaś narastała uraza z powodu jego reakcji.

- Dobrze.

Robert spojrzał na nią.

Nigdy wcześniej nie byli tak bliscy kłótni. Ale to przecież jest kłótnia, zdała sobie nagle sprawę Jenny. Klócili się w milczeniu, nad powierzchnię wystawał tylko wierzchołek w postaci słów. Robert wyjął płaszcz z szafy. Ubrał się i podszedł do niej.

- Dobranoc, Jenny. Przepraszam, jeśli mówiłem do ciebie rozgniewany.

Nagle Jenny zawstydzila się i też miała ochotę go przeprosić.

- Och, Robercie, ja również nie chciałam powiedzieć ci niczego w złości. Naprawdę, nie chciałam.

Uśmiechnął się, a potem palcem wskazującym dotknął wciąż spuchniętej górnej wargi.

- Już dobrze. Zapomnijmy o tym. Gdybyś dowiedziała się czegoś nowego, zadzwoń do mnie jutro, dobrze? Albo jeszcze dzisiaj. Dopiero piętnaście po dziesiątej.

- Oczywiście, że zadzwonię, Robercie.

Greg nie pojawił się nazajutrz, we wtorek, ani następnego dnia. Wydawana w Langley „Gazette”, a nawet filadelfijski „Bulletin” wydrukowały zdjęcia Grega, nowe i stare, które do gazet z pewnością dostarczyli jego rodzice. Przeprowadzono z nimi wywiady. Wciąż mieli nadzieję, modlili się, ale też coraz bardziej się bali, że ich syna zabrała rzeka Delaware.

Począwszy od wtorku, nazwisko Roberta także zaczęło pojawiać się w prasie. Opisywano bójkę, której motywem miała być zazdrość porzuconego kochanka. Obwiniano Grega o wywołanie awantury, postawę Roberta zaś pozostawiono domysłom, tak więc Robert zakładał, że przeciętny czytelnik mógł wysnuć przypuszczenie, że był on zakochany w Jennifer Thierolf i zajął miejsce Grega u jej boku.

Jack Nielson rozmawiał z nim w pracy we wtorek rano. Zapytał Roberta w poniedziałek o podbite oko i rozciętą wargę, a Robert odpowiedział mu - bagatelizując wszystko i robiąc sobie z tego żarty, na ile to możliwe - że spotkał po ciemku byłego chłopaka Jenny, znacznie od siebie większego. Do wtorku rano Jack zdążył już poznać całą historię z gazet. Robert zapewnił go, że zostawił Grega siedzącego na brzegu rzeki.

- W gazetach opisują dokładnie to, co się wydarzyło - powiedział. - Muszę przyznać, że nie próbują niczego przeinaczać.

- Jak to, „przeinaczać”? - zapytał Jack.

- No wiesz, bez trudu mogliby napisać, że wrzuciłem go do wody i teraz się do tego nie przyznaję.

- Mmm. Tak. Ale cokolwiek wpada do rzeki, zawsze z niej wypływa. Może w Trenton, może bliżej. Ciało zawsze wypływa. Zapytaj Schrievera. Opowiadał ci o...

- Tak, opowiadał - przerwał mu Robert. To była historia o starcu wyrzuconym na brzeg na tyłach domu Schrievera.

- Nie martw się - Jack mówił dalej. - Niewykluczone, że ukrywa się gdzieś z jakimś kumplem, żeby uniknąć kłopotów. Albo żeby napytać ci biedy. Skoro to facet, który wszczyna bójkę z takiego powodu... - Jack pokręcił głową.

- Nie mam żadnych zamiarów wobec Jenny - tłumaczył Robert. - Dlatego to jest tak cholernie niepotrzebne.

- Cóż, słyszałem o Wyncoopie, że dał wycisk kilku innym gościom, którzy odbili mu dziewczyny, czy coś w tym rodzaju, to prawda?

- Tak. Wieści tego rodzaju szybko się rozchodzą, nie uważasz?

- Zwłaszcza w małych miastach - odpowiedział Jack, uśmiechając się. - A co Jenny o tym myśli?

- Och, moim zdaniem jest przekonana, że Greg ruszył w tango.

W czasie tego tygodnia atmosfera zgęstniała. Greg się nie pojawił. Syreny łodzi patrolujących rzekę wyły i pohukiwały czasami po południu, czasami późną nocą, budząc Roberta, który powtarzał sobie, że niekoniecznie muszą to być poszukiwania Grega. Wcześniej syreny wyły przez dwie noce w tygodniu, teraz jednak zdarzało się to codziennie. Robert wyobrażał sobie, że biorą udział w poszukiwaniach Grega. W gazetach dwukrotnie opisano ubranie, jakie miał na sobie - szary płaszcz i ciemny garnitur (Robert zastanawiał się, skąd wiedziano, w co był ubrany), a ponieważ wyczerpały się źródła informacji o Gregu, jego rodzicach i przyjaciółach, przytaczano ponownie to, co powiedzieli wcześniej: „Wciąż mamy nadzieję i modlimy się” - mówiła pani Wyncoop z oczami pełnymi łez. „Był jednym z najlepszych przyjaciół, jakich miałem” - zwierzał się Charles Mitchell z Rittersville, jakby to było pewne, że Greg nie żyje. W Langley Aeronautics nic się nie działo, lecz choć nikt nie zadawał Robertowi żadnych pytań, wyczuwał, że ludzie jakby wstrzymali oddech i czekają na rozwój wypadków. Odnosił wrażenie, że niemal wszyscy, poza Jackiem Nielsonem, w skrytości ducha liczyli, że ciało zostanie znalezione w rzece. Robert odwołał randkę z Jenny w czwartkowy wieczór - zadzwonił do niej o szóstej i powiedział, że ma dodatkową pracę z biura, nad którą będzie musiał posiedzieć, co choć było zgodne z prawdą, sprawiło Jenny przykrość. Nickie, pijana i wścibska, zadzwoniła do niego o wpół do szóstej.

- W coś ty się wpakował, Bobbie? Niewykluczone, że w jakieś morderstewko, co?

Rozłączył się, bo kiedy usiłował wyjaśnić, co zaszło, wyśmiała go.

Tej nocy syreny znowu buczały na rzece. Miał kłopoty z zaśnięciem, dlatego wziął seconal, pierwszy raz, od kiedy dostał tabletki od Jenny.

W piątek po południu przy stole kreślarskim Roberta zjawiała się jedna z sekretarek. Unosząc brwi, powiedziała z uśmiechem, że dwóch dżentelmenów, czekających w sekretariacie, chce się z nim widzieć. Miała na imię Nancy, była blondynką i lubiła ze wszystkimi żartować.

- Dwóch dżentelmenów? - dopytywał się Robert, wstając. Wiedział, o kogo chodzi.

- A tam, dżentelmeni! To gliniarze - odpowiedziała Nancy. - Pewnie nie płaciłeś mandatów za złe parkowanie?

Robert zmusił się do uśmiechu.

Przeszedł przez pokój kreślarski, przeciskając się pomiędzy dwoma dużymi stołami o

blatach podświetlanych jarzeniówkami. Lippenholtz i McGregor stali w przeszklonym sekretariacie. Ci sami, którzy spotkali się z nim w poniedziałek wieczorem. Lippenholtz i McGregor. Ich nazwiska w jakiś zabawny sposób pasowały do siebie.

- Dzień dobry - odezwał się Lippenholtz.

- Dzień dobry.

Lippenholtz rozejrzał się dokoła, jakby sprawdzał, czy nikt ich nie słyszy, a potem powiedział:

- Cóż, do tej pory ciała nie odnaleziono - jeśli w ogóle jest jakieś ciało - ale nie przerywamy poszukiwań i moim zdaniem je znajdziemy. Teraz potrzebujemy od pana bardzo konkretnej relacji o przebiegu wydarzeń - mówił wolno, z naciskiem. - W najgorszym przypadku chodzi tu o morderstwo. Wyncoop pana zaatakował. Wierzmy pańskiemu słowu w tej sprawie, bo był pan umówiony z Jennifer Thierolf o wpół do ósmej, a skądinąd wiemy, że Wyncoop jest znany z tego, że lubi wywoływać bójki z ludźmi, których nie cierpi. Jak dotąd wszystko się zgadza. Chcielibyśmy jednak się dowiedzieć, czy wrzucił go pan do rzeki, czy nie - jego głos stał się bliski szeptu.

- Przedstawiłem panom dokładnie, co zaszło - odpowiedział Robert równie cicho. - Nie mam nic do dodania. Wpadł do wody mniej więcej na minutę, a ja go wyciągnąłem. Potem już się nie biliśmy. Zostawiłem go siedzącego na ziemi. Może wstał i poszedł w kierunku rzeki. Nie mam pojęcia.

- Czym się pan tak denerwuje? - zapytał McGregor.

- Niczym.

- Rozmawialiśmy dziś rano z pana byłą żoną, panie Forester - wtrącił się Lippenholtz.

- Miała nam do powiedzenia kilka słów o pańskiej... pańskiej osobowości.

- Co mianowicie? - Robert sięgnął do kieszeni po papierosa.

- Stwierdziła, że jest pan niezrównoważony. Skłonny do przemocy. Czy to prawda?

Robert zgasił zapalną i wyrzucił ją do skrzynki z piaskiem stojącej obok windy.

- Moja żona aż nazbyt chętnie mówi o mnie najróżniejsze rzeczy. Ludzie, którzy się rozeszli, nie zawsze pozostają ze sobą w najlepszych stosunkach, sam pan rozumie. - Policjanci nie spuszczała z niego wzroku. Zdeterminowane, ale niezbyt inteligentne spojrzenia, pomyślał Robert, co wróżyło mu jak najgorzej. - A co do skłonności do przemocy, to Wyncoop na mnie napadł.

- Tak, ale czy nie podniósł pan przypadkiem jakiejś gałęzi i nie zdzielił go w głowę? - zapytał Lippenholtz.

- To była walka na pięści - wyjaśniał Robert cierpliwie.

Lippenholtz skinął głową i spojrzał na McGregora.

- W jakich okolicznościach poznał pan Jennifer Thierolf? - pytał dalej Lippenholtz.

McGregor przełożył stronę w notatniku.

- Mogę wiedzieć, co to ma z tym wspólnego? - spytał Robert.

- Może mieć. Zechce pan odpowiedzieć na moje pytanie? - Lippenholtz uśmiechnął się do niego zachęcająco.

Robert wzruszył ramionami.

- Nie bardzo wiem, jakie to może mieć znaczenie... - Robert zawahał się.

- Panna Thierolf nie wzbriała się powiedzieć nam, jak się poznaliście. Dlaczego więc pan nie chce o tym mówić? Rozmawialiśmy z nią dziś rano. Czy jest w tym jakaś tajemnica?

Robert zastanawiał się, jak Jenny zareagowała na to pytanie. Nie był pewny, czy powinien, jakby od niechcenia, powiedzieć Lippenholtzowi: „Poznaliśmy się przez przyjaciółkę. Dziewczynę o imieniu Rita”. Robert nie widział Rity na oczy.

- Pańska żona opowiedziała nam historyjkę o podglądaczu - mówił dalej Lippenholtz.

- Wyncoop miał jej powiedzieć, że panna Thierolf była przez jakiś czas podglądana. Panna Thierolf słyszała, że ktoś się kręci koło jej domu. A potem, kiedy pana poznała, hałasy ustały. Czy aby nie poznał jej pan, bo kręcił się akurat w pobliżu jej domu?

- Nie - odpowiedział Robert.

- Pańska żona twierdzi, że to całkiem możliwe. Wyncoop...

- Moja była żona - Robert poprawił go.

- Tak, przepraszam. Dodała też, że Wyncoop chciał się dowiedzieć, jak się poznaliście. Panna Thierolf powiedziała mu, że przez jej przyjaciółkę, ale Wyncoop odkrył, że to nieprawda.

Robert odwrócił się do skrzynki z piaskiem i strząsnął do niej popiół.

- Możecie panowie podziękować mojej żonie za jej celne opinie. I poradzcie jej, żeby trzymała się z dala od mojego życia przez resztę moich dni.

- Czym się pan zdenerwował? - zapytał Lippenholtz.

McGregor najwyraźniej miał pod dostatkiem materiału do zapisywania, bo nie odrywał się od notatnika.

- Nie denerwuję się, ale nie podobają mi się pańskie insynuacje. I co ma z tym wspólnego moja była żona?

- Zna pana, panie Forester, a my staramy się dowiedzieć o panu wszystkiego, co możliwe - odpowiedział Lippenholtz ugodowo.

Nie było to zwykle przesłuchanie. Usiłowali wcisnąć go w ramy, które - bez wątpienia - Nickie im narzuciła. Nie zawahała się użyć słów „niebezpieczny dla otoczenia”. Sekundy przeciągały się w nieskończoność, gdy obaj policjanci natarczywie się w niego wpatrywali.

- Szukacie Wyncoopa w hotelach? - zapytał Robert. - Oczywiście pod zmienionym nazwiskiem.

- O, tak - odpowiedział Lippenholtz. - Był pan leczony z powodu zaburzeń psychicznych, prawda?

To znowu Nickie. W chwili gdy Robert chciał odpowiedzieć, jeden z kreślarzy - Robert nie znał jego nazwiska - wszedł przez drzwi z korytarza. Wszyscy trzej na niego spojrzeli. Robert zaczął, aż mężczyzna zniknął za drzwiami kreślarni.

- Jako dziesiętnastolatek chodziłem do psychoanalityka - odpowiedział. - Nikt mnie do niego nie skierował, sam podjąłem taką decyzję. Nigdzie mnie nie zamykano. Poszedłem znowu jakieś dwa lata temu, nie, to było rok temu. Do psychoterapeuty. Chodziłem do niego przez sześć tygodni. Jeśli panowie chcecie, mogę podać nazwiska tych lekarzy.

Lippenholtz wbił w niego wzrok.

- Pańska żona mówiła, że celował pan do niej z broni. Powiedziała, że pan strzelił, ale spudłował.

Robert wziął głęboki wdech. W chwilę potem słowa, które chciał powiedzieć, rozplynęły mu się w myślach.

- To prawda, rzeczywiście mierzyłem do niej z broni. Nienaładowanej. Strzeliłem... strzeliłem przy zupełnie innej okazji, ale wtedy celowałem w kominek. Żona mnie do tego zmusiła.

- Zmusiła? - zapytał Lippenholtz.

- O ile pamiętam, powiedziała, że nie mam dość odwagi, żeby strzelić, czy coś w tym rodzaju.

- To była strzelba myśliwska? - dopytywał się Lippenholtz.

- Tak.

- Pan nie strzela z broni myśliwskiej? Nie poluje?

- Nie. - Robert pomyślał, że Lippenholtz i McGregor przeciwnie. - To była strzelba żony. Moja była żona od czasu do czasu jeździła na polowanie.

- Czy trzymanie w domu nabitej strzelby nie jest niebezpieczne?

- Oczywiście, że jest. Żona ją naładowała. Ma pozwolenie, ja nie.

Lippenholtz oparł się ręką o ścianę obok windy, jedną stopę skrzyżował z drugą i postawił czubek buta na ziemi.

- Od pańskiej żony usłyszeliśmy zupełnie inny opis tego zdarzenia, panie Forester.

Robert zapatrzył się w niewielką dziurę w cienkich granatowych skarpetkach Lippenholtza, tuż nad piętą. Mrugnął powiekami i spojrzał na detektywa.

- Już panu mówiłem, że nie mam żadnego wpływu na to, co mówi moja żona.

- Panna Thierolf także zna tę historię. Powiedziała, że wiedziała od pana o nabitej strzelbie, ale pan podobno nie strzelił. Komu mamy wierzyć, panie Forester?

- Powiedziałem panom prawdę.

- To znaczy? - Lippenholtz spytał lekko rozbawiony.

- Kiedy celowałem do żony, broń nie była nabita.

- Kto zatem kłamie? Panna Thierolf czy pańska żona? A może obie? A może pan? - Lippenholtz roześmiał się. Zabrzmiało to jak trzy ciche szcęknięcia.

- Opowiadałem Jenny Thierolf o nabitej strzelbie - zaczął Robert. - Więc to chyba oczywiste, że panom o niej powiedziała. Moja żona wie bardzo dobrze, że kiedy do niej celowałem, broń nie była nabita.

- Dlaczego zatem opowiedział pan Jennifer Thierolf o nabitej broni? - zapytał Lippenholtz, nadal uśmiechnięty.

- Nie wiem. Lepiej brzmi, jak się opowiada.

- Naprawdę?

- Moja żona najwyraźniej też tak uważa.

- Przede wszystkim chciałbym jednak się dowiedzieć, po co opowiedział pan tę historię pani Thierolf?

Robert miał wrażenie, że zapada się w bagno.

- Nie wiem.

- To wszystko strasznie zagmatwane - skwitował Lippenholtz, kiwając głową, jakby Robert i tak był dostatecznie podejrzany, niezależnie od tego, co zostanie ujawnione z jego przeszłości, bo teraz i tak go mieli, mogli go w każdej chwili przygwoździć. - W porządku, Mac? - spytał Lippenholtz McGregora, który wciąż pisał.

- Tak - odpowiedział McGregor.

- Chcielibyśmy, żeby został pan w mieście na weekend, panie Forester - Lippenholtz zwrócił się do Roberta, odpychając się od ściany. - Mam nadzieję, że nie planował pan wyjazdu. Coś nowego może się pojawić w sobotę albo niedzielę.

- Oby - odparł Robert.

McGregor ściągnął windę.

- To na razie wszystko. Bardzo dziękujemy, panie Forester. - Lippenholtz skinął mu

głową, lekko się uśmiechnął, okazując ślad uprzejmości, i odwrócił się.

- Proszę bardzo - odrzekł Robert.

Wrócił do kreślarni, ruszył w kierunku swego stołu, ale niespodziewanie skreślił w stronę męskiej toalety, znajdującej się w przeciwnym rogu. Przez kilka minut chaos w myślach nie pozwalał mu wysnuć jakichkolwiek wniosków. I wtedy zaczął postrzegać Nickie jako źródło realnego niebezpieczeństwa. Robiła wszystko, co w jej mocy, by mu zaszkodzić, to nie ulegało wątpliwości, a odwieczne pytanie „dlaczego?” nie miało sensu. To absolutnie pewne, powiedział do siebie. Nagły odruch, żeby do niej zadzwonić w przyływie złości, minął równie szybko, jak się pojawił. Nie dopuściłaby go do słowa. Wyśmiałyby jego obawy i zdenerwowanie, a wiedział, że nie zdołałby ich ukryć. Mógłby do niej napisać, ale nie chciał zostawiać żadnych śladów na papierze, niczego, co w jakikolwiek sposób by go obciążało albo świadczyło o tym, że poważnie potraktował to, co przekazała policji. Sam fakt napisania listu sugerowałby, że tak właśnie to odebrał.

Uświadomił sobie, że się niepokoi, bo zaczyna wierzyć, że ciało Grega zostanie odnalezione w rzece, że następnego dnia nurt może wyrzucić je na brzeg na tyłach czyjegoś domu, i kto wtedy da wiarę jego zapewnieniu, że nie wepchnął Grega celowo do wody albo, w najlepszym razie, że próbował go ratować, kiedy wpadł? Robert przemyślił oczy zimną wodą, usiłując pozbyć się wyrazu twarzy, który zobaczył w lustrze. Spojrzał na zegarek. Dochodziło wpół do trzeciej. Dopiero za półtorej godziny będzie mógł zadzwonić do Jenny do domu. Uznał, że planowany na następny dzień wyjazd do Filadelfii nie wchodzi w grę, ponieważ oznaczałoby to opuszczenie miasta. Zresztą i tak nie miał teraz ochoty na oglądanie domów.

Ręce trzęsły mu się przez resztę popołudnia. Czy nie było to typowe dla Nickie, że tak bardzo zainteresowała się niewielkim skandalem, którego bohaterem stał się w Langley, i zadała sobie trud, by poinformować policję o tym, że Greg nie wiedział, w jaki sposób on i Jenny się poznali, i że Greg uważał go za podglądacza kręcącego się koło jej domu? Że przy okazji ujawniła, że Robert dwa razy korzystał z pomocy psychiatrów, dodając zapewne, że zawieziono go do nich w kaftanie bezpieczeństwa? Czy nie było to dla niej typowe, że wspomniała policji o incydencie ze strzelbą myśliwską, znacznie go ubarwiając? Nickie rozpowiadała o tym na prawo i lewo, dlatego Robert nabrał pewności, że sama zaczęła wierzyć w to, co opowiada: że wpadł wtedy w szal, że broń była nabita, że walczyła z nim i ledwo uszła z życiem, bo odsunęła od siebie lufę strzelby. Robert zauważył, że nie mówiła tego ludziom, którzy dobrze go znali albo lubili go trochę bardziej niż ją, jak choćby Campbellowie. A naprawdę było tak - choć nikt z zewnątrz nie mógł tego potwierdzić - że pewnego wieczoru Nickie powiedziała mu, że taki psychopata jak on nie użyłby broni palnej -

stąd się brała jego niechęć do polowań - chyba i że miałby zabić człowieka. A potem naładowała strzelbę i wcisnęła mu ją w dłonie, pytając, czy ma dość odwagi, żeby ją zastrzelić. Rozzłoszczony, Robert wziął strzelbę, wycelował w kominek i pociągnął za cyngiel - żeby pozbyć się przeklętej kuli albo spowodować głośny huk, dzięki któremu nastąpi choć kilka sekund błogosławionej ciszy? Nie wiedział, dlaczego strzelił, ale to zrobił. Nikt z sąsiadów nie przyszedł i nie zapukał do ich drzwi, bo właściwie nic się nie wydarzyło, poza tym, że Nickie zyskała nowy element do swojej historyjki. Nickie znalazła ślad po kuli na tylnej ścianie kominka i z lubością pokazywała go znajomym. Robert pamiętał dobrze sztywną postać Ralpa, pochylającego się, by zobaczyć dziurę w cegle. Zdaje się, że Robert widział go wtedy drugi raz, nim zamiary Nickie wobec Ralpa stały się jasne. „To ty strzelałeś?” - zapytał Ralph. „Tak. Strzelałem do kominka. Myślisz, że strzelałbym do własnej żony?” - odparł Robert. Nickie akurat wyszła wtedy z pokoju. Czy było to zabawne, czy tylko nużące? Jedno i drugie, pomyślał Robert. Nigdy się nie dowiedział, co naprawdę Ralph o tym sądził, i nigdy zresztą go to nie obchodziło. Zastanawiał się, czy powinno zacząć obchodzić go teraz.

Nagle przyszła mu do głowy myśl, że Greg był z Nickie. Ukryła go albo pomogła mu się ukryć. Zrobiłaby to z prawdziwą przyjemnością. Ołówek Roberta zatrzymał się. Wpatrywał się w białą kartkę, która przed nim leżała. A co na to Ralph? Przejdzie nad tym do porządku dziennego? Oczywiście, wszystko zależało od tego, co Nickie mu powiedziała, a ona mogła zmyślić niestworzoną historię, poza tym Ralph czytał przecież gazety. A może okazał się słabym człowiekiem, który nigdy się jej nie przeciwstawiał? Robert niewiele wiedział o Ralfie Jurgensie, ale uważał go za słabeusza. I co tu dużo mówić, Ralph był świeżo zauroczony Nickie. W tej sytuacji najrozsądniej byłoby przyjąć, że będzie godził się na wszystko, czego ona sobie zażyczy.

Okolo piątej, tuż przed zakończeniem pracy, Robert wszedł do jednej z kabin telefonicznych na końcu głównego korytarza i zadzwonił do Jenny do domu. Jej głos brzmiał nieco sztucznie.

- Jesteś sama? - zapytał Robert.

- O, tak. Susie ma później wpaść, ale teraz jestem sama.

- Czy coś się stało? Dowiedziałaś się czegoś?

- Nie. A dlaczego pytasz?

- Mówisz trochę dziwnie. Policja dziś ze mną rozmawiała. Ci sami dwaj policjanci. Powiedzieli mi, że byli u ciebie.

- Owszem - potwierdziła Jenny.

- Co się dzieje, Jenny? Możesz ze mną rozmawiać?

- Nic się nie dzieje. Dlaczego ciągle o to pytasz?

Robert potarł dłonią zmarszczone czoło.

- Podobno pytali cię, jak się poznaliśmy. Ciekawe, co im odpowiedziałas.

- Odpowiedziałam, że to nie ich interes.

- Och. Szkoda, że nie ustaliliśmy wcześniej, że poznaliśmy się przy ladzie w drogerii czy coś w tym rodzaju. Cokolwiek...

- Moim zdaniem nic im do tego - upierała się Jenny.

- No cóż, wszystko wskazuje na to, że teraz uczepili się historii z podglądaniem. Greg powiedział o tym Nickie. Z kolei to, co ona przekazała dalej, na pewno mi nie pomogło. Po...
- urwał w pół słowa. Postanowił, że jednak nie powie jej o swoich podejrzeniach dotyczących Nickie - że mogła pomagać Gregowi w ukrywaniu się - ani o planowanym wyjeździe do Nowego Jorku na spotkanie z byłą żoną.

- Nadal uważam, że to nie ich sprawa - powiedziała Jenny wolno i stanowczo.

- Jenny, jesteś bardzo smutna. Naprawdę strasznie cię przepraszam za to całe zamieszanie.

- Tak bardzo cię kocham, Robercie - wyszeptła Jenny do telefonu, jakby tłumiała łkanie.

Zabrzmiało to tak, jakby wbrew ich woli zostali brutalnie rozdzieleni przez okrutne prawo. Jednak Robert nie to chciał usłyszeć.

- Powiedziałaś, jak się poznaliśmy? Czy coś o tym mówiłaś?

- Odpowiedziałam, że to nie ma związku ze sprawą.

- Rozumiem. Jenny, nie mogę jechać jutro do Filadelfii, bo policja chce, żebym w ten weekend nie opuszczał miasta.

- Nic nie szkodzi - powiedziała Jenny z rezygnacją w głosie. - Robercie, nadal myślisz, że on żyje?

- Tak, jestem tego pewny.

15

Robert pojechał do Nowego Jorku w niedzielę wieczorem. Co prawda wcześniej

myślał, że wybierze się tam w poniedziałek po pracy, bo niedziela była częścią weekendu, ale telefon od gospodyni Grega wyprowadził go z równowagi. Nie wspomniał o rozmowie z panią Van Vleet, kiedy Jenny zadzwoniła w niedzielę około trzeciej po południu. Miała do niego żal, bo nie chciał się z nią zobaczyć tego dnia. Gdy w sobotę w południe spotkali się w Rittersville, żeby razem coś zjeść w barze szybkiej obsługi niedaleko warsztatu, gdzie w samochodzie Roberta wymieniano olej, Jenny zaprosiła go na niedzielny brunch. Spotkanie nie należało do udanych. Robert miał wrażenie, że Jenny wpatruje się w niego, jakby siedział o wiele kilometrów od niej, zatopiona w myślach. Być może on w jej oczach wyglądał podobnie. Rozmowa jakoś im się nie kleiła, a Robert marzył jedynie o tym, by wrócić do domu, gdzie byłby sam i w razie czego w każdej chwili mógłby odebrać wiadomości, dobre lub złe, przekazane przez kogoś osobiście lub telefonicznie. Albo usłyszeć głos potępienia, jak choćby ten ze strony pani Van Vleet, która zadzwoniła do niego, jak przypuszczał początkowo, żeby podzielić się własnymi przemyśleniami. Najbardziej zaskoczyła go jej gadatliwość i niesłychany tupet w rozmowie z kimś, kogo uważała za zabójcę. Ludzie chyba na ogół boją się morderców? Jeśli naprawdę wierzyła, że Robert jest mordercą, czy nie powinna raczej się obawiać, że wpadnie we wściekłość, a wtedy ona może stać się kolejną ofiarą? Zapytała, czy Robert nadal pracuje w Langley Aeronautics, a kiedy potwierdził, powiedziała: „Moim zdaniem to zadziwiające, że pan ciągle tam pracuje. Dziwię się, że potrafi pan chodzić z podniesionym czołem w naszej społeczności, to doprawdy... Przystojny młody człowiek, jak Greg... podrywać mu dziewczynę... ładną, młodą dziewczynę. Słyszałam, że nawet nie ma pan zamiaru się z nią żenić. I mam nadzieję, że do tego nie dojdzie! Jest pan mordercą albo kimś w tym rodzaju!” Robert słuchał i uprzejmym głosem wtrącał jedynie od czasu do czasu „tak... nie”. Próbował śmiać się z tego, lecz nie potrafił. Nie zdołał powiedzieć więcej niż czterech słów, bo zaraz mu przerywała. Po co to wszystko? Wiedział jednak, że taką postawę przyjmuje w miasteczku jedynie hałaśliwa mniejszość złożona z ludzi pokroju pani Van Vleet, którzy najchętniej już by go powiesili, dosłownie i w przenośni.

Robert jechał szybko Trasą Pułaskiego w kierunku Tunelu Lincolna. Pamiętał dobrze, że podczas obu wizyt Tesserowie odnosili się do niego miło i bardzo życzliwie. Podczas drugiego spotkania Dick był trochę spięty i powiedział: „Wierzę, że zostawiłeś go siedzącego na brzegu, ale jeśli wstał i wpadł do rzeki, to sam się o to prosił. Mam rację?”

Robert zatrzymał się przy drogerii na Dziewiątej Alei i zadzwonił na stary numer. Odnalazł go w książce telefonicznej z zeszłego roku, gdzie Nickie występowała pod panińskim nazwiskiem - Veronica Grace. Najwyraźniej go nie zmieniła. Ku jego

zaskoczeniu odebrała po pierwszym sygnale.

- Proszę, proszę! Ciekawe, co cię tu sprowadza... tak, kochanie, ale nie skończyliśmy jeszcze obiadu. Możesz dać nam... powiedzmy czterdzieści pięć minut?... Wpół do dziesiątej. Jak dla nas to w sam raz.

Robert wrócił do samochodu wolnym krokiem. Zastanawiał się, czy zadzwonić do Campbellów albo Vica McBaina, bo miał jeszcze trzydzieści minut, z którymi nie bardzo wiedział, co zrobić. Edna Campbell napisała do niego tydzień wcześniej, że chętnie by się z nim zobaczyli, gdyby przyjechał do Nowego Jorku. Wyraziła też nadzieję, że jego kłopoty w Langley wkrótce się skończą, i chciała wiedzieć, co tak naprawdę się stało. Robert nie odpisał jej do tej pory. Postanowił jednak nie dzwonić do nikogo przed spotkaniem z Nickie.

Podala mu adres przy Wschodniej Osiemdziesiątej Drugiej Ulicy. Robert jechał powoli, celowo natrafiając na czerwone światła, zostawił samochód w podziemnym garażu przy Trzeciej Alei i przeszedł trzy lub cztery przecznice do budynku, gdzie mieszkała Nickie. Była to pięciopiętrowa kamienica, z holem wyłożonym marmurem, do którego dostał się po naciśnięciu guzika domofonu. Wszedł po schodach, choć była tam niewielka samoobsługowa winda. Jurgenowie mieszkali na trzecim piętrze.

- Punktualnie co do minuty - powiedziała Nickie, otwierając drzwi. Miała na sobie wizytową suknię w kolorze *écru*, sięgającą niemal do ziemi. Robert pomyślał, że pewnie przyjmowała gości, ale w mieszkaniu panowała cisza. Wzięła od niego płaszcz w niewielkim przedpokoju.

- Bardzo dobrze wyglądasz - powiedział.

- Czego nie można powiedzieć o tobie. Greg maznął cię tu i tam, prawda? I zeszczuplałeś.

Tak, i jestem bardziej obrzydliwy, i wypadło mi sporo włosów, i pieprzyk gorzej wygląda, i tak dalej, pomyślał Robert z uśmiechem przylepionym do niewygojonych jeszcze ust. Poszedł za nią do salonu wyłożonego dywanem od ściany do ściany, gdzie stało wiele ogromnych donic z roślinami o połyskujących liściach. Drogie mieszkanie w kosztownej dzielnicy. Ralph Jurgen zarabiał mnóstwo pieniędzy. Jedynym śladem obecności Ralpha była jego fajka, leżąca na stoliku w odległym końcu pokoju. Robert rozpoznał większość mebli - kiedyś należały do niego i Nickie. Rzucił na nie okiem, a potem starał się ich nie zauważać. Nad czarno-białym kominkiem wisiał obraz namalowany przez Nickie, którego wcześniej nie widział: czarno-cynobrowe tło z czerwoną plamą, przywodzącą na myśl rozgniecioną skórkę banana z ogonkiem sterczącym do góry. W dolnym lewym rogu uderzał biały podpis: „AMAT”. On kocha, ona kocha, ono kocha. Amat był trzecim lub czwartym pseudonimem

Nickie. Zmieniała je razem ze zmianą stylu i lubiła wtedy myśleć, że zaczyna wszystko od początku, choć w jej kolejnych pracach można było dostrzec te same typowe cechy. „Gdybyś malował podobne bohomy, podpisywałbyś je własnym nazwiskiem?” - Robert podsłuchał opinię jakiegoś mężczyzny na jednej z grupowych wystaw Nickie na Dziesiątej Ulicy. Pamiętał, że miał wtedy ochotę się obrócić i go stłuc, ale nawet nie obejrzał się za siebie. Na podłodze stały do góry nogami, oparte o kominek, trzy lub cztery wielkie lawowane rysunki. Robert pochylał się, żeby zobaczyć ich sygnatury. Były podpisane nazwiskiem „Augustus John”.

Nickie usiadła, zapadając się w rogu białej sofy o kolorze niemal identycznym z jej suknią. Nie schudła, a niewykluczone, że nawet trochę przytyła. Robert przeniósł spojrzenie na jej twarz. Uśmiechała się do niego, jej brązowe oczy były pełne rozbawienia, prawdziwej radości. Miała teraz krótsze niż zwykle i bardziej puszyste czarne włosy, pełne usta pomalowane na ciemniejszy czerwony kolor.

- Słyszałam, że masz nową dziewczynę. Siadaj.

Zajął fotel stojący w pobliżu, także biały, i wyjął papierosy.

- Nie przyszedłem, żeby o tym rozmawiać.

- A o czym chciałbyś rozmawiać? - Nie czekając na odpowiedź, zawołała: - Ralph! Ralphie? Nie przyłączysz się do nas? Napijesz się czegoś? - To pytanie było już skierowane do Roberta.

- Dziękuję. Kawa byłaby pewnie bardziej na miejscu niż coś innego?

- Co innego? - zapytała Nickie, pochylając się do przodu z dłońmi ułożonymi na ściśniętych kolanach. Pachniała perfumami, które dobrze znał. - Myślę, że Ralphie drzemie.

Robert zauważył, że jest zdenerwowana.

- Tak, napiję się drinka - powiedział po chwili. - Będzie o niego łatwiej niż o kawę, prawda?

- Czemu, kochanie, wiesz, że dla ciebie zrobiłabym wszystko. Przyznaj, że nigdy nie przepadałeś za moją kawą, mam rację? - Wstała i podeszła do barku na kółkach, na którym pośród co najmniej tuzina butelek stał srebrny kubełek z lodem. - Napiję się z tobą - dodała. Kostki lodu zadzwoniły głośno w wysokich szklankach. - No więc opowiedz mi o swojej dziewczynie. Aż się boję myśleć, że dopiero co skończyła college? A może liceum? Ma zamiar nasyłać na ciebie kolejnych zawodników wagi ciężkiej, żebyś miał kogo stłuc? Lepiej zapisz się na jakiś trening. Chociaż nie, nie chcę o niej rozmawiać. Znam twój gust i wiem, że jest okropny. Ja jestem chlubnym wyjątkiem, potwierdzającym regułę.

Robert zaciągnął się papierosem.

- Nie przyszedłem, żeby rozmawiać o niej lub o tobie. Chciałem jedynie zapytać, czy wiesz, gdzie może być Greg?

Najpierw rzuciła mu szybkie spojrzenie, a potem zaczęła się w niego wpatrywać. Nie była ani zupełnie rozbawiona, ani zupełnie poważna. Robert pomyślał, że próbowała wyczytać w jego twarzy, co naprawdę wie. Ale mógł się mylić. Może zamierzała udawać, że wie więcej niż w rzeczywistości.

- A skąd miałabym wiedzieć, gdzie on jest?

- Pomyślałem, że może przypadkiem odezwał się do ciebie, bo zdaje się, całkiem sporo konferowaliście przez telefon.

- To prawda. Ale to było, zanim wrzuciłeś go do rzeki - powiedziała, podając mu szklanekę.

Nickie podeszła do drzwi, otworzyła je i wpuściła Ralpa, ubranego w szlafrok i spodnie. Sprawiał wrażenie trochę nieprzytomnego. Z zaróżowionymi policzkami wyglądał jak ktoś pijany albo dopiero co wybudzony ze snu. Miał cienkie jasne włosy, niebieskie oczy. Uśmiechnął się słabo do Roberta i serdecznie uścisnął mu dłoń. Robert zdążył przedtem wstać.

- Cześć, Bob, jak leci?

- Świetnie, dzięki, a co u ciebie?

- Kochanie, nie mogłeś znaleźć koszuli? Dlaczego nie zarzuciłeś przynajmniej ręcznika na szyję, wiesz, tak jak to robią bokserzy w szlafrokach? Nienawidzę tych twoich kędziorów na piersiach. - Nickie wskazała zamaszystym gestem na jego szyję.

Nad niewielkim dekoltem w podkoszulku Ralpa nie widać było nawet jednego włosa. Policzki Ralpa jeszcze bardziej poczerwieniały.

- Przepraszam - wymamrotał. Najwyraźniej wahał się, czy nie wrócić do sypialni. Ostatecznie odwrócił się i ruszył w stronę drzwi, skąd przyszedł.

- Chyba życie w małżeństwie bardzo cię wyczerpuje! - krzyknęła za nim Nickie.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie - odezwał się Robert, gdy Ralph zamknął za sobą drzwi.

- Jakie pytanie? O Grega? - Nickie odwróciła się do niego.

- Tak.

Ralph wrócił z okręconym wokół szyi ręcznikiem, którego końce zatknął za dekolter czarno-szarego jedwabnego szlafroka. Podeszedł do barku na kółkach.

- Tak, o Grega - powtórzył Robert i zauważył, że Ralph uniósł głowę, nagle zainteresowany ich rozmową.

- Nigdy w życiu go nie widziałam.

- Co nie znaczy, że nie masz pojęcia, gdzie teraz jest - Robert nie ustępował.

- A właśnie, że znaczy. Nie mam pojęcia. - Nickie obróciła się w stronę Ralpha wyzywająco uśmiechnięta. W tej samej chwili Robert zorientował się, że skłamała. Spojrzała na niego. - Och, daj jej spokój, Bobbie - powiedziała. - Zostaw ją dla faceta lepszego od siebie. Przyjmując, oczywiście, że on żyje.

- Nie chodzi o dziewczynę. Zależy mi na odszukaniu Grega.

- Ach, nie chodzi o dziewczynę! - Nickie go przedrzeźniała.

Robert popatrzył na Ralpha. Jego blada twarz czterdziestoparolatka, zdradzająca słabość charakteru, była teraz poważna, ale pozbawiona wyrazu. Trochę za bardzo pozbawiona wyrazu, pomyślał Robert.

- Ralph, wiesz, o czym mówię? - zwrócił się do niego Robert.

- Nie przepytuj Ralpha! - krzyknęła Nickie.

- Jakżebyś mógł, przecież on o niczym nie wie, prawda? - Robert widział, jak zwęziły się jej oczy, gdy zbierała siły do ataku. Powiedział do Ralpha: - Moim zdaniem orientujesz się, że jestem w kropce. Muszę się dowiedzieć, gdzie jest Greg Wyncoop albo przynajmniej czy żyje. Grozi mi oskarżenie o morderstwo. Mogę stracić pracę...

Ralph pozostawał niewzruszony - obojętny i spokojny, ale Robert czuł, że czeka na wskazówki od Nickie.

- Ach, to po co tu przyszedłeś? - zapytała Nickie. - Sądząc po twoim głosie, można by pomyśleć, że chcesz nam przeszukać mieszkanie. Dalej, śmiało! - Nagle roześmiała się z wyraźną przyjemnością. Odchyliła głowę do tyłu, oczy jej lśniły.

- Rozmawiam z Ralphem, Nickie - odezwał się Robert.

- Ale on chyba nie rozmawia z tobą, co widać, prawda?

- Moim zdaniem wiesz coś o bójce w Pensylwanii, Ralph, no, powiedz? - nalegał Robert.

- Tak, tak, wiem - odpowiedział Ralph, masując sobie nos. Przeszedł z drinkiem na środek pokoju i okrążył duży, owalny, niski stół. Jednym haustem wypił połowę bursztynowej zawartości wysokiej szklanki.

- Jestem pewna, Ralphie, że nie chcesz mieszać się do tych nonsensów - wtrąciła się Nickie. - To mi przypomina niektóre z idiotycznych, niekończących się rozmów, jakie prowadziłam kiedyś z panem Foresterem. Widzę wyraźnie, że ta rozmowa też nie będzie miała końca.

- Ralph nie dał mi jeszcze jasnej odpowiedzi. Masz jakiegokolwiek pojęcie, Ralph, gdzie

może być Greg?

- Ufff! Co za nudziarz! - Nickie obróciła się dokoła, jedną nogą unosząc kraj sukni. Wzięła do ręki gabinetową zapalniczkę, zapaliła papierosa i z hukiem odstawiła ją na blat.

- Nie - odpowiedział Ralph.

- I masz, coś chciał - powiedziała Nickie. - Usatysfakcjonowany?

Robert nie był usatysfakcjonowany w najmniejszym stopniu, a Ralph ponownie wycofał się do sypialni. Zamknął za sobą drzwi.

- Przyjeżdżać tutaj, żeby znaleźć Grega! Jesteś zbrojnym podrywającym dziewczyny, które przedtem podglądasz, kręcąc się koło ich domów! Och, Greg dobrze wie, jak ją poznałeś! Albo wiedział. A tak przy okazji, co z nią jest nie tak? Chyba też jest szurnięta. Pewnie oboje jesteście siebie warci.

Robert poczuł ucisk w gardle.

- O czym jeszcze Greg ci opowiadał?

Nickie prychnęła i odrzuciła głowę do tyłu.

- A co cię to obchodzi? Naprawdę, Bobbie, dostajesz fioła. Masz fioła. Jesteś obłąkany. Spójrz tylko na siebie. Podbite oko. Rozcięta warga. Obłąkany! - Ponieważ Robert nie zareagował, mówiła dalej. - Skup się, Bobbie! Założę się, że wtedy sobie przypomnisz, jak trzymałeś go pod wodą, aż się utopił. - Roześmiała się. - Nie pamiętasz tego, kochanie?

Robert bardzo powoli dopił drinka i wstał. Było tak jak kiedyś, gdy był z Nickie - obelgi i kłamstwa na porządku dziennym. Przeciąganie wizyty nie miało sensu. Miał przecucie, że Greg jest w Nowym Jorku i Nickie dobrze o tym wie. Musi przekonać policjantów, by skierowali poszukiwania we właściwą stronę - ale czy zechcą?

- Och, siadaj, Bobbie. Jeszcze nawet nie zaczęliśmy rozmawiać - powiedziała Nickie, zmieniając ton. - Nie myślisz chyba żenić się z tą Jenny, prawda? To byłoby świństwo, gdybyś zrobił coś takiego jakiegokolwiek dziewczynie, nawet szurniętej.

- Nie chodzi o dziewczynę - powtórzył Robert. - Straciłaś słuch dziś wieczorem?

- Gadaj zdrów!

Wrócił Ralph. Miał na sobie koszulę, krawat i marynarkę. Spojrzał na Nickie, podszedł do szafy i włożył płaszcz.

- Wychodzisz? - zapytała Nickie.

- Na chwilę. Dobranoc, Bob. Do zobaczenia - powiedział, uśmiechnął się zdawkowo i otworzył drzwi.

Drzwi niemal się zamknęły, kiedy Robert ruszył jego śladem. Znalazł się w holu. Drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem.

Ralph odwrócił się i stanęli twarzą w twarz.

- O co ci chodzi, Bob?

- Wiesz, gdzie on jest, prawda?

Ralph zerknął w stronę mieszkania.

- Bob, nie mam ochoty na rozmowy - powiedział cicho. - Przepraszam, ale nic z tego.

- Czy to znaczy, że coś wiesz, ale nie masz ochoty mi powiedzieć? - pytał Robert. - Jeśli coś wiesz... - przerwał, bo Ralph zaczął wpatrywać się w jego policzek, a może w rozciętą wargę.

- A więc to jest ten twój pieprzyk na policzku - powiedział Ralph. - Wcale nie jest duży, nie sądzisz?

- Już mnie widziałeś - odezwał się Robert, zażenowany. - Ralph, jeśli ty... - Usłyszał, że otwierają się za nim drzwi.

Nadjechała winda, Ralph wsiadł.

Robert odwrócił się do Nickie.

Opierała się o framugę, jedną dłoń trzymając na wypukłym biodrze.

- Zatrzasnąłeś się na zewnątrz? Teraz przynajmniej będziemy sami.

- To wspaniale. - Robert minął ją i wszedł do środka. Jego płaszcz leżał w przedpokoju na krześle obitym białą skórą.

Położyła mu ręce na ramionach.

- Zostań jeszcze chwilę, Bobbie. Wiesz, tęskniłam za tobą. A dlaczego nie? Najlepszy kochanek, jakiego miałam, i już pewnie nie będę miała lepszego.

- Daj spokój. - Wyraźnie miała ochotę go pocałować. Odsunął się od niej, ona także odsunęła się od niego. Przez moment badała wzrokiem jego twarz. Wyminął ją i ruszył w stronę wyjścia.

- Kochanie, chodźmy do łóżka. Ralph nie wróci wcześniej niż za godzinę. Znam go. Poza tym mogę zamknąć frontowe drzwi na zasuwę. A nawet wejście kuchenne - dodała z uśmiechem.

- Och, Nickie, przestań. - Robert wyciągnął rękę do klamki, ale zagroziła mu drogę i stała oparta o drzwi.

- Nie zaprzeczaj, że byłoby przyjemnie. Po co nam pruderia? Nie powiesz mi chyba, że ta dziewczyna z Pensylwanii jest lepsza w łóżku ode mnie?

Robert odsunął ją, musiał jednak dotknąć jej talii, żeby dosięgnąć klamki, a ona oparła się na jego ramieniu i śmiała się w typowy dla siebie sposób, przypominający gruchanie gołębia. Miała zaciśnięte usta. Słyszał już ten śmiech, kiedy była najbardziej podła albo

wyjątkowo spięta. Teraz tym śmiechem jedynie drażniła się z nim. Robert otworzył drzwi tak gwałtownie, że uderzył ją nimi w głowę.

- Przepraszam - powiedział i przecisnął się do holu.

- Tylko mi nie mów, że już mnie nie chcesz.

- Nie jestem w nastroju. Na razie, Nickie.

- Jeśli o to chodzi, zawsze jesteś w nastroju, zawsze jesteś chętny! - wołała za nim.

Robert ruszył w kierunku schodów.

- Tchórz! - wrzeszczała za nim. - Tchórz!

Zbiegał schodami na dół, z ręką tuż nad wypolerowaną poręczą balustrady, gotów się jej chwycić, gdyby się potknął.

- Tchórz! Jesteś obłąkany! - Ścigał go jej głos. - Jesteś o b ł ą k a n y !

16

Kiedy Ralph wyszedł z kamienicy przy Wschodniej Osiemdziesiątej Drugiej Ulicy, ruszył do śródmieścia Pierwszą Aleją i wstąpił do pierwszego napotkanego baru. Zamówił whisky z wodą sodową, wypił połowę, a potem w książce telefonicznej, wyłożonej przy szatni, znalazł numer hotelu „Sussex Arms”. Poprosił o połączenie z panem Greshamem. Wyncoop przybrał śmieszne fałszywe nazwisko, pomyślał. Przywodziło mu na myśl prawo Greshama. Bardzo wątpił, by Greg potrafił je przytoczyć lub choćby o nim słyszał - o wypieraniu monet lepszych przez gorsze, o mniejszej zawartości kruszcu, co sprawia, że ludzie gromadzą te bardziej wartościowe. I choć nie mógł wykluczyć, że istniał związek pomiędzy tym prawem i być może naprawdę wartościową dziewczyną z Pensylwanii, o którą walczyli ci dwaj mężczyźni, albo - jak pomyślał - o którą Robert walczył, Ralph nie doszedł do żadnego klarownego wniosku, zanim Wyncoop wziął do ręki słuchawkę telefonu.

- Tu Ralph Jurgen - powiedział. - Chciałbym się dziś z tobą zobaczyć.

- Dzisiaj? Coś się stało?

- Ni-ie. Będziesz w hotelu?

- Chciałem się pokręcić po okolicy, może wybiorę się do kina na nocny seans.

- Daruj sobie. Chcę cię widzieć. - Ralph był trochę pijany i jednocześnie zły, w innym bowiem razie nie mówiłby tak stanowczo, co odniosło zamierzony skutek. Greg powiedział,

że zostanie w pokoju i poczeka na niego.

Ralph zatrzymał taksówkę. „Sussex Arms” okazał się podrzędnym hotelem przy Piątej Alei. Hol był zniszczony i brudny w jakiś nieuchwytny sposób, toteż wyobrazenie sobie lepszych dni tego przybytku albo bardziej godnej klienteli wydawało się niemożliwe. Ciekawe, z jakiego powodu Wyncoop wybrał to miejsce, zastanawiał się Ralph - choć z drugiej strony wiedział, że Greg mniej rzucał się tam w oczy, niż gdyby się zatrzymał w drogim hotelu, przede wszystkim jednak chyba chciał się upokorzyć, przyznać przed samym sobą, że robi coś nieuczciwego, a może nawet chciał się w ten sposób ukarać. Poza tym Nickie płaciła za hotel. Było jasne, że Gregowi skończyła się już gotówka. Ralph wsiadł do windy i wjechał na czwarte piętro. Nawet uniform windziarza był obrzydliwie złachmaniony. Ralph Jurgen pochodził z biednej rodziny. Oznaki nędzy, gdziekolwiek je widział, zawsze obrażały jego wrażliwość, poczucie estetyki, a nawet moralność. Ubóstwo było jego zdaniem ohydne, tragiczne i niepotrzebne.

Zastał Grega w samej koszuli, rozpiętej kamizelce i skarpetach.

- Więc co się stało? - zapytał Greg, gdy tylko zamknął drzwi, ale powiedział to z uśmiechem i raczej uprzejmie.

Ralph zdjął płaszcz, przewiesił go sobie przez ramię i usiadł na krześle.

- Bob Forester zjawił się w Nowym Jorku. Przyjechał zobaczyć się z Nickie.

- Nickie właśnie dzwoniła - wyjaśnił Greg, nadal lekko uśmiechnięty.

- Spodziewałem się, że zadzwoni - odpowiedział Ralph. - Greg, dlaczego po prostu się z tego nie wycofasz? Narobiłeś Bobowi już dość kłopotów, prawda? Czego więcej chcesz?

- Jenny - odpowiedział Greg.

- Mmm. Oczywiście. - Ralph popatrzył na swoje lekko rozchylone palce. Miał ochotę na papierosa, ale lekarz kazał mu ograniczyć palenie do dziesięciu sztuk dziennie. Zapalenie ostatniego papierosa odkładał na chwilę tuż przed snem. - Pewnie bardzo trudno odzyskać dziewczynę, kiedy nie można się z nią skontaktować, mam rację? A jako trup nie możesz sobie chyba pozwolić na jakikolwiek kontakt z nią, prawda?

- Zniszczę faceta - oświadczył Greg, wrzucając zapalniczkę do metalowego kosza na śmieci. - Już ci to mówiłem i zrobię to. Przekonasz się. Chcę go wyrzucić z tego miasta. Ze stanu. Najpierw straci pracę. Moi kumple piszą do jego szefa.

- Co takiego piszą?

- Że jest psychopatą. Nickie dobrze wie. Ty też. Celował do Nickie z broni. O tym także wiesz.

- Wiem o strzelbie. Znam obie relacje. Wersję Boba opowiedział mi jego przyjaciel,

Peter Campbell. Zresztą o mnie też Nickie mówi, że któregoś dnia rzuciłem w nią gabinetową zapalniczką. To nieprawda. Rzeczywiście, pokłóciliśmy się, wziąłem do ręki zapalniczkę, bo chciałem przypalić sobie papierosa. Ona twierdzi, że tą zapalniczką miałem zamiar ją zabić. - Ralph roześmiał się i skrzyżował nogi. - Czy w to na przykład byś uwierzył?

Greg podszedł do Ralpha i zaciągnął się głęboko papierosem.

- A dlaczego miałbym uwierzyć przyjacielowi Forestera, który zna tę historię tylko od niego? A co powiesz na sprawę z podglądaczem, no, słucham? Jak twoim zdaniem mogli inaczej się poznać? Żadne z nich nie chciało mi powiedzieć, jak się poznali.

Ralph uniósł brwi. Nie wiedział, komu wierzyć w przypadku historii z podglądaczem, i nie rozumiał jej związku z całą sprawą. Na chybotliwym, odrapanym, brązowym biurku zauważył opróżnioną do połowy butelkę whisky.

- Napijesz się? - zapytał Greg.

- Nie, dziękuję, Greg. Przyszedłem, żeby ci jedno powiedzieć. Moim zdaniem już wystarczająco długo się tym bawisz. To nieuczciwe i nie fair, nie wspominając o tym, że niepotrzebne.

- Niepotrzebne? A kimże ty jesteś, żeby mi mówić, co jest uczciwe albo nieuczciwe? Cały przemysł reklamowy jest nieuczciwy, może nie mam racji? Sam bądź uczciwy.

- Wracając do rzeczy, radziłbym ci poniechać tego wszystkiego.

- Bo co? - odpowiedział Greg pytaniem. - Mam pewien zamiar i doprowadzę go do końca.

- Myślisz, że jak usuniesz Boba ze sceny, dziewczyna ot tak, po prostu wróci do ciebie? To bez sensu.

- Kocha mnie, wiem o tym. Dała się jedynie omamić temu facetowi. Jestem pierwszym mężczyzną, z którym chodziła. Pierwszym, z którym spała - mówił Greg, pukając się kciukiem w pierś.

Ralph niemal się roześmiał, słysząc coś tak naiwnego. Ale w głosie Grega pobrzmiwała również duma, a przez to mógł stać się niebezpieczny. Jego toporne dłonie, zwisające na końcach długich luźnych ramion, wyglądały na skore do zadawania ciosów.

- Co Nickie ci dziś powiedziała?

- Trzyma moją stronę - odpowiedział Greg i wziął z biurka butelkę whisky. Nalał trochę alkoholu do szklaneczki, poszedł za zasłonkę w rogu pokoju i odkręcił kran. - Powiedziała, że być może zechcesz ostrzec Forestera - mówił Greg, wracając. - Jezu! Od kiedy to faceci, którzy kradną innym dziewczyny, zasługują na obrońców?

- A od kiedy to dziewczyny są kradzione? To nie torebki z cukrem.

- Jenny jest jak torba cukru - powiedział Greg rozmarzonym głosem.

Ralph zorientował się, że Greg jest już trochę wstawiony.

- Bob powiedział dzisiaj, że ona go w ogóle nie interesuje.

- Co?

- Słyszałem, jak powiedział, że nie chodzi mu o dziewczynę. Chce odnaleźć ciebie.

- Pewnie, że chce mnie odnaleźć. Ale na pewno interesuje się Jenny, nie ma dwóch zdań. Może nie ma dość ikry, żeby się do tego otwarcie przyznać. Może nie jest do niej tak entuzjastycznie nastawiony jak ona do niego, ale na pewno mu na niej zależy, w ten czy inny sposób. Widuje się z nią trzy, cztery razy w tygodniu. I nie ma cienia wątpliwości, że z nią sypia. A Jenny prawdopodobnie chętnie mu ulega. - Zrobił gest, jakby chciał cisnąć szklaneczką o ścianę, ale zamiast tego po prostu wypił jej zawartość.

Ralph wstał.

- Dlaczego najzwyczajniej w świecie nie wrócisz tam jutro? Powiedz szefowi, gospodyni czy komu trzeba, że byłeś na tygodniowym samowolnym wypadzie do Nowego Jorku. Jestem przekonany, że więcej byś działał na miejscu, niż ukrywając się tutaj, w hotelu.

Ciemne oczy Grega pojaśniały.

- Nie ruszę się, dopóki nie zobaczę skutków listów, które pisali moi przyjaciele. Będą też dzwonić do Jenny. Powiedzą jej, co to za ziółko z tego Forestera. Powinna wiedzieć. I policja powinna się tego dowiedzieć. A na dodatek on ją uwiódł, podglądacz jeden.

- A co ty jej zrobiłeś?

- Przynajmniej nie jestem podglądaczem! - Greg odwrócił się plecami do Ralpha.

- Czy to znaczy, że masz w Pensylwanii przyjaciół, którzy wiedzą, gdzie jesteś?

Greg ponownie obrócił się na pięcie. Ramiona zakołysały mu się po bokach niczym wahadła.

- Cofam to o przyjaciółkach. Nie, nie wiedzą. Nic nie piszą. Myślą, że nie żyję. Sam napisałem list. Do szefa Forestera.

Zadzwoił telefon.

- Mnie tu nie ma - powiedział pośpiesznie Ralph. - I wcale się nie widzieliśmy.

Greg uśmiechnął się do niego ze zrozumieniem i podniósł słuchawkę.

- Halo - powiedział Greg. - Nie... Nie było go.

Ralph zerknął na leżącą na biurku ulotkę z repertuarem kina na Zachodniej Czterdziestej Drugiej Ulicy. *Seksualne orgie Pigmejów... Dom studenckiej rozkoszy.*

- Tak - mówił Greg łagodniej. - Pamiętam. O nic się nie martw... Nie... Tak myślę,

tak... Tak... Na razie. - Odłożył słuchawkę.

Ralph popatrzył na niego, stojąc już przy drzwiach z ręką na klamce. Greg odwrócił wzrok.

- Uważam, że do jutra powinieneś wyjechać z miasta. Wracaj do Langley czy gdziekolwiek mieszkasz.

- W Humbert Corners. Tam też mieszka Jenny. To podglądacz mieszka w Langley.

- Po prostu wyjedź, Greg.

- Och, naprawdę? - Uśmiechnął się. - Dlaczego?

- Z jednego powodu. Jestem przekonany, że Bob zwróci się do policji, żeby cię poszukała w nowojorskich hotelach. Wie cholernie dobrze, że tu jesteś i że Nickie macza w tym palce.

Greg wzruszył ramionami.

- OK. Pojadę gdzie indziej.

- A kto będzie płacił twoje rachunki, tam dokąd pojedziesz?

- Posłuchaj, Ralph. To, co biorę od Nickie, to zwykła pożyczka. Mam forszę w banku.

Ale przecież nie mogę wypisać czeku, chyba się z tym zgodzisz?

- Jeśli jutro nadal tu będziesz, powiem policji, gdzie jesteś - ostrzegł Ralph.

- O co ci teraz chodzi?

- Nie chcę być zamieszany w twoje sprawy, jeśli tylko mogę temu jakoś zaradzić! -

Głos mu się łamał ze złości. - Właściwie mogę zawiadomić policję jeszcze dzisiaj. Oczywiście.

- Jeśli to zrobisz, ja też coś zrobię. - Greg ruszył do przodu.

Ralph zamarł w miejscu.

- Co takiego zrobisz?

Ralph otworzył drzwi i wyszedł, zatraskując je za sobą. Podeszedł do windy, nacisnął guzik, spojrzął na zamknięte drzwi do pokoju Grega, ponownie odwrócił się w stronę windy i wolno zamrugał oczami, ale dyszał, jakby stoczył ciężką walkę. Nickie bawiła się z Gregiem. Ralph był po prostu zazdrosny i to dodawało mu odwagi. Bardzo dobrze o tym wiedział. Podejrzewał Nickie, a gdy chodziło o Nickie, podejrzenie równało się pewności. Może zrobiła to któregoś ranka lub popołudniem, kiedy przesiadywał w biurze. A jeśli jeszcze do tego nie doszło, to może się stać. Greg byłby dla Nickie kolejnym małym zwycięstwem, aczkolwiek podszytym podłością. Oto kolejny sposób, by go zranić - zdrada w czwartym miesiącu małżeństwa z pospolitym młodym mężczyzną. A przy okazji jeszcze bardziej wiązała Grega ze sobą, podobnie jak złapała w sieci tak wielu nic nieznaczących ludzi, pijaków i snobów,

którzy kręcili się po ich mieszkaniu - pochlebstwem, przysługami, szczerą gościnnością, a czasami włożeniem im do łóżek.

Już gdy znalazł się na ulicy, postanowił się przejść. Szedł w kierunku północnym, chciał ochłonać, zanim zatrzyma taksówkę. Wiedział, że nie zawiadomi dzisiaj policji i prawdopodobnie nie zrobi tego nazajutrz. Uważał, że wystarczająco nastraszył Grega. Greg jutro wyjedzie z miasta, a może jeszcze dziś w nocy. Głupia gierka będzie się toczyła dalej w Filadelfii albo gdzieś indziej, ale przynajmniej nie na jego oczach.

Kiedy dotarł do domu, Nickie nie było.

Jej nieobecność wywołała w mózgu Ralpha ciąg nieprzyjemnych myśli. Zaczął się głupkowato uśmiechać, jakby przekonywał sam siebie, że nic go to nie obchodzi. Zdał sobie sprawę, że taki sam uśmiech widział na twarzy Roberta dwie godziny wcześniej. Był pewny, że pierwsze „tak”, które Greg powiedział do słuchawki, było potwierdzeniem, że Ralph przyszedł do niego i właśnie tam jest, a drugie „tak” wyrażało prawdopodobnie zgodę na spotkanie z nią.

Zdjął płaszcz i marynarkę. Zaczął chodzić bez celu po mieszkaniu. Zajrzał do sypialni z podwójnym ponadwymiarowym łóżem, odwrócił się od niego z zamętem w głowie i wyszedł stamtąd. Zatrzymał się gwałtownie na progu pracowni Nickie. Płótna oprawione w drewniane ramy wisiały poprzekrzywiane na wszystkich ścianach. Plamy kolorów tak raziły go w oczy, że zaczął mrugać powiekami i zmarszczył czoło. Nie było tu dywanu, a Nickie najwyraźniej celowo nadepnęła na plamę turkusowej farby i rozniosła ją po całej podłodze, niczym kolorowy motyw u Pollocka. Na sztalugach rozpoznał ustawiony do góry nogami przekalkowany rysunek Augustusa Johna, gdzie linie zostały zastąpione przez kropki. Nickie wpadła na pomysł skopiowania „rytmu” rysunków Augustusa Johna i uabstrakcyjniała je, ustawiając górą do dołu. Z własnej woli oczywiście mu o tym nie powiedziała, wyjaśniła dopiero, gdy zapytał, co w całym mieszkaniu robią podwracane rysunki. Nikt by zresztą nie rozpoznał w nich śladów dzieł Johna, zresztą Nickie zabroniła mu mówić o tym komukolwiek. Ralph obrócił się. Przypuszczał, że nie ma prawa zaglądać do jej pracowni. To, że czytała jego listy, nie miało znaczenia. Otwierała je i niezdarnie zalepiała, zostawiając ślady kleju, zanim wrócił do domu. Ale taka właśnie była Nickie. Podejrzliwa, gdy nie było powodów do podejrzeń. Ale pewnego dnia, myślał ponuro, powody mogą się pojawić.

Ralph wziął prysznic, położył się do łóżka i przez pół godziny usiłował skupić uwagę na sześciu nudnych broszurach firmy produkującej napoje, dla której jego agencja miała przygotować półroczną kampanię. Agencja opracowała już szczegółowy konspekt działań, ale firma nie była z niego zadowolona. Ralph miał za zadanie powtórnie przejrzeć materiały,

żeby zobaczyć, co się da poprawić. Przychodziły mu do głowy jedynie koszmarnie kalambury. Rzygać mu się chciało od słownej gry. Ostatniego papierosa wypalił już dawno temu. Odłożył broszury na podłogę razem z konspektem kampanii i zgasił światło.

Obudził go odgłos zamykanych drzwi mieszkania. Ralph zamrugał oczami i spojrzął na zegar: była druga siedemnaście w nocy.

- Cześć - powiedziała Nickie, otwierając drzwi sypialni i wieszając się klamki. - Jak leci?

Ralph od razu się zorientował, że jest pijana. W jej zachowaniu wyczuwało się jakąś nieśmiałość, odrobinę poczucia winy.

- Boże, świetnie. Miałaś udany wieczór?

- Ta wiadomość na pewno cię ucieszy: Greg wyjeżdża z miasta jeszcze d z i s i a j - zakomunikowała i odwróciła się, zrzucając płaszcz z ramion.

Światło z salonu rozpraszało trochę mrok w sypialni, wypełniający ją przygnębiającą atmosferą. Ralph popatrzył na wzgórki, jakie tworzyły jego stopy pod bladożółtą wełnianą kołdrą.

- Dokąd jedzie? - zapytał.

Nickie ściągnęła przez głowę biały sweter z angory, strzepnęła go i powiesiła na oparciu krzesła. Nigdy nie nosiła stanika, wyzbyta była także poczucia skromności, fałszywej czy innej. Stała przodem do Ralpha z dłońmi na biodrach.

- Nie powiedział.

- Miejmy nadzieję, że do Humbert Corners czy gdziekolwiek mieszka.

- Och, nie, to na pewno nie będzie Humbert Corners. - Nickie rozpięła buty, energicznym ruchem zrzuciła je ze stóp i podeszła do szafy, rozpinając po drodze spodnie. - O co ci chodzi, Ralphie? Dlaczego mu powiedziałeś, że zamierzasz poinformować policję, gdzie jest, choć przecież dobrze wiesz, że nigdy byś tego nie zrobił? Skąd pomysł, żeby być świętszym, niż jesteś? - Powiesiła spodnie. Zastukały wieszaki.

Ralph milczał. Pamiętał ostrzeżenie, którego mu udzielono przed ślubem z Nickie. „Ona wychodzi jedynie za mężczyzn, których może wodzić za nos”.

- Dałaś mu jakieś czeki? - zapytał.

- Nie, tylko gotówkę, kochanie, i jestem pewna, że mi ją odda.

Usłyszał, jak Nickie odkręca wodę w łazience. Tego wieczoru Nickie coś się udało. Mógł się tego domyślić po jej doskonałym nastroju. Greg będzie nadal mógł prowadzić swoją gierkę, ona wsparła go moralnie. Bezsprzecznie zapewniła go, że nic mu nie grozi ze strony Ralpha. Greg pojedzie gdzieś indziej i przybierze kolejne fałszywe nazwisko. „Czym Robert

Forester tak ci zawinił?” - miał ochotę zapytać, gdy Nickie szła w piżamie w stronę łóżka, ale wiedział, że usłyszałby jedynie: „Nie twój interes, kochanie” albo „Ja mam swoje sprawy, ty masz swoje”. Napiał się, gdy padła obok niego, twarzą do dołu. Miał wrażenie, że chciała mu powiedzieć coś jeszcze. Ale nie minęła nawet minuta, kiedy usłyszał jej regularny, płytki oddech, oznaczający, że głęboko zasnęła.

17

Robert zadzwonił do Jenny w poniedziałek rano, zanim wyszła do pracy. Spytał, czy mogą się zobaczyć wieczorem.

- No cóż... Nie wiem.

Robert się roześmiał.

- Nie wiesz? Masz randkę?

- Nie.

- Chcę się spotkać dosłownie na kilka minut. Przyjadę do ciebie albo ty przyjedź do mnie. Co wolisz?

- Nie możesz teraz mi powiedzieć, o co chodzi?

- Wolałbym nie mówić o tym przez telefon. Daj mi pięć minut, Jenny. O której najbardziej by ci pasowało?

Ostatecznie umówili się, że Jenny przyjedzie do niego około dziewiątej wieczorem. Odkładając słuchawkę, Robert zmarszczył czoło. Głos Jenny brzmiał bardzo dziwnie. Bała się Grega, to pewne, i w czasie weekendu najprawdopodobniej rozmawiała z przyjaciółmi. Z ludźmi takimi jak Susie Escham. Susie należała do tego rodzaju osób, które mogły powiedzieć Jenny: „Wiesz, nie wykluczałabym, że Robert go zepchnął, ale oczywiście nawet jeśli to zrobił, i tak się do tego nie przyzna, prawda?”, tylko po to, by dolać oliwy do ognia. A ponieważ Greg znał Susie, zapewne opowiedział jej o facecie, który podglądał jej przyjaciółkę. Robert zastanawiał się, ilu ludzi podobnych do Susie mogła znać Jenny.

Późnym rankiem Nancy podeszła do stołu kreślarskiego Roberta i powiedziała mu, że Jaffe chce go widzieć w swoim gabinecie.

Robert spodziewał się tego.

- Dobrze, dziękuję, Nancy - odpowiedział odruchowo, ale w tej samej chwili strach

zmroził go jak niespodziewany strumień lodowatej wody. Wstając, spojrzął na Nancy. Sekretarka nie uśmiechała się i uciekła wzrokiem przed jego spojrzeniem.

Jaffe był bezpośrednim przełożonym Roberta. Jego gabinet znajdował się po drugiej stronie sekretariatu. Był to człowiek o kwadratowej twarzy, z wąsami i w okularach, o miękkim ciele ze skłonnością do otyłości. Robił przerwy między zdaniami, ściągał pełne wargi, wypuszczając spod wąsów syczący strumień powietrza w oczekiwaniu, aż treść jego wypowiedzi dotrze do Roberta. Najwyraźniej starał się przy tym dobierać słowa, ale nie ulegało wątpliwości, że miał sporo czasu na przemyślenie całej sprawy. Powiedział, że tego ranka dzwonił do niego „oficer policji”, a kwintesencja tego, co Jaffe miał do przekazania, była taka, że przeniesienie Roberta do Filadelfii, planowane za dziesięć dni, należy odłożyć do czasu, aż sytuacja się wyjaśni, i nie wynikało to z decyzji ani Jaffe'a, ani Gerarda - prezesa Langley Aeronautics - lecz policji, która chciała, by Robert pozostał w okolicy przez jakiś czas.

Robert skinął głową.

- Rozumiem. Mam nadzieję, że wszystko zostanie wyjaśnione w ciągu dziesięciu dni, choć, mówiąc precyzyjnie, do moich ewentualnych przenosin pozostał tylko tydzień. Nie będę, oczywiście, robił żadnych planów wyjazdowych do chwili, gdy policja wszystko wyjaśni.

Jaffe także skinął głową. Robert siedział na krześle przy ścianie, czekał i patrzył, jak Jaffe stoi niezdecydowany obok biurka, trzymając ręce w kieszeniach spodni szarego workowatego garnituru. Bardziej martwiło go to, czego Jaffe nie powiedział. Wyczuwał myśli i wątpliwości wypełniające pięciosekundowe przerwy między zdaniami i jednocześnie czuł na sobie przenikliwe i pełne wyrzutu spojrzenie brązowych oczu szefa, które wpatrywały się w Roberta przez grube szkła okularów. Robert nabrał pewności, że wspomniany oficer policji, prawdopodobnie Lippenholtz, powiedział Jaffe'owi o podglądaczu kręcącym się koło domu Jenny; niewykluczone, że przytoczył relację jego byłej żony dotyczącą epizodu ze strzelbą, a także wspomniał o leczeniu psychiatrycznym. Następnym krokiem, pomyślał Robert, będzie wyrzucenie z pracy, w formie przedłużającego się urlopu bezpłatnego.

- Mogę pana także poinformować - Jaffe mówił dalej, patrząc na blat biurka - że dostaliśmy dzisiaj list, a raczej dostał go pan Gerard, bo był adresowany do prezesa Langley Aeronautics.

Robert podążył wzrokiem za oczami Jaffe'a i zobaczył dwie kartki wypełnione pismem maszynowym, które leżały na bladoniebieskiej bibule pokrywającej blat biurka.

- To list na pański temat. Bez wątplenia napisała go chora osoba, ale mimo to... - Jaffe

popatrzył na Roberta.

- Mogę go zobaczyć? - spytał Robert.

- Tak. - Jaffe wziął kartki do ręki. - To nic przyjemnego. I proszę nie myśleć nawet przez chwilę, że w to uwierzyliśmy, panie Forester, ale... Moim zdaniem powinien pan to przeczytać. - Podał list Robertowi.

Robert zaczął czytać początek, ale zaraz potem przebiegł wzrokiem cały list napisany wyraźnymi czarnymi literami na maszynie, w której świeżo wymieniono taśmę. Wiele słów było przekreślonych, inne zawierały błędy ortograficzne. Oczywiście brakowało podpisu. Robert pomyślał jednak od razu, że to dzieło Grega. Wskazywał na to pełen goryczy, napastliwy ton. Była tu opisana historia podglądacza, incydent ze strzelbą - w wersji Nickie - na końcu zaś oświadczenie, że Forester wykorzystuje „swoją nikczemny psychopatyczny urok wobec Jenny Thierolf, nadzwyczaj niewinnej dwudziestotrzyletniej dziewczyny, i doprowadził już do zerwania jej zaręczyn...” W ostatnim akapicie autor napisał, że jest przyjacielem Grega Wyncoopa i chce z sobie wiadomych przyczyn pozostać anonimowy, niemniej zależy mu, by sprawiedliwości stało się zadość. „Żadna szanująca się firma, taka jak Langley Aeronautics, nie powinna...” Robert wstał i chciał oddać list Jaffe'owi, ale ponieważ szef siedział nieporuszony, odłożył kartki na biurko.

- Uważam, że to Wyncoop napisał ten list - powiedział. - Z jakiego miasta był stempel na znaczku?

- Z Nowego Jorku, z Grand Central - odpowiedział Jaffe.

- Panie Jaffe - mówił Robert, stojąc - bardzo mi przykro z powodu tego listu, ale mam podstawy przypuszczać, że Wyncoop żyje, i jeśli tylko policja naprawdę się postara, na pewno go odnajdzie.

- A na czym pan opiera to przypuszczenie?

- Przede wszystkim na tym, że nie wrzuciłem go do Delaware, a potwierdza to ten właśnie list. Moim zdaniem napisał go Wyncoop. Sądzę, że ukrywa się w Nowym Jorku.

- No cóż... - Jaffe pogładził się po wąsach. - Czy w tym liście jest coś zgodnego z prawdą, panie Forester?

Robert spojrział na zapisane czarnymi literami strony, zaczął obmyślać wyczerpującą odpowiedź, ale zaraz pokręcił głową i powiedział:

- Nie. Tak, jak to jest tu opisane, nie. To zupełna nieprawda.

Jaffe wpatrywał się w niego bez słowa, bo albo nie wiedział, co powiedzieć, albo czekał, aż Robert coś jeszcze wyjaśni.

- Panie Jaffe, powinienem chyba dodać, że Wyncoop myli się co do moich zamiarów

wobec Jenny Thierolf. Nie mam żadnych. Nie powinno dojść do tej bójki, bo nie było o co się bić. To wszystko nie musiało tak się potoczyć.

Jaffe nadal się w niego wpatrywał. W końcu skinął głową.

- W porządku, panie Forester. Dziękuję, że pan przyszedł.

Jak zwykle w południe Robert zjadł lunch z Jackiem Nielsonem w „Hangar Diner” po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko zakładów. Zazwyczaj jadło z nimi dwóch kolegów, Sam Donovan i Ernie Cioffi, ale dzisiaj byli sami. Nawet jeśli to Jack zaaranżował taką sytuację, żeby zostali we dwóch, Robert niczego nie zauważył. Przemknęło mu zresztą przez głowę, że Sam i Ernie celowo go dziś unikali. Mogli pomyśleć, że Jaffe go zwolnił. Na pewno wszyscy w pracowni kreślarskiej wiedzieli o tym, że Jaffe wezwał go rano. Opowiedział Jackowi o przełożeniu wyjazdu do Filadelfii, o paszkwilanckim liście na jego temat z nowojorskim stemplem pocztowym, który trafił do rąk Gerarda, i o tym, że w jego przekonaniu to Greg wysłał ten anonim.

- Co było w tym liście?

Robert zawahał się. Palił papierosa, choć jedzenie stało już na stole.

- Powiem ci pewnego dnia. Wolalbym dzisiaj już tego nie rozgrzebywać. Dobrze, Jack?

- W porządku.

- Obiecuję, że ci powiem - mówił Robert, patrząc na niego. A potem zgasił papierosa i zabrał się do jedzenia.

- Nie ma pośpiechu, wytrzymam parę dni - odpowiedział Jack zwyczajnym tonem, jakby miał inne wyjście.

Prosto z pracy Robert pojechał do dentysty w Langley, który założył mu koronkę na złamany ząb. Już dwukrotnie przekładał tę wizytę. Zdaniem Roberta ząb był zbyt biały, ale dentysta go zapewnił, że ściemnieje, i dodał, że jest „praktycznie niezniszczalny”, ale Robert i tak nie miał najmniejszej ochoty tego sprawdzać nawet na twardym jabłku.

Jenny przyjechała o dziewiątej. Była poważna i milcząca. Robert przygotował dzbanek espresso i zaproponował jej brandy. Usiedli - ona na czerwonej kanapie, on w skórzanym fotelu. Pomiedzy nimi stał stolik do kawy.

- Nadal nie dokończyłam swetra dla ciebie - odezwała się Jenny. - Muszę jeszcze dorobić kawałek jednego rękawa.

Po raz pierwszy wspomniała o swetrze.

- Będę bardzo dbał o ten sweter - odpowiedział Robert. - Nigdy przedtem nikt nie zrobił dla mnie swetra.

Skinęła mu głową, trochę nieobecna. Pod oczami miała niewielkie sinawe kręgi.

- Co chciałeś mi powiedzieć? - zapytała.

- No więc w niedzielę wieczorem pojechałem do Nowego Jorku. Odwiedziłem Nickie. Widziałem się też z jej mężem. Podejrzewam, że wiedzą, gdzie jest Greg, a moim zdaniem on jest w Nowym Jorku.

- Dlaczego?

- Bo znam Nickie, to wszystko. Wiem, w jaki sposób żartuje, w jaki oszukuje, jak wygląda, kiedy kłamie. Uważam, że Greg zaszył się w jednym z nowojorskich hoteli. Nickie wie, w którym. Na dodatek prezes Langley Aeronautics dostał dziś rano list wysłany z Nowego Jorku, a ja mam przeczucie, że Greg go napisał. Czytałem ten list.

- Co w nim było?

Robert wstał, wyjął z kieszeni zapalniczkę i przypalił sobie papierosa.

- Właśnie to, czego można się spodziewać po Gregu. O podglądaniu, o tym, że jestem psychopatą, bo tak twierdzi moja była żona. Nie, bo tak twierdzą wszyscy, którzy mnie znają - tak to zostało ujęte. Brakowało podpisu. List napisał rzekomo jakiś przyjaciel Grega. - Jenny wpatrywała się w niego, a on pomyślał, że rano Jaffe przyglądał mu się dokładnie tak samo, tyle że twarz Jenny wyrażała większy smutek. - Zadzwoiłem też na policję w Nowym Jorku, bez względu na to, jaki efekt to przyniesie. Powiedziałem, że powinni zacząć szukać Grega w nowojorskich hotelach. Choć oczywiście mógł się zatrzymać u któregoś z przyjaciół. Musiałem od nowa podać im szczegółowy rysopis Grega. Najwyraźniej nie mieli żadnego, w każdym razie w tym komisariacie, do którego dzwoniłem. Nowojorska policja uważa, że to sprawa policji z Pensylwanii. Domyślałem się, że moje żądanie nie zrobiło wielkiego wrażenia. Oczywiście podałem swoje nazwisko. Jenny, o co chodzi?

Wyglądała, jakby miała się rozplakać.

Robert usiadł obok niej na kanapie, bardzo delikatnie objął ją ramieniem, ale za chwilę je cofnął.

- Napij się brandy. Nawet jej nie tknęłaś.

Jenny wzięła kieliszek, ale nie piła.

- Widziałam się wczoraj z Tesserami - powiedziała. - Dzwoniłam do ciebie wieczorem, ale nie odbierałeś, więc wpadłam do nich. Zostałam u nich tylko pół godziny, tak mnie rozzłościł. Teraz oni powtarzają, że to ty jesteś tym podglądaczem i być może zabiłeś Grega, a poza tym zachowujesz w tej sytuacji niesłychanie zimną krew.

- Och, Jenny. Czy to nie jest po prostu naturalne? To znaczy... Co, do diabła, mogą o mnie wiedzieć?

- Co masz na myśli?

Zaniepokojenie widoczne w jej oczach sprawiło, że się uśmiechnął.

- Tylko tyle, że widzieli mnie raz czy dwa, prawda? I mówiąc szczerze, wydaje mi się, że są trochę głupi.

- Głupi?

Od razu pożałował tego, co powiedział, bo nie powinien używać takich słów.

- No, weźmy przykład. Co ja mogę o nich myśleć? Też widziałem ich tylko w tamten wieczór. Dick nie mógł utrzymać drinka w ręku. Dlaczego niby miałbym mieć o nich jak najlepsze zdanie?

- Są moimi przyjaciółmi.

- Wiem, Jenny, ale mówimy o powierzchownych osądach. Zgodzisz się chyba? -
Wstał. - W porządku, nie będę osądzał Dicka. To było tylko raz, a on był pijany.

- Tamtego wieczoru trzymał twoją stronę.

- Ale najwyraźniej zmienił melodię.

- Tak. I Naomi też.

Robert wsunął ręce do kieszeni.

- I bardzo dobrze. Ciebie też przekabacili?

Jenny podniosła się z kanapy.

- Powiedziałam ci, że wyszłam od nich, bo nie podobało mi się to, co mówili. -
Ruszyła w stronę łazienki, odwróciła się i zabrała kopertową torebkę z kanapy.

- Jenny...

Nie zatrzymując się, weszła do łazienki i zdecydowanym ruchem zamknęła za sobą drzwi. Słysząc było wodę lejącą się do umywalki. Robert, ze zmarszczonym czołem, palił, sącząc brandy, której sobie dolał. Jenny wróciła.

- Jenny, powiedz, o co chodzi... W końcu, po wydarzeniach tego tygodnia, mogę stawić czoło wszystkiemu.

Jenny milczała, stała z torebką w ręku i nawet na niego nie patrzyła.

- Kiedy prosiłem, żebyś przyjechała do mnie dziś wieczorem, myślałem, że zainteresuje cię to, co mam do powiedzenia. Wiem, nie ma tego wiele. Nic też nie jest jeszcze pewne, ale... - Miał wrażenie, że go w ogóle nie słucha. - Nie usiądziesz i nie skończysz kawy i brandy?

Dopiero teraz na niego spojrzała, smutna i nieobecna myślami.

- Nie. Będzie lepiej, jak pójdę.

- Jenny, o co chodzi? Jeśli uważasz, że wrzuciłem Grega do rzeki, powiedz to!

Powiedz cokolwiek.

Jenny podeszła do kominka - pustego i wyczyszczonego, bo Robert wymiół popiół. Zapatrzyła się w miejsce, gdzie kiedyś płonął ogień. Wydała się Robertowi szczuplejsza, jeszcze chudsza niż wtedy, gdy jedli razem obiad w „Jasserie Chains”.

- Z kim jeszcze widziałas się w ten weekend? - zapytał.

Popatrzyła na niego, wzruszyła lekko ramionami, jak dziecko, które nie chce odpowiadać na pytania natarczywego dorosłego.

- W niedzielę pojechałam do pani Van Vleet.

Robert jęknął.

- Coś musiała ci powiedzieć, prawda?

- Zajrzałam do pokoju Grega. Razem z nią.

Robert zmarszczył czoło, zniecierpliwiony.

- Dowiedziałaś się czegoś dzięki temu?

- Nie. Myślałam, że może znajdę jakiś ślad, ale niczego tam nie było.

- Może zniknęło więcej jego rzeczy? - Robert zapalił kolejnego papierosa. - Nie brakowało walizki lub czegokolwiek?

- Chyba nie powinnam się więcej z tobą spotykać, Robercie. - Jenny spojrzała na niego z urazą.

To go zaszokowało.

- Dobrze, Jenny. Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

Potwierdziła skinieniem głowy. A potem bardzo sztywno, jakby skrepowana, wzięła ze stolika swoją paczkę papierosów, z której nie wypaliła nawet jednego, schowała ją do torebki, a potem podeszła do szafy po płaszcz. Robert sięgnął po niego pierwszy i pomógł jej się ubrać. Miał wrażenie, że unika jego dotyku, że kuli ramiona, tak by jego dłonie nie zetknęły się z jej ciałem.

- Nie musisz mi mówić, co pani Van Vleet ci powiedziała - odezwał się Robert. - Myślę, że wiem.

- Nie o to chodzi - powiedziała już przy drzwiach. - Żegnaj, Robercie.

Tej nocy Jenny nie spała. Nie poszła do pracy następnego dnia, choć był wtorek. W poniedziałek nawet nie położyła się do łóżka. Chodziła po domu, siadała na kilka minut i czytała fragmenty poezji z różnych książek. Stojąc w czarnym oknie, patrzyła na zewnątrz i wsłuchiwała się w pohukiwania sowy - to jeden z symboli śmierci, pomyślała. Poleżała chwilę na łóżku, ale przy zapalonym świetle, z rękami założonymi pod głowę. Miała na sobie jedynie krótki szlafrok frotte. W którymś momencie, wydawało się, że wieki temu, wzięła kąpiel. Przypomniła się jej braciszek Eddie, który gdy mama w sobotnie i środowe wieczory - a może było to trzy razy w tygodniu - kazała mu iść się wykapać, mówił pełnym niedowierzania i przerażenia głosem: „Kąpielka?” Miał wtedy osiem lub dziewięć lat. Mały Eddie umarł w wieku dwunastu lat. Od tamtej pory minęło już tyle czasu, że chwilami wydawało się jej, jakby był jej własnym dzieckiem.

We wtorek o świcie zasnęła i obudziła się dopiero o jedenastej. Pomyślała o poczcie, dostarczanej o dziesiątej, ale listy w ogóle jej nie interesowały. Zadzwoiła do banku i powiedziała Steve'owi, który odebrał telefon, że źle się czuje i nie przyjdzie do pracy. Było już po dwunastej, kiedy włożyła dżinsy i bluzkę, a potem wyszła, żeby wyjąć listy ze skrzynki. Dostała jedynie reklamówkę sklepu odzieżowego z Rittersville. Dopiero wtedy dostrzegła leżącą płasko na dnie skrzynki żółtą pocztówkę z pismem Roberta. Kolejna kartka z ptaszkiem. „Złomniejszy zwany też «Perypatetycznym Parakletem». Występowanie: mroczne doliny. Ubarwienie: ciemnoniebieskie z czarnymi obwódkami. Głos: «Niezgorzej!, Niezgorzej!»” Jenny nie uśmiechnęła się. Prawie nie widziała rysunku. Ale pamiętała, jaka była szczęśliwa tego dnia, kiedy Robert pokazał jej suszarka. Rzuciła obie kartki na stolik do kawy stojący przy sofie. Trzy lub cztery dni temu przeżyła dziwny wstrząs, przypominający atak strachu, kiedy spojrzała na pocztówki z ptaszkami narysowane przez Roberta. Trzymała je w małym albumie z okładkami z niebieskiego jedwabiu w górnej szufladzie na piętrze. Teraz już się ich nie bała.

Wypowiedziała głośno słowo „śmierć” kilka razy, smakując je i czując na języku. Brat Śmierć - tak ją nazwał Robert, udając, że nie lubi snu, w którym się pojawiała, ale Jenny była pewna, że to nieprawda. Powinna się tego domyślić już tamtego dnia, kiedy jej o tym opowiadał, pomyślała. A teraz - zastanawiała się, czy Robert tak naprawdę wie? Wiedzieć, symbolizować, być - uznała, że człowiek może coś symbolizować i czymś być, nie wiedząc o

tym. To było dziwne. Robert mógł być kimś w rodzaju medium. Zresztą nieważne, śmierć miała go w garści, powstrzymywała przed ślubem z Jenny, a nawet przed całowaniem się z nią, i to więcej niż raz.

W kuchni naląła sobie pół szklanki whisky i wypła bez lodu ani wody. Poczytała jeszcze trochę poezji. Keatsa. A potem Dylana Thomasa. Opuściła rolety w salonie i wyszła na zewnątrz, żeby zamknąć okiennice na kuchennym oknie. Kiedy się czyta przy sztucznym świetle, ma się wrażenie, że zapadła już noc, a ona wyglądała jej z niecierpliwością. Robert powiedział, że tak robił, zanim ją poznał. Myślała o telefonie do Susie, bo chciała ją poprosić o podlewanie kwiatów, a także powiedzieć, że ma się tu czuć jak u siebie i korzystać ze wszystkich rzeczy - matka Jenny się o tym nie dowie, a nawet gdyby, to i tak niewiele ją to obejdzie, przecież do tej pory ani razu nie odwiedziła córki - ale nagle wszelkie plany i rzeczy materialne przestały być ważne. Czy powinna zostawić wiadomość dla matki? Zwykły list mógłby złagodzić melodramatyczny aspekt, ale nie przychodziły jej do głowy żadne odpowiednie słowa - może takie słowa w ogóle nie istniały? Skończyła pić whisky przed szóstą. Naląła sobie kolejne pół szklanki. Mimo to w butelce nadal pozostała jedna trzecia.

Około dziewiątej siedziała w salonie, ponownie ubrana jedynie w niebieski szlafrok frotte, z resztką drinka, którego sobie naląła trzy godziny wcześniej. Wpatrywała się w wytarte boki swoich żółtych indiańskich mokasynów, które były jej zdaniem ohydne, ale bardzo wygodne, i myślała o wszystkich krokach, które zrobiła, prawdopodobnie w jakimś celu, żeby je tak znieść. Przez dziurę na nosku widziała białoróżową skórę wielkiego palca u stopy. Nie miała żadnych rachunków do zapłacenia poza telefonicznym i za prąd, przemknęło jej przez głowę, ale na koncie w banku było dość pieniędzy, żeby je pokryć. Starczy też na zapłacenie czynszu aż do chwili, gdy jej gospodarz, pan Cavanaugh, ponownie wynajmie komuś to miejsce. Nie warto było fatygować się wypisywaniem czeków na te opłaty. Przez sekundę wyobraziła sobie przerażenie i zaskoczenie rodziców, kiedy się o tym dowiedzą, ale to także wydało się jej nieważne i odległe, a poza tym jej życie należało do niej i mogła z nim zrobić, co chciała. Kiedy sączyła whisky, pomyślała o Robercie, który kilka dni wcześniej otworzył tę butelkę i przyrządził im obojgu drinki. Cieszyła się, że pił z tej samej butelki.

Dzwonek telefonu przestraszył ją. Podeszła do aparatu bardzo powoli.

- Cześć - usłyszała głos Susie. - Co porabiasz?

- Nic.

- Pomyślałam, że może wpadnę. Będiesz oglądać Roba Malloya o dziesiątej?

- Nie.

- Co się dzieje? Płaczesz?

- Oczywiście, że nie.

- Twój głos jakoś śmiesznie brzmi. Coś się stało?

- Nic... się nie stało.

- A co z Robertem? M a m n a d z i e j ę , że się z nim pożegnałaś?

- Tak - odpowiedziała Jenny.

- No cóż, to boli przez kilka dni, ale ci przejdzie. Jen, to co, mogę wpaść?

- Nie, proszę, nie przychodź. Nic mi nie jest. Prawdę mówiąc, piję właśnie szkoocką. - Pomyślała, że zabrzmiało to trochę optymistyczniej.

- Jest ktoś u ciebie?

- Nie.

- Samotna pijaczka! - powiedziała Susie ze śmiechem. - Jenny, wiem, że rozpaczasz po tym facecie, ale nie przedłużaj tego, dobrze? Mówię z własnego doświadczenia. Czy Greg się zjawi, czy nie, sama mi wyznałaś, że Robert był tym podglądaczem. Jezu, Jenny, dlaczego tak d ł u g o to ukrywałaś?

Tak, powiedziała jej o tym w niedzielę, i co z tego?

- To szczegół praktycznie bez znaczeni-ia - odpowiedziała Jenny.

- Musiałaś całkiem sporo wypić. Co? Jadę do ciebie, Jen.

Jenny odłożyła słuchawkę, usiłowała zrobić to szybciej od Susie, ale była tak powolna, że usłyszała kliknięcie świadczące o tym, że Susie rozłączyła się pierwsza. Jenny weszła po schodach do łazienki na górze i skierowała się prosto - wolno, ale bez wahania - do szafki z lekarstwami, gdzie trzymała seconal. Stały tam trzy buteleczki tego leku, jedna zabrana z szafki Roberta poprzedniego wieczoru i dwie, które ukradła z walizki Grega, kiedy przywiózł jej buteleczkę seconalu dla Roberta. Oczywiście nie powiedziała mu, że to dla Roberta. Skłamała, że to jej potrzebny jest ten lek. Musiała uciec się do niewielkiej perswazji, bo Greg nie chciał, żeby zażywała środki nasenne. Ale z drugiej strony zyskał dzięki temu sposobność, żeby się z nią zobaczyć, dlatego przyjechał, i choć się o to pokłócili, ostatecznie dał jej proszki. A potem, kiedy wyszedł na chwilę z pokoju, wyjęła z jego walizki takie same dwie buteleczki z czerwonymi pastylkami, które tam dostrzegła. Greg prawdopodobnie nigdy nie zauważył ich braku. Dwa tygodnie później zaginął. Jenny wyobrażała sobie ciało Grega poharatane przez skały albo jakąś podtopioną kłodę, zaplątane w podwodne wodorosty. Może jego zwłoki nigdy nie wypłyną na powierzchnię, nigdy nie zostaną odnalezione. Nie potrafiła już pojąć, dlaczego przez tyle dni myślała, że Robert nie wrzucił go do rzeki i że Greg żyje. Pani Van Vleet od początku nie miała wątpliwości, że Robert go utopił. Jej rodzice też byli o tym przekonani. Jenny powiedziała im, gdy zadzwonili w niedzielę po południu, że Robert

przez jakiś czas podglądał ją przez okno w kuchni. Jenny nie przedstawiła tego matce tak, jakby stało się coś strasznego albo jakby Robert coś złego jej zrobił, ale i tak matka przeżyła szok. Opowiedziała o tym ojcu i oboje wymusili na niej obietnicę, że przestanie się z nim widywać. Chcieli, żeby wróciła do domu, a ona się zgodziła i zapewniła ich, że przyjedzie w środę lub czwartek. Pomyślała wtedy, że jej ciało na pewno się tam znajdzie.

Pośpiesznie łykała tabletki, popijając je wodą z czerwonego plastikowego kubka do płukania ust. Kiedy nie została ani jedna, przestraszyła się, że zażyła ich zbyt wiele i żołądek tego nie wytrzyma. Ale teraz niewiele mogła na to poradzić. Z górnej półki szafki wzięła rozdartą paczkę żyletek i zeszła na dół. Nagle poczuła, że potrafi napisać pożegnalny list. Ze stosiku kartek, na których zapisywała wiadomości dla mleczarza, wzięła jedną, znalazła ogryzek ołówka i zaczęła pisać, stojąc przy kuchennym blacie:

Najdroższy Robertcie,

naprawdę Cię kocham. Teraz zupełnie inaczej i znacznie głębiej. Teraz rozumiem ciebie i wszystko inne. Dopiero niedawno odkryłam, że symbolizujesz śmierć, przynajmniej dla mnie. Takie było moje przeznaczenie. Nie wiem, czy jestem zadowolona, czy jest mi przykro, ale na pewno wiem, co powinno być...

Spojrzała w róg kuchni. To, co napisała, wydało się jej strasznie suche. Powinna zakończyć w piękny i łagodny sposób, żeby Robert nie pomyślał, że była zła albo smutna, ale do głowy przychodziło jej tylko: „odejść o północy bez bólu”.

Otworzyła kuchenne drzwi z tyłu domu. Na zewnątrz zapadał zmrok. Szczęściem Susie potrzebowała co najmniej piętnastu minut na zrobienie makijażu albo zmianę ubrania czy cokolwiek, nawet jeśli mówiła, że od razu wychodzi, tyle że Jenny nie była pewna, ile czasu minęło od telefonu Susie. Obróciła się, zaczęła iść do salonu, żeby dopić szkoocką, porzuciła jednak ten pomysł, podeszła do półki pod gramofonem i wyjęła stamtąd niedokończony sweter dla Roberta, z drutami sterczącymi z końca rękawa. Z błogim uśmiechem na ustach, wzięła do ręki kartkę od Roberta ze „złomniejszym” i razem z robótką wyniosła na podwórze. Drzwi kuchenne zatrasnęły się za nią. Teraz dom był zamknięty, klucze znajdowały się w środku, a ona nie wejdzie tam nigdy więcej. Szła ostrożnie po pasie trawy rosnącej wzdłuż podjazdu, bo gdzieś jakoś zdjęła z nóg mokasyny. Małe kamyczki raniły jej stopy, ale wkrótce znalazła się na bujniejszej, suchej murawie łąki. Robert kiedyś tam wystawał. Obróciła się, żeby spojrzeć na kuchenne okno, to samo, w które tak często patrzył. Okiennice tworzyły dwa ciemniejsze prostokąty, obramowane światłem. Szła przed

siebie, aż znalazła się daleko poza zasięgiem światła padającego z okien na piętrze domu. W lewej kieszeni namacała pudełeczko z żyletkami. Musiała zabrać je z szafki z lekarstwami, ale zupełnie nie pamiętała, kiedy to zrobiła.

Samochód skręcił na podjazd. Jenny położyła się w wysokiej trawie, zanurzyła w ciemności, przytuliła policzek do białego swetra, w prawej dłoni trzymała złożoną na pół kartkę z narysowanym ptaszkiem. Reflektory samochodu jej nie dosięgały, ale mimo to miała wrażenie, że jest zbyt widoczna w jasnym szlafroku. Przycisnęła twarz mocniej do ziemi. Nienawidziła Susie, nienawidziła ludzi. Drzwi samochodu zatrzasnęły się głośno. Usłyszała, jak Susie puka, czeka bardzo krótką chwilę, a potem próbuje otworzyć drzwi.

- Jenny! To ja, Susie! Otwórz! - Puk, puk, puk do drzwi.

Jenny pomyślała, że Susie nie dostanie się do środka nawet przez okno. Pamiętała doskonale, że w którymś momencie pozamykała wszystkie okna na dole, bo chciała zatrzymać powietrze, które było w domu i już tam zostało.

- J e n n y ! - głos Susie był piskliwy i irytujący. Okrążyła dom, by podejść do frontowych drzwi.

Jenny rozłożyła ramiona na rozciągniętych na trawie rękawach swetra. Ona, Robert i śmierć obejmowali ziemię. P u k , p u k , p u k . To kołatka przy drzwiach. Jenny zastanawiała się, jak długo będzie to trwało. Usłyszała bang! w uszach i miała wrażenie, że mknie na czymś szybkim i gładkim. To był efekt wywołany proszkami nasennymi. Uniosła głowę, by wziąć głęboki oddech. Może Susie wezwie policję, zanim pigułki naprawdę zaczną działać. Dlaczego nie pogasiła świateł i nie pojechała gdzieś samochodem? Pomyślała, że dobrze byłoby odejść jeszcze dalej od domu, ale bała się podnieść, bo stałaby się widoczna.

- Jenny, to ja, Susie! - Susie zdawała się wołać aż pod niebo. - Wiem, że tam jesteś! Wpuść mnie! Albo chociaż powiedz coś! Przez okno! - A potem, po chwili: - Jenny, jesteś sama? - I znowu dobijała się do kuchennych drzwi.

Przeleciał nad nią kruk, kracząc. Trochę późno dla kruka na latanie po nocy, pomyślała Jenny. Ptak był czarny. Odpowiedni.

Ponownie usłyszała głos Susie, teraz jednak bardziej odległy, bo Jenny dzwoniło w uszach. W brzuchu jej zaburczało. Zobaczyła pęknięcie górskiego zbocza, odsłaniające jaskinię pyszniącą się stalaktytami i stalagmitami, białymi, różowymi i ciemnoróżowymi, niemal łososiowymi. Była tam woda, podziemna rzeka, w której pływały ślepe ryby. Ryby były białe i niezbyt duże. Na powierzchni unosiła się lekka łódka, a potem Jenny zorientowała się, że sama idzie po tafli wody. Mimo że wokół panowała ciemność, Jenny wszystko widziała. A potem poziom rzeki podniósł się i zmoczył jej kostki, woda okazała się bardzo

zimna, ale jednocześnie odświeżająca. Wyciągnęła rękę i dotknęła zimnego, wilgotnego stalaktytu, musnęła kroplę czystej wody na jego wierzchołku i przez chwilę trzymała ją na opuszcze palca, dopóki woda nie spłynęła. Jenny! Głos wydobywał się z bezdennej czerni wypełniającej otchłań jaskini. Jenny przetoczyła się na bok, czuła własny ciężar napierający na ziemię, jakby jej ciało dziesięciokrotnie zwiększyło wagę. Wyjęła żyłki z kieszeni. Odwinęła z papierka jedną i przejechała nią po wewnętrznej stronie lewego nadgarstka. Było zbyt ciemno, by mogła cokolwiek zobaczyć, a może miała zamknięte powieki, poczuła jednak ciepłą krew, spływającą po uniesionym ramieniu, a potem wiatr owiał jej rękę, ochładzając ją. Podciągnęła prawy rękaw i wcisnęła ostrze w ciało najmocniej, jak mogła, robiąc krzyżowe nacięcie. Ramię ugięło się pod naciskiem. Rana nie była tak głęboka, jak się spodziewała, ale może wystarczy. Jenny położyła głowę na ziemi i odprężyła się. Co kilka sekund czuła pulsowanie w obu nadgarstkach. Strużki krwi spływały na biały sweter. Wdychała zapach wełny. Pamiętała, że często, kiedy robiła na drutach, unosiła sweter do nosa i zamykała oczy aż do chwili, gdy zapach zdawał się utożsamiać z Robertem.

Widziała go, jak wbiega po schodach, pokonując po dwa, trzy stopnie naraz. Miał na sobie ciemne spodnie i białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Przystanął i obejrzał się za siebie, uśmiechnął się i biegł dalej, przeskakując stopnie. Jenny zapłakała cicho, niczym dziecko. Postać Roberta zmniejszyła się i był teraz małym chudym chłopcem w szortach, blondynkiem, który przystanął i wyszczerzył do niej w uśmiechu dwa duże, białe, przednie zęby. To był jej nieżyjący młodszy braciszek.

19

Telefon w mieszkaniu Roberta zadzwonił we wtorek tuż przed północą.

- Mówi Ralph Jurgen - odezwał się cichy głos w słuchawce. - Dzwonię, żeby powiedzieć, że Wyncoop był zameldowany przez... przez kilka ostatnich dni jako John Gresham w hotelu „Sussex Arms” w Nowym Jorku.

- O! Jest tam nadal?

- Nie. Wyprowadził się. Wymeldował się w niedzielę wieczorem. Tyle wiem.

- Aha. - Robert ścisnął mocniej słuchawkę. - Czy Nickie wie, gdzie on teraz jest?

- Naprawdę nie mam pojęcia. Zresztą nawet gdyby wiedziała, i tak by mi nie

zdradziła.

- Wiem, wiem. Jak długo...

- Posłuchaj Bob, chcę cię prosić o jedno. Nie obchodzi mnie, czy zawiadomisz o tym policję, choć właściwie to dzwonię dlatego, żebyś im powiedział. Ale nie chcę, żeby moje nazwisko zostało wymienione jako...

- Jasne. W porządku - odpowiedział Robert.

- Rozumiesz mnie, prawda?

- Tak, rozumiem. Nie martw się, Ralph.

- Tylko tyle chciałem ci powiedzieć, Bob. Do widzenia.

Robert odłożył wolno słuchawkę na widełki. Uśmiechnął się. A potem klasnął głośno w dłoń uniesioną nad głowę. „John Gresham! John Gresham!” Podniósł słuchawkę i wybrał numer Jenny. Po kilku sygnałach rozłączył się i ponownie wykręcił numer, bo pomyślał, że może źle się połączył za pierwszym razem. Jenny nie odbierała. Przyszło mu do głowy, żeby zadzwonić do Susie Escham, bo Jenny mogła być u niej, ale zrezygnował. Wiadomość mogła poczekać do jutra. Odłożył słuchawkę, stał zamyślony przez kilka sekund, a potem ponownie uniósł słuchawkę i zadzwonił na policję w Rittersville.

Detektywa Lippenholtza nie było na służbie. Robert nie zdawał sobie do tej pory sprawy, że jego przypadek zakwalifikowano jako kryminalny.

- Mam dla niego ważną wiadomość - powiedział Robert i powtórzył dyżurnemu wszystko, czego dowiedział się od Ralpha.

Policjant zapytał, przez ile dni Greg mieszkał w „Sussex Arms”.

- Nie wiem, ale z ustaleniem tego nie powinno być problemu. Wystarczy zapytać w hotelu.

- Kim jest przyjaciel, który do pana dzwonił?

- Wolałbym nie podawać nazwiska. Prosił mnie o to.

- To dla nas ważne, panie Forester, musimy je znać. Bo jak inaczej sprawdzimy...

- Zapytajcie w „Sussex” jak wyglądał Gresham. To chyba wystarczy?

- No cóż, nie wystarczy. Pański przyjaciel mógł po prostu widzieć kogoś podobnego do Wyncoopa. Czy on w ogóle zna Wyncoopa?

- Tak. To znaczy jestem pewny, że go widział... i prawdopodobnie z nim rozmawiał. - Robert nie był tego pewny.

Rozmowa przeciągała się. Czy Robert znał przynajmniej nazwisko tego przyjaciela?

- Tak, znam jego nazwisko, ale obiecałem, że go nie wymienię. Przepraszam, ale nic nie mogę na to poradzić.

- Wyświadczyłyby pan i nam, i sobie przysługę.
- Ale nie przysłużyłbym się przyjacielowi z Nowego Jorku.

Mężczyzna na drugim końcu linii telefonicznej w końcu ustąpił, choć było słychać, że jest rozczarowany. Obiecał jednak przekazać wiadomość detektywowi Lippenholtzowi.

Pewnie zrozumiał, że nowojorski przyjaciel musiał pomagać Wyncoopowi, pomyślał Robert. Lippenholtz na pewno miałby takie podejrzenie. Jeśli wróci to do Ralpa niczym bumerang, kiedy Lippenholtz będzie sprawdzał Nickie, to już zmartwienie Ralpa, który prawdopodobnie od dziesięciu dni wiedział o miejscu pobytu Grega.

Robert położył się do łóżka, ale po bezsennej godzinie wstał, żeby wziąć seconal. Buteleczki jednak nie było w szafce z lekami. Wrócił na górę, żeby sprawdzić, czy nie zostawił jej na szafce nocnej obok łóżka, przeszukał niewielką sypialnię, a potem zszedł i rozejrzał się w kuchni. Szukał jej też w salonie. Po jakimś czasie dał spokój. Pomyślał, że pewnie znajdzie ją przypadkiem w najmniej spodziewanym miejscu, gdzie postawił ją w chwili roztargnienia, na przykład w lodówce. Ale w lodówce także jej nie znalazł. Wrócił do łóżka.

Następnego ranka, krótko po dziewiątej, Robert namówił Jacka Nielsona, żeby zapalili w tylnym korytarzu. Palenie było dozwolone w kreślarni, ale pracownicy woleli wychodzić na papierosa w poblize schodów ewakuacyjnych, bo tam mogli swobodniej porozmawiać i nie czuli się skrępowani. Korytarz pomalowano na szaro i czarno, brakowało tam czegoś do siedzenia, ale, jak mawiał Jack, było to jedyne miejsce w Langley Aeronautics, gdzie człowiek nie czuł się jak złota rybka. Robert przekazał Jackowi wiadomość, którą usłyszał poprzedniej nocy od Ralpa. Chciał opowiedzieć o tym jakby od niechcienia, nim jednak dokończył pierwsze zdanie, uśmiechał się szeroko, jak chłopiec.

- To dopiero nowina! - powiedział Jack, także się uśmiechając. - Do diabła, to się rozniesie w okamgnieniu! Gliniarze go znajdą. Muszą. Kim jest ten przyjaciel z Nowego Jorku?

- Nie powinienem tego nikomu mówić. Rozumiesz... facet ma ważną posadę. Nie chce, żeby jego nazwisko dostało się do gazet.

Jack pokiwał głową.

- I tak przez przypadek zauważył Wyncoopa? Na pewno?

- Nie wiem. Ale jestem pewny, że na jego słowach można polegać.

- Zaraz zadzwonię do Betty, niech też się dowie - powiedział Jack.

Tuż po dziesiątej Roberta zawołano do telefonu. Miał akurat naradę razem z szefem produkcji w gabinecie Jaffe'a, kiedy weszła tam Nancy z wiadomością dla Roberta, a on

wiedząc, jak bardzo Jaffe tego nie znosi, poprosił, żeby zapisała numer telefonu i przekazała rozmówcy, że oddzwoni. Nancy wyszła, ale wróciła po niecałej minucie.

- Mówią, że to bardzo pilne.

Robert przeprosił, zmieszany widokiem zmarszczonego czoła szefa. Bez wątpienia dzwonił z policji i Jaffe o tym wiedział.

- Panie Forester, sprawdziliśmy w hotelu „Sussex Arms” w Nowym Jorku. Rysopis Johna Greshama się zgadza - powiedział Lippenholtz wolno i spokojnie. - To znaczy przypomina Wyncoopa.

- To dobrze. Wie pan może, czy nowojorska policja w ogóle poszukuje Wyncoopa? A jeśli tak, to czy się do tego przykłada?

- Szukają go - odpowiedział Lippenholtz. - Ale tak naprawdę to niczego nie dowodzi, panie Forester. Gdyby jednak podał nam pan nazwisko przyjaciela, który...

- Wyjaśniłem to już jednemu z panów, że ten przyjaciel nie chce ujawniać nazwiska.

- Nawet jeśli go zapewnię, że nie przedostanie się ono do prasy?

- Nawet wtedy, jestem o tym przekonany.

Lippenholtz chrząknął.

- Czy to ma coś wspólnego z pańską żoną? Z pańską byłą żoną?

- Raczej nie. Nie, nie ma.

Kolejne chrząknięcie.

- Panie Forester, dostaliśmy dziś rano złą wiadomość. Pan pewnie jeszcze o niczym nie wie. A może wie pan?

- Nie. A co się stało?

- Jennifer Thierolf została znaleziona martwa dziś około ósmej rano niedaleko...

- J e n n y ?

- Przedawkowała proszki nasenne. Mleczarz znalazł ją rano na łące za jej domem. Lekarz mówi, że nie żyła od trzech lub czterech godzin. Zostawiła list.

- Mój Boże - powiedział Robert. - Próbowałem się do niej dodzwonić wczoraj w nocy około... około...

- Chce pan usłyszeć, co napisała?

- Tak.

- „Najdroższy Robertcie, naprawdę Cię kocham. Teraz zupełnie inaczej i znacznie głębiej. Teraz rozumiem Ciebie i wszystko inne - czytał Lippenholtz beznamiętnym głosem. - Dopiero teraz odkryłam, że symbolizujesz śmierć, przynajmniej dla mnie. Takie było moje przeznaczenie. Nie wiem, czy jestem zadowolona, czy jest mi przykro, ale na pewno wiem, co

powinno być...” Rozumie pan coś z tego?

- Z czego?

- No, co to właściwie znaczy. Kiedy widział ją pan ostatni raz?

- W poniedziałek. W poniedziałek wieczorem.

- Jak się wtedy czuła?

- Wyglądała na przygnębioną, tak myślę. Powiedziała, że nie chce się ze mną więcej widywać.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Chyba... chyba zaczęła myśleć, że ja... że ja zabiłem Grega.

- Strasznie się pan jąka, panie Forester - uciął Lippenholtz ostro. - Połknęła trzy fiolki tabletek. W każdym razie znaleźliśmy w jej łazience trzy puste buteleczki. Wie pan może, skąd wzięła trzy opakowania seconalu?

- Cóż, jedno ode mnie. Szukałem wczoraj w nocy tych tabletek. Myślałem, że gdzieś je zapodziałem, bo nie mogłem ich znaleźć. To Jenny załatwiła mi ten lek. Powiedziała, że od jej lekarza. Przypuszczam, że pozostałe pochodzą z tego samego źródła.

- Na fiolkach nie ma nazwiska lekarza ani nawet numeru recepty. To całkiem duże opakowania. Jej chłopak chyba handlował czymś takim, i dlatego uważamy, że to on je dostarczył.

- Tak, to całkiem możliwe - zgodził się Robert machinalnie, myśląc, że przecież teraz to, skąd pochodzą, nie ma najmniejszego znaczenia. Przypomniał sobie, że na jego buteleczce też nie było żadnej etykiety. Dlaczego nie zapytał o to Jenny?

- Jest jeszcze coś interesującego, panie Forester. Dziewczyna od Eschamów twierdzi, że Jenny Thierolf opowiedziała jej, jak się z panem poznała. Kręcił się pan koło jej domu i ją podglądał. Czy to prawda?

- Tak - odpowiedział Robert.

- Dlaczego nie przyznał się pan do tego wcześniej? Co? O co w tym wszystkim chodzi, panie Forester?

- O nic.

- O nic?

Robert się rozłączył. Ruszył do kreślarni z pochyloną głową. Uderzył czołem w obrotowe przeszkłone drzwi. Akurat wychodziła Nancy. Robert cofnął się.

- Cześć - odezwała się Nancy.

Robert popatrzył za nią, na jej pulchne pośladki oddalające się szybko korytarzem. Pchnął szklane drzwi obiema rękami i podszedł do swojego stołu kreślarskiego. Stał obok

świecącej jasno lampy jarzeniowej, zamrugął oczami.

- Co się stało, Bob? - Jack Nielson położył mu dłoń na ramieniu.

- Jenny nie żyje - odpowiedział Robert, patrząc na niego.

- N i e ż y j e ?

- Tabletki nasenne. - Robert zaczął siadać na krześle, ale Jack ujął go pod ramię i bezwolnego pociągnął w kierunku sekretariatu.

Jack ściągnął windę.

- Pójdziemy napić się kawy. Albo dobrego mocnego drinka - powiedział do niego. - Od kogo się o tym dowiedziałeś?

- Właśnie dzwoniła do mnie policja. To się stało dziś rano. Wczesnym rankiem.

Wsiedli do samochodu Jacka. Robert nie zwracał uwagi, dokąd jadą. A potem ocknął się w barze - stała przed nim filiżanka czarnej kawy, a obok niej szklaneczka z czymś, co wyglądało na szkocką. Naprzeciwko siedział Jack, także nad filiżanką kawy.

- Wypij obie - powiedział Jack. - Jesteś błąd jak ściana.

Robert zaczął sączyć kawę i whisky. Nagle sobie przypomniał, że miał wrócić na naradę do gabinetu Jaffe'a. Zakrył twarz dłonią i roześmiał się, w chwilę później oczy zasły mu łzami.

- No dalej - odezwał się Jack. - Co cię gnębi?

- Jej pożegnalny list - odpowiedział Robert przez zaciśnięte zęby. Ukrył dłonie między kolanami. - Jenny zostawiła list. Napisała w nim, że jestem śmiercią.

- Co takiego? Powtórz!

- Napisała: „Dopiero teraz odkryłam, że symbolizujesz śmierć” - powiedział Robert szeptem. - Zawsze mówiła w taki sposób, gdy rozmawialiśmy o śmierci. Nie wiem, czy ci wspominałem, ale opowiadała mi o swoim młodszym bracie, który umarł na zapalenie opon mózgowych, gdy miał dwanaście lat czy coś koło tego. Jenny mówiła, że musiała myśleć o śmierci bez przerwy, aż do czasu, gdy przestała się jej bać. W jakiś zabawny sposób... - Spojrzał na pełną napięcia twarz Jacka ze zmarszczonym czołem. - Nadążasz? Rozumiesz, co mówię?

- Tak - odpowiedział Jack, trochę niewyraźnie, a jednocześnie uniósł palec, zamawiając w ten sposób kolejną szkocką.

- Pamiętam, że kiedy się spotkaliśmy po raz pierwszy, powiedziała: „Nie wiem, co symbolizujesz, ale któregoś dnia się dowiem”. To było wtedy, gdy... gdy stałem przed jej domem. Tak właśnie się poznaliśmy. To prawda. Poznałem Jenny, kiedy łąziłem wokół jej domu i ją podglądałem. - Robert zamknął oczy i dopił zawartość szklaneczki.

Jack nadal marszczył czoło, kompletnie zagubiony, jakby to, co usłyszał, zupełnie nie miało sensu.

- Kręciłeś się przy jej domu i podglądałeś ją? Co masz na myśli?

- Dokładnie to, co powiedziałem. Któregoś dnia mnie zauważyła. Właściwie to był wieczór. Tak się poznaliśmy. Tylko mi nie mów, że o tym nie słyszałeś. Greg...

- Tak - Jack wszedł mu w słowo. - Domyślam się, że to Greg. Odebrałem anonimowy telefon, mniej więcej miesiąc temu. Nie bardzo wiedziałem, czy ci o tym mówić, czy nie, dlatego przemilczałem sprawę.

- Więc słyszałeś. - Robert rozciągnął na krótko usta w uśmiechu i dotknął przyniesionej właśnie szklaneczki szkockiej. Zastanawiał się, w jaki sposób Greg odkrył, że przyjaźni się z Jackiem. Może dzięki Jenny. Zresztą, jakie to miało znaczenie?

- Mężczyzna, który dzwonił, przedstawił się jako przyjaciel Grega - ciągnął Jack. - Powiedział, że powinienem być świadom, że mój przyjaciel Bob jest... jest wariatem i podgląda przez okna rozbierające się dziewczyny, i w ten właśnie sposób poznał Jenny Thierolf. Pamiętam, że odpowiedziałem mu: „Idź do diabła!”, i się rozłączyłem. Owszem, przemknęło mi przez głowę, że może to być jakiś znajomy Grega. Od razu pomyślałem, że w tych okolicznościach Wyncoop będzie rozpuszczał wszelkie możliwe plotki na twój temat.

- A jednak tak było. Tyle że zawsze patrzyłem na Jenny, gdy była w kuchni. Kiedy gotowała. Roztaczała taką... - Nie mógł wypowiedzieć słowa więcej, ale nie dlatego, że emocje zacisnęły mu gardło. Był spokojny, a nawet odrętwiały.

- Co? - dopytywał się Jack.

Robert wciągnął głęboko powietrze i spojrzał na poważną pociągłą twarz Jacka, który nadal robił wrażenie, jakby nie wszystko rozumiał, może też nie do końca mu ufał.

- Zeszłej zimy wpadłem w depresję, a Jenny sprawiała, że lepiej się czułem. Wyglądała na bardzo szczęśliwą. Widziałem kilka razy, jak Greg ją odwiedzał, i myślałem wtedy, że oto patrzę na młodą, zadowoloną z życia dziewczynę, która niedługo wyjdzie za mąż. I mimo że przysięgałem sobie, że nigdy więcej tam nie wrócę, jednak wracałem. Byłem u niej sześć do ośmiu razy. W końcu któregoś wieczoru mnie zauważyła. Przeprosiłem ją, choć wiem, że to brzmi śmiesznie. Myślałem, że zadzwoni na policję, ale nie zrobiła tego. Zaprosiła mnie na kawę. - Robert wzruszył ramionami i uśmiechnął się. - Można by powiedzieć, że zanim mnie poznała, była bardzo szczęśliwa. Dopóki nie uznała, że symbolizuję śmierć.

Jack pokręcił szybko głową i podrapał się po krótkich włosach.

- Ale przecież była w tobie zakochana. Każdy dostrzegłby to z łatwością. Kiedy tak

cię słucham, mam wrażenie, że to zmyślona historyjka. Z tym podglądaniem... nie oszukujesz mnie, Bob? To znaczy... szpiegowaleś ją?

- Tak, to prawda.

- No cóż, chyba nie musisz wszystkim o tym opowiadać. - Jack usiadł głębiej na krześle i wypił łyk wody ze szklanki stojącej obok kawy. - Na twoim miejscu nie rozpowiadałbym tego. Bo i po co? - Jack skoncentrował się na przypalaniu papierosa.

Robert wyczuwał, że stosunek Jacka do niego uległ zmianie, radykalnej i nieodwołalnej. Ludzie, którzy podglądali innych przez okno, byli zboczeńcami - nieważne, czy dziewczyny, na które patrzyli, rozbierały się, czy smażyły kurczaka.

- Dopiero co powiedziałem o tym policji - wyznał mu Robert.

- Aha, no cóż. Co to jednak ma, do diabła, wspólnego z Gregiem? Greg żyje. Jeśli ty...

- Jack urwał w pół zdania.

Zapadła cisza. Nie patrzyli na siebie.

- Mogę ci zadać osobiste pytanie? - zapytał Jack po chwili.

- Jasne.

- Czy kiedykolwiek spałeś z Jenny?

- Nie - odpowiedział Robert. - Dlaczego pytasz?

- Bo sądzę, że wtedy dużo intensywniej by to przeżywała. Głębiej. Wydawała się taka młodziotka. Bardzo cię kochała, prawda?

- Chyba tak, ale ja jej nie kochałem. Chciałem, żeby to było dla niej jasne. Zawsze. Nie próbuję się usprawiedliwiać, Jack...

- Rozumiem.

- Powinienem być mądrzejszy. Źle się stało, że zgodziłem się z nią widywać po naszym pierwszym spotkaniu. Naprawdę nie zależało mi na tym, żeby się z nią potem umawiać, ale mnie odnalazła. Przyjechała do zakładów, szukała mojego samochodu, któregoś wieczoru pojechała za mną do domu. - Robert zamknął oczy, zde gustowany własnym głosem i słowami, które wypowiedział.

- I co było dalej?

- Spędziła tę noc u mnie. Alkohol uderzył jej do głowy, choć pamiętam dobrze, że wypła tylko dwa drinki. Nie chciała wracać do domu, więc została i spała na kanapie na dole. Zdarzyło się to kilka razy, a po jakimś czasie Greg oczywiście zauważył, że nie nocowała w domu. Później na mnie napadł. Rozumiesz teraz, Jack?

Jack wolno pokiwał głową.

- Powinienem to przerwać, ale tego nie zrobiłem. Nalegałem, żebyśmy rzadziej się

spotykali, ale nie zerwałem z nią zupełnie. Jenny wydawała się taka nieszczęśliwa. W pewnym momencie rzeczywiście z nią zerwałem, to było kiedy jeszcze mieszkałem w Langley, zanim się stamtąd wyprowadziłem. Powiedziałem jej, że nie chcę się z nią więcej spotykać, że tak będzie najlepiej dla nas obojga. Usiłowałem ją namówić, żeby wyszła za Grega.

- A potem?

Robert oparł czoło na dłoń.

- A potem... kilka tygodni później przyjechała do zakładów i pojechała za mną do domu.

- Teraz pojmuję.

Czy rzeczywiście Jack to zrozumiał? N i g d y n i c z e g o j e j n i e o b i e c y w a ł e m , chciał powiedzieć Robert, ale zawarty w tych słowach ton uzalania się nad sobą i samousprawiedliwiania zawstydził go.

- Chyba już czas się zbierać - powiedział, wyjmując pieniądze.

- Nie bądź niemądry, nie wracaj dziś do pracy - odezwał się Jack. - Zadzwoń do Jaffe'a albo, jeśli chcesz, ja z nim pogadam.

- Nie, sam z nim porozmawiam.

I rzeczywiście spotkał się z nim. W zwięzłym oświadczeniu, przekazanym bez ogródek i stanowczo, tonem człowieka, który nie ma nic do stracenia, powiedział mu o „osobistych problemach”. Robert był niemal pewny, że pracę i tak stracił, dlatego uznał, że postąpi słusznie, jeśli sam złoży rezygnację.

Wrócił do domu w południe. Zdjął marynarkę i krawat i położył się na czerwonej kanapie. Leżał tak przez kilka godzin, aż zaczęło zmierzchać. Nie spał, a choć zwykle w podobnym stanie do głowy cisnęły mu się nużące wspomnienia wydarzeń i rozmów, teraz odczuwał zupełną pustkę. Miał wrażenie, że równie dobrze mógłby nie żyć, a takie godziny mówiły o śmierci więcej, niż jakakolwiek żyjąca istota mogła się dowiedzieć. Pojechał do Langley po gazety. Kupił „Inquirer” i miejscową „Gazette”. W obydwu historii Jenny opisano na pierwszych stronach, w „Gazette” zamieszczono nawet jej zdjęcie. Siedząc w samochodzie, przejrzał artykuły. Jenny umarła, obejmując ramionami sweter zrobiony dla niego i ściskając w dłoni kartkę pocztową ze złomniejszym. List pożegnalny wydrukowano w całości pochyłym pismem. Umieszczony pomiędzy zwykłymi doniesieniami prasowymi, wydawał się poetycki, tragiczny, a przy tym w jakiś sposób nierealny. Na drugiej stronie „Gazette” zobaczył fotografię Susie Escham, z zamkniętymi, mokrymi od łez oczami i otwartymi ustami, opowiadającą o tym, jak poprzedniego wieczoru pojechała do Jenny tuż

przed dziesiątą i nigdzie nie mogła jej znaleźć. Susie powiedziała też: „[Jenny] wyznała mi trzy dni wcześniej, że poznała Roberta Forestera, kiedy kręcił się koło jej domu i ją podglądał. Dokładnie to samo mówił Greg [Wyncoop]. Moim zdaniem Jenny bała się Roberta, i dlatego się zabiła”. Robert zacisnął zęby i zapuścił silnik samochodu.

Kiedy wszedł do domu, zadzwonił telefon. Nie podniósł słuchawki. Usiadł i uważnie przeczytał to, co napisano w gazetach. W obu wspomniano o jego bójce z Wyncoopem w sobotni wieczór, szesnastego maja, nadmieniając, że od dziesięciu dni uznaje się Wyncoopa za zaginionego. Oczywiście minęło dość czasu, żeby wiadomość o odnalezieniu śladów Wyncoopa w Nowym Jorku dotarła do redakcji, ale najwyraźniej uznano ją za zbyt niepewną, by puścić to do druku.

Telefon zadzwonił ponownie. Robert pomyślał, że nie może go nie odbierać w nieskończoność. A jeśli to policja, to i tak po prostu do niego przyjadą.

- Halo - powiedział zachrypniętym głosem.

- Mówi Naomi Tesser, Bob.

Robert zeszywniał.

- Jak się masz? - zapytał kurtuazyjnie.

- Właśnie przeczytaliśmy gazety - powiedziała. - Dick i ja. I pomyślałam... A w ogóle jak się czujesz?

- Jak ja się czuję?

- No cóż, mogę sobie wyobrazić. Jesteśmy oboje wstrząśnięci tym wszystkim. Jenny była trochę dziwną dziewczyną... te jej nastroje, czasami nawet ponuractwo... wiedzieliśmy o tym.

Robert czekał.

- A przy okazji, miałeś jakieś nowe wieści o Gregu?

- O Gregu... - odpowiedział Robert. - Słyszałem, że widziano go kilka dni temu w jednym z nowojorskich hoteli.

- Naprawdę? Kto go widział?

- Nie wiem.

- Zdaję sobie sprawę, że może to nie najlepsza chwila na rozmowę.

- Rzeczywiście.

- I... ta Susie Escham, źle ci się przysłużyła, prawda?

- Jeśli chodzi ci o to, w jaki sposób poznaliśmy się z Jenny... mówiła prawdę.

- Prawdę? Chcesz powiedzieć, że Greg też mówił prawdę?

- Tak, i mam już dość kłamania na ten temat. Zresztą teraz... po co?

- Czy... czy dlatego Jenny się ciebie bała?

Zmiana tonu kazała myśleć, że Naomi jest już pewna, że jednak zabił Grega.

- Przypuszczam, że częściowo tak. Nie pogniewasz się, jeśli skończymy tę rozmowę, Naomi? Proszę. Dziękuję. - Odłożył słuchawkę, gdy krzyknęła „Poczekaj!”

Pomyślał, że wieści rozniosą się teraz lotem błyskawicy. Okoliczności, w jakich poznał Jenny, szybko staną się tematem numer jeden, przyćmiewając fakt, że widziano Grega w nowojorskim hotelu. Wziął dwie aspiryny i zaparzył dzbanek świeżej kawy.

Jack i Betty Nielsonowie zadzwonili około dziewiątej wieczorem. Chcieli się dowiedzieć, czy wszystko u niego w porządku. Zaproponowali, żeby u nich nocował, jeśli ma ochotę. Robert podziękował, ale odmówił. Potem miał telefon od Nickie. Przekazała mu wyrazy współczucia z powodu śmierci Jenny i byłoby to na miejscu, gdyby nie jej sarkastyczny ton. Nie uraziła go jednak. Słuchał, odpowiadał uprzejmie i nagle zamilkł ze słuchawką w ręku.

- Nie masz mi nic więcej do powiedzenia, Bobbie? Jesteś tam? Daj spokój, Bobbie, dlaczego nic nie mówisz? Może czujesz się winny?

Delikatnie odłożył słuchawkę na widełki, a potem znowu położył się na czerwonej kanapie. Miał teraz na sobie piżamę i szlafrok. Głowa bolała go coraz bardziej, o śnie nie mogło być mowy. Chciał odwlec nużące godziny bezsennego leżenia w łóżku na piętze. W gazetach napisano, że nazajutrz jej rodzice przyjadą po ciało. Pomyślał, że na pewno go przeklinają i winią za to, co się stało.

To była ponura noc. Robert leżał w łóżku przez godzinę, a potem zszedł do kuchni i nalał do kubka gorącego mleka ze szkocką w nadziei, że pomoże mu to zasnąć. Do północy brakowało jeszcze sporo czasu. Stał, oparty plecami o lodówkę, z kubkiem w ręku i pił powoli. W chwili gdy szedł odstawić pusty kubek do zlewu, przed domem rozległ się wybuch. Robert padł na podłogę. Leżał nieruchomo z szeroko otwartymi oczami. Pomyślał, że to strzał z broni, a nie petarda lub strzelający gaźnik samochodu. Przypuszczał, że ktoś obchodzi teraz jego dom i prawdopodobnie usiłuje zajrzeć przez któreś z okien, żeby sprawdzić, czy kula go dosięgła. Może zaglądał właśnie przez kuchenne okno tuż za nim. Starając się nie poruszyć, Robert usiłował ocenić, czy coś go boli albo czy krwawi. Dlaczego od razu padł na podłogę? Odruch wyniesiony ze służby w wojsku?

Z zewnątrz nie dochodziły żadne odgłosy.

Wstał powoli, stając się łatwym celem w oświetlonej kuchni o dwóch oknach, i zgasił światło przełącznikiem obok drzwi. Potem przeszedł do pogrążonego w mroku salonu. W sypialni na górze także panowała ciemność. Za oknami widać było jedynie czerń nocy, bo

najbliższa latarnia stała kilkanaście metrów dalej. Robert podszedł do frontowego okna po prawej stronie drzwi, skąd musiał paść strzał. Patrząc z tamtego miejsca w stronę kuchni, zobaczył niewyraźny kształt białej lodówki. Okno w salonie było uchylone na ponad dziesięć centymetrów. Robert wyjrzał na zewnątrz. Wszystko spowijała noc i cisza. Czarne niebo, okrągłe zarysy krzaków, ciemniejsza sylwetka drzewa - zresztą gdyby nie wiedział, że tam są, pewnie by ich nie dojrzał.

Czy to Greg, zastanawiał się, czy jeden z jego przyjaciół? Robert zapalił światło w salonie i podszedł wolno do stolika po papierosa. Przypuszczał, że powinien zawiadomić o tym policję, jeśli oczywiście w grę wchodził strzał z broni palnej. Przeszedł do kuchni i próbował znaleźć dziurę po kuli. Na drzwiach lodówki niczego nie dostrzegł. Obejrzał ściany po obu jej bokach. Sprawdził potem w salonie ścianę przylegającą do kuchni. Nic. Uniósł słuchawkę telefonu, zadzwonił na policję w Rittersville i opowiedział, co się stało. Policjant, który odebrał telefon, wydawał się zupełnie nieporuszony. Spytał, czy Robert znalazł dziurę po kuli i czy jest pewny, że był to strzał z broni. Robert potwierdził.

Policjant obiecał, że kogoś przyśle.

Było to więcej, niż Robert mógł się spodziewać.

Mniej więcej godzinę później przyjechało dwóch policjantów. Pytali Roberta, o której godzinie rozległ się strzał - sądził, że było to około północy - i skąd padł. Robert nie dotykał okna, które zastał uchylone. Nigdzie nie znaleźli kuli. Zgodnie z logiką powinna trafić w lodówkę lub w ścianę ponad nią, ale tam nie było żadnej dziury.

- W ciszy nocy huk z gaźnika może się wydać bardzo głośny, rozumie pan - mówił jeden z policjantów.

Robert potwierdził skinieniem głowy. Doszedł do wniosku, że skoro sami na to nie wpadli, nie ma sensu im podsuwać, że to sprawka Grega. Policjanci wiedzieli przecież, kim jest.

- To pan jest facetem, który znał tę dziewczynę, Thierolf? - powiedział jeden z nich, gdy tylko weszli do domu.

Powiązanie Grega z tym strzałem wymagałoby obecności Lippenholtza, pomyślał Robert. Może. Tych dwóch wyglądało na klasycznych gliniarzy z płaskostopiem, dokonujących rutynowej „interwencji”, bo ktoś skarżył się na dziwny hałas.

- Może wiecie, panowie, czy detektyw Lippenholtz ma jutro służbę? - zapytał Robert.

- Lippy? - Policjant spojrzał na kolegę.

- Tak, chyba tak. Od dziewiątej albo od ósmej.

Policjanci wyszli.

Robert wrócił do łóżka i było mu już wszystko jedno, czy zaśnie, czy nie, bo i tak nocy zostało niewiele.

Następnego ranka z kubkiem kawy w ręku obejrzał kuchnię przy dziennym świetle. Na lodówce stała misa na sałatę. Przesunął ją o kilka centymetrów i wtedy zobaczył kulę, tkwiącą niemal całkowicie w ciemnym drewnie. Prawdopodobnie to właśnie pocisk rzucił naczyniem o ścianę, pomyślał Robert. Przypomniawszy sobie, jak w nocy jeden z policjantów odsunął misę, żeby obejrzeć ścianę za nią, a potem odstawił ją na miejsce. Teraz miał dowód. Robert usiłował wyciągnąć kulę, ale bez powodzenia.

Postawił misę na tylnym siedzeniu samochodu i pojechał do Rittersville. Policjant z drogówki, którego zapytał o drogę, skierował go na posterunek. Tam Robert zastał sierżanta siedzącego za biurkiem, który wszystko zapisał. Potem sierżant obejrzał bliżej misę i stwierdził beznamiętnie:

- Trzydziestkadwójka.

- Kiedy Lippenholtz zaczyna służbę? - zapytał go Robert, gdy tylko wszedł. Dochodziło wpół do dziewiątej.

- Nie wiem - odparł sierżant. - Może się zjawić w każdej chwili od teraz do południa. Jest w terenie.

- Dziękuję. - Robert wyszedł, zostawiając wysłużoną kuchenną misę do sałaty na biurku sierżanta. Dowód A, pomyślał, a dowodem B będę ja.

Wyncoop prawdopodobnie myślał, że trafił go tym strzałem. Robert przecież upadł i leżał bez ruchu na podłodze przez kilka minut. Greg musiał zajrzeć przez okno, odczekał chwilę, a potem uciekł. Robert nie słyszał odgłosu samochodu. Niewykluczone, że Greg nie miał wozu. Ujawniłby się, gdyby próbował sobie jakiś załatwić, chyba żeby go ukradł, a to byłoby niebezpieczne. Oczywiście Nickie mogła pożyczyć mu samochód, ale zdaniem Roberta nie postąpiłaby tak bezmyślnie. Istniała też możliwość, że strzelał jeden z przyjaciół Grega. Jak choćby Charles Mitchell z Rittersville. Bardziej prawdopodobne wydawało się jednak, że Greg sam to zrobił. Kto inny bowiem mógł być na tyle rozwścieczony, żeby usiłować go zabić?

Tego dnia Robert nie nadawał się do jakiegokolwiek pracy, wiedział też, że podobnie będzie jutro i pojutrze. Jadąc z Rittersville do Langley, postanowił, że od razu z samego rana porozmawia z Jaffe'em i powie, że jego zdaniem najlepszym wyjściem z sytuacji będzie złożenie wymówienia. Zrobi to oficjalnie, na piśmie. Napisze także list z przeprosinami do Gunnarote'a z filadelfijskiej firmy Arrobrit, informując go, że nie podejmie pracy. A wtedy, jak uznał, wszyscy nabiorą przekonania, że się wycofuje z powodu poczucia winy. I niech tak uważają. Do rana Naomi Tesser zdąży powiedzieć co najmniej dziesięciu osobom, że Robert poznał się z Jenny Thierolf, kiedy kręcił się koło jej domu i ją podglądał, a ludzie, którym to opowie, puszcza wiadomość dalej. Ta historia wydawała się teraz Robertowi niesłychanie ponura, ale dla innych zabrzmiała intrygująco. Potwierdzi plotkę słyszana wcześniej albo pojawi się ni stąd, ni zowąd, stanie się jednak faktem, bo Robert sam się do tego przyznał.

Do Langley Aeronautics spóźnił się dziesięć, piętnaście minut, a kiedy wszedł do kreślarni, wszyscy siedzieli już na swoich miejscach za stołami. Wiele osób podniosło wzrok znad pracy i spojrzało na niego, z killkorgiem Robert się przywitał, wymieniając „dzień dobry” lub „cześć”. Czuł się mniej pewny siebie niż poprzedniego dnia rano, niż we wszystkie poranki, poczynając od wtorku w zeszłym tygodniu. Zobaczył, jak Jack Nielson wstaje od stołu kreślarskiego i idzie w jego stronę. Robert zdjął płaszcz, przewiesił go sobie przez ramię i skierował się w stronę szafki.

Jack popatrzył na niego z niepokojem na twarzy. Zrobił gest w kierunku tylnego korytarza.

Robert pokręcił przecząco głową.

- Chcę pogadać z Jaffe'em - wyjaśnił, kiedy Jack wyciągnął do niego rękę. Wszyscy przy stołach siedzieli z pochylonymi głowami. - Nawet nie wiem, po co wieszam płaszcz w szafce.

- Powiedz mu, że potrzebny ci tydzień urlopu - poradził Jack. - Mój Boże, przecież każdy to zrozumie.

Robert skinął głową. Obrócił się ponownie w stronę swojego stołu, w kierunku gabinetu Jaffe'a.

- Wydaje mi się - Jack znowu stał obok niego, mówił szeptem - że przed kilkoma minutami był tutaj gliniarz po cywilnemu. Widziałem, jak rozmawiał z Jaffe'em w holu. Nie

jestem pewny, ale... - Urwał.

- W porządku. Dzięki. - Robertowi nagle zrobiło się niedobrze. Upuścił płaszcz na oparcie krzesła.

- Co się dzieje? Źle się czujesz? - zapytał Jack.

- Nic mi nie jest - odpowiedział Robert.

Głowy wokół nich zaczęły się podnosić.

- Skoro bierzesz wolne, to zanim pójdziesz, napijmy się kawy albo czegoś innego w „Hangarze”.

- Jasne - zgodził się Robert i machnąwszy ręką, ruszył do gabinetu Jaffe'a.

Zerknął w stronę sekretariatu i przez szklaną szybę zobaczył Lippenholtza w jasnoszarym garniturze i w kapeluszu, stojącego o krok od windy. Detektyw także od razu go zauważył i kiwnął do niego głową. Nie wszedł do windy i najwyraźniej na niego czekał. Robert otworzył szklane drzwi na końcu korytarza.

- A więc tu pan jest - odezwał się Lippenholtz. - Nadal w pracy, co?

- Chciał się pan ze mną zobaczyć? - spytał Robert.

- Tak. Usiądziemy? - Wskazał gestem zieloną sofę, która mogłaby pomieścić dwie i pół osoby, stojącą obok wind.

Robert nie miał ochoty siadać, ale odruchowo zajął miejsce obok detektywa.

- Słyszałem o strzale - zaczął Lippenholtz. - Nie widać, żeby był pan ranny. - Zaciągnął się papierosem.

- Nie jestem. Kulę znalazłem dziś rano. Trzydziestkadwójka. Może pan o tym słyszał.

- Nie, nie słyszałem.

Robert opowiedział mu, gdzie ją znalazł i że zaniósł misę na posterunek w Rittersville. Lippenholtz najwyraźniej się zaciekawił, ale też nie zrobiło to na nim zbyt dużego wrażenia.

- Może wie pan przypadkiem, czy Wyncoop ma pozwolenie na broń? - zapytał Robert.

- Nie dlatego, żeby potrzebował pozwolenia, bo jeśli broń byłaby mu potrzebna...

Przez kilka sekund Lippenholtz wpatrywał się w ciszy w twarz Roberta.

- Nie, Wyncoop nie ma pozwolenia na broń. Pamiętam, bo dowiadywaliśmy się o to, kiedy sprawdzaliśmy wszystko na jego temat. Domyślam się, że pańskim zdaniem to Wyncoop strzelał?

- Mam poważne podejrzenia, że to on.

- No cóż, panie Forester, zeszłej nocy wydarzyło się także coś, co budzi o wiele większe zainteresowanie. Celowo trzymaliśmy to kilka godzin w tajemnicy przed prasą. Rzeka wyrzuciła na brzeg ciało Wyncoopa tuż za Trenton. W każdym razie uważamy, że to

jego zwłoki. Nie mam jeszcze wyników sekcji. - Lippenholtz spojrział na niego i pogładził się palcem wskazującym po brodzie. - Biorąc pod uwagę te okoliczności, nie uważa pan, że strzelać mógł ktoś inny? Może któryś z jego narwanych przyjaciół?

- Czy macie jakiś dowód, że to Wyncoop? - spytał Robert.

- Na razie żadnego, ale denat jest jego wzrostu, metr osiemdziesiąt sześć. Nie miał na sobie żadnego ubrania, prócz resztek spodni i paska ze zwykłą klamrą, bez inicjałów. Nie ma też żadnych włosów. Patolog mówi, że ciało leżało w wodzie od dziesięciu do czternastu dni. Jest mocno uszkodzone przez skały, co rozumiacie. Czaszka jest pęknięta, być może w wyniku uderzenia o skałę, ale raczej na skutek bezpośredniego ciosu zadanego twardym narzędziem, na przykład kamieniem. Co pan na to? Znalezione go wczoraj około godziny dwudziestej. Jakiś facet cumował łódź i zobaczył ciało przy swoim pomoście.

Robert wzruszył ramionami.

- Co mogę powiedzieć? Moim zdaniem to nie Wyncoop. Sam pan wspomniał, że nie macie jeszcze potwierdzenia tożsamości.

- Nie, ale są dwie wskazówki. Nikt o podobnym wzroście nie zaginął w okolicy. No i facet wygląda na ofiarę morderstwa.

Tego ranka Robert z łatwością zachowywał zimną krew.

- Trzeba jednak sprawdzić inne rzeczy, prawda? Takie jak wiek? Nie można go oszacować na podstawie kości? A co na przykład z kolorem oczu?

- Niech pan nie mówi o oczach - odpowiedział Lippenholtz.

Robert wstał, zaniepokojony. Zwłoki musiały być w fatalnym stanie.

- Dokąd pan idzie?

Robert zapalił papierosa i nie odpowiedział.

- Czy pańska dziewczyna myślała, że zabił pan Wyncoopa, panie Forester? Czy nie dlatego popełniła samobójstwo? I dlaczego napisała, że dla niej symbolizuje pan śmierć?

- Co pan rozumie przez „czy myślała”? - Robert zmarszczył czoło.

- Pytam, czy tak uważała, czy takie miała podejrzenia.

Robert nalał sobie trochę wody z saturatora do papierowego kubka, wypił ją jednym łykiem i wyrzucił kubek do kosza.

- Nie mam pojęcia. Wiem, że przyjaciele z nią rozmawiali. Niektórzy. Ale nie o to teraz chodzi, prawda? Trzeba ustalić, czy znaleziony trup to Wyncoop, czy nie.

Lippenholtz ponownie spojrział na niego i lekko się uśmiechnął.

- Kiedy będziecie to ustalali, pewnie zostaną zamknięty, może jeszcze dzisiaj wieczorem?

- Och, bardzo wątpię, panie Forester.

Robert miał ochotę mu przyłożyć.

- Wydaje mi się, że aparat ścigania powinien złapać prawdziwego winowajcę. Dlatego wolałbym, żeby policja nie rzuciła się na mnie, bo akurat jestem pod ręką.

- To właśnie, panie Forester, staramy się robić.

Robert wyrzucił papierosa do pojemnika z piaskiem.

- W gruncie rzeczy w areszcie byłbym pewnie bezpieczniejszy niż w domu. - W tej samej chwili wyobraził sobie, że lekarz badający Wyncoopa stwierdza, że to jego zwłoki, może jeszcze dzisiaj. Co wtedy? Ile lat się dostaje za nieumyślne zabójstwo człowieka? A może uznają to za morderstwo z premedytacją?

- Chce pan iść do więzienia, panie Forester?

- Nie. - Robert wsunął ręce do kieszeni spodni. - Co to za niezwykła procedura? Zawsze najpierw pytacie ludzi, czy chcą iść do więzienia?

- Nie, nie zawsze. A może zobaczy pan ciało? Chcielibyśmy, żeby obejrzał pan znalezione zwłoki.

- Oczywiście, nie ma sprawy - odpowiedział Robert równie swobodnie. - Niech pan zaczeka minutę, wezmę płaszcz.

Robert poszedł do kreślarni, minął swój stół, musiał jednak zawrócić, bo płaszcz nie wisiał w szafce, ale wciąż leżał przewieszony przez oparcie krzesła. Jack patrzył na niego badawczo, Robert pokiwał mu głową i gestem pokazał, że nic nie będzie ze wspólnej kawy. Wrócił od razu do Lippenholtza.

Kiedy czekali na windę, Lippenholtz zlustrował Roberta spojrzeniem od góry do dołu.

- Po co panu trencz? Przecież nie pada - powiedział. - Słońce jasno świeci.

- Lubię trencze - odpowiedział Robert. Zauważył, że Lippenholtz jest tak zadowolony, jakby zagadka przestępstwa została już rozwiązana.

Czarnym policyjnym samochodem pojechali do Rittersville. Detektyw oznajmił, że z przyjemnością odwiedzie potem Roberta do Langley Aeronautics, a jeśli nie on, to któryś z policjantów.

- Czy poznał pan rodziców panny Thierolf? - zapytał Lippenholtz po drodze.

- Nie.

- Nie próbował pan?

- Nie - odpowiedział Robert. - Nigdy nie próbowałem.

- Mili ludzie.

Robert westchnął, zły i przygnębiony.

W Rittersville Lippenholtz zatrzymał wóz na parkingu przy komisariacie. Weszli razem do środka. Detektyw odprawił ruchem palca siwowłosego policjanta, który chciał im towarzyszyć, i poprowadził Roberta w dół drewnianymi schodami do pomieszczenia na tyłach budynku. Stało tam sześć stołów z emaliowanymi blatami, ale tylko na jednym leżały zwłoki zakryte szarobiałym prześcieradłem. Wartownik siedział w kącie i czytał magazyn, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi.

- Oto on - powiedział Lippenholtz, unosząc róg prześcieradła i odciągając je na bok.

Choć Robert nastawił się psychicznie, cofnął się odruchowo na ten widok. Zwłokom brakowało nawet dolnej szczęki. Na głowie i ramionach przeświecały kości. Błada, poszarpana skóra i mięśnie pozbawione krwi trzymały się jakoś kręgosłupa. Denat wyglądał na starca.

- Zęby - odezwał się Robert po chwili. - Kilka zębów zostało w...

Lippenholtz popatrzył na niego trochę figlarnie.

- Tak. Kontaktujemy się właśnie z dentystą Wyncoopa. Tak się jednak niefortunnie złożyło, że jest akurat w odwiedzinach u rodziny w Utah. Co gorsza, wybrał się na polowanie.

- Detektyw wyglądał, jakby ten fakt go bawił. Nadal trzymał w ręku róg prześcieradła, odsłaniając ciało.

Robert zrobił ruch, prosząc, by je zakrył.

- Na podstawie tego, co widzę, nie potrafię powiedzieć nic więcej.

- Zbladł pan, panie Forester.

Robertowi zbierało się na wymioty. Odwrócił się w kierunku drzwi i uniósł głowę, co sprawiło, że silniej poczuł okropny zapach panujący w tym miejscu. Celowo szedł bardzo wolno w stronę wyjścia, dlatego Lippenholtz pierwszy znalazł się przy drzwiach.

- Dzięki, Charley! - zawołał do wartownika. W odpowiedzi usłyszał niewyraźny pomruk.

- Ile czasu może zająć skontaktowanie się z tym dentystą? - zapytał Robert.

- Nie mam pojęcia.

- Nie ma kartoteki Grega? Nikt inny nie może tego sprawdzić?

- To małe gabinety w Hubert Corners, wszystko zamknięte na trzy spusty.

- Przekazaliście mu w Utah, że to pilne?

- Nie udało nam się skontaktować z nim bezpośrednio. Tylko z krewnymi. Wyjechał.

- Jak się nazywa?

- McQueen - odpowiedział Lippenholtz. - Thomas albo Theodore. - Wpatrywał się w Roberta. - Co pan sądzi o tym trupie? Ma ponad metr osiemdziesiąt, szczupłą budowę...

Robert jedynie na niego popatrzył; zbyt źle się czuł, by zastanawiać się nad odpowiedzią. Lippenholtz szedł z nim w kierunku wyjścia, ale zatrzymał się na chwilę, żeby porozmawiać z jakimś policjantem u podnóża schodów. Robert szybko go minął i niemal wybiegł na parking, gdzie pozbył się kilku łyków kawy, wypitych rankiem. Zanim Lippenholtz zjawił się uśmiechnięty z innym policjantem, zdążył zapalić papierosa.

- Ten oficer odwiezie pana do Langley - powiedział detektyw, wskazując ręką stojącego obok postawnego policjanta. Ciszej dodał: - Miałem jeszcze kilka pytań, które chciałem zadać panu dziś rano, ale zdaje się, że nie czuje się pan najlepiej?

- Jakich pytań? - Robert chciał wiedzieć.

- Chyba jednak zaczekamy na wieści od dentysty, dobrze?

- Czy mógłbym dostać ochronę policji na dzisiejszą noc? - Robert popatrzył na Lippenholtza. - Powiedzmy, że jeden policjant siedziałby w samochodzie przed moim domem.

- Ochronę policji? - Lippenholtz uśmiechnął się szerzej.

- Nie tak dawno pytał mnie pan, czy chcę iść do więzienia. Jeden policjant to naprawdę mniejszy koszt i mniejsze zamieszanie, prawda?

Detektyw zawahał się, nadal uśmiechnięty. Najwyraźniej zastanawiał się nad jakąś dowcipną odpowiedzią.

- Nie mam żadnej broni, ktokolwiek weźmie mnie na cel... - zaczął Robert.

- Niech pan da spokój, czy to nie lekka przesada?

- Nie jest pan s z e f e m tutejszego komisariatu policji, prawda, detektywie Lippenholtz? - Robert czuł, że na czole zbierają mu się krople zimnego potu.

Uśmiech Lippenholtza zniknął. Uniósł do góry jasne brwi.

- Nie ma pan uprawnień...

- Najwyraźniej uważa pan, że to nie Wyncoop trafił w misę, bo nie chce pan tak myśleć. Może dlatego, że nie ma pozwolenia na broń? - Robert roześmiał się nerwowo.

Postawny policjant stojący obok detektywa nasrożył się jak pies czekający na polecenie swojego pana.

Lippenholtz wysunął podbródek.

- Niech pan posłucha, panie Forester, wpakuje się pan w dużo gorsze kłopoty, jeśli nie będzie pan trzymał języka za zębami. Za kogo się pan uważa? Od samego początku sprawia pan problemy! Powinien pan zostać aresztowany za podglądanie, wie pan? A teraz zmierza pan prosto do tego, by pana zamknąć na podstawie zarzutu o morderstwo. Można pana postawić przed...

- Jasne, że można! I co dalej?

Lippenholtz machnął nerwowo ręką i spojrział na stojącego za nim policjanta.

- Dobrze. Poślemy tam człowieka. O której by pan chciał?

- O dowolnej porze. Im szybciej, tym lepiej.

- Załatwione - dodał Lippenholtz z cieniem uśmiechu, jakby ulegał kaprysom Roberta.

- Mogę na to liczyć? Będzie tam? Choćby przez dzisiejszą noc? - dopytywał się Robert.

- Tak - odpowiedział Lippenholtz krótko.

Robert nie był pewny, czy mu wierzyć.

- Zawieź go z powrotem do Langley - detektyw zwrócił się do policjanta.

Policjant wziął Roberta za ramię, ale Robert wyzwolił się jednym szarpnięciem. Potem oficer wskazał mu czarny samochód. Robert ruszył za nim. Lippenholtz wracał do budynku. Może po to, żeby ślinić się nad trupem, pomyślał Robert.

W czasie jazdy do Langley policjant nie odezwał się do niego nawet słowem. Robert trochę się odprężył. Był to jego pierwszy kontakt z prawem, surowym prawem. Wcześniej słyszał oczywiście o ludziach, z którymi się nie patyczkowano i których traktowano bezwzględnie, więc czemu się teraz tym emocjonował? Policjanci z drogówki często podobnie się zachowują, tyle że im chodzi o mniej ważne sprawy. Cieszył się, że w tej sytuacji nie odebrało mu mowy. A stało się tak - jak przypuszczał - ponieważ wiedział, że nie ma nic do stracenia.

- Dokąd teraz? - zapytał policjant, gdy wjechali do Langley.

- Do Langley Aeronautics - odpowiedział Robert.

Policjant zatrzymał samochód przy bramie parkingu, Robert wysiadł, poszedł prosto do swojego samochodu i pojechał do domu. Do Jacka Nielsona zadzwonił później. W tej chwili nie miał ochoty z nikim rozmawiać. Był niemal całkowicie spakowany, nie licząc kilku drobiazgów z kuchni. Prawie pełne walizki leżały otwarte na podłodze. Miał wyjechać za dwa dni, w niedzielę, ostatni dzień miesiąca, i planował, że zatrzyma się w jednym z filadelfijskich hoteli. Nic z tego nie wchodziło już w rachubę, poza koniecznością wyprowadzki, bo obiecał zwolnić mieszkanie do trzydziestego pierwszego maja. Pomyślał, że teraz nic go tu nie trzyma, jeśli nie liczyć nadziei na spotkanie z Gregiem, gorączkowej nadziei, że dopadnie go żywego i zaciągnie na policję, bo przecież nikt nie potraktuje go poważnie, jeśli powie po prostu, że go widział. Żeby się uspokoić, napił się szkockiej z lodem. Zaczął myśleć o rodzicach Jenny. Opowiadała mu o pracy ojca, co to było? Robert poczuł nagłą potrzebę, żeby do nich napisać, spróbować coś wyjaśnić - nie po to jednak, żeby bić się w piersi, ale żeby

wytłumaczyć im, najlepiej jak potrafi, dlaczego stało się to, co się stało. Ale czy jej rodziców będzie obchodziło, dlaczego to wszystko się wydarzyło? Czy śmierć córki nie będzie jedyną sprawą, jaka się liczy, jaka ma znaczenie? Pogrzeb Jenny miał się odbyć jutro w Scranton, o czym przeczytał w gazecie.

Robert aż podskoczył, gdy usłyszał skrobanie od strony frontowego okna. Podszedł tam szybko i stanął z boku. Ostry blask słońca sprawił, że przymrużył oczy. Wtedy dostrzegł biało-brązowego psa drepczącego przy skrzynce na listy z nosem przy ziemi. Pies był podobny do collie. Robert miał wrażenie, że widział już to zwierzę. Powodowany odruchem, otworzył drzwi i zagwizdał. Pies zatrzymał się, obrócił i zrobił krok w jego stronę, ale zaraz przystanął, niezdecydowany. Robert zagwizdał ponownie, wyszedł na werandę i przykucnął.

Pies, z opuszczoną głową i brzuchem niemal przy ziemi, zbliżył się wolno do niego, merdając ogonem. Robert pogłaskał go po łbie, zadowolony z przyjaznego nastawienia psiaka.

- Dobry pies. Jesteś głodny? - Co za pytanie, zreflektował się niemal od razu. Przez sierść zwierzaka prześwitywały żebra.

Wrócił do kuchni, znalazł w lodówce niedojedzony stek. Nie było tego wiele, więc otworzył puszkę z gulaszem. Pies czekał na werandzie, zbyt onieśmielony, żeby wejść do środka. Robert położył jedzenie na talerzu i wyniósł je przed dom. Pies pochłaniał wszystko błyskawicznie, brzuch mu pęczniał. Jedząc, od czasu do czasu spoglądał w górę na Roberta, może podejrzliwie, a może z wdzięcznością. Robert uśmiechnął się, zadowolony. A potem pies wszedł do domu. Przez resztę popołudnia spał i budził się jedynie wtedy, gdy Robert chodził po mieszkaniu, jakby się bał, że go zostawi. Robert zauważył, że to suka.

O piątej postanowił pojechać po gazety, a nie chcąc zamykać suki w domu, wywołał ją na zewnątrz, w razie gdyby miała gdzieś właścicieli.

Choć Lippenholtzowi udało się wstrzymać zamieszczenie wiadomości w porannych wydaniach dzienników, popołudniowe gazety drukowały ją na pierwszych stronach. „Władze czekają na ostateczne potwierdzenie od dentysty Gregory'ego Wyncoopa, doktora Thomasa McQueena z Humbert Corners, który chwilowo przebywa poza miastem”. „Ostateczne” potwierdzenie, jakby inne dane wskazujące na to, że wyłowionym z rzeki topielcem jest Gregory Wyncoop, nie budziły żadnych wątpliwości.

Suka czekała na werandzie i aż piszczała, gdy Robert wchodził po schodach. Robert miał co prawda zamiar kupić po drodze jakieś jedzenie dla psa, ale zupełnie o tym zapomniał. Dał jej kilka surowych jajek i mleko, a potem ugotował dwa jajka dla siebie.

Wtedy zadzwonił telefon.

Zmierzch szybko zapadał. Robert popatrzył z niepokojem na troje okien w salonie i uznał, że musi natychmiast opuścić rolety, bo tylko tyle mógł zrobić. Wracając bowiem z gazetami, nie dojrzał przy drodze niczego, co przypominałoby policyjny radiowóz czy policjanta. Odebrał telefon.

- Lippenholtz - odezwał się w słuchawce uprzejmy głos. - Doktor McQueen wraca w sobotę popołudniu. Pomyślałem, że chciałby pan to wiedzieć.

- Dziękuję. To dobrze. - Do sobotniego popołudnia zostało prawie czterdzieści osiem godzin.

- Będzie pan wieczorem w domu?

- Tak - odpowiedział Robert. - Wysłał pan kogoś do pilnowania mojego domu?

- Mmmm... tak. Powinien niedługo być na miejscu.

- Dziękuję - powiedział Robert obojętnym tonem. - Mam nadzieję, że się zjawi.

- Skontaktuję się jeszcze - dodał Lippenholtz i rozłączył się.

Robert opuścił wszystkie rolety i zapalił lampkę na biurku. Jajka się ugotowały. Wyłączył palnik i zjadł jajka, stojąc przy zlewie. Wcześniej planował, że pojedzie wieczorem do kina - tylko po to, żeby wyjść z domu. Teraz jednak zupełnie odeszła mu na to ochota i postanowił zostać. Popatrzył na okna w salonie, a potem na psa, który leżał na podłodze z łbem pomiędzy łapami i wpatrywał się w niego. Przez cały wieczór będzie obserwował suczkę, pomyślał, i sprawdzać, czy coś usłyszała.

- Zaszczekasz, jak coś usłyszysz, prawda? - Przystanął i pogłaskał ją po boku.

Zastanawiał się, dlaczego Jack Nielson lub Tesserowie nie zadzwonili do tej pory, choćby z czystej ciekawości. Czyżby znalezienie trupa stało się przysłowiową kroplą, która przepełniła puchar? Czy myśleli, że jest w więzieniu? Uświadomił sobie, że w gazetach nie wymieniono tym razem jego nazwiska. Artykuły zajmowały tylko niewielką część kolumny i koncentrowały się głównie na tym, gdzie znaleziono zwłoki i kto na nie natrafił.

Robert sam zadzwonił do Nielsonów. Telefon odebrała Betty, miła i współczująca, bo Jack jej powiedział, że rano Robert bardzo źle wyglądał. Robert zapewnił ją, że czuje się już zupełnie dobrze. A potem Jack podszedł do telefonu.

- Cieszę się, że jesteś w domu - powiedział Jack. - Kiedy po południu przeczytałem w gazetach o zwłokach, nie wiedziałem, gdzie wylądujesz.

- Więzienie mogłoby okazać się bezpieczniejsze. Powiedziałem to... przyjacielowi Lippenholtzowi dziś rano. To tajniak, którego widziałeś. Zabrał mnie, żebym obejrzał trupa, a potem... - urwał w pół zdania.

- Co o tym mówią? Czy to Wyncoop?

- Bardzo wątpię. - Robert opowiedział mu o zamachu z ostatniej nocy. - Moim zdaniem to Wyncoop strzelał - dodał zmęczonym głosem. - Dlatego uważam, że to nie są jego zwłoki.

- Rozumiem. W gazecie nic nie napisali o zamachu. Nic dziwnego, że rano byłś blady jak ściana.

Rozmawiali przez dziesięć minut. Kosztowało go to tyle wysiłku, że musiał usiąść w fotelu. Uśmiechnął się gorzko: Betty nie potrafiła ukryć w głosie, że go podejrzewa. Nie wspomniała słowem o topielcu. Czuł, że wymieniła z nim jedynie uprzejmości, które miały wypełnić ciszę. Kiedy Jack nalegał, żeby do nich przyjechał i został na noc, wydało mu się - choć nie był tego pewny - że słyszy w tle Betty mówiącą: „Nie... nie”. Robert podziękował Jackowi za propozycję spędzenia bezpiecznej nocy w ich domu.

Chwilę później zadzwonił telefon.

Tym razem był to Peter Campbell z Nowego Jorku.

- Dzięki Bogu, że jesteś w domu - powiedział Peter. - Co się u ciebie dzieje?

Oczywiście chciał dowiedzieć się czegoś więcej o zwłokach. Robert powiedział mu, w jak okropnym stanie je znaleziono. Podzielił się z nim przypuszczeniem, że w sobotę dentysta Wyncoopa najprawdopodobniej stwierdzi, że to nie Greg.

- Mam tylko jednego asa w rękawie - dodał Robert.

- Co to takiego?

- Jedyna rzecz, która może mnie oczyścić z podejrzeń o morderstwo, to kula, na dodatek wystrzelona przez Wyncoopa. Będą jednak musieli go złapać i wykazać jego powiązania z bronią, której użył. Ale niezbyt gorliwie go szukają, jak na razie. - Powiedział Peterowi o kuli, którą znalazł w misie do sałatki. W czasie pogawędki z przyjacielem mógł nawet się z tego pośmiać.

- Bob, może przyjedziesz na kilka dni i pobędziesz z nami?

- Wielkie dzięki, ale nie wolno mi opuszczać miasta jeszcze przez kilka dni.

- Co takiego? - W głosie Petera brzmiało niedowierzanie.

- Sytuacja jest rzeczywiście paskudna. Cieszę się, że nie wydedukowałeś tego z lektury nowojorskich gazet. Bardzo chciałbym do was przyjechać, ale mówi się trudno. A jak Edna się miewa?

Edna Campbell przejęła słuchawkę i rozmawiała z nim przez kilka minut. Spytała taktownie, czy kochał dziewczynę, która popełniła samobójstwo.

- Nie wiem - odpowiedział. - Zależało mi na niej, ale czy ją kochałem... nie wiem.

Kiedy się rozłączył, uświadomił sobie, że Campbellowie w ogóle nie wspomnieli o

podglądaniu. To niemożliwe, że celowo unikali tego tematu, bo byli bliskimi przyjaciółmi. Nie poruszali tej sprawy, bo najwyraźniej uważali ją za zupełnie nieważną. A to było już coś.

Około wpół do dziesiątej Robert wybudził się spocony z krótkiego snu. Leżał na czerwonej kanapie. Przyśniło mu się coś nieprzyjemnego, ale nie mógł sobie przypomnieć, co to było. Pies spał cały czas w tym samym miejscu na podłodze. Lampa na biurku świeciła się. Okno, przez które wpadła kula, nadal było uchylone, choć teraz dziesięciocentymetrową szparę zakrywała roleta. Czy powinien je zamknąć? Zostawił je tak, jak było.

Wstał, podszedł do biurka i spojrzał na wkręconą w maszynę do pisania kartkę z początkiem listu do rodziców Jenny.

29 maja 19...

Drodzy Państwo Thierolfowie!

Piszę to, by spróbować przedstawić Wam kilka nowych faktów, kilka wydarzeń, których prawdopodobnie nie znacie, bo nie wiem, ile Jenny Wam opowiedziała. Żeby zacząć od ostatnich wypadków: przyszła do mnie do domu w zeszły poniedziałek wieczorem, żeby mi powiedzieć, że nie chce się ze mną więcej widzieć. Nie pokłóciliśmy się. Nie była...

Odwrócił się od biurka. Wszystko to brzmiało sucho, banalnie i wpadało w ton użalania się nad sobą.

Nagły ostry dzwonek telefonu sprawił, że poczuł mrowienie w kręgosłupie i ramionach. Może to znowu Nickie. Dzwoniła kilka minut po Campbellach. „Teraz już wiesz, gdzie jest Greg? - zapytała. - Nie żyje, zimny trup”. Żeby jej przerwać, uciszyć ją, zaczął głośno domagać się rozmowy z Ralphem, ale odpowiedziała, że wyszedł na bardzo długi spacer. Ruszył w stronę telefonu i w końcu podniósł słuchawkę.

- Rozmowa międzymiastowa do Roberta Forestera... Z Chicago. Proszę mówić.

- Mama? - zapytał.

- Tak, Bob. Jak się czujesz, kochanie?

- Nic mi nie jest, mammo. Ja...

Pies zaczął warczeć, wpatrzony w okno. Robert dostrzegł cień za roletą.

- Mammo, muszę...

Rozległ się wystrzał i coś trafiło go w lewe ramię.

Słuchawka wypadła mu z ręki, zrzucił z biurka lampkę. W chwili gdy upadała na podłogę, huknął kolejny strzał. Przy następnym suka zaskowyczała.

I jeszcze dwa strzały.

Robert leżał bez ruchu w ciemności. Pies popiskiwał. A potem nagle Robert zerwał się, podbiegł do okna i podciągnął roletę, za którą panowała nieprzenikniona ciemność. Pognał do kuchni, gdzie po omacku szukał latarki, znalazł ją na kuchennym blacie, niechcący strącił na podłogę, ponownie ją odszukał i wrócił do okna. Szybko omiół snopem światła wszystkie miejsca, które zdołał oświetlić, potem zrobił to jeszcze raz, dużo wolniej. Nie zauważył żadnego ruchu. Zgasił latarkę, ujął ją jak pałkę, po czym stąpając głośno, wyszedł na werandę, zeskoczył z niej i ruszył w stronę krzaków przy płocie. Popatrzył na drogę, bo chociaż nie było wzdłuż niej głębokich rowów, ktoś mógł z łatwością się schować, kładąc się na płask. Dopiero wtedy się zorientował, że jego ramię krwawi, i to całkiem poważnie. Daleko po lewej stronie, patrząc w kierunku Langley, zobaczył czerwone światła. Samochód Grega? Czy warto było za nim jechać? Po trzech sekundach stracił światła z oczu. Nie miał szans go dogonić.

Wrócił do domu i włącznikiem przy drzwiach zapalił główne światło. Wtedy zobaczył psa. Suczka leżała na boku, z łbem ułożonym w stronę okna. Między żebrami miała niewielką ranę. Nie żyła.

Robert podniósł słuchawkę telefonu, ale zaraz odłożył ją z powrotem na widełki i przez chwilę wpatrywał się w nią ponuro, bo nie potrafił przypomnieć sobie numeru telefonu policji w Rittersville.

- Z policją w Rittersville - poprosił, gdy odezwała się telefonistka z centrali.

- Z jakim wydziałem chce pan rozmawiać? Wszystkie są wyszczególnione w książce telefonicznej.

- Nie bardzo mogę przeglądać teraz książkę - odpowiedział Robert. - Chcę się połączyć z komisariatem.

Kiedy czekał, patrzył obojętnie na roztrzaskany róg biurka, na rozbite szkło obrazka, który wisiał przekrzywiony na ścianie przed nim.

- Halo - odezwał się Robert. - Mówi Robert Forester. Chciałbym zgłosić...

Rozległo się walenie do drzwi.

Drzwi otworzyły się na oścież. Do środka wszedł wysoki, siwy mężczyzna w roboczym kombinezonie. Usta miał rozchyłone ze zdziwienia. To był Kolbe, jego sąsiad.

- Wiem. Strzały. Właśnie dzwonię na policję - wymamrotał Robert, jakby był pijany.

Mężczyzna popatrzył na psa, zmarszczył czoło i pochylił się nad nim.

- To pies H u x m e y e r ó w - rzekł ze złością.

Trochę urażony męski głos w słuchawce ponagłał:

- Halo! Proszę mówić! Jest tam kto?

- Chciałem zgłosić strzelaninę. Mówi Robert Forester - powiedział Robert i upuścił słuchawkę. Usiłując ją podnieść, stracił przytomność.

21

Słyszał zgiełk głosów, tupanie nóg po podłodze. Dochodziły go słowa, dobitne jak wystrzały, odcinające się od gwaru: „...p i j a n y ... S t r z a ł y !... pięć kul... obcy tutaj, ale d l a c z e g o ... biedna psina... Wyprowadźcie ich!... Może się pan zamknąć? Lepiej będzie, jeśli niektórzy z was... Wychodzi z tego? Proszę leżeć spokojnie przez minutę”.

Ostatni głos był cichy i dobiegał z bliska.

Robert uniósł się na łokciu, ale zaraz potem upadł na twarz i zsunąłby się z kanapy, gdyby ktoś nie złapał go za ramię i nie pchnął do tyłu. Robert zmarszczył czoło. Pokój wypełniał tłum - policjanci, jacyś mężczyźni, kilka kobiet, z których jedna miała warkocze i ciemny płaszcz narzucony na nocną koszulę, sięgającą jej do kostek. Głowę Roberta ułożono na poduszce. Lewy rękaw koszuli został odcięty, a lekarz przemywał mu ramię alkoholem. Robert nie miał czucia w ręce, ale zapach alkoholu wydawał mu się ostry i przyjemny.

- Proszę to trzymać pod nosem - powiedział lekarz, wręczając mu mokry wacik. - Miał pan sporo szczęścia. Kości są nieuszkodzone. Kula żadnej nie naruszyła.

Lekarz okazał się niewysokim, pogodnym mężczyzną z wiankiem siwych włosów okalających łysą na czubku głowę. Zręcznymi, energicznymi ruchami rozwijał biały bandaż.

Dopiero wtedy Robert rozpoznał Lippenholtza, idącego ku niemu w jasnoszarym garniturze i trochę przekrzywionym kapeluszu.

- Dochodzi do siebie? Co tu się stało?

W pokoju zapanowała cisza, wszyscy skierowali wzrok na Roberta. Na ich twarzach malowały się złość, niepokój, obojętność albo zaciekawienie. Nikt nie wyglądał przyjaźnie.

- Padło kilka strzałów - odpowiedział Robert. - Przez okno. Przez to samo okno. - Ruchem głowy wskazał miejsce, o którym mówił.

Lippenholtz obrócił się, spojrział na okno, a potem znowu popatrzył na Roberta.

- Ile ich było?

- Pięć lub sześć. Nie wiem. Niech pan zapyta policyjną ochronę.

- Pięć - wtrącił się mężczyzna, który jako pierwszy znalazł się w domu Roberta.

Detektyw zmarszczył brwi.

- Pilnował pana jeden funkcjonariusz. Powiedział, że odjechał na pięć minut po kawę... ktokolwiek tu był, skorzystał ze sposobności.

Robert pomyślał, że Lippenholtz kłamie, pewnie żeby przypodobać się gawiedzi.

- Powinien wozić ze sobą termos.

- Powiem mu - odpowiedział Lippenholtz. - A co się stało potem?

Lekarz przystąpił do bandażowania ramienia.

- Wybiegłem... z latarką - wyjaśnił Robert. - Ale niczego nie zobaczyłem poza...

- Poza?

- Widziałem tylne światła samochodu na drodze. Jechał w kierunku Langley. Potem zniknęły. Myślę, że ten samochód nie miał z tym nic wspólnego. Znajdował się za daleko.

- Mamy dwie kule. To znowu trzydziestkadwójka - stwierdził rzeczowo Lippenholtz, kiwając głową.

Robert przyjrzał się uważniej ludziom znajdującym się w pokoju. Ich twarze wyglądały teraz wrogo.

- Jakim cudem pies się tu znalazł? - zapytała koścista kobieta w płaszczu narzuconym na nocną koszulę.

- Suka sama tu przyszła - wyjaśnił Robert. - Nakarmiłem ją, bo była głodna.

- To nasz pies i nie miał pan prawa! - krzyknęła kobieta i zrobiła krok do przodu, a chudy, niższy od niej mężczyzna położył jej rękę na ramieniu i przesunął się razem z nią.

- Martho - powiedział.

- Nic mnie to nie obchodzi! Zabrał pan naszą sunie do tego straszego domu na pewną śmierć, tylko dlatego, że do p a n a strzelali! I zasłużył pan na to! Zasłużył!

- Daj spokój, Martho, prawo...

Rozległ się jednak pomruk poparcia, kilka warknięć aprobaty. Jeden z policjantów odwrócił głowę do tyłu i roześmiał się cicho, wymieniając spojrzenia z kolegami.

- On zabił człowieka, prawda?! - krzyczała dalej kobieta o imieniu Martha. Zwracała się do Lippenholtza, a kiedy nie odpowiedział, zwróciła się do obecnych w pokoju ludzi. - Prawda?!

- Tak - kilka głosów odezwało się jednocześnie.

- A teraz zabił mojego psa, niewinne zwierzę! Poza tym to podglądacz, zboczony podglądacz!

- Hm! - chrząknął starszy mężczyzna, wyrażając tym ogólną wzgardę dla reszty, i

obrócił się do wyjścia. Frontowe drzwi były otwarte. - Co ja tu robię? - mamrotał pod nosem do siebie.

- Ja też nie bardzo wiem - dołączył do niego inny mężczyzna i też zaczął wychodzić.

- Zapłacisz za tego psa! - oświadczyła Martha.

- Dobrze, dobrze - zgodził się Robert.

Lekarz nie przerywał zakładania opatrunku, niczym się nie przejmując. Nawet nucił pod nosem. Ucinał teraz końce bandaża przy zgrabnym węźle.

- Dwadzieścia pięć dolarów! - krzyczała Martha. Mąż coś do niej mruknął. - T r z y d z i e ś c i p i ę ć ! - zmieniła zdanie.

- Dobrze. - Robert westchnął.

Lippenholtz, który rozmawiał z policjantem, nagle głośno się zaśmiał, a ponieważ panowała akurat zupełna cisza, wszyscy na niego spojrzeli. Detektyw to zauważył i ponownie podszedł do Roberta.

- Teraz chce już pan iść do więzienia, panie Forester?

Robert miał chęć zerwać się na równe nogi i wygłosić coś w rodzaju mowy do Lippenholtza i pozostałych, ale ochota szybko mu minęła.

- Nie - odpowiedział jedynie.

- A gdzie indziej miałby iść, przecież tam jest jego miejsce - odezwał się któryś z mężczyzn stojących z tyłu.

- Jasne! - zapiszczała Martha. - Sprowadził na manowce młodą dziewczynę! Pchnął ją do śmierci!

O Jezu! - westchnął w myślach Robert, zamykając oczy. Odwrócił głowę do ściany, zły, zawstydzony i obolały. Pomruki rozległy się od nowa: „...obcy, wkrada się do takiej społeczności jak nasza...”, „...nie miała więcej niż dwadzieścia lat, jeśli to...”, „...przyjeżdżała wieczorem. Widziałam ją...”, „... słyszałem, że ma żonę w Nowym Jorku...”, „Wstrętne! Zabił dziewczynę i jej ukochanego, na co jeszcze mu pozwolą?!”

Robert usiadł, podniósł się w połowie, lekarz go przytrzymał, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Chciałbym coś wszystkim powiedzieć! Guzik mnie obchodzi, co mówicie! Zrozumiano? A teraz wynocha, wszyscy, wynocha stąd! - Nie opierał się, gdy lekarz zmusił go, by się położył.

Nikt z obecnych nie ruszył się z miejsca. Najwyraźniej postanowili nie ustępować.

- A więc nic go nie obchodzimy! - wrzasnęła jedna z kobiet.

- Czy nie powiedzieliście państwo wystarczająco dużo jak na jedną noc? - wtrącił się

lekarz. - Ten człowiek stracił mnóstwo krwi...

- Ha!

- Nic dziwnego, że ma w r o g ó w !

- Proszę pana - lekarz zwrócił się do Lippenholtza. - Czy przedłużanie tego ma jakiś cel? Dałem temu człowiekowi środki uspokajające. Powinien odpocząć.

Robert miał ochotę się uśmiechnąć. Usłyszał oto głos rozsądku, cichy głos rozsądku. Jeden przeciwko trzynaściorgu, czternaściorgu, a może było ich dwadzieścioro. Robert ponownie usiadł, musiał zmrużyć oczy, żeby lepiej widzieć. Lippenholtz znowu się do niego zbliżał. Robert nigdy nie widział go odchodzącego, zawsze szedł naprzód.

- Pańska matka dzwoniła kilka minut temu - detektyw skierował te słowa do Roberta. - Powiedziała, że jeszcze zatelefonuje albo niech pan do niej oddzwoni. Taką przekazała wiadomość. Poinformowałem ją, że został pan postrzelony w ramię.

- Postrzelony w ramię - powtórzył Robert i lekko się uśmiechnął.

Lippenholtz popatrzył na lekarza i wzruszył ramionami.

- Dałem mu potężną dawkę - wyjaśnił doktor. - Dlaczego nie wyrzuci pan stąd tych ludzi?

- Popatrzcie tylko na niego! Jeszcze się uśmiecha! - wrzasnęła Martha.

Robert zamknął oczy. Nic więcej już go nie interesowało. Niewyraźnie słyszał podniesione głosy lekarza i Lippenholtza, którzy kłótliwym tonem rozmawiali o szpitalu, utracie krwi i tętnicy.

- ... ponieważ mieszka tu sam - mówił doktor. - Jestem lekarzem i...

- Dobrze już, dobrze - odpowiadał Lippenholtz. - Słyszę, Pete... Dobrze, ci ludzie już wychodzą. Popatrz na nich.

Rozległo się szuranie nóg po podłodze, zabrzmiały ostatnie słowa rzucone przez ramię. Choć je słyszał, Robert nie starał się rozumieć ich sensu. A potem drzwi się zatrzasnęły i wszystko umilkło, co sprawiło, że Robert otworzył oczy. Niski lekarz w ciemnym garniturze zbliżał się do niego. Dom był pusty i pogrążony w ciszy.

- Włoży pan piżamę czy zostanie w ubraniu? - zapytał doktor.

- Nic mi nie jest - odpowiedział Robert, usiłując się podnieść.

- Proszę nie wstawać - polecił lekarz.

- Muszę zadzwonić do matki. Czeka na telefon ode mnie.

- Och, no tak. Pamiętaj pan numer czy mam go poszukać?

- Nie pamiętam. Znajdzie go pan w małym niebieskim notesie na stole.

Robeh patrzył, jak lekarz szuka notesu, zagląda do szuflady, a w końcu znajduje go na

podłódze pod krzesłem.

- Pod Forester?

- Nie, pod Carroll albo pod Helen Carroll, nigdy tego nie pamiętam. - Robert ponownie ułożył głowę wygodnie na poduszce i zamknął oczy, ale słuchał uważnie, co lekarz mówi do słuchawki.

- Nie, nie na koszt abonenta... Zwykła rozmowa, tak. Tak będzie najlepiej - głos doktora brzmiał czysto i wyraźnie. - Pani Carroll? Proszę chwilę zaczekać. - Postawił aparat na krześle, przysunął je do kanapy i podał słuchawkę Robertowi.

- Cześć, mamó - powiedział Robert. - Nie, nie, dobrze się czuję... Na pewno. - Wyjaśnił jej, że ma jedynie ranę postrzałową. - Myślę, że to Wyncoop. Bo kto inny?

Jej głos był cudowny. Miły, pełen werwy i cudowny. Następnego dnia rano lecieli z Philem samolotem do Albuquerque. Chciała, żeby Robert przyjechał tam na odpoczynek.

- Mamó, chyba nie do końca rozumiesz, w jakie tarapaty się wpakowałem - odpowiedział. - Nie przypuszczam, żeby pozwolono mi opuścić stan. Chcą mnie wpakować do więzienia.

- Och, Bob, czytaliśmy gazety, ale... nie mają przecież żadnego dowodu. Phil mówi, że prawo wymaga dowodów, a to nawet ja wiem.

- Masz rację, mamó. To Wyncoop strzelał dzisiaj do mnie i pewnie dużo mu dalej do śmierci niż mnie dzisiejszej nocy. - Robert uśmiechnął się, szczęśliwy, czuł się tak, jakby lekarz zaaplikował mu gaz rozweselający.

Doktor palił papierosa i przekrzywiając głowę, czytał tytuły książek, które jeszcze zostały na półce z lewej strony kominka.

- Tak, mamó, oczywiście - mówił Robert. - Bardzo dobry lekarz. Mam zapewnioną znakomitą opiekę. - Roześmiał się. - Przepraszam, ale dostałem środki uspokajające, i ten chichot to pewnie skutek uboczny, ale nic mi nie jest. Mamó, naprawdę dobrze się czuję.

- Ale przyjedziesz do nas? - zapytała po raz trzeci o to samo. - Przyjedziesz? Na r a n c z o ?

Robert zmarszczył czoło, usiłując zebrać myśli.

- Tak, właściwie dlaczego nie - odpowiedział.

- Wyjedziesz jutro? Najwcześniej, jak to będzie możliwe? Dasz radę jutro? Bobbie, jesteś tam?

- Tak, mamó.

- A teraz idź spać, Bobbie. Zadzwoń do mnie rano. Około dziesiątej, dobrze?

- Dobrze. Dobranoc, mamó. - Odłożył słuchawkę.

Matka uprzedziła go, że Phil też chciałby z nim porozmawiać. No cóż, teraz nie miało to znaczenia. Powoli opadł z powrotem na poduszki. Przez przymknięte powieki widział doktora odwracającego się od półki i idącego z uśmiechem w jego stronę. Robert domyślił się, że lekarz miałby ochotę już pójść.

- Bardzo panu dziękuję - powiedział Robert. - Proszę powiedzieć, ile jestem panu winien. Zapłacę gotówką.

Lekarz pokręcił przecząco głową. Przygryzł dolną wargę. Robert dostrzegł, że ma w oczach łzy. Przez chwilę pomyślał, że może mu się to po prostu śni. Zmarszczył czoło.

- Nie, nie ma mowy o żadnym honorarium - odpowiedział doktor. - Czy nie będzie panu przeszkadzało, jeśli jeszcze trochę tu pobędę? Wolałbym zostać, niż wracać do domu. Poczytam sobie, kiedy będzie pan spał. Poza tym, prawdę mówiąc, w takim stanie nie powinien pan zostawać sam.

Robert uniósł trochę głowę znad poduszki, nadal marszcząc czoło. Lekarz wydał mu się teraz zupełnie innym człowiekiem, choć nadal wyglądał tak samo - niski, krągły i łysy.

Doktor stanął bokiem do niego, przodem do kominka.

- Niedawno straciłem żonę. Dokładnie dziesięć dni temu. Julia... zmarła na zapalenie płuc. To niby niegroźna choroba. To znaczy można tak m y ś l e ć w przypadku kogoś, kto poza tym jest zdrowy. Ale jej serce... - Obrócił się twarzą do Roberta. - Ja się rozgadałem, a pan już prawie zasnął, wiem.

- Nie - odpowiedział Robert.

- Nawet jeśli nie, to powinien pan już spać. Wie pan, po lekarzu można by się spodziewać, że śmierć nie zrobi na nim wrażenia, ale...

Robert słuchał, starając się zachować jasność myśli.

- Czy mogę spytać, jak się pan nazywa? - wszedł mu w słowo.

- Knott - odpowiedział doktor. - Albert Knott. Cóż, obaj mamy kłopoty, prawda? Pański problem... czytałem o tym wczoraj w gazetach. Wiem, że jest pan podejrzewany o zabicie Wyncoopa. Kiedyś przecinałem mu czyrak. Czy to przypadek? Czyrak na szyi. Nie do mnie należy ocena ludzkich charakterów. - Stał nieporuszony. Niska, ciemna postać.

Robertowi wydawało się, że lekarz unosi się nad ziemią, zawieszony w powietrzu.

- Za minutę przestanie mnie pan słyszeć, ale to nie ma znaczenia - mówił Knott, nie patrząc na swojego pacjenta. - Kochałem żonę, a ona umarła. Oczywiście, opowiadam to panu w dużym skrócie.

Zapadło długie milczenie, tak długie, że Robert przestraszył się, że zaśnie, choć nie chciał.

- Niech pan mówi. Słucham.

- Proszę się odprężyć - powiedział doktor łagodnie, ale stanowczo.

Robert zastosował się do zalecenia.

Teraz doktor chodził wolno po pokoju. Jedyne źródłem światła była lampa z czerwonym abażurem, stojąca na stoliku obok fotela.

- Tak, wiem o zniknięciu Wyncoopa - mówił cicho lekarz. - Czy pan go zabił, czy nie, i tak zostanę. To dziwne. Policja zwykle nie wzywa mnie do wypadków, choć teraz to nie pierwszy raz, kiedy po mnie zadzwonili. Ich dyżurny lekarz akurat wyjechał z miasta, a ja jestem na liście lekarzy, którzy go zastępują. Tak się po prostu złożyło. - Nastąpiła półminutowa pauza, w czasie której Knott przeszedł przez pokój tam i z powrotem z rękami w kieszeniach. - Słyszałem, jak pan mówił, że pańskim zdaniem to Wyncoop do pana strzelał. - Lekarz przerwał i spojrzał na Roberta, jakby nie był pewny, czy pacjent go słucha, czy już zasnął.

Robert był zbyt śpiący, by choćby cokolwiek wymamrotać.

- To logiczne - stwierdził doktor, kiwając głową i ponownie zaczynając chodzić po pokoju. - Jest podwójnie zły, bo dziewczyna odebrała sobie życie. Cóż, to straszna rzecz - powiedział to jednak beztroskim tonem. - Ma pan zamiar gdzieś jutro jechać?

- Tak - odpowiedział Robert, zdobywając się na wysiłek. - Obiecałem matce, że przyjadę do Albuquerque.

- Nie przypuszczam, żeby jutro miał pan na to dość sił.

- No tak... a przy tym wątpię, czy policja mi pozwoli. - Robert ścisnął bandaż na lewym ramieniu, ale niczego nie poczuł.

- Ramię jest nadal odrętwiałe po znieczuleniu - wyjaśnił lekarz. - O ile się nie mylę, to już drugi raz kule świstały panu koło ucha.

- Tak.

- Moim zdaniem powinien się pan stąd wynieść. - Niski doktor rozłożył ramiona, jakby to było zupełnie proste. - Policja nie zapewni panu wystarczającej ochrony, nie zamkną pana w więzieniu...

Robert przestał walczyć z obezwładniającą go sennością. Czuł się tak, jakby spadał z klifu, ale niczego się przy tym nie bał. Głos lekarza rozbrzmiewał mu w uszach przez kilka sekund łagodnym szmerem, a potem ucichł.

- Dzień dobry - powiedział lekarz, uśmiechając się. Stał obok kanapy, w samej koszuli, w jasnych promieniach słońca. - Dobrze pan spał?

Robert rozejrzył się po pokoju. Nie miał zegarka na rękę. W lewym ramieniu czuł pulsowanie.

- Pański zegarek leży na stoliku. Jest za dwadzieścia pięć dziesiąta - wyjaśnił doktor. - Przespał pan dwa telefony. Pozwoliłem sobie je odebrać. Jeden był od Vica McBaina. Z Nowego Jorku. Powiedział, że dzwonił wczoraj po północy i jakiś policjant bardzo niegrzecznie z nim rozmawiał. Ucieliśmy sobie pogawędkę. Powiedziałem mu, że jestem pańskim lekarzem, że zostałem tu na noc i że ma się pan zupełnie nieźle.

- Dziękuję - odpowiedział Robert i zamrugał oczami. Nadal czuł się trochę oszołomiony. Zauważył, że dywan został zrolowany przy jednej ścianie, i przypomniał sobie, że chyba poplamiał go krwią, kiedy dzwonił na policję zeszłej nocy. Zaczął wstawać, żeby się umyć.

- Zanim pan wstanie, przyniosę trochę kawy - powiedział lekarz i wyszedł do kuchni. - Zaparzyłem świeżą dosłownie kilka minut temu. Trochę się tu rządząc, skorzystałem z pańskiej maszynki do golenia. Mam nadzieję, że nie ma mi pan tego za złe. Mleko czy cukier?

- Czarną, poproszę - odpowiedział Robert.

Doktor wrócił z kawą.

Robert usiłował przypomnieć sobie jego nazwisko. Knapp? Knott. O, właśnie.

- Mówił pan o dwóch telefonach, doktorze Knott?

- Tak. Parę minut temu dzwonił Jack... Nelson, chyba tak się nazywał. Powiedział, że zajrzy dziś rano. To znaczy zaraz.

Robert patrzył na okrągłą, pełną zadowolenia twarz lekarza, który sączył kawę. Nie potrafił zrozumieć powodów ożywienia tego człowieka, jego pogody ducha, dobrej woli. Niemniej jego rysy raz po raz przyciągały wzrok Roberta, niczym ciepłe słońce.

- Zostałem, żeby sprawdzić, jak się pan czuje - odezwał się doktor Knott po chwili. - No i żeby w razie potrzeby służyć pomocną dłonią, a właściwie ramieniem. - Roześmiał się. - Aż do piętnastej nie mam na dzisiaj umówionych żadnych pacjentów, więc... - Wzruszył ramionami.

Robert rozbudzał się. Przypomniawszy sobie, że matka ma dzwonić o dziesiątej. Ramię nie bolało go szczególnie mocno, dlatego zastanawiał się, czy będzie w stanie pojechać do Nowego Meksyku. Był piątek. Jutro po południu wraca dentysta i prawdopodobnie wyda orzeczenie w sprawie tożsamości topielca. Robert uświadomił sobie, że pamięta sen z minionej nocy. O Bracie Śmierci. Czy sen nie był jednak trochę inny? Brat Śmierć nie uśmiechał się i nie wyglądał tak zdrowo jak zwykle. Jego twarz zrobiła się zielona. Może w tym śnie widział ohydny trup, może trup leżał na stole, przy którym siedział Brat Śmierć. Topielec tak bardzo utkwiał mu w pamięci, wydawał się tak realny, niemal materialny, choć pozbawiony ludzkiej formy, że sam już nie wiedział, czy mu się przyśnił zeszłej nocy, czy nie.

- Całkiem sporo mówił pan przez sen - odezwał się ponownie doktor Knott.

Przez sekundę Robert miał wrażenie, że poczucie winy przeszywa mu ciało jak fizyczny ból.

- Domyślam się, że o śmierci - odpowiedział lekarzowi.

- Tak, tak, właśnie tak - powiedział lekarz pogodnie jak zawsze. - Powtarzał pan: „Brat Śmierć?”, jakby to było pytanie. I jeszcze „Cześć”. Nie wyczułem jednak lęku w pana głosie. Nie wyglądało to na koszmar senny. Przynajmniej tak mi się wydaje.

- Widzi pan, mam powtarzający się sen - wyjaśnił Robert i szybko opowiedział mu szczegóły. - Nie przepadam jednak za śmiercią, jak można by z tego wnosić.

- Och! - Doktor podszedł do kominka.

Robert nagle się zawstydził, przypomniał sobie list pożegnalny Jenny, który doktor Knott z pewnością przeczytał w gazecie. Pamiętał też, że żona lekarza zmarła dziesięć dni wcześniej.

Lekarz odwrócił się do niego, w niebieskich oczach miał ogniki.

- Śmierć to coś całkiem naturalnego, podobnie jak narodziny. Rodzaj ludzki jednak nie chce się z tym pogodzić. To znaczy w naszej kulturze, bo można powiedzieć, że na przykład Egipcjanie się z nią godzili, prawda?

- Ale jest odpowiedni czas na umieranie - dodał od siebie Robert. - Przyzna pan, że młodość nie jest tą porą? Nic dziwnego, że młodzi ludzie się jej boją. Widziałem starców zupełnie z nią pogodzonych. A to jednak różnica. - Popatrzył na lekarza. - Nie mówiłem niczego o Jenny, prawda?

- Jenny? Nie, nie wydaje mi się. Drzemałem w fotelu. Nie przysięgłbym, że słyszałem każde słowo. Jenny to ta dziewczyna, która popełniła samobójstwo?

- Tak.

- Dziewczyna Wyncoopa?

Robert siedział już z nogami opuszczonymi na podłogę.

- Miał pan zamiar się z nią ożenić?

- Nie - odpowiedział Robert. - Fatalnie się złożyło. Ona się we mnie zakochała.

- A pan... powiedział jej „nie”.

- Powiedziałem, że nie wiem, czy kiedykolwiek ją pokocham. A ona zabiła się we wtorek w nocy. Powtarzała mi wiele razy, że nie boi się śmierci. Patrzyła, jak jej młodszy brat umiera na zapalenie opon mózgowych. To ją powaliło... na jakiś czas... ale się podźwignęła i pogodziła ze śmiercią. Stale to mówiła. Używała tego właśnie słowa, „pogodzenie się”. Przerazało mnie, kiedy je wymawiała. A potem, sam pan widzi, zrobiła to właściwie bez powodu. Przypuszczam, że czytał pan o tym w gazetach. Zamieściły jej list pożegnalny. Napisała, że symbolizowałem dla niej śmierć. - Robert spojrzął lekarzowi w oczy, ciekaw, co doktor z tego zrozumiał, bo przecież nie znał wszystkich faktów, szczegółów, nawet jeśli śledził historię Wyncoopa w prasie. - W jakiś sposób była zakochana w śmierci. Dlatego zakochała się we mnie.

Doktor Knott przez chwilę patrzył na niego podejrzliwie, ale zaraz potem znowu się uśmiechnął.

- Nie mam wątpliwości, że to przypadek dla psychiatry. To znaczy dziewczyna potrzebowała psychiatry. Tak, znam tę historię z gazet. Wczoraj ją sobie przypomniałem. Kiedy jechałem tutaj z policjantem, odświeżyłem sobie te wydarzenia. Pomyślałem, że każdemu człowiekowi w podobnej sytuacji byłoby bardzo ciężko. Celem wielu samobójców jest wzbudzenie w kimś poczucia winy, skruchy. Czy zerwał pan z nią gwałtownie, czy o to chodziło?

- Nie. - Robert zmarszczył czoło. - Po pierwsze niczego jej nie obiecywałem, tak naprawdę to nie był związek, ale później się okazało, że jednak był. Nie rozumiałem tej dziewczyny, daję panu słowo, bo nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłaby popełnić samobójstwo. Może nie dość się starałem, ale przecież i tak, nawet gdybym próbował, nie wiadomo, czy udałoby mi się ją zrozumieć. Został mi po prostu straszny żal... i wstyd, że coś sknociłem. Zawiodłem człowieka. - Robert widział, jak lekarz kiwnął energicznie głową dwa razy. Bał się jednak, że jego słowa nie w pełni do niego dotarły, że nie wyrażał się dostatecznie jasno. Wstał, zachwiał się trochę, ale udało mu się odstawić filiżankę ze spodkiem na stolik i na sztywnych nogach poszedł do łazienki.

Zamierzał wziąć prysznic, ale bał się, że zmoczy bandaż, a nie chciał sprawiać lekarzowi kłopotu z zakładaniem nowego opatrunku, dlatego umył się nad umywalką i ogolił

pośpiesznie, niezbyt dokładnie. Czuł się słaby.

- Może mi pan dać jakąś pigułkę, doktorze? - zapytał po wyjściu z łazienki. Podeszedł do walizki, żeby wziąć czystą koszulę. W tym momencie świat zmienił się w szare drobiny. Lekarz podtrzymał go za ramię i ciągnął w stronę kanapy. - Żeby mnie postawiła na nogi - mamrotał. - Bo nic mnie nie boli.

- Mogę dać panu pigułkę, tylko po co? Dziś musi pan odpoczywać. Czy jest ktoś, kto mógłby z panem posiedzieć?

Robertowi dzwoniło w uszach tak głośno, że ledwie słyszał słowa lekarza.

- Dziś nigdzie pan nie pojedzie - mówił doktor Knott.

Rozległo się pukanie do drzwi. Lekarz poszedł je otworzyć.

- Pan Nelson? - zapytał.

- Nielson - poprawił go Jack. - Miło pana poznać. Jak się czuje pacjent?

Robert siedział sztywno wyprostowany na brzegu kanapy.

- Dzięki. Całkiem nieźle. Napijesz się kawy, Jack? - spytał.

Jack rozejrzał się po pokoju, zanim odpowiedział, dostrzegł strzaskany róg biurka, podeszedł bliżej i dotknął miejsca zniszczonego przez kulę.

- Niech to diabli!

- Tak, było ich pięć. Pięć kul - powiedział doktor Knott w drodze do kuchni.

Czarne brwi Jacka złączyły się nad oczami.

- A co tym razem zrobiła policja? Znowu nic?

- Nie, byli tutaj. Zjawili się. Podobnie jak cały tłum sąsiadów - powiedział Robert.

- Jaką kawę pan pije? - zapytał z kuchni lekarz.

- Z jedną łyżeczką cukru, dziękuję! - odrzyknął Jack. - Widzieli kogoś w pobliżu? Co zrobili?

- Nie wiem dokładnie, bo straciłem przytomność w jakieś dziesięć minut po tym, jak oberwałem. Kiedy ją odzyskałem, dom był pełen ludzi. - Robert roześmiał się. Widząc pociągłą twarz Jacka ze zmarszczonym czołem, wyrażającą całkowitą konsternację, nie potrafił się opanować.

- Dziękuję - powiedział Jack, biorąc od lekarza kawę. - Myślisz, że to Greg? - zapytał Roberta.

- Tak. Siadaj, Jack.

Ale Jack stał, trzymał kawę w ręku. Miał na sobie pogniecione flanelowe spodnie, tweedową marynarkę i lotnicze buty. Co chwila zerkał na zegarek, bo bez wątplenia spieszył się do pracy.

- Ale co policja robi w tej sprawie?

- Moim zdaniem za bardzo kierujesz się logiką - odpowiedział na to Robert.

Jack pokręcił głową.

- Przypuszczam, że nie zrobią niczego, dopóki nie ustalą, że topielec to nie Wyncoop.

Mam rację?

- Pytałem Lippenholtza, w jakim stanie są zwłoki - wtrącił się doktor Knott. - Z tego, co powiedział, to znaczy n a w e t j e g o zdaniem, zwłoki przeleżały w wodzie dużo dłużej niż dwa tygodnie.

Dziś mija trzynaste dni, pomyślał Robert, od chwili gdy Wyncoop miał rzekomo wpaść do rzeki. Jack patrzył na przyjaciela.

- O czym myślisz? O jego trupie?

Robert wypił duży łyk kawy, którą lekarz właśnie mu nalał.

- Myślałem raczej o trupie o niustalonej tożsamości.

- Zrobię jajecznicę - powiedział doktor i wyszedł do kuchni.

Jack usiadł ostrożnie obok Roberta na brzegu kanapy.

- Czy to oznacza, że teraz nie szukają już Wyncoopa? Przepraszam za własną głupotę, ale trochę się w tym pogubiłem.

- Chyba nie przykładają się zbytnio do poszukiwań. I nie jesteś głupszy od innych, więc przestań się tłumaczyć. Trafiliś w samo sedno, nie szukają. Bo niby dlaczego mieliby szukać?

- Kto w takim razie strzela według nich?

- To ich po prostu nie interesuje - odpowiedział Robert.

Masło zaskwierczało na patelni. Lekarz stanął w drzwiach kuchni z łopatką w ręku.

- Wydaje mi się, że pan Forester ma rację. Ich to po prostu nie interesuje. Radziłbym oprzeć wygodnie głowę i się odprężyć, panie Forester. - Podłożył Robertowi kilka poduszek pod plecy, a ten posłuchał rady. - Jak się pan czuje?

- Dobrze, ale trochę dziwnie.

- Stracił pan wczoraj wystarczająco dużo krwi, żeby dziwnie się czuć. Musiałem zszywać żyłę - wyjaśnił lekarz wesołym głosem.

Jack ponownie zerknął na zegarek.

- Jeśli chcesz, żebyś przekazał coś Jaffe'owi, Bob...

- Nie, dzięki, Jack. A może... powiedz mu, że dziś nie przyjdę. Że jestem chory. Jak tylko lepiej się poczuje, złożę wypowiedzenie. Odchodzę. Jestem jak zapędzony w kozi róg. To prawda.

Jack popatrzył na lekarza, a potem na Roberta.

- A co z dzisiejszą nocą? Czy policja...

- Bardzo chętnie będę gościł dzisiaj pana Forestera u siebie - wtrącił lekarz, zanim Robert odpowiedział. - W Rittersville. Nic się tam nie dzieje poza... - podrapał się po łysinie - telefonami w środku nocy, bo komuś dokuczają niestrawność. To stary dowcip, ale nadal prawdziwy. Zje pan z nami jajecznicę, panie Nielson?

- Nie, dziękuję. - Jack wstał. - Muszę lecieć. Bob, może zaczekasz jeszcze z tym zwalnianiem się z pracy? Dentysta może jutro...

- Po tej przemowie, którą Jaffe do mnie wygłosił? - odparł Robert.

- Wygłosił do ciebie przemowę?

- Niezupełnie, ale jestem pewny, że generalnie uznał mnie za winnego. Za dziwaka, który nie pasuje do Langley Aeronautics. To wystarczy.

- Nie będziesz dla niego pracował w Filadelfii?

- Och, wszystko jest ściśle powiązane jedno z drugim - odpowiedział Robert. - Jeśli jutro dentysta stwierdzi, że topielec to nie Wyncoop, wcale nie będzie to oznaczało, że Wyncoop się tu zjawi, prawda? I nie będzie dowodem, że go nie zabiłem. - Robert zerknął na lekarza, zadowolony, że Knott słucha, stojąc w drzwiach kuchni. - Jak dobrze jest czasami pogadać. Bardzo dobrze - skończył Robert, opierając się z powrotem o poduszki.

- Nie chcę, żebyś zachowywał się jak człowiek, który się poddał - powiedział Jack, szurając lotniczymi butami.

Robert nie odpowiedział. Czy się poddał? Czuł się kruchy jak małe szklane naczynie. Co mogę zrobić? - zastanawiał się w myślach, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

- W większości sytuacji jest tak, że człowiek może coś zrobić - powiedział. - Ale w tym przypadku nie widzę żadnej możliwości. - Głos załamał mu się trochę histerycznie. Nagle pomyślał o Jenny. To jego wina, że odebrała sobie życie. Kochał ją, a ona tak wszystko zaplątała, że się zabiła.

Jack poklepał go po ramieniu. Robert spuścił głowę, prawą ręką zasłonił oczy. Jack i lekarz wymienili parę zdań. Doktor Knott powiedział bardzo rzeczowym tonem, że oczywiście Robert zostanie u niego w domu przez dzień lub dłużej, jeśli zajdzie taka potrzeba. Jack wziął od niego numer telefonu. A potem, po wyjściu Jacka, lekarz postawił przed Robertem na stoliku talerz z jajecznicą i tostami posmarowanymi masłem i marmoladą.

Kiedy Robert zjadł, jego myśli stały się mniej ponure. Greg miał immunitet, rodzaj *carte blanche*, dopóki dentysta nie ogłosi wyników ekspertyzy jutro po południu.

Prawdopodobnie stwierdzi, że nie są to zwłoki Grega, a to skłoni policję do bardziej dynamicznych poszukiwań. Innymi słowy, Gregowi pozostawała tylko ta noc. Czy nie byłaby to ironia losu, pomyślał Robert, gdyby dentysta po zbadaniu zębów trzonowych, które zachowały się w górnej szczęce, orzekł jednak, że to ciało Wyncoopa? A czy nie zakrawałoby na smutny żart, gdyby to naprawdę były zwłoki Grega?

- Czuje się pan już lepiej - stwierdził Knott. - Widać po panu.

- Znacznie lepiej, dziękuję. Doktorze, nie pojedę na noc do pana, ale jestem bardzo wdzięczny za propozycję.

- Dlaczego? Nie powinien pan zostawać tutaj, w odludnym miejscu, otoczony wrogo nastawionymi sąsiadami. A może wolałby pan pojechać do przyjaciela, pana Nielsona? Mówił, że z radością pana przyjmie.

Robert pokręcił głową.

- Nie chcę być w niczyim domu. Mam przeczucie, że dzisiejszej nocy znowu przyciągnę kule, po co więc narażać innych? Logicznym rozwiązaniem byłoby pójść do szpitala albo lepiej do więzienia. Więzienie ma grubsze ściany.

- Och! - zaśmiał się doktor Knott, ale uśmiech szybko zniknął z jego ust. - Naprawdę myśli pan, że Wyncoop, czy ktokolwiek to jest, ośmieli się ponownie strzelać? - Okrągła pocziwa twarz lekarza wyrażała wrażliwość, rozsądek i niechęć do przemocy. Nie przywykł do kontaktów z bronią palną, a tym bardziej z ludźmi takimi jak Greg.

Teraz z kolei Robert się uśmiechnął.

- A co miałyby go powstrzymać? Nie będę sobie dzisiaj zawracał głowy proszeniem o ochronę. Wątpię, żeby z tego wynikło coś dobrego.

Doktor Knott popatrzył na podłogę, na puste talerze, a potem na Roberta.

- Ostatnim miejscem, gdzie powinien pan przebywać, jest ten dom. Wyncoop wie, gdzie pan mieszka. A Rittersville jest prawie trzydzieści kilometrów stąd. Pojedzie pan swoim samochodem. Mój garaż jest dostatecznie duży, żeby pomieścić dwa samochody. Obaj możemy być na piętrze. Na dole niczego nie ma... poza kuchnią i salonem. - Uśmiechnął się, odzyskując pewność siebie. - Nie muszę dodawać, że mam dobre zamki w drzwiach frontowych i tylnych. Mieszkam w jednym ze starych domów, które kiedyś nazywano rezydencjami. Zbudowany w 1887 roku. Odziedziczyłem go po ojcu.

- To bardzo uprzejmie z pana strony - odpowiedział Robert. - Ale nie ma potrzeby. Nie zostanę tutaj, zresztą nie wiem, może zostanę, nie chcę jedynie jechać gdzieś, gdzie są inni ludzie...

- Pan chyba niezbyt dobrze mnie rozumie - lekarz wszedł mu w słowo. - Mieszkam w

rezydencjalnej, najstarszej dzielnicy Rittersville. Wokół jest mnóstwo innych domów. To znaczy nie ma ścisłu, wszystkie mają spore podwórza, ale to nie jest tak... jak tutaj - gestem wskazał na okolicę - gdzie jest pan wystawiony jak kaczką, a każdy może zniknąć w lesie albo na polach.

Robert milczał, obmyślając kolejny argument, coś poza krótkim „nie”.

- Teraz niech pan zadzwoni do matki, dobrze? Dochodzi dziesiąta.

Robert zadzwonił.

Czekała na jego telefon. Nadal chciała, żeby przyjechał do Nowego Meksyku. Dopytywała się, kiedy wyrusza. Robert wyjaśnił jej, że musi zostać do soboty z powodu dentysty, który miał zbadać ciało, uważane przez policję za zwłoki Wyncoopa.

- Nie, mam, nie uważam, że to są jego zwłoki, ale policja musi mieć pewność. To sprawa policji, mam, chodzi o przestępstwo. - W dziwny sposób poczuł się pewniej, gdy użył słowa „przestępstwo”, matka wierzyła bowiem tak niezachwianie w jego niewinność, bardziej niż Jack, bardziej niż lekarz, a nawet niż on sam. Trzymał słuchawkę telefonu prawą ręką przy lewym uchu. - Jasne, że mogę zadzwonić jutro rano, mam, a może lepiej w niedzielę, tak myślę, że lepiej w niedzielę, bo będę wiedział coś więcej... Dobrze, w niedzielę przed dwunastą... Uściskaj ode mnie Phila... Do widzenia, mam.

- Jak zamierza się pan dostać do Nowego Meksyku? - zapytał doktor Knott.

- Samochodem - odpowiedział odruchowo Robert, myśląc jednocześnie o matce, która przeczyta dzisiejsze gazety, jeśli jeszcze tego nie zrobiła. Na pewno znalazło się tam sporo nieprzychylnych wypowiedzi mieszkańców Langley, jego sąsiadów, historia samobójstwa, strzałów, podglądania, wszystko połączone razem i kierujące teraz uwagę na zwłoki w kostnicy w Rittersville. Robert ponownie poczuł się słabo. - Jestem przekonany, że do niedzieli wydobrzeję na tyle, żeby jechać. A jeśli nie pojedę samochodem, to zostawię go tutaj.

- Mmm. Jeśli oczywiście będzie pan rozsądny do niedzieli - odezwał się lekarz, obserwując go uważnie. - Proszę usiąść, panie Forester.

Robert usiadł.

- Pańska matka mieszka w Nowym Meksyku? - mówił doktor, zabierając z łazienki szczoteczkę do zębów Roberta i jego maszynkę do golenia.

- Nie, w Chicago, ale ona i jej mąż mają posiadłość niedaleko Albuquerque. Przypomina małe ranczo. Mieszka tam małżeństwo, które zajmuje się wszystkim, kiedy ich nie ma.

- Brzmi zachęcająco. Wyjazd prawdopodobnie dobrze by panu zrobił. Proszę to wziąć.

- Lekarz wyciągnął przed siebie dłoń.

- Co to?

- Dexamyl. Postawi pana na nogi do czasu, aż dotrzemy do Rittersville. Przez resztę popołudnia będzie pan mógł odpoczywać.

Kilka minut później Robert wyszedł z domu z doktorem Knottem i pojechał za nim do Rittersville.

Po pewnym czasie lekarz skręcił z drogi na podjazd. Stojący przy nim dom okazał się prawdziwą rezydencją w starym stylu. Przypominał śnieżnobiałą bezę. Na parterze i piętrze miał od frontu wykuszowe okna. Wszystkie szyby lśniły w promieniach słońca, jakby właśnie ktoś je wymył. Na świeżo skoszonym trawniku rosła ogromna wierzba płacząca o łagodnie kołyszących się gałęziach. Wierzba i hortensje nadawały temu miejscu przytulny, bardziej południowy charakter, co wyróżniało budynek spośród innych domów stojących przy tej samej ulicy. Robert wprowadził samochód do garażu, który znajdował się na końcu podjazdu.

Doktor zamknął drzwi garażu.

- Nie zatrzymałem się, żeby kupić dla nas coś do jedzenia, bo poprosiłem Anne Louise, żeby to zrobiła, więc teraz się przekonamy, czy mnie posłuchała - powiedział Knott, otwierając tylne drzwi jednym z kluczy na kółku.

Robert niósł małą walizkę, którą doktor pomógł mu zapakować. Weszli do ogromnej kwadratowej kuchni wyłożonej czarno-białym linoleum, z bardzo zniszczonym blatem kuchennym przy zlewie. Lekarz otworzył lodówkę, wydał ciche „Ach!”, świadczące o zadowoleniu, zajrzał do zamrażalnika, a potem oznajmił, że Anne Louise dobrze wywiązała się z zadania.

- Najpierw ulokuję pana na górze - powiedział i zachęcił Roberta gestem, by za nim poszedł.

Doktor poprowadził go przez salon, przez wyłożony dywanem hol i na górę po schodach z masywną, wypolerowaną poręczą. Dom wydawał się nieskazitelny, bez drobiny kurzu, a mimo to zamieszkały. Robert przypuszczał, że każdy mebel, każda ozdoba miała swoją wyjątkową historię albo znaczenie dla doktora i jego żony. Pocieszał się jedynie nadzieją, że lekarz nie umieści go w pokoju zmarłej żony lub w pomieszczeniu, gdzie stało jej łożo boleści. W tej samej chwili Knott otworzył szeroko drzwi i powiedział:

- To nasz pokój gościnny. - Rozejrzał się wokół. - Tak. Chyba wszystko tu w porządku. Przydałoby się trochę kwiatów, żeby stało się przytulniej, ale... - Urwał w pół zdania, wyraźnie oczekując po Robercie słów uznania dla domu i zapewnienia, że mu się tu podoba.

- Niczego tu nie potrzeba - powiedział Robert. - Pokój jest przepiękny. I to łóżko...

- Prawdziwe pierze - wyjaśnił doktor ze śmiechem. - Może mi pan wierzyć lub nie. Łóżko z puchową pościelą. Teściowa zrobiła narzutę. Wzór jest oparty na symbolu stanu Oregon, oregońskiej winorośli. To wiecznie zielona roślina, *Mahonia aquifolia*.

- O!

- Śliczniutki, drobne winogrona, prawda? Żona uwielbiała tę narzutę, dlatego położyła ją w pokoju gościnnym. Taka właśnie była. Proszę, niech się pan rozgości, a ja zostawię pana teraz na kilka godzin. Łazienka jest obok, po prawej stronie. - Zbierał się do wyjścia. - Przy okazji, zdrzemnąć może się pan po południu, a teraz dexamył utrzyma pana w dobrej kondycji. Przyniosę panu łagodny środek uspokajający, a pan go weźmie albo nie, według uznania, radziłbym jednak przebrać się w piżamę i mokasyny.

- Dziękuję. - Robert uśmiechnął się. - Najpierw chciałbym jednak przejrzeć gazety. Zejdę po nie na dół.

- Nie, nie, nie. Ja je przyniosę. Proszę tu zostać. - Doktor wyszedł.

Robert ponownie rozejrzał się po pokoju, trochę z niedowierzaniem, ale potem otworzył walizkę i wyjął piżamę. Lekarz zapukał do drzwi, wszedł z gazetami, które kupił po drodze, położył je na krześle obitym rypsem i pomachawszy ręką na pożegnanie, zniknął za drzwiami. Robert zaniósł gazety na łóżko, usiadł, ale zapadł się zbyt głęboko. W końcu przeniósł się z nimi na podłogę. Między innymi tytułami znalazł także nowojorski „Times” i do niego zajrzał najpierw, żeby sprawdzić, ile miejsca poświęcono jego sprawie. Dotarł do siedemnastej strony, zanim natrafił na informację. Na wąskiej szpalcie donoszono w stonowany sposób, że policja w Rittersville czeka na przyjazd dentysty Wyncoopa, doktora Thomasa McQueena, oraz że do Roberta Foreстера, który wdał się w bójkę z Wyncoopem 21 maja, „strzelano, gdy był w swoim domu niedaleko Langley”. Chodziło tu oczywiście o kulę, która ugrzęzła w misie. „Courier” z Rittersville i wydawana w Langley „Gazette” miały świeższe wiadomości. Pisały o pięciu kulach wystrzelonych poprzedniej nocy, „co spowodowało sporą liczbę zaalarmowanych sąsiadów do domu Foreстера. Forester został ranny w lewe ramię. Opatrzył go doktor Albert Knott z Rittersville. Strzelano do Foreстера już po raz drugi i choć nie wiadomo, czy chodzi o jednego zamachowca, czy było ich więcej, mówi się jednak, że sprawcą jest ktoś zaprzyjaźniony z Wyncoopem...” W żadnej z gazet nie sugerowano, że zamachowcem może być sam Wyncoop.

Doktor Knott wrócił ponownie. Przyniósł Robertowi szklankę wody.

- A co pan robi na podłodze? - zapytał.

- Zdaje się, że to najlepsze miejsce do przeglądania gazet - odpowiedział Robert,

wstając.

- A tam! - Lekarz pokiwał głową. - To po prostu za stary dom dla pana. Nic tak naprawdę nie jest tu wygodne.

Robert uśmiechnął się szeroko i chętnie wziął od lekarza wodę i białą tabletkę.

- Chyba ją zażyję - dodał.

- Bardzo dobrze. Wyjdę tuż przed trzecią. Gdyby pan zgłodniał, w lodówce jest ser i inne rzeczy. Coś konkretniejszego zjemy wieczorem. - Obrócił się do drzwi.

- Nie rzuci pan okiem na gazety?

- Owszem, chętnie. Skończył pan?

- Tak. - Robert zebrał je i poskładał. Podał gazety lekarzowi, który spojrzał na niego przyjaznymi i wesołymi oczami, jednak wyraz małych ust wyraźnie przeczył temu, co mówiły oczy. Usta zdradzały napięcie. Robert zastanawiał się, czy to wątplenie, czy podejrzenie? A może ślad, jaki pozostawiło bolesne przeżycie? A może tylko mu się zdawało, że doktor go podejrzewa?

Robert założył piżamę i zasnął.

Kiedy się obudził, zachodzące słońce zdawało się świecić wprost do pokoju. Zegarek pokazywał za kwadrans siódmą. Robert poszedł do łazienki, umył się, wyczyścił zęby i ubrał. Przechodząc przez hol, usłyszał, że ktoś krząta się w kuchni na dole - łyżka zabrzęczała, uderzając o miskę. Nie potrafił wyobrazić sobie gotującego doktora, mimo że Knott znakomicie poradził sobie rano z jajecznicą. Pomacał się po ramieniu i lekko je ścisnął. Właściwie prawie wcale go nie bolało. Poczul nagły przypływ energii i zbiegł po schodach, trzymając dłoń tuż nad poręczą, i na sekundę wróciło wspomnienie, jak zbiegał po schodach w domu Nickie.

Lekarz gotował, ubrany w kuchenny fartuch.

- Niech się pan napije żytnej - powiedział. - Lubi pan żytniówkę? Tam stoi butelka. - Ruchem głowy wskazał na blat obok lodówki.

- Chętnie się napiję. Nalać i panu?

- Już sobie nalałem, dzięki. Sherry. „Bristol Cream”.

Robert przygotował sobie drinka i spytał, czy może w czymś pomóc. Zauważył, że stół w jadalni został już nakryty dla dwóch osób. Lekarz odpowiedział, że sam świetnie da sobie radę, bo nie gotuje niczego skomplikowanego. Będą jedli indyka na zimno z sosem żurawinowym, kupionego w delikatesach, a potem makaron z serem - mrożonkę.

Kiedy usiedli do stołu, doktor nalał po kieliszku amontillado. Powiedział, że byli z żoną prawdziwymi wielbicielami sherry i herbaty. Miał w kuchni szesnaście gatunków

chińskiej herbaty.

- Nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo mi miło, że jest pan tu ze mną - odezwał się doktor, przerywając milczenie, które zapadło, gdy jedli. Wcześniej Knott pytał Roberta o pracę, a on opowiedział mu także o skończonych niedawno rysunkach do książki profesora Gumbolowskiego o owadach. W sumie musiał się uporać z sześcioma czy siedmioma dodatkowymi rysunkami, ale udało mu się to zrobić przed końcem marca. - Jest pan pierwszym gościem w tym domu od śmierci żony, wie pan? - mówił dalej doktor. - Ludzie mnie zapraszają, ale to dla mnie trudne, bo za bardzo się starają. Z drugiej strony, co dziwniejsze, planowałem, żeby zaprosić tu kilku starych przyjaciół, przygotować dla nich pyszny obiad, ale pomyślałem, że uznają mnie za wariata, bo tak szybko po jej śmierci szukam rozrywek. Dlatego nie robiłem niczego. Aż do chwili, kiedy pana poznałem. - Uśmiechnął się zadowolony, napił się sherry, a potem zapalił cygaretkę. - A przecież pan jest dla mnie obcym człowiekiem. Zadziwiająca.

Bardzo podobnie jest po rozwodzie, pomyślał Robert. Żadna odpowiedź nie przychodziła mu jednak do głowy, ale doktorowi to najwyraźniej nie przeszkadzało. „Aż do c h w i l i , g d y p a n a p o z n a ł e m ” - powtórzył Robert w myślach. Człowieka, do którego sąsiedzi czuli odrazę i chcieli, żeby się wyniósł, człowieka odpowiedzialnego za samobójstwo dziewczyny, człowieka, który być może wrzucił mężczyznę do rzeki i się tego wypiera. Co naprawdę o nim myśli doktor Knott? Czy to wszystko ma w ogóle jakieś znaczenie dla kogoś pogrążonego głęboko w żałobie? A może Robert posłużył mu jedynie do chwilowego odwrócenia uwagi, jak program telewizyjny, który doktor oglądał, żeby nie myśleć bez przerwy o zmarłej żonie? Robert przypuszczał, że nie pozna odpowiedzi na te pytania ani dziś, ani jutro, ani w niedzielę, kiedy zostaną podane wyniki badania wyłowionych zwłok. Doktor nigdy nie wypowie głośno osądu, nigdy nie ujawni swoich opinii. A z pewnością je ma i bez wątpienia interesował się sytuacją Roberta. Na tyle przynajmniej, że chciał przeczytać gazety.

- Gra pan w szachy? - zapytał lekarz.

- Trochę, ale kiepsko - odpowiedział Robert, wierząc się na krześle.

Przenieśli się na górę do pokoju Roberta, żeby zagrać. Była tam szachownica inkrustowana tęczyną i kością słoniową. Robert zauważył ją tam wcześniej, ale doktor wybrał ten pokój z pewnością także dlatego, że znajdował się na piętrze i na tyłach domu. Na zewnątrz zapadł już zmierzch. Zanim weszli po schodach, pogasili na dole światła. Doktor wniósł filiżanki i dzbanek z kawą na tacy. Robert znał zasady gry w szachy, kiedyś nawet przeczytał kilka książek z tej dziedziny, jednak jego największym problemem był brak

autentycznej chęci wygranej. Niemniej starał się bardzo, żeby sprawić przyjemność doktorowi. Lekarz zaś chichotał i mamrotał do siebie, gdy obmyślał kolejne posunięcia. W dobroduszny sposób, ale korzystając z pierwszej nadarzającej się okazji, powiedział Robertowi szach-mat. W dwadzieścia minut rozegrali dwie partie. Robert obie przegrał. W czasie kolejnej partii Robert bardziej się koncentrował i gra trwała niemal godzinę. Wynik jednak był taki sam. Doktor usiadł wygodnie w fotelu i roześmiał się. Robert także się śmiał.

- Nie mogę nawet powiedzieć, że wyszedłem z wprawy, bo nigdy jej nie miałem - zażartował.

Gdzieś w oddali ktoś zmienił bieg w jadącym samochodzie. Poza tym panowała głucha cisza. Robert słyszał nawet tykanie zegara na dole.

- Za dziesięć dziesiąta! Może kropelkę brandy? - zapytał doktor.

- Nie, dziękuję. Po niej...

- Och, wiem. To w takim razie sherry. Niech mi pan wierzy, jest wyśmienita. - Lekarz wstał. - Nie, nie, proszę nie schodzić na dół. Wrócę za minutę - powiedział i wyszedł.

Robert podszedł do podwójnego łóża, odwrócił się i nasłuchiwał. Z powodu napięcia rozboleło go lewe ramię. Starał się odprężyć. Z zewnątrz nie dochodził najmniejszy szelest. Usłyszał skrzypnięcie i zatraskiwanie drzwi na dole, jakby ktoś zamykał drzwiczki barku. Wpatrywał się w na wpół otwarte drzwi, nasłuchując kroków lekarza na schodach.

Rozległ się strzał, a potem brzęk tłuczonego szkła.

Robert zbiegł na dół.

Doktor leżał w szerokich drzwiach pomiędzy salonem a holem, o niecały metr od schodów. Miał otwarte oczy, głowę opartą o próg.

- Doktorze Knott? - Robert potrząsnął go delikatnie za ramię i wpatrywał się w jego lekko rozchylone usta, jakby spodziewając się, że się poruszą, że wydobędzie się z nich dźwięk. Nie widział żadnej rany.

Wstał, zajrzał do oświetlonego salonu. Dostrzegł uchylone okno. Między parapetem a framugą przesuwanego do góry okna była dwunasto-, może piętnastocentymetrowa szczelina. Przeszedł do holu, otworzył frontowe drzwi i wyszedł na werandę. W rogu przy oknie panowała zupełna ciemność. Pusty trawnik, omroczony cieniami drzew i krzaków, wydawał się bladezielony w świetle rzucanym przez pobliską latarnię. Robert stał, wstrzymując oddech. Nasłuchiwał odgłosu jakiegokolwiek ruchu zarówno po prawej, jak i po lewej stronie chodnika. Otworzyło się okno w sąsiednim domu.

- Co to było? - zawołała jakaś kobieta. - Doktorze Knott?

Robert wrócił do lekarza. Knott leżał tak, jak go zostawił. Podciągnął go do pozycji

siedzącej, ale głowa lekarza opadła bezwładnie na piersi. Dopiero wtedy Robert zauważył czerwoną dziurę z tyłu głowy i krew spływającą przez rzadkie włosy na biały kołnierzyk. To dziura od kuli, pomyślał Robert, choć wyglądała jak zwykłe otarcie. Doktor mógł stracić przytomność, kiedy upadł i uderzył się o próg. Zaczął go podnosić, ale powstrzymał go szklany wygląd oczu lekarza. Robert usiłował wyczuć, czy bije mu serce. Biło.

Na pół zaniósł, na pół zaciągnął doktora na sofę, a potem pobiegł do kuchni, gdzie szukał po omacku włącznika światła; znalazł go. Zmoczył zimną wodą kilka papierowych ręczników. Wrócił do lekarza i obmył mu z krwi tył głowy. Papieru wystarczyło jeszcze na wytarcie mu twarzy i czoła. Oczy nadal pozostawały szklane i szeroko otwarte, usta rozchylone, ale teraz Knott się trochę ślinił. Robert pobiegł na piętro do łazienki, otworzył szafkę z lekami z mnóstwem przeróżnych buteleczek na trzech lub czterech szklanych półkach. Szukając, zrzucił kilka z nich do umywalki, ale się nie stłukły - aż znalazł to, czego szukał: amoniak. Dwa razy przeczytał etykietę, żeby się upewnić. „Dawkowanie: ½ do 1 łyżeczki rozpuścić w wodzie. Znakomity i szybki środek oczucający”. Robert powąchał - zapach był bardzo silny - i zbiegł z buteleczką na dół.

Trzymanie buteleczki pod nosem doktora nie przyniosło żadnego skutku. Z drugiej strony Robert bał się, że Knott się zakrztusi, jeśli spróbuje wlać mu do ust wodny roztwór. Ręce doktora były zimne. Puls wydawał się słabszy. Robert chwycił koc z frędzlami leżący na kanapie i okrył nim lekarza. Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer centrali telefonicznej. Powiedział telefonistce, że potrzebny jest lekarz, bo doszło do wypadku. Aleja Waverly, dom doktora Knotta. Robert nie znał numeru.

- To biały budynek. Zapalę światła na froncie. Uda się pani przysłać natychmiast lekarza?

- O, tak, to jest możliwe. To musi być gdzieś niedaleko szpitala w Rittersville. Już do nich dzwonię.

Robert wrócił do doktora i czekał, trzymając go za przegub, żeby kontrolować puls. Błyszczące niebieskie oczy zdawały się patrzeć prosto na niego.

- Doktorze Knott?

Wyglądał, jakby miał zamiar coś powiedzieć, ale się nie poruszył.

Rozległo się pukanie do drzwi. Robert poszedł je otworzyć.

- Och! - Odezwała się tęga kobieta po pięćdziesiątce, stojąca na progu z mężczyzną w podobnym wieku. - Wydawało się nam, że słyszeliśmy strzał.

- Tak. Proszę wejść. - Robert cofnął się od drzwi. - Doktor został trafiony. Mam jedynie nadzieję... Jest nieprzytomny.

- Doktorze Knott! - wysapała kobieta i rzuciła się naprzód, ale natychmiast stanęła. Spojrzała na męża. - Och, George!

- Sam się postrzelił czy... Gdzie ma ranę? - zapytał mężczyzna.

Robert opowiedział im, co się stało, i dodał, że wezwał już lekarza.

- Jest pan jego przyjacielem? - dopytywał się mężczyzna, mrużąc oczy. - Rany, pan chyba nie jest...

- Robert Forester - odpowiedział Robert.

Kobieta wpatrywała się w niego z ustami otwartymi z wrażenia.

- Podglądacz! - krzyknęła.

- Przeczytaliśmy w gazecie, że wczorajszej nocy doktor Knott się panem zajął - wyjaśnił mężczyzna.

- Tak, rzeczywiście tak było.

Kobieta i mężczyzna zdawali się utrzymywać pewną odległość od niego, przy czym kobieta przesuwała się w kierunku wyjścia.

Robert spojrzał na doktora, który nadal leżał nieruchomo.

- Moglibyśmy zostać do przyjazdu lekarza, Irmo. Chciałbym się dowiedzieć, w jakim stanie jest doktor Knott - powiedział mężczyzna.

- Oczywiście, George.

Nikt z nich nie siadał. Nikt nie powiedział słowa przez trzy do czterech minut. Robert ponownie zbadał puls Knotta. Otwarte oczy doktora działały mu na nerwy. Teraz patrzyły na niego z potępieniem, a jednocześnie wydawały się martwe, choć przecież lekarz żył, bo jego puls był wyczuwalny. „A ż d o c h w i l i , g d y p a n a p o z n a ł e m - z d a w a ł y s i ę m ó w i ć o c z y . R o b e r t n i e m a ł s ł y s z a ł g ł o s l e k a r z a w u s z a c h . - N i e p o t r a f i ę n a w e t w y r a z i ć , j a k b a r d z o m i m i ł o , z e j e s t p a n t u z e m n ą . . . J e s t p a n p i e r w s z y m g o ś c i e m . . . ” R o b e r t p o p a t r z y ł n a d w o j e s ą s i a d ó w s t o j ą c y c h w p o k o j u .

Mężczyzna o imieniu George palił papierosa, trzymając go przed sobą między palcami. Spoglądał na Roberta prowokacyjnie i z pogardą, jakby miał prawo przebywać w tym domu, a Robert był intruzem. W chwilę potem usiadł na krześle i powiedział:

- Siadaj, Irmo.

- Postoję, George.

Mężczyzna zaciągnął się papierosem i zapytał:

- Policję też pan wezwał?

- Nie - odpowiedział Robert. - Jeszcze nie.

- Dlaczego?

Robert wciągnął głęboko powietrze.

- Pomyślałem, że sprowadzenie lekarza jest najważniejsze.

George wpatrywał się w niego natarczywie.

- Kto strzelał? - spytał rzeczowo.

Robert odzyskał zimną krew. Wydało mu się śmieszne, że ten mężczyzna siedzi teraz tyłem do okna, przez które wpadła kula, śmieszne, że nie zapytał, skąd padł strzał.

- Nie wiem - odparł Robert. - Może ten sam człowiek, który strzelał do mnie wczoraj w nocy.

- Trafił pana?

- Tak, w ramię. - Robert miał koszulę z długimi rękawami, więc nie było widać opatrunku. Nienawidził tych dwojga ludzi i żałował, że nie może po prostu wyprosić ich z domu.

- Nie uważa pan, że jednak lepiej byłoby wezwać policję? - mężczyzna spytał takim tonem, jakby miał pewność, że Robert chce tego uniknąć, a w jego głosie było tyle złośliwości, że nawet jego żona uznała to za przesadę.

- George! - upomniała go. W jej oczach widać było strach, gdy patrzyła na Roberta, podczas gdy jej mąż wcale się nie bał.

- To może pan wezwie policję? - zwrócił się do niego Robert. - Myślę, że skutek będzie lepszy, niż gdybym to ja zadzwonił.

- Lepszy? - zapytał mężczyzna zaczepnie.

- Szybciej przyjadą - wyjaśnił Robert.

George zerknął na żonę i podszedł do telefonu.

Ktoś zapukał do drzwi. Tym razem byli to lekarz i jakaś kobieta - powiedziała, że mieszka naprzeciwko. Robert odpowiadał na pytania sąsiadki, jednocześnie obserwując lekarza, który rozpiął Knottowi koszulę na piersi i stetoskopem osłuchiwał serce. Robert zauważył, że rana na głowie praktycznie nie zwróciła jego uwagi. Potem lekarz zdjął rannemu marynarkę, podwinął rękaw i zrobił zastrzyk.

- Trzeba zawieźć tego człowieka do szpitala - powiedział lekarz do Irma.

- Tak, doktorze. - Irma stała tuż obok niego. - Zajmiemy się tym.

- Karetką - dodał lekarz pod nosem i ruszył do telefonu.

Robert zatrzymał go.

- Jak on się czuje? Co mu jest?

- Śpiączka - odpowiedział lekarz. - Nie wiem niestety, jak mocne ma serce, i w tym cały problem. Nie bije jednak zbyt równo. - Rozejrzył się nerwowo dokoła. - To rana od kuli. Dlaczego nie ma tu policji?

- Już jedzie - George włączył się do rozmowy.

Lekarz podniósł słuchawkę, wykręcił numer i uprzejmym głosem poprosił o przysłanie karetki.

Robert popatrzył na wywróconą tacę leżącą na podłodze, na potłuczone małe kieliszki i butelkę sherry, która nie zbita potoczyła się do holu, na krople krwi na progu. A potem stanął przy oknie, którego parapet znajdowałby się niemal dokładnie na wysokości podbródka Grega, gdyby stał przed domem na trawniku. Gdzie Greg był teraz? Uciekał stąd, ukryty w ciemności?

23

- Jakie są najświeższe nowiny dotyczące doktora? - zapytał Jack Nielson.

- Cały czas to samo. Wciąż jest nieprzytomny - odpowiedział Robert.

Jack nie chciał usiąść. Stał pośrodku salonu Roberta z rękami skrzyżowanymi na piersi, czując się dość niezręcznie. Robert obchodził wolno pokój dokoła, omijając walizki i kartonowe pudła. Z jednego z nich wystawały na ponad dwadzieścia centymetrów liście ulubionej rośliny Jenny - języka teściowej. Była dziesiąta dwadzieścia pięć w sobotni ranek. Robert spoglądał na zegarek co pięć minut. O jedenastej miał zamiar ponownie zadzwonić do szpitala.

- Na pewno nie chcesz kawy? - zapytał Jacka. Jack nigdy przedtem nie odmówił filiżanki.

Przyjaciół pokręcił głową.

- Nie, Bob. Wpadłem, żeby ci powiedzieć, że ja i Betty trochę się różnimy w ocenie tej sprawy. Jest trochę wystraszona. Chyba za bardzo się boi, żebyś mógł u nas zamieszkać. Wiesz, proponowałem ci przecież.

- Nie ma takiej potrzeby, Jack. Podziękowałem ci już wcześniej, prawda? - Robert szedł powoli, zapatrzony w podłogę.

- Według mnie najbardziej przejęła się tym podglądaniem. Ja potrafię cię zrozumieć

po tym, co mi opowiedziałaś. Przekonywałem ją, że zmieniłaby zdanie, gdyby to usłyszała od ciebie. Ale wiesz, jakie są kobiety... a teraz ta strzelanina.

Rozmowa z Jackiem zaczęła drażnić Roberta.

- Rozumiem, ale nawet nie śmiałybym marzyć o tym, żeby się przenieść do czyjegoś domu. Jak idiota zgodziłem się pojechać z doktorem. Fakt, on tego chciał. Jest lekarzem, a ja miałem ranę po kuli na ramieniu. - Wyrzucił niedopałek do kominka. Dymił się tam, szpecąc czysto wymiecione palenisko. - Doktor Knott może umrzeć, a wina spoczywa na mnie.

Jack nic nie powiedział. Można było pomyśleć, że taktownym milczeniem zbywa kogoś, kto już nie żyje.

Robert spojrzał na niego.

- Chyba będę już leciał, Bob - odezwał się w końcu.

Kiedy Jack wyszedł, do Roberta dotarło, że przyjaciel nawet nie zapytał, jak i gdzie zamierza spędzić dzisiejszą noc, nie zaproponował, że postąpi wbrew życzeniom żony i na tę noc ukryje go na strychu albo w piwnicy. Wcześniej czy później Jack podzieli opinie żony we wszystkich sprawach, pomyślał Robert. Prawdopodobnie jeszcze tego popołudnia albo wieczorem. Od Lippenholtza dowiedział się wczoraj, że dentysta miał się zjawić tego dnia w południe. Podeszedł do telefonu i zadzwonił do szpitala w Rittersville.

- Stan doktora Knotta nie uległ zmianie - usłyszał w słuchawce odpowiedź pielęgniarki.

- Dziękuję. - A czego się spodziewał? Był w szpitalu dwie godziny wcześniej.

Robert wylał kawę do zlewu. Wziął list, który zaczął pisać do rodziców Jenny. Wyciągnął go z maszyny do pisania, kiedy wrócił poprzedniego dnia późnym wieczorem, złożył go i rzucił na biurko. Teraz pomachał nim przez chwilę i wcisnął do papierowej torby na śmieci w kuchni. Mieszkali przy Alei Franklina pod numerem 4751 w Scranton. Pamiętał adres z gazet. Umył się pod prysznicem i ogolił.

Do Scranton dojechał tuż przed pierwszą po południu. Podczas jazdy rozważał, czy najpierw zatelefonować, czy po prostu zapukać do drzwi, ale teraz nie był ani trochę bliższy rozstrzygnięcia niż w chwili wyjazdu. Mimo to zatrzymał się przy drogerii, gdzie wszedł do kabiny telefonicznej. Zadzwonił na policję w Rittersville. Lippenholtza nie zastał, ale oficer, z którym rozmawiał, potrafił udzielić odpowiedzi na jego pytanie.

- Doktor McQueen był tu właśnie ze zdjęciami rentgenowskimi. Miał tylko jedno zdjęcie, ale dolnej szczęki. Tłumaczył, że nigdy nie robił niczego przy górnych zębach Wyncoopa, dlatego nie może mieć pewności... Nie, nie był w stanie go zidentyfikować.

- Rozumiem... tak, rozumiem. - Robert podziękował mu i rozłączył się. Rozejrzał się

oszołomiony po zagraconym wnętrzu sklepu.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytała go blondynka w białym fartuchu.

- Nie, dziękuję - odpowiedział, kręcąc przecząco głową.

Robert wyszedł i wsiadł do samochodu. Zapytał policjanta z drogówki, jak dojechać do Alei Franklina, dostał szczegółową odpowiedź, ale zanim tam trafił, musiał zapytać ponownie na stacji benzynowej. Ulica znajdowała się w dużej dzielnicy willowej, pełnej jednopiętrowych domów z trawnikami od frontu, z drzewami rosnącymi po obu stronach ulicy pozbawionej chodników. Numerem 4751 oznaczony był dom z czerwonej cegły z białymi drzwiami i futrynami okien. Na drzwiach nie wisiał żaden wieniec. Jenny nigdy nie opisywała mu tego domu, ale widok, który zobaczył, wydał mu się uderzająco znajomy, jakby wcześniej był z nią tutaj. Zatrzymał samochód blisko podjazdu przy krawężniku, wysiadł i poszedł przed siebie ścieżką wyłożoną kocimi łbami. Słyszał śmiech jakiegoś dziecka, zawahał się przez sekundę, a potem ruszył dalej. Zastukał czarną żelazną kołatką.

W drzwiach stanęła uśmiechnięta kobieta z dzieckiem uczeponym jej kolan.

- Tak?

- Proszę pani... Czy to dom Thierolfów?

Uśmiech zniknął z twarzy kobiety.

- Och, nie, to następny dom - odpowiedziała, pokazując ręką kierunek. - Czterdzieści siedem pięćdziesiąt trzy.

- Dziękuję i przepraszam. - Odwrócił się pod jej badawczym spojrzeniem i ruszył z powrotem ścieżką do Alei Franklina. Najprawdopodobniej w gazetach popełniono błąd.

Sąsiedni dom był cały zbudowany z cegły w kolorze jaśniejszej czerwieni, większy i bardziej dostatni od domu, do którego zapukał poprzednio. Nie wywarł na nim żadnego wrażenia. Ale poczuł się słabszy i przez chwilę pomyślał nawet, że nie zdoła przez to przejść. Potem jednak zmusił się do działania.

Drzwi otworzył mu mężczyzna, wysoki, siwiejący, o wydatnych policzkach, które zaczynały obwisać.

- Dzień dobry - powiedział Robert pośpiesznie. - Nazywam się... Jestem Robert Forester.

Po oczach mężczyzny widać było, że jest wstrząśnięty tą wizytą.

- Tak. Więc...

- Przyjechałem, żeby się z państwem zobaczyć... Chciałem się z państwem zobaczyć, bo...

- Kto przyszedł, Walterze? - rozległ się ze środka kobiecy głos.

Nie odrywając oczu od Roberta, mężczyzna cofnął się o krok, robiąc trochę miejsca dla żony.

- Ten człowiek... to jest Robert Forester.

Kobieta otworzyła usta ze zdziwienia. Miała podobnie jak Jenny pociągłą twarz i takie same cienkie usta. Jej włosy były mieszaniną siwych i jasnoblond kosmyków - zaczesanych do tyłu i upiętych w kok.

- Dzień dobry, pani Thierolf - powiedział Robert. - Mam nadzieję, że wybaczy mi pani to najście. Chciałem się z państwem zobaczyć.

- No cóż... - odpowiedziała kobieta. Wyglądała na zakłopotaną i zmęczoną bólem, z czego Robert zdawał sobie znakomicie sprawę. W oczach miała smutek i znużenie, ale nie było w nich wrogości. - Jenny... Jenny bardzo dużo o panu opowiadała. Tak, to prawda. - Oczy zaszyły jej łzami.

- Wracaj do siebie, kochanie - mężczyzna powiedział do żony i ruchem głowy zachęcił ją do odejścia. - Ja porozmawiam z tym panem.

- Och, nie. - Kobieta popatrzyła na Roberta, widać było, że wzięła się w karby. - No cóż, kiedy na pana patrzę, nie wygląda pan tak, jak się spodziewaliśmy.

Robert stał bez ruchu, napięty.

- Chciałem osobiście przekazać państwu... przekazać, jak bardzo żałuję z powodu...

Kobieta westchnęła ciężko.

- Wejdzie pan? - spytała z pewnym wysiłkiem.

- To chyba nie będzie konieczne, dziękuję. - Robert spojrzał na ciągle nachmurzoną twarz ojca Jenny. Miał oczy takiego samego koloru jak córka. - Wiem, że nie umiałbym powiedzieć niczego, co...

- Proszę do środka - kobieta weszła mu w słowo.

Robert posłuchał, poszedł za nią do schludnego salonu z dywanem w kwiatowe wzory i meblami o kwiecistych obiciach. Serce podeszło mu do gardła na widok zdjęcia stojącego na kominku. W pierwszej chwili pomyślał, że to Jenny, ale okazało się, że to portret młodego mężczyzny. Bez wątpienia był to brat Jenny, uczący się w college'u.

- Może pan usiądzie?

Robert podziękował, ale nie skorzystał z propozycji. Pan Thierolf także stał. Znajdował się pomiędzy Robertem a drzwiami salonu. Matka Jenny usiadła na niewielkiej sofie.

- Nadal nie możemy się z tym pogodzić. Wiem, że to daremny żal - powiedziała i szybko otarła oczy. Już nie płakała. Uniosła głowę i spojrzała na Roberta. - Czy coś panu

mówiła? Coś, co pomogłoby zrozumieć, dlaczego to zrobiła?

Robert pokręcił przecząco głową.

- Nie. Widziałem się z nią w poniedziałek wieczorem. W zeszły poniedziałek. Powiedziała, że nie chce się ze mną więcej spotykać. Zapytałem ją, dlaczego. Nie odpowiedziała. Pomyślałem... naturalnie pomyślałem tak dlatego, że ona myślała, że ja... że jestem odpowiedzialny za śmierć Grega. Ale to nieprawda. Tyle że do tego tylko to sprowadziłem. Nigdy nawet mi przez myśl nie przeszło, że ona mogłaby się zabić, że kiedykolwiek pomyślałaby o czymś takim... to znaczy na serio. - Spojrzał na ojca Jenny, który słuchał uważnie ze zmarszczonym czołem. - Chociaż...

- Tak? - spytała pani Thierolf.

Robert zwilżył usta.

- Jenny bardzo dużo i często mówiła o śmierci i umieraniu. Państwo pewnie o tym wiecie.

- Och, wiemy, wiemy - powiedziała pani Thierolf z tonem rezygnacji w głosie. - Nasz mały Króliczek... mówił o śmierci.

- Nie twierdzę, że to coś wyjaśnia. Chyba nic. Ale mówiła o śmierci tak, jakby to było coś, co rzeczywiście chciała szybko poznać. Nie wiem, jak to wyrazić.

Pani Thierolf spuściła głowę. Mąż podszedł do niej.

- Przepraszam - powiedział Robert do nich obojga. - Chyba dość już powiedziałem. Powinienem pójść.

Ojciec Jenny spojrział na niego. Nadal stał pochylony nad żoną, trzymał rękę na jej ramieniu.

- O ile wiem, dzisiaj mają zidentyfikować ciało wyłowione z rzeki. - W jego głosie słychać było twardość niemieckiej wymowy, choć mówił bez akcentu.

- Właśnie dowiedziałem się szczegółów - odpowiedział Robert. - Dentysta nie wie, czy to on. To znaczy doktor McQueen z Humbert Corners. Leczył jedynie dolne zęby Grega i... cóż, identyfikacja nic nie wniosła. Topielec nie ma dolnej szczęki.

Pan Thierolf w milczeniu pokiwał głową.

- Panie Thierolf, chciałbym też powiedzieć teraz... że nie zepchnąłem Grega do wody. Jestem całkiem pewny, że on żyje. Wiem od Jenny, że państwo bardzo go lubiliście.

- Och, wcale tak bardzo za nim nie przepadałem - odpowiedział pan Thierolf. - Nie był... - urwał i wzruszył ramionami, jakby ta sprawa nie miała już znaczenia.

- Straciliśmy dwójkę dzieci - odezwała się pani Thierolf, patrząc na Roberta. - Ale ciągle mamy jeszcze trzecie, naszego Dona. - Ruchem głowy wskazała fotografię stojącą na

kominku. Na jej ustach pojawił się nikły uśmiech. - Kończy szkołę w przyszłym miesiącu. Proszę, niech pan usiądzie.

Robert usiadł, jakby jej łagodny głos był rozkazem. Został jeszcze przez dziesięć minut. Pan Thierolf także w końcu usiadł na sofie obok żony. Wypytywali Roberta o jego plany, czy ma zamiar zostać w Langley, czy raczej wyjedzie. Powiedział im, że chciałby odwiedzić matkę w Nowym Meksyku. Pani Thierolf ze szczerością i prostotą, w czym przypominała mu Jenny, powiedziała, że mniej więcej dziesięć dni przed śmiercią córka podejrzewała, że Robert zabił Grega w czasie sobotniej bójki. Jej przyjaciele dużo z nią rozmawiali. Starsi państwo nie wiedzieli, komu wierzyć. Bezpodstawność tego podejrzenia wprawiała go teraz w zakłopotanie, bo wyglądało to tak, jakby rodzice Jenny odkrywali w niej pokłady głupoty. Dziwnie się z tym czuł, chciał jej bronić, a jednocześnie było mu wstyd. Nawet w zawołany sposób nie spytali o to, co czuł do Jenny. Najwyraźniej wiedzieli, że jej zależało na nim dużo bardziej niż jemu na niej. Kiedy wstał, gotów do wyjścia, pani Thierolf zaproponowała mu filiżankę herbaty, „żeby się pokrzepił przed drogą powrotną”. Robert najpierw się tym wzruszył, a potem nie wiedzieć czemu był z tego powodu niezadowolony. Uprzejmie odmówił. Miał wrażenie, że się porozumieli i jednocześnie nie porozumieli. Postawa pana Thierolfa, gdy Robert wychodził, stała się zdecydowanie bardziej przyjazna. Jego żona zaś zachowywała się jak kobieta o dobrym sercu, u której żal nie pozostawia miejsca na pretensje, która nie ma siły na okazywanie wrogości. Robert uznał za całkiem możliwe, że pani Thierolf zaakceptowała go w jakiś sposób, przestała ferować na niego wyrok, bo wiedziała, że Jenny go lubiła - a nawet kochała.

Przez długi czas Robert jechał wolno samochodem, odtwarzając w myślach ich rozmowę z dziwnym poczuciem rozczarowania, jakie zostało mu po tej wizycie, która właściwie stanowiła dla niego zagadkę. Nie żałował jednak, że do nich pojechał. Gdyby tego nie zrobił, czy zmieniłoby to cokolwiek, poza tym, że byłoby to z jego strony przejawem nietaktu i tchórzostwa? Niemniej spodziewał się dużo więcej niż tylko zadowolenia ze spełnionego obowiązku. Doszedł do wniosku, że niedosyt, jaki teraz odczuwał, był spowodowany głównie tym, że Thierolfowie nie znali jego charakteru ani też nie rozumieli do końca własnej córki i nie mogli w żaden sposób się domyślić, co wyniknęło ze spotkania się dwóch osobowości - jego i Jenny.

Kiedy dojechał do domu, było już po piątej. Wszedł do opustoszałego wnętrza i popatrzył na ponuro wyglądające walizki i pudła, które zdawały się zagracać podłogę od tygodni. Zadzwoił do szpitala. Ponownie usłyszał tylko lapidarny komunikat: „Bez zmian”, a kiedy poprosił o połączenie z lekarzem prowadzącym doktora Knotta, doktorem Purcellem,

dowiedział się, że w tej chwili to niemożliwe. Rozmawiał z nim rano, kiedy był w szpitalu, i odniósł wrażenie, że zdaniem Purcella doktor Knott nie wydobrzeje, ale po prostu nie chce tego głośno powiedzieć. Stan doktora Knotta nie uległ żadnej zmianie, to prawda. Jego oczy wciąż patrzyły tak samo jak wtedy, gdy Robert zbiegł ze schodów i znalazł go na podłodze.

Robert nalał sobie szkockiej z wodą, wypił połowę i zasnął na czerwonej kanapie. Gdy się obudził, panowała ciemność, a za oknem grało kilka pasikoników. Trochę wcześniej na pasikoniki, pomyślał. Ich cykanie zapowiadało suche lato. Zapalił światło, otworzył frontowe drzwi i wyszedł na zewnątrz. Cyk-cyk-cyk... Cyk-cyk-cyk... Cyk-cyk-cyk... Wyobraził sobie setki owadzich oczu wokół domu, wszystkie zwrócone na niego, wgapione. Zszedł z niewielkiej werandy. Księżyc był w kwadrze, w połowie drogi po czarnym niebie, z jego prawej strony. Robert niechętnie kopnął gałąź leżącą na ziemi. Podniósł ją odruchowo i trzymał w ręku niczym pałkę. Ruszył w kierunku ciemnych krzaków hortensji i obszedł je powoli. Niczego tam oczywiście nie było. Po co zawracał sobie głowę sprawdzaniem? Przecież i tak zawsze, kiedy czegoś szukał, niczego nie znajdował. Niczego dla siebie. Jakiś samochód przejechał obok i skręcił w podjazd do Kolbego, niecałe sto metrów dalej. Tylko w jednym oknie paliło się u nich światło, a potem, po minucie, zaświeciło się też w oknie na parterze i w kolejnym na piętrze. Kolbe był owym wysokim mężczyzną, który jako pierwszy zjawił się w domu Roberta w czwartkową noc, gdy padło pięć strzałów. To on, przez nikogo niepytany, poinformował wszystkich, „że młoda dziewczyna, która się zabiła”, spędzała noce w domu Roberta. Właściwie Robert mógł, jak przypuszczał, zaprzyjaźnić się z nim już wiele tygodni wcześniej. Kolbe byłby wtedy prawdopodobnie mniej wrogo nastawiony. Ale nie zadał sobie tego trudu i przez to sprawy wyglądały, jak wyglądały. Niemniej Robert pamiętał, że wkrótce po przeprowadzce do tego domu, w lutym, dwa razy pomagał Kolbemu odgarniać śnieg spod skrzynki na listy. Gdy nie można było dosięgnąć skrzynki z okna samochodu, ludzie nie otrzymywali poczty, ponieważ listonosze nie byli zobowiązani do wysiadania z wozów przy wrzucaniu korespondencji. Tyle że Kolbe pewnie zapomniał o tych drobnych przysługach.

W tym momencie Roberta dobiegł odgłos przypominający szuranie butów po żwirze na drodze. Przystanął za hortensją. Na kilka sekund ponownie zapanowała głucha cisza i nie było niczego widać, ale zaraz potem dało się słyszeć wolne kroki - z całą pewnością kroki - zagłuszane przez głośne cykanie pasikoników. Policjant z ochrony? Wreszcie? Mało prawdopodobne, pomyślał Robert. Nie był pewny, czy policja wie, że tej nocy jest w domu. Pochylił się, napięty jak struna, i mocniej ścisnął gałąź trzymaną w ręku.

Dopiero teraz dostrzegł wysoką ciemną postać, która stała na skraju trawnika

należącego do jego domu, tuż za podjazdem. To był Greg. Greg ruszył w stronę domu, spojrzał w lewo, potem w prawo, i ponownie skoncentrował uwagę na budynku i jego bocznym oknie, wychodzącym na drogę - czarny kwadrat z opuszczonymi roletami, obramowany słabym światłem. Greg przeszedł na palcach na jedną stronę domu, kierując się ku drzwiom. To właśnie przez okno po ich lewej stronie wcześniej strzelał dwukrotnie.

Robert ocenił dzielący ich dystans na pięć do sześciu metrów. Żeby stanąć przy oknie, Greg musiał pokonać jeszcze około dwóch metrów, a kiedy się przy nim znajdzie, skryje się za rogami domu i Robert straci go z oczu. Teraz kiedy hałas czyniony przez pasikoniki był naprawdę potrzebny, owady przerwały swoją muzykę, jakby obserwowały rozwój wydarzeń z pełnym grozy zaciekawieniem.

Widział Grega z profilu. Czujny i napięty, trzymał broń w zagłębieniu między złączonymi dłońmi i próbował unieść okno kciukami. Rama drgnęła, Robert widział to wyraźnie. Roleta zwisała poniżej parapetu, o czym Robert wiedział. Greg ujął pistolet w rękę. Wtedy Robert przebiegł dzielące ich niecałe dwa metry i w momencie, kiedy Greg odwracał się do niego, zdzielił go kijem.

Broń upadła na ziemię.

Greg przewrócił się i leżał, jęcząc. Usiłował wstać.

Robert odrzucił kij. Zaczął okładać Grega pięścią, ale szybko odzyskał nad sobą kontrolę. Greg nie był w stanie się podnieść. Robert podniósł czarny pistolet leżący obok kolan Grega. Greg zaklął i patrzył ponuro w ziemię. Robert usłyszał, że ktoś biegnie drogą od strony domu Kolbego.

- Hej! Panie Kolbe! - zawołał.

- Co tu się dzieje? - Kolbe trzymał strzelbę w rękach.

Greg podnosił się chwiejnie i niczym pijany oparł się ciężko o ścianę domu.

- To jest Wyncoop - wyjaśnił Robert.

- Co pan wyrabia z tym pistoletem? - zapytał cicho Kolbe, patrząc na broń w dłoni Roberta.

- Zabrałem Wyncoopowi - odpowiedział Robert. - Może pan go popilnować, a ja skoczę tylko po coś, żeby go związać?

Robert zostawił sąsiada, który wyglądał na nieco skołowanego i zaskoczonego. Wbiegł do domu.

Plastikowej linki, której potrzebował, nie było w pierwszym ani w drugim pudle. W końcu znalazł ją w pudełku, gdzie trzymał lakierki i większość butów. Rozwijał różową linkę, idąc do drzwi wyjściowych. Kolbe stał w świetle niedaleko werandy, wpatrywał się w niego,

strzelbę trzymał przed sobą, gotów w każdej chwili się obrócić. Greg stał kilka metrów dalej.

- Gdzie jest jego pistolet, panie Forester? - zapytał Kolbe.

- W środku - odpowiedział Robert, wskazując głową drzwi.

- Proszę mu go przynieść - polecił Kolbe.

W jednej chwili Robert pojął, co się stało.

- Nie, do diabła, nie przyniosę - odpowiedział i ruszył w kierunku Grega z linką. Greg cofnął się o krok, trzymając zaciśnięte pięści, przygotowane do walki. Robert także zacisnął prawą pięść i miał właśnie uderzyć Grega, kiedy Kolbe krzyknął:

- Nie ruszaj się z miejsca, Forester!

Robert obrócił się do Kolbego, odsunął się trochę, żeby widzieć ich obu.

- Pan chyba niczego nie rozumie, panie Kolbe. To jest Greg Wyncoop, facet, który strzelał. Może ma teraz krótsze włosy, ale widzi pan przecież...

- Czyżby? - odpowiedział Kolbe. - Wszystko jedno, ale jakie ma pan prawo, żeby kogoś wiązać? - Krzaczaste brwi sąsiada zetknęły się nad nosem. - Idź do środka i przynieś pistolet. Albo użyję swojej broni.

Robert wziął głębszy wdech, zanim zaczął mówić. Kolbe skierował broń w jego stronę, ale wciąż trzymał ją tak, że mógł swobodnie wycelować również w Grega.

- Niech mi pan pozwoli wezwać policję, dobrze? - powiedział Robert. - Niech policja to osądzi. Co pan na to?

Kolbe uśmiechnął się krzywo. Oczy miał rozbiegane jak u kłamcy.

- Przynieś broń, Forester! On mówi, że nie nazywa się Wyncoop. Dlaczego miałbym ci wierzyć na słowo? - Zwaliste ciało Kolbego obróciło się nieco. Sąsiad ruszył w stronę domu, cały czas trzymając Roberta na muszce. - Chodź.

Robert wszedł po schodach, a potem do domu. Pistolet leżał na biurku.

- Mam cię na oku! Weź go za lufę - rozkazał groźnym tonem Kolbe.

Robert uśmiechnął się nerwowo. Co dobrego wynikłoby dla niego, gdyby chwycił broń i wycelował w sąsiada? Kolbe odstrzeliłby mu głowę, a on najwyżej trafiłby go w brzuch, więc co by mu z tego przyszło? Robert ujął pistolet za lufę.

- A teraz wyjdź przez te drzwi i oddaj mu go.

Robert wyszedł przez wskazane drzwi. Greg stał w tym samym miejscu, a może kilka kroków dalej od domu. Robert zatrzymał się w połowie drogi.

- Dalej - polecił Kolbe.

Greg zaczął iść w jego stronę, żeby odebrać broń, ale poruszał się tak, jakby obawiał się Roberta. Jego szerokie usta były lekko obwisłe.

- Morderca - wymamrotał i chwycił pistolet.

Ręka Roberta opadła wzdłuż ciała. Patrzył, jak Greg chowa broń do kieszeni czarnego płaszcza przeciwdeszczowego, a potem obraca się na pięcie i idzie w kierunku drogi, poruszając się szybko i trochę chwiejnie. Po pięciu sekundach zniknął w ciemności. Robert odwrócił się do Kolbe, spojrzał na jego strzelbę, a w chwilę później minął go i zbliżył się do schodów. Mężczyzna szedł obok niego dudniącym krokiem i pierwszy postawił nogę na stopniu.

Robert zatrzymał się.

- Ma pan coś przeciwko temu, że zadzwonię na policję? A może nie pochwała pan kontaktów z policją?

- Nie, nie mam nic przeciwko policji - odparł Kolbe pojednawczo.

- To dobrze.

Z drugiej strony, co może wyniknąć z kontaktów z policją? - pomyślał Robert. Czy zrobiła coś dobrego?

Kolbe nie wszedł z nim do domu. Stał na werandzie i obserwował Roberta przez otwarte drzwi.

Może ma zamiar zaczekać, aż usłyszy nadjeżdżającą policję, a może nie. Niewykluczone, że obmyślał, co im powie, coś w rodzaju: „Dla mnie nie wyglądał jak Wyncoop i powiedział, że się tak nie nazywa... Kiedy przyszedłem, to Forester trzymał broń”.

Zanim Robert zdążył podnieść słuchawkę, telefon zadzwonił. Odebrał.

- Mówię ze szpitala w Rittersville - odezwał się kobiecy głos. - Czy pan Forester?

- Tak.

- Z przykrością muszę pana zawiadomić, że w ciągu ostatniej godziny stan doktora Knotta się pogorszył. Serce bije znacznie słabiej. Jest teraz pod namiotem tlenowym, ale lekarze nie dają mu większych szans niż pięćdziesiąt procent... - mówiła łagodnie pielęgniarka.

- Tak... tak, dziękuję - powiedział Robert i zamknął oczy. Odłożył słuchawkę i spojrzał na Kolbe, który zdążył wejść do pokoju, na jego potężną, zwałistą postać, na brzydką czerwoną twarz wieśniaka, na oczy mniej bystre niż ślepiec, zastrzelonej tamtej fatalnej nocy.

- Co to było? - zapytał Kolbe, mając na myśli telefon.

- Nic - odpowiedział Robert i ponownie wziął słuchawkę, żeby zadzwonić na policję w Rittersville. Zmienił jednak zdanie i wykręcił numer posterunku w Langley.

- Mówi Robert Forester z Gursetter Road. Nie warto zapisywać. Gregory Wyncoop

właśnie tu był i prawdopodobnie wróci. Możliwe, że za kilka minut zjawi się w Langley i będzie szukał autobusu albo taksówki. Jest ubrany w czarny płaszcz przeciwdeszczowy i ma krótko obcięte włosy. Nosi przy sobie broń. - Rozłączył się i znowu spojrzał na Kolbego. Sąsiad nawet nie drgnął. Wpatrywał się w Roberta, jakby się obawiał, że zarygluje drzwi albo uczyni jakiś wrogi ruch wobec niego. - Usiądzie pan? - zapytał Robert.

- Nie. Dziękuję.

Robert po raz kolejny spojrzał na telefon i z poczuciem daremności swych wysiłków połączył się z centralą telefoniczną i podał numer komisariatu policji, który teraz z łatwością sobie przypomniał. Chciał rozmawiać z Lippenholtzem, ale go nie było.

- W czym problem, panie Forester? - zapytał policjant, który odebrał telefon.

- Gregory Wyncoop właśnie się zjawił i zniknął - wyjaśnił Robert. - Dzwoniłem na policję w Langley kilka minut temu, bo prawdopodobnie w tamtym kierunku się udał.

- Jest pan pewny, że to Wyncoop? Dobrze mu się pan przyjrzał?

- Bardzo dobrze.

- Jak dawno to było?

- Dwie, trzy minuty temu.

- Mmm. No cóż, zaalarmujemy patrole. Przyślemy także kogoś do pana, żeby z panem porozmawiał - dodał policjant.

Robert odłożył słuchawkę. Kiedy kogoś przyślą? - zastanawiał się. Od razu? Za godzinę?

- Policja tu jedzie - powiedział do Kolbego. - Z Rittersville.

- I bardzo dobrze - odpowiedział sąsiad.

Robert miał nadzieję, że Kolbe trochę się zrelaksuje, wiedząc, że policja jest w drodze, ale sąsiad stał wyprężony niczym osiłkowaty ochotnik w wojnie secesyjnej ze strzelbą gotową do strzału.

- Napije się pan czegoś? - zapytał Robert, sięgając po opróżnioną w połowie szklanke, w której lód zdążył się rozpuścić.

- Niech pan jej nie dotyka! - powiedział Kolbe.

Robert odsunął krzesło, usiadł i zapalił papierosa.

- Neddie? Jesteś tam, Neddie? - rozległ się kobiecy głos.

- Jestem tutaj, Louise! - odrzyknął Kolbe ponad ramieniem.

Robert usłyszał, jak ktoś wbiega na werandę. W drzwiach stanęła tęga, postawna kobieta około pięćdziesiątki o twarzy jakby obsypanej mąką, z dłońmi w kieszeniach rozpinanego swetra.

- Co się dzieje, Neddie? - zapytała, szeroko otwierając oczy ze zdumienia.

- Ten facet miał broń, kiedy tu przybiegłem - odpowiedział Kolbe. - Mówił, że drugi facet, co tu był, to Wyncoop, którego szukają.

- A niech to - wymamrotała kobieta, wpatrując się w Roberta, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu, choć ona i Robert wymieniali „dzień dobry” i „dobry wieczór” dziesiątki razy, od kiedy Robert zamieszkał w tym domu.

Robert palił w milczeniu.

- Poza tym to pijak - podsumował Kolbe.

24

Ostatni autobus do Trenton odjeżdżał kwadrans po jedenastej, a stamtąd Greg zamierzał dojechać pociągiem do Nowego Jorku. W tym mieście wciąż łatwo mógł się ukryć w pobliżu Nickie, na wypadek gdyby zabrakło mu pieniędzy. Chciał trochę odpocząć i zaplanować następne posunięcie. Na głowie miał okropnego guza, ale szczęściem nie krwawił, a jeśli - to nieznacznie, jedynie z powodu zadrapania, toteż krew nie pobrudziła mu koszuli. O niczym tak nie marzył w tej chwili jak o wygodnym łóżku. Do odjazdu autobusu zostało mu niecałe piętnaście minut, więc poszedł do kawiarni znajdującej się po drugiej stronie ulicy. Pomyślał, że to bezpieczniejsze niż przesiadywanie na ławce w poczekalni dworca autobusowego, choć nie był pewny, czy Forester zdążył już zgłosić jego wizytę policji. Przyjazny sąsiad ze sztucerem mógł mu na to nie pozwolić. Greg uśmiechnął się do siebie na myśl o wszystkich przyjaźnie nastawionych sąsiadach Foreстера. Bez najmniejszego problemu na przykład dowiedział się, gdzie Forester nocował w sobotę. Zaszedł do jego sąsiada o nazwisku Huxmeyer - które zapamiętał, bo zobaczył je na skrzynce pocztowej. Powiedział, że mieszka w okolicy, i spytał, czy Forester nadal wynajmuje ten sam dom. Pani Huxmeyer aż nazbyt chętnie wszystko mu opowiedziała - nawet nie pytając, kim jest - o tym, że Forester przejeżdżał samochodem obok jej domu przed południem, około jedenastej, podobnie jak doktor Knott z Rittersville, który był na tyle szalony, że został u niego całą noc. Miała nadzieję, że Forester nigdy już nie wróci, bo poprzedniego wieczoru widziała u niego rzeczy spakowane w pudła, gotowe do zabrania, i krzyżyk mu na drogę. W dzisiejszych gazetach napisano, że stan lekarza nie uległ zmianie. Greg żałował, że trafił staruszka. Chciał

zaczekać, aż Forester zbiegnie na dół po usłyszeniu wystrzału, ale huk w okolicy, gdzie stało tak wiele domów, spłoszył go i zmusił do ucieczki.

Kiedy Greg spojrział w lustrzaną tylną ściankę witryny z ciastkami, nikły uśmiech zniknął mu z ust. Zmoczył serwetkę w szklance wody i startł z policzka smugę ziemi. Pod oczami miał ciemne podkowy. Powinien się ogolić. Z ukłuciem żalu przypomniał sobie miejsce, gdzie rzucił walizkę, niedaleko domu Roberta. Nie chciał nosić ze sobą żadnego balastu. Co prawda nie było w niej niczego cennego - maszynka do golenia za dolara, szczoteczka do zębów, kilka brudnych koszul. Nadal miał jednak pistolet. Zjadł hamburgera, który okazał się ohydny w smaku, z cienkim plasterkiem mięsa śmierdzącym zjełczalym tłuszczem. Zalał je sporą porcją keczupu i jakoś przełknął. Zostawił pięćdziesiąt centów na stoliku, żeby uniknąć kolejnego spotkania z kelnerką, i powlókł się na dworzec.

Zauważył, że w autobusie nawet połowa miejsc nie jest zajęta. Nie kupił wcześniej biletu, bo zamierzał zapłacić za przejazd u kierowcy. Unosił właśnie nogę, by postawić ją na pierwszym stopniu schodków autobusu, kiedy poczuł, że ktoś kładzie mu rękę na ramieniu. Odwrócił się i zobaczył mężczyznę w niebieskim garniturze i w kapeluszu, stojącego trochę dalej, i drugiego, tuż za sobą, który wpatrywał się w niego równie intensywnie. Zrobiło mu się słabo, ale w chwilę potem odzyskał zimną krew i czujność.

- Proszę bardzo - powiedział Greg, gestem pokazując, że mężczyzna może wsiąść przed nim do autobusu.

- Wyncoop? - zapytał mężczyzna, nadal trzymając go za ramię.

- To on, to on - wtrącił się drugi, stojący za nim.

Greg rozejrzał się w obie strony. Wyrwanie się, ucieczka, sięganie po broń nie miały sensu. Poczul łyzy hysterii palące go pod powiekami, a w gardle narastający krzyk.

- Jesteś dobrze pilnowany, Wyncoop. Chodź. - Ręka mężczyzny przesunęła się niżej i zacisnęła mocno na jego ramieniu.

Drugi mężczyzna szedł za nimi, z ręką w kieszeni kurtki. Podeszli do ciemnego samochodu zaparkowanego przy jaskrawożółtym krawężniku. Popchnęli Grega, by wsiadł do środka. Usiadł na tylnym siedzeniu razem z drugim mężczyzną. Dołączył do nich trzeci, uśmiechnięty, i zajął miejsce z przodu obok kierowcy. A potem zaczęli o nim rozmawiać, jakby był zwierzęciem, które właśnie schwytali. Mężczyzna za kierownicą chichotał. Wspomnieli o kimś nazwiskiem Lippenholtz.

- Wygląda na to, że doktor nie wyżyje - odezwał się jeden z nich.

- Aha.

Mężczyzna siedzący obok Grega obrócił się nieco i wpatrywał w niego przez

kilkanaście sekund. Jego twarz wyrażała opanowanie i zadowolenie.

Greg nie unikał jego spojrzenia. Jeszcze nie powiedział ostatniego słowa. A miał mnóstwo do powiedzenia.

- Wybierałeś się do Nowego Jorku, Wyncoop?

- Tak - odpowiedział Greg.

- A po co? - pytanie zostało zadane żartobliwym tonem.

- Odwiedzić przyjaciół. Mam tam mnóstwo przyjaciół - odparł.

- Kogo?

Greg nie odpowiedział.

Nigdy wcześniej nie widział posterunku policji w Langley, nie pamiętał nawet, czy choć raz przejeżdżał obok. Mężczyźni wprowadzili go do środka, minęli funkcjonariusza siedzącego przy biurku w holu i wepchnęli do pokoju po lewej stronie, gdzie przy długim stole pracowało kilku oficerów w samych koszulach.

- Gregory Wyncoop - odezwał się jeden z tych, którzy go przywieźli. - Właśnie zatrzymaliśmy tego pana na dworcu autobusowym.

Wszystkie głowy uniosły się znad papierów. Policjanci przyglądali mu się z zaciekawieniem.

- Zawiadomcie chłopaków z Rittersville - powiedział jeden z policjantów ubrany po cywilnemu. - I Lip-penholtza.

Jeden z oficerów wstał zza długiego stołu i przeniósł sporych rozmiarów księgę rejestru na biurko stojące z tyłu pokoju. Następnie wypytał Grega o imię, nazwisko, wiek, adres, zatrudnienie i pracodawcę. Dwóch tajniaków, którzy go złapali, zostało, żeby posłuchać. Trzeci wyszedł, jakby go to nudziło. Potem kazano Gregowi usiąść na ławce, a jeden z policjantów po cywilnemu zaczął zadawać mu pytania. Gdzie spędził kilka ostatnich dni? W hotelu w Plympton. Była to miejscowość oddalona o niecałe dwadzieścia pięć kilometrów od Langley. Czy strzelał w domu doktora Knotta poprzedniej nocy? Tak. Czy strzelał w domu Foreстера w Langley? Tak. W obu przypadkach? Tak. Czy dzisiaj wieczoru pojechał do domu Foreстера? Tak. Greg odpowiadał potulnie, kiwając głową przy każdym „tak”. Czy przebywał w Nowym Jorku przez dwa tygodnie, kiedy się ukrywał? Tak. Gdzie się zatrzymał? W hotelu. Którym? Greg nudził się, pytania go nużyły. Wiercił się jak wtedy, gdy jeszcze chodził do szkoły i pytano go o nazwy pięciu głównych rzek Ameryki Południowej albo kazano wymienić najważniejsze górskie parki narodowe w Stanach Zjednoczonych. Odpowiadał monotonicznie, jakby nie swoim głosem.

- Mógłbym dostać coś mocniejszego do picia? - zapytał. - Muszę się napić. Lepiej mi

pójdzie z drinkiem.

Mężczyzna, który go przesłuchiwał, uśmiechnął się lekko i spytał oficera piszącego przy biurku:

- Może się napić, Stew? Moim zdaniem nic nie stoi na przeszkodzie.

- Jak mawiają, *in vino veritas* - odpowiedział policjant bez marynarki. - Chyba jest jeszcze trochę czegoś w szafce.

Tajniak poszedł na drugi koniec pokoju i wrócił, nalewając whisky z butelki do papierowego kubka.

- Z wodą?

- Nie - odparł Greg i z wdzięcznością wziął kubek do ręki. Jednym łykiem wypił połowę.

- A teraz pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów - odezwał się policjant w cywilnym ubraniu. - Co się wydarzyło nad rzeką tamtej nocy, kiedy pobiliśmy się z Foresterem?

Greg milczał przez chwilę.

- Kto kogo zaatakował? Masz już swojego drinka, Wyncoop. Nie rozwiązał ci jeszcze języka? Jeśli moje pytania cię znudziły, to możesz być pewny, że policjanci z Rittersville przepytają cię dokładniej. Kto kogo zaatakował?

- Ja rzuciłem się na niego - powiedział Greg. - Miałem zamiar mu dołożyć, ale on chciał mnie zabić. Usiłował wrzucić mnie do rzeki i dwa razy mu się to udało. Za drugim razem... ledwie się wykaraskałem. Forestera już nie było. Chyba walnąłem w coś głową, bo czułem się, jakbym... stracił przytomność. Kiedy jako tako się pozbierałem, byłem gdzieś na drodze...

- Jakiej drodze?

- Przy rzece. Nigdzie nie widziałem swojego samochodu. Więc szedłem przed siebie. I wtedy... i wtedy się wkurzyłem. Forester chciał mnie zabić, pomyślałem, no to zrobię wszystko, żeby wyglądało na to, że mu się udało. Niech go winią, zasłużył sobie. - Złość przyszła mu z pomocą, uderzając do głowy jak najmocniejszy drink. - Chociaż tak naprawdę aż tyle nie zaplanowałem. Przez dłuższy czas byłem jak człowiek cierpiący na chwilowy zanik pamięci. - Ostatnie słowa uspokoiły go i dodały pewności siebie. Greg obmyślał je od trzech tygodni, uznał bowiem, że pewnego dnia będzie musiał je wypowiedzieć.

Tyle że tajniak spoglądał z uśmiechem na policjanta w koszuli, który przestał pisać i siedział ze skrzyżowanymi ramionami.

- Naprawdę przez wiele dni nie mogłem dojść do siebie - zapewniał Greg.

- I gdzie wtedy byłeś?

- W Nowym Jorku.

- Skąd miałeś pieniądze, żeby przeżyć tak długo?

- Miałem przy sobie gotówkę.

- Ile?

- Och, powiedzmy, że dwie stówy.

- Dwieście? Masz zwyczaj noszenia przy sobie dwustu dolarów? Nie wierzę, że miałeś dość pieniędzy na utrzymanie się przez dwa tygodnie, same hotele sporo kosztują, nie mówiąc o reszcie.

Greg nie znosił, gdy ktoś zarzucał mu kłamstwo, nienawidził, gdy traktowano go jak śmiecia.

- Dlaczego nie zajmiecie się Foresterem? Uwiódł dziewczynę, a potem... a potem doprowadził ją do samobójstwa! Czemu mnie się czepiacie? - Wypił resztę whisky.

Tajniak cały czas wyglądał na bardzo opanowanego, choć może też trochę rozbawionego.

- Kto ci dawał pieniądze? Ktoś z Nowego Jorku? Jakiś przyjaciel z Langley? Z Humbert Corners? Z Rittersville?

Greg milczał.

- Co nam opowiesz o Nowym Jorku? Masz tam przyjaciół?

- Wszędzie mam przyjaciół.

- A kogo na przykład w Nowym Jorku? Ale najpierw chciałbym wiedzieć, dlaczego właśnie tam pojechałeś?

- Znam tam pewną kobietę. Zwłaszcza ją - odpowiedział Greg. - Ale nie mam ochoty mówić, jak się nazywa.

- Och, daj spokój. Nie uwierzę ci, dopóki nie podasz mi jej nazwiska.

- Dobrze, mogę powiedzieć. To Veronica Jurgen, była żona Forestera - powiedział Greg, prostując się na ławce. - Zna Forestera, i to dobrze. I powinna. To jasne, że ona dała mi pieniądze i doradziła to i owo.

- Co takiego doradzała?

- Żeby nie ustawać - odpowiedział Greg. - Nie ustawać, dopóki Forester nie trafi tam, gdzie jego miejsce: do więzienia albo do wariatkowa.

- Mmm. Czy ukrywała cię w swoim mieszkaniu w Nowym Jorku? Cały czas? Pośpiesz się z odpowiedziami, Wyncoop.

- Nie, ale mnie tam zapraszała.

- Co znaczy „zapraszała”? - zapytał tajniak z niezadowoleniem w głosie. - Na obiad?

Przysłuchujący się policjanci zaczęli chichotać.

- Tak, na przykład. Ale nigdy nie poszedłem.

- Mmm. Jaki jest numer jej telefonu?

Greg zawahał się. Ale nawet jeśli go im nie poda, i tak się dowiedzą. Powiedział. Policjant w cywilnym ubraniu podszedł do stołu i wykręcił numer. Nikt nie odbierał.

- Kto jeszcze? - spytał tajniak, wracając. - Kto jeszcze pomagał ci w Nowym Jorku?

Greg zmarszczył czoło.

- A jakie to ma znaczenie, kto mi pomagał?

- Och, jestem po prostu ciekawy, Wyncoop. Musimy znać całą historię. - Policjant uśmiechnął się bardzo nieprzyjemnie.

Greg zauważył, że żaden z policjantów już nie pisał. Drażnili się z nim. W tej samej chwili zobaczył, że do pokoju weszło trzech mężczyzn - dwóch mundurowych policjantów i jeden w cywilnym ubraniu, ale kołyszący się na boki, jak typowy glina. Był niewysoki, miał na sobie szary garnitur i szary kapelusz zsunięty na tył głowy. Reszta powitała go jako Lippy'ego. Tak zatem wyglądał Lippenholtz. Dopiero teraz Greg przypomniał sobie, że widział jego nazwisko w gazetach. Był detektywem. Tajniak, który przesłuchiwał Grega, rozmawiał z nim teraz po cichu. Lippenholtz zaś spoglądał na Grega i słuchając, kiwał głową.

- Tak, właśnie wracam od Foreстера - powiedział Lippenholtz i zaśmiał się krótko. - Sąsiedzi Foreстера...

Reszty Greg nie dosłyszał. A potem Lippenholtz powiedział:

- Tak? To interesujące. Była pani Forester.

Na znak Lippenholtza jeden z policjantów, którzy z nim przyszli, podszedł do Grega i wyciągnął kajdanki z kieszeni.

- Dla mnie nie będą potrzebne - powiedział Greg. Wstał, gotów do wyjścia.

- Dawaj nadgarstek - odpowiedział na to gliniarz.

Jedna obręcz zatrzasnęła się na prawym nadgarstku Grega, druga - na lewym policjanta.

A potem długo jechali w ciemną noc do Rittersville. Było to co prawda niecałe dwadzieścia kilometrów, o czym Greg wiedział, ale miał wrażenie, jakby odległość ta się podwoiła. Policjant i Lippenholtz rozmawiali o jakimś meczu. Kompletnie ignorowali Grega. W komisariacie w Rittersville, bardziej ponurym i starszym budynku niż komenda w Langley, Greg musiał odpowiadać na takie same rutynowe pytania. Spodziewał się, że zobaczy Foreстера, ale odczuł ulgę, gdy się okazało, że go tam nie ma. Ponownie spytano go, czy strzelał w domu Foreстера. Lippenholtz podał daty. Greg odpowiedział twierdząco na

wszystkie pytania.

- O co jestem o s k a r ż o n y ? - spytał na koniec. - Dlaczego traktujecie mnie w ten sposób? - Nadal miał kajdanki na rękę, siedział, a obok stał policjant, z którym był skuty.

Lippenholtz się roześmiał, wypuszczając z ust kłęby papierosowego dymu.

- O napad z pobiciem, napad z pobiciem przy użyciu niebezpiecznego narzędzia i morderstwo, jeśli doktor umrze.

- Morderstwo? Najwyżej nieumyślne zabójstwo - odpowiedział Greg.

- Morderstwo. Usiłowałeś zabić Forestera, a kula trafiła innego człowieka, który może umrzeć. To morderstwo, Wyncoop.

- Ale jeszcze nie umarł. - Greg poczuł ucisk w żołądku.

- Nie, jeszcze nie.

- On nie umiera, bo go trafiłem - nie poddawał się. - Czytam gazety. Umiera na wstrząs mózgu.

- Tak, pośliznął się i przewrócił - powiedział Lippenholtz z obrzydzeniem. - A zatem, kiedy pojechałeś do Nowego Jorku, to co tam robiłeś?

- Zatrzymałem się w hotelu.

- Którym?

- „Sussex Arms”.

- Zgadza się. - Lippenholtz zerknął w notatki. - Od siedemnastego do dwudziestego maja. Rozumiem, że pieniądze i... wsparcie moralne dostawaleś od byłej pani Forester?

- Dokładnie - odpowiedział Greg.

- No to potrzebny nam jej numer telefonu.

- Naprawdę nie rozumiem, dlaczego musicie ją w to wciągać. Niczego nie zrobiła.

Lippenholtz posłał mu znudzony uśmiech. Jeden z policjantów się roześmiał. W pokoju stało ich sześciu lub siedmiu i wszyscy uważnie słuchali.

- Podaj jej numer.

Greg mu podyktował.

Tym razem ktoś odebrał telefon. Lippenholtz wziął do ręki słuchawkę.

- Och, pan Jurgen? Czy mógłbym rozmawiać z pańską żoną? Mówię z Pierwszego Komisariatu Dzielnicowego w Rittersville... To bardzo ważne... Tak. Dziękuję. - Spojrzał na Grega z uśmiechem świadczącym o zadowoleniu z siebie.

Greg szarpnął ramię policjanta, chcąc sięgnąć po następnego papierosa. Okazało się jednak, że mu się skończyły, ale inny z policjantów położył wtedy obok niego na stole niemal pustą paczkę lucky stricke'ów.

- Witam, pani Jurgen. Tu detektyw Lippenholtz. Właśnie odnaleźliśmy Gregory'ego Wyncoopa... Tak... Wsiadał kilka minut temu w Langley do autobusu jadącego do Nowego Jorku i ma się świetnie. Jest jak najbardziej żywy, pani Jurgen - powiedział Lippenholtz z uśmiechem i mrugnął do jednego z policjantów. - Dlaczego? Bo powiedział, że się z panią przyjaźni. - Słuchając odpowiedzi, Lippenholtz odsunął słuchawkę od ucha.

Z miejsca, gdzie siedział, Greg słyszał głos Nickie, ale nie rozróżniał poszczególnych słów. Detektyw kiwał głową i uśmiechał się do kolegów.

- Rozumiem. Ale czy to prawda, że dała mu pani pieniądze, kiedy był w Nowym Jorku?... Mmm. Dała czy pożyczyła?... Tak, jasne... No cóż... - Najwyraźniej weszła mu w słowo. - Nic o tym nie wiem, pani Jurgen. Mam nadzieję, że pani tego nie zrobi - mówił uprzejmie. - Pani Jurgen, będzie pani miała okazję... - Detektyw spojrzał na policjantów, znowu pokiwał głową i westchnął. Zakrył mikrofon dłonią i powiedział do kolegów: - Rany, ta baba ma gadane. - A potem dodał, mówiąc do słuchawki: - P a n i J u r g e n , to niezmiernie interesujące, ale mamy tu bardzo konkretne problemy z punktu widzenia prawa. Byłoby lepiej, gdyby przyjechała pani do Rittersville i... W porządku, będziemy musieli pojechać do pani... Nie, nie mogę, ale wkrótce... Nikt o tym nie zapomni, zapewniam panią. Do widzenia, pani Jurgen. - Lippenholtz odłożył słuchawkę i spojrzał na Grega. - Jednak masz tam przyjaciół, Wyncoop.

- Nie rozumiem?

- Powiedziała, że dostałaś od niej pieniądze, bo byłeś bez grosza, ale pod warunkiem, że od razu pojedziesz do Pensylwanii i zgłosisz na policji, że żyjesz.

Greg aż wychylił się do przodu.

- Diabła tam! Chciała, żebym został w Nowym Jorku. Jest... Boi się czegoś albo co, bo inaczej nie powiedziałaaby czegoś takiego.

- Tak, masz cholerną rację, ona się boi. Bo to współudział i podżeganie. Do cholery jasnej! Posłuchaj, Wyncoop, tym razem naprawdę mam zamiar ci uwierzyć. Ale ona twierdzi, że wcale nie jest twoją przyjaciółką i namawiała cię do powrotu do domu.

- Niech ją! - Greg zamachnął się lewą ręką. Papieros wypadł mu spomiędzy palców. - Chciała, żebym siedział w Nowym Jorku, ile się da. Ale Forester przyjechał, żeby się z nią zobaczyć, i powiedział, że jego zdaniem Nickie wie, gdzie jestem, dlatego kazała mi wyjechać z Nowego Jorku i dała jeszcze więcej pieniędzy.

- Mmm. Ona trochę inaczej to przedstawiła. Stwierdziła, że jesteś łobuzem, bitnikiem...

- Nie wiesz czasem... Spała ze mną - Greg wszedł mu w słowo. - Dwa razy.

- O, czyżby? To ciekawe. Może. Ale nie widzę związku. - Lippenholtz podszedł do niego, trzymając ręce w tylnych kieszeniach spodni, ukrytych pod marynarką. - Co cię łączy z panem Jurgenem? Kolejny przyjaciel?

- Tak - odpowiedział Greg stanowczo.

- Podobało mu się, że sypiasz z jego żoną, co?

Greg musiał się zastanowić nad odpowiedzią, co zabrało mu kilka sekund, w czasie których detektyw odwrócił się od niego i zaczął rozmawiać z tajniakiem. Zmusili go do wstania. Planowali zamknąć go na noc. Pozwolono mu na jeden telefon. Greg pomyślał o Nickie, ale zmienił zdanie i postanowił, że zatelefonuje do rodziców. Miał zamiar poprosić ich o pieniądze na kaucję.

Dwadzieścia minut później Greg leżał na brzuchu na wąskiej twardej pryczy w celi. Zostawiono go samego. Było ciemno, poza trójkątem słabego światła wpadającego z holu zza okratowanych drzwi. Z pobliskiej celi, niewykłuczone, że sąsiedniej, dochodziło głośne chrapanie - można było pomyśleć, że śpi tam jakiś pijak. Greg wcisnął twarz w szorstki koc. W myślach słyszał cały czas rozmowę, którą właśnie odbył z rodzicami. „J a k m o g ł e ś ? . . . D l a c z e g o , G r e g ? - mówiła matka piskliwie, po tym jak wydała okrzyk ulgi, usłyszawszy jego głos, i zadała mu kilka pytań. - Dobrze się czujesz, kochanie? Nic ci nie jest? Jak mogłeś? D l a c z e g o , G r e g ?” Tak jakby przez telefon mógł cokolwiek wyjaśnić, gdy wokół kręciło się i nastawiało ucha co najmniej sześciu gliniarzy. Nie pozwolono mu bowiem iść do kabiny telefonicznej, znajdującej się na terenie komisariatu. Musiał skorzystać z aparatu stojącego na centralnie ustawionym biurku, tego samego aparatu, z którego Lippenholtz rozmawiał z Nickie. „Mam przyjaciół, mamo. Przystaniesz wreszcie się martwić?! - krzyczał do telefonu, a gliniarze wokół się śmiali. - Miałem amnezję!” Potem odezwał się jego ojciec, typowym dla siebie stłumionym, formalnym tonem, jaki przybierał, kiedy był wściekły. Greg dobrze znał ten ton, bo już jako dziecko często słyszał, jak ojciec syczy przez zęby, wyciągając skórzany pas do ostrzenia brzytwy, żeby złoić synowi skórę. Ojciec powiedział: „Z o b a c z y m y s i ę , j a k t y l k o b ę d z i e t o m o ż l i w e , G r e g ”. Był w takim właśnie nastroju, ale obiecał zdobyć pieniądze. Zamierzał się dowiedzieć, jak wysoką kaucję wyznaczono, i zorganizować gotówkę możliwie szybko, niewykłuczone, że jeszcze tego samego dnia. I tak na pewno zrobi, pomyślał Greg, bo ojciec zawsze uważał, że więzienie to największa hańba. Greg zaczął się wiercić, gryzł zębami koc. Przypuszczał, że jego szef, Alex, jako człowiek prawy, także będzie chciał być świętszy od papieża. Niech biegną mu na ratunek, niech prawią kazania, jemu i tak było to obojętne, prawda? Nie zrobił przecież nic aż tak złego,

żeby od razu zamykać go w więzieniu. To żalosne. A jeśli tak strasznie wpadł, to Nickie była winna tak samo jak on. Przecież w rzeczywistości sam niczego nie robił. Ona mu pomagała. Nickie go lubiła, nawet bardzo. Tego Greg był pewien.

W holu rozległy się kroki. Jakiś przeklęty klawisz, pomyślał Greg. A może jednak ojciec zrobił już coś, żeby uwolnić syna? Ile czasu minęło? Wsunął lewą rękę w smugę światła. Wskazówki pokazywały za dziesięć pierwszą.

- Właśnie skończyłem kolejną rozmowę z panią Jurgen - odezwał się do niego Lippenholtz. - Twoją przyjaciółką. Powiedziałem, że wspomniałeś o waszym romansie. O rany, nie była z tego zadowolona.

- Nie? Pewnie się wyparła?

- Mmm. I jest na ciebie okropnie wściekła, że o tym powiedziałeś. Przyszedłem, żeby cię uprzedzić. Przyjeżdża tu, bo chce się z tobą zobaczyć.

- Kiedy? Dzisiaj? - Greg spojrzał na niego.

- Aha. Taka jest wkurzona. Powiedziałem jej, że dzisiaj nie możesz mieć żadnych odwiedzin, ale to jej nie powstrzymało. Zadzwoiłem, żeby jej przekazać, że jutro z samego rana wyślemy kogoś na rozmowę z nią, ale odpowiedziała: „Wątpię, czy mnie zastanie, więc lepiej niech sobie daruje ten trud”, czy coś w tym rodzaju, więc podziękowałem za to, że oszczędza nam zachodu. Dobranoc, Wyncoop. - Lippenholtz pożegnał się i wyszedł.

Greg zacisnął zęby, słysząc w wyobraźni głos Nickie w dyżurce komisariatu, domagającej się widzenia z nim - ale oczywiście jej nie pozwolą. Będzie musiała poczekać do szóstej, siódmej albo ósmej, w ogóle do czasu, aż ojciec załatwi mu zwolnienie za kaucją. Potem przynajmniej będą mogli porozmawiać w cztery oczy. Zdecydowanie nie chciał rozmawiać z nią na policji, gdzie przysłuchiwałoby im się co najmniej dziesięciu gliniarzy. Zdjął krawat, rzucił go na podłogę i usiłował się odprężyć. Ale w tej samej chwili myśl o Foresterze poraziła go z mocą gromu. Przypomniawszy sobie o nim już wtedy, gdy go złapali na dworcu autobusowym, ale teraz, w mroku celi, ta myśl jeszcze bardziej go przygnębiła i sprawiła, że rzucał się na twardej pryczy. Forester musiał już wiedzieć, że Greg siedzi w areszcie w Rittersville. Forester jak nic teraz się tym napawa.

Ale przecież spał z Nickie dwa razy - tak, dwa - i nikt nie może temu zaprzeczyć. Nawet Ralph o tym wiedział, a przynajmniej ich podejrzewał. Dwa razy, a poza tym Nickie przyszłyby do niego jeszcze wielokrotnie, gdyby mógł zostać w Nowym Jorku. Odczuł chwilowy triumf, gdy o tym pomyślał. Ale w sekundę potem opuściło go dobre samopoczucie. Musiał jakoś się nastawić, przygotować do rozprawy. Powie, że stracił zmysły na jakiś dzień lub coś koło tego. A potem, kiedy do niego dotarło, co się wydarzyło, że

Forester może być oskarżony o morderstwo, trochę bał się wracać. Postanowił, że będzie grał tą kartą, jak długo się da. Nickie z pewnością go w tym wesprze i powie, że chciała mu pomóc i tak też zrobiła. Forester nie tylko zasłużył na miano mordercy, on naprawdę zamordował człowieka - Nickie tak mówiła - w czasie jednej z wypraw na polowanie. Jakiś mężczyzna przyszedł do ich obozowiska i groził, że zabierze im część zwierzyny, bo jego zdaniem upolowali za dużo jeleni, a wtedy Forester zmiażdżył mu głowę kolbą strzelby, a ciało zakopał w lesie. Kiedy Nickie opowiadała mu tę historię, aż płakała z emocji i przyznała mu się, że do tej pory nie miała odwagi zwierzyć się z tego komukolwiek, bo Forester groził jej, że jeśli go wyda, to ją też zabije. Greg zastanawiał się, czy powinien wyjawić policji sprawę tego morderstwa? Problem polegał jednak na tym, że nie był do końca przekonany, czy Nickie mówiła prawdę, a zmyślona historyjka obciążająca Forestera mogła przynieść Gregowi więcej szkody niż pożytku.

25

Nickie w ogóle się nie zjawiała. Ojciec Grega przyszedł o wpół do siódmej rano i miał weksel lub czek na pokrycie kaucji za syna, wynoszącej dwadzieścia tysięcy dolarów. Przyniósł także czarno-zieloną wełnianą koszulę - starą koszulę Grega, którą, jak powiedział ojciec, matka znalazła w domu - i parę wypranych drelichowych spodni, za dużych na Grega, ale on i tak się z nich ucieszył. Wrócił do celi, żeby się przebrać. Lippenholtza nie było w komisariacie. Sprawy wyglądały teraz dużo lepiej.

Ojciec zachowywał grobowe milczenie nawet wtedy, gdy stali sami z Gregiem na chodniku przed komisariatem. Na ulicach panował spokój typowy dla niedzielnego poranka, jakby wymarł cały rodzaj ludzki - prócz policjantów w komisariacie, oczywiście. Ojciec początkowo nie mógł sobie przypomnieć, gdzie zaparkował samochód. Kiedy w końcu wsiedli do starego dwudrzwiowego czarnego chevroleta i przejechali jedną przecnicę, ojciec zapytał:

- Gdzie chcesz jechać, Greg?

- Do domu - odpowiedział Greg. - Dobry Boże, do domu.

- Do nas?

- D o d o m u . Do Humbert Corners, tato. O rany, przepraszam - w jego głosie

słysząc było zniecierpliwienie. - Myślałem, że wiesz. Naturalnie chcę jechać do domu.

Przez kilka sekund panowało między nimi milczenie.

- Przez ostatnie dwa tygodnie niezbyt śpieszyło ci się do domu - odezwał się ojciec. -
To skąd niby miałem wiedzieć?

- Posłuchaj, tato, nie zaczynaj. Proszę! Dobrze?

- Wiesz, przez co przeszedłem, żeby zdobyć pieniądze na twoją kaucję? - mówił ojciec, patrząc na drogę i kierując samochodem. - Czy zdajesz sobie sprawę, że nie miałbym szans, gdyby nie zaprzyjaźniony prawnik, który przez przypadek zna tutejszego sędziego? To absolutnie wbrew sądowej procedurze, tak powiedział sędzia. Powinno to zatwierdzić pięć osób, prokurator rejonowy, oskarżyciel...

- Och, tato, tak czy siak, udało ci się. Nie chcę tego słuchać.

- Możesz nie chcieć, ale ja uważam, że powinieneś. Wczoraj w nocy musiałem zadać sobie sporo trudu, żeby zastawić wszystko, co posiadam, tylko dlatego, żebyś nie musiał siedzieć w więzieniu.

Drżenie w głosie ojca na tyle przstraszyło Grega, że nie powiedział nic więcej. Noc w więzieniu była jak plama na honorze rodziny, pierwsza w całej jej historii, i dobrze o tym wiedział. Greg miał starszego brata, Berniego, który stał się źródłem ciągłego rozczarowania dla rodziców, bo bez przerwy zmieniał pracę, nigdy się nie ożenił i ostatecznie popadł w alkoholizm. Mieszkał teraz w San Diego, ale nikt nie wiedział, czym się zajmuje, i równie dobrze mógłby nie żyć. Rodzice wyrzekli się go i wszystkie nadzieje wiązali z Gregiem. To zbyt wielki ciężar odpowiedzialności składany na czyjeś barki, pomyślał Greg. Z tego powodu nie tolerowali żadnych jego błędów, żadnych potknięć, które mogły mu się przytrafić.

- Jeśli doktor umrze, kaucja wzrośnie pięciokrotnie - dodał ojciec. - A słyszałem, że ma spore szanse przenieść się na tamten świat.

- No dobrze, tato, on...

- Nie potrafię cię zrozumieć, Greg. Matka też cię nie rozumie. Oboje nie wiemy, o co ci chodzi.

- Chcesz wiedzieć, to ci powiem! - Greg podniósł głos. - On zabił moją dziewczynę! Rozumiesz? I mnie usiłował zabić. To szalenie. On jest...

- Kto?

- K t o ? Forester! Robert Forester! Na rany Boga, tato, uważasz, że straciłem rozum, czy co?

- Dobrze już, dobrze. Tak myślałem, że chodzi ci o Forestera - odpowiedział ojciec

nerwowo.

Greg popatrzył na niego. Ojciec był niższy od syna o mniej więcej piętnaście centymetrów i choć miał pięćdziesiąt parę lat, wyglądał o dziesięć lat starzej. Napięte rysy jego twarzy zdradzały stres, w jakim się znajdował, podobnie jak zgarbione plecy, pochylone nad kierownicą. Ostatnio uskarżał się na nerki, dokuczał mu krzyż. Greg chciał go zapytać o bóle kręgosłupa, ale tego nie zrobił. Na skroniach wyraźnie przybyło ojcu siwych włosów. Już i tak pracował jedynie na pół etatu i Greg wiedział, że pogodził się z postępującą starością. Ojciec był kierownikiem w firmie świadczącej usługi magazynowe.

- Skręć tu w lewo - odezwał się Greg. Jechali skrótem do Humbert Corners.

- Forester chciał cię zabić? To znaczy tam, nad rzeką? - zapytał ojciec.

- Tak, do jasnej cholery, tak było - odpowiedział Greg i zapalił ostatniego papierosa z paczki lucky strike'ów. - Wrzucił mnie do rzeki i zostawił. Ledwie się z tego wykaraskałem. Och, mówiłem to wszystko na policji - powiedział, znudzony już tą historią, choć jednocześnie nabierał przeświadczenia o jej prawdziwości. Wierzył, że jest w stanie znieść każde przesłuchanie, nawet tortury, i trzymać się tej wersji.

- Więc to nieprawda, że cię wyciągnął? Tak przynajmniej pisali w gazetach.

- W gazetach? - Greg się roześmiał. - Tak twierdzi Forester. Oczywiście, że mnie nie wyciągnął. Poznałem w Nowym Jorku jego byłą żonę, tato.

Greg opowiedział ojcu o Nickie, jaka jest uprzejma, inteligentna i atrakcyjna, jak ostrzegła go przed Foresterem, o tym, że pożyczala mu pieniądze, dzięki czemu mógł się ukrywać, bo tylko w ten sposób można było dorwać Forestera - „zwracając na niego uwagę ludzi”, jak Greg to ujął - bo to taki rodzaj psychopaty, który nie robi niczego, za co można by go przyszpilić, a niszczy po prostu życie innym. Przynajmniej Nickie tak uważała.

- Najlepszym dowodem jest samobójstwo Jenny, tato. Jezu!

- Wygląda na to, że on celowo chciał wrzucić cię do rzeki... - powiedział ojciec.

- Właśnie tak.

- ... zepchnął cię, mając nadzieję, że utoniesz. Mogłeś od razu iść z tym na policję, jak tylko wydostałeś się na brzeg.

- Policja niekoniecznie by mi uwierzyła, tato. A ja... ja rzeczywiście zaatakowałem go tamtego wieczoru. Przyznaję. Chciałem go stłuc. W uczciwej walce na pięści, no wiesz, jeden na jednego. Forester wziął jakiś kij i wałnął mnie w głowę. Przez cały czas chciał mnie zepchnąć do rzeki. A kiedy mu się to udało i myślał, że utonę, po prostu zwiął.

- Jak długo byłeś w wodzie?

- Nie wiem. Może pięć minut. Kiedy się wygramałem na drogę, nadal byłem

oszołomiony. Nie pamiętam nawet, czy widziałem samochód - Greg opowiadał potem o cierpieniach związanych z amnezją, o wyprawie do Nowego Jorku, bo tam mieszkała była żona Forestera, która już wcześniej, kiedy do niej zadzwonił i powiedział, że Forester wtrącił się w jego życie i odbił mu narzeczoną, potraktowała go bardzo przyjaźnie. Greg dodał jeszcze opowieść o tym, jak Forester podglądał Jenny w jej domu. Jenny sama zwierzyła się z tego Susie Escham.

Ojciec cmoknął i pokręcił głową.

- Nie mówię, że Forester jest w porządku - zaczął, ale Greg przerwał mu w pół słowa, bo wjechali właśnie do Humbert Corners i musieli skrócić. Ojciec odwiedził go tutaj tylko raz czy dwa i niezbyt dobrze pamiętał drogę, a przynajmniej tego ranka nie wiedział, jak jechać.

- Chcę kupić papierosy, a wszystko wokół jest pozamykane, cholera - wymamrotał Greg w pewnej chwili.

Ciepłe żółte słońce pojawiło się nad wierzchołkami drzew przy ulicy, gdzie mieszkał Greg. Wspaniale było znowu zobaczyć znajomą okolicę. Dom! Greg zsunął się na krawędź siedzenia.

- To zaraz tutaj, niedaleko, po lewej stronie. Dom z białymi framugami. Wjedź na podjazd.

Kiedy samochód podskoczył na krawężniku i wjechał na żwirową alejkę pomiędzy domem pani Van Vleet a garażem, nad którym znajdowało się mieszkanie Grega, opadły go złe przecucia, miał wrażenie pustki, bał się. Konieczność rozmowy z panią Van Vleet napawała go lękiem.

- A co mama na to wszystko, tato?

- Cieszy się, że żyjesz i nic ci się nie stało - odpowiedział ojciec głosem świadczącym o zmęczeniu. Zaciągnął ręczny hamulec.

W chwili gdy Greg wysiadł z samochodu, zaskrzypiały drzwi mieszkania pani Van Vleet. Gospodyni wyszła na werandę w podomce i z siatką na włosach.

- Kto tam? Greg? - spytała, wstrząśnięta jego widokiem.

- Cześć, pani Van Vleet! - powiedział Greg. Zawsze tak się z nią witał.

- Na rany Zbawiciela - powiedziała, otwierając drzwi werandy, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Zatrzymała się z jedną nogą na pierwszym stopniu, jakby nie wierzyła własnym oczom. - Nic ci nie jest, Greg?

- Nic. Oto jestem. A to mój ojciec. Chyba się już spotkaliście.

- Dzień dobry - pani Van Vleet powiedziała odruchowo do Wyncoopa seniora.

- Dzień dobry pani.

- Gdzie się podziewałeś, Greg? - spytała.

- No cóż... - Greg zrobił w jej stronę kilka kroków i przystanął. - Miałem amnezję, pani Van. Przez dwa tygodnie. Później o tym opowiem. Teraz chciałbym jak najszybciej znaleźć się w mieszkaniu, dobrze? - Machnął do niej ręką i odwrócił się.

- Wpadłeś do rzeki, Greg? - dopytywała się starsza pani, nadal trzymając nogę na pierwszym stopniu schodów.

- No pewnie, chociaż nie byłem długo w wodzie. Zostałem wrzucony. Porozmawiamy później, pani Van. - Sięgnął do etui z kluczami. Miał tylko klucze i dwa zdjęcia Jenny w portfelu, który był od dawna jedynym jego dobytkiem. - Wiem, że zalegam z komornym, pani Van! - zawołał przez ramię. - Chodź, tato.

Greg otworzył drzwi i obaj weszli po schodach. Drzwi do mieszkania Grega znajdowały się na piętrze po lewej stronie schodów. Wszedł do środka i otworzył okno.

- Siadaj, tato.

Dzbanek do parzenia kawy stał na kuchence. Gdy nim potrząsnął, okazało się, że w środku nadal są fusy. Kiedy go mył, dostrzegł paczkę kentów, nową, nieotworzoną, która leżała na półce za puszką z kawą. Greg się uśmiechnął. Co za zrządzenie losu, że położył tam papierosy któregoś dnia, tak dawno, że zdążył o nich zapomnieć. Żałował, że w podobny sposób nie schował również jakiejś butelczyny. Z drugiej strony, gdyby się teraz napił, ojciec mógłby się go czepiać.

- Za parę minut kawa się zaparzy, tato - powiedział. - Nie mam nic do jedzenia, szkoda. Nawet jeśli coś jest w lodówce, to i tak pewnie się zepsuło.

- Aha. Tak, Greg. - Ojciec siedział na brzegu łóżka, pochylony do przodu, ze splecionymi dłońmi.

- Chcesz się położyć, tato? Śmiało.

- Chyba skorzystam.

Greg przeszedł do maleńkiej łazienki bez okna, zapalił tam światło, umył twarz i zęby. Potem zdjął koszulę, namydlił policzki z trzydniowym zarostem i się ogolił.

Ojciec nadal milczał ponuro, nawet kiedy pili kawę.

- Przykro mi, tato, że musiałeś odbyć tę podróż - odezwał się Greg po chwili.

- Och, nie ma o czym mówić. Nie zapomnij zadzwonić na policję przed szóstą. Chcą wiedzieć, gdzie jesteś.

- Dobrze, tato. - Greg skinął głową.

Zadzwonił telefon. W uszach Grega zabrzmiało to jak eksplozja. Nie miał zielonego pojęcia, kto mógł dzwonić. Podnosząc słuchawkę, spocił się ze zdenerwowania.

- Halo?

- Halo, Greg? - Usłyszał stanowczy głos Aleksa. - Właśnie zadzwoniła do mnie twoja gospodyni. Powiedziała mi, że wróciłeś.

- Tak, ja...

- Dlatego od razu zadzwoniłem na policję w Rittersville. Nie byłem pewny, czy o tym wiesz, rozumiesz. Bo twoja gospodyni niczego nie wie. - Alex mówił obojętnym, chłodnym tonem, jakiego używał tylko wtedy, gdy był naprawdę zły. - Powiedzieli mi, że złapali cię w Langley.

- Tak, właśnie tak. Miałem... no cóż, przez długi czas cierpiałem na amnezję, Alex.

- Naprawdę? Co ty powiesz? Wiem od policji, że masz nie lada kłopoty, Greg.

- Posłuchaj, Alex...

- O niektórych wiem, choć pewnie nie o wszystkich. Ale miło słyszeć, że żyjesz. Gdybym jednak wiedział, że przez cały ten czas zabawiałeś się w Nowym Jorku...

- Zabawiałem się? Co masz na myśli, mówiąc „zabawiałeś się”?

- Och, usłyszałem od policji, że zadawałeś się tam z jakąś kobietą. A ja przez ten czas myślałem, że albo nie żyjesz... albo zadrezczasz się z powodu śmierci Jenny. A tu się okazuje...

- Alex, jeśli dasz mi szansę, wyjaśnię ci wszystko osobiście...

- Nie wiedziałem, czy żyjesz, Greg, ale byłem pewny, że Jenny jest twoją dziewczyną. A potem ta strzelanina, rany boskie!

- A ty co? Chcesz mnie teraz umoralniać? Jak miałeś dwadzieścia osiem lat, też byłeś taki święty?

- Greg, jeśli to twój szef... - wtrącił się ojciec, wstając i marszcząc czoło z dezaprobatą.

- Dobrze ci życzę, Greg, ale dzwonię, żeby ci powiedzieć, że już u mnie nie pracujesz. Mówię to, na wypadek gdyby ci się zdawało, że jest inaczej.

- Boże święty, Alex!

- Nie stać mnie na takie zamieszanie w interesach - odpowiedział Alex. - Czy myślisz, że wszyscy faceci z tego rejonu, którzy mnie znają i znają ciebie... Szkoda gadać.

Greg wyobraził sobie, że Aleks stoi w kuchni przy aparacie wiszącym na ścianie, podczas gdy jego żona pali papierosa, pije kawę i wsłuchuje się w każde słowo, siedząc przy stole, na którym widać niedojedzone śniadanie, i kiwa głową, dodając mężowi otuchy.

- Dobrze, nie będę się z tobą kłócił, Alex. Chciałbym jednak wiedzieć, czy masz coś przeciwko temu, żebyśmy pogadali?

- Tak, mam. Taka rozmowa byłaby bez sensu. Bardzo się na tobie zawiodłem, Greg, i

to pod wieloma względami. Wydawało mi się, że jesteś zupełnie przyzwoitym młodym człowiekiem. Nawaliłeś z dwoma największymi sezonowymi zamówieniami, jeśli jeszcze o nich pamiętasz, chodzi o środki do opalania i... Co ty sobie wyobrażasz, że miałem czekać, aż łaskawie się ze mną skontaktujesz, zanim zatrudnię człowieka, który je zrealizuje?

- W porządku, Alex. Rozumiem, że to nie najlepsza pora na rozmowę.

- W rzeczy samej. Do widzenia, Greg. - Alex rozłączył się.

Greg odłożył słuchawkę i odwrócił się w stronę ojca. Ojciec nadal marszczył czoło, a jego twarz wyrażała znacznie więcej nagany niż współczucia. Greg od razu to zauważył.

- No i wielka rzecz, wylał mnie - powiedział. - W końcu nie tylko u niego można pracować.

Zapadła cisza. Milczenie ojca denerwowało Grega. Było tak, jakby ojciec myślał o rzeczach zbyt haniebnych, by wyrazić je słowami. Greg spojrzął na zegarek i zobaczył, że dochodziła dopiero ósma. Zapowiadał się dzień ciągnący się bez końca, chyba że prześpi jakąś jego część. Greg marzył, by ojciec już sobie poszedł.

Dokładnie o ósmej telefon zadzwonił ponownie. To była Nickie. Greg był tak zaskoczony, że w pierwszej chwili odebrało mu mowę.

- Chciałabym się z tobą zobaczyć - powiedziała. Nie była zła, ale jej głos nie brzmiał przyjacielsko. Mówiła szorstko.

- Jasne, Nickie. Gdzie jesteś?

- W Humbert Corners. W jakiejś budce na chodniku. Jak się jedzie do ciebie?

Jąkając się, Greg wytłumaczył jej. Zobaczył, że ojciec siada prosto i zaniepokojony patrzy na niego.

- Skąd wiedziałaś, że tu jestem? - zapytał.

- Zadzwoniłam na komisariat. Po prostu - odpowiedziała Nickie. Dopiero teraz się zorientował, że prawdopodobnie jest trochę pijana. - Do zobaczenia za parę minut - dodała i rozłączyła się.

- Kto ma przyjechać? - spytał ojciec.

- Nickie Jurgen - odpowiedział Greg. - Kobieta, o której ci opowiadałem, była żona Foreстера. Jest w Humbert Corners.

- Będzie lepiej, jak sobie pójdę - stwierdził ojciec i sięgnął po marynarkę, którą wcześniej powiesił na oparciu krzesła.

- Och, tato, daj spokój. Ona jest bardzo miła. Chciałbym, żebyś ją poznał. Dużo więcej zrozumiesz z tego wszystkiego, jeśli...

- Nie, Greg.

- Potrzebuję cię, tato. Naprawdę. Będzie lepiej, jeśli zostaniesz.

- Twoja matka także mnie potrzebuje.

Nie mając szansy na to, że uda mu się go przekonać, Greg dał za wygraną. A może to nawet lepiej, że go nie będzie, pomyślał. Nie sposób przecież przewidzieć, z czym Nickie może wyskoczyć. Ojciec po raz kolejny przypomniał mu, że o oznaczonej godzinie powinien zadzwonić na komisariat. Greg prosił, żeby ojciec uściskał od niego matkę, a potem ojciec zszedł po schodach, uruchomił samochód i odjechał. Greg miał wrażenie, że nie upłynęła chwila, kiedy na podjeździe znowu usłyszał warkot silnika, a później żwir zachrząścił pod hamującymi kołami. Musiała minąć się z ojcem na ulicy. Wyjrzał przez okno i zobaczył Nickie wysiadającą z niskiego thunderbirda i zatraskującą drzwiczki. Spojrzała do góry, dostrzegła go i bez uśmiechu lub choćby gestu powitania ruszyła w kierunku drzwi. Greg zbiegł po schodach, żeby jej otworzyć.

- Cześć - powiedziała. - Mam nadzieję, że jesteś sam.

- Jasne, Nickie. Wchodź.

Weszła przed nim po schodach. W pokoju przystanąła i odwróciła się przodem do niego.

- Więc... Nieźle w tym wszystkim namieszaleś, a może się mylę?

- Posłuchaj, Nickie, jeśli wszystko obgadamy i dojdziemy do porozumienia, co powiemy policji...

- Ty już, jak mi się zdaje, opowiedziałeś glinom całkiem sporo. - Roześmiała się. - Masz zamiar powiedzieć im coś więcej? A jak uważasz, co mój mąż o tym myśli? Co chciałeś osiągnąć, paplając każdemu dupkowi, który na ciebie spojrzał, że cię ukrywałam w Nowym Jorku? Tak mi się odwdzięczasz, do cholery?!

Greg spojrzał na okno, a potem podszedł do niego i je zamknął. Nickie mówiła głośno i najwyraźniej nie miała zamiaru przestać. Nie był w stanie wtrącić choćby jednego słowa. Spodziewał się, że będzie niezadowolona, zła na niego, ale ona zachowywała się tak, jakby za chwilę miała eksplodować niczym wulkan. Wiedział, że teraz nie uda mu się jej udobruchać i przeciągnąć na swoją stronę.

- Jesteś n a j p o d l e j s z y m skurwysynem...

Spróbował jej przerwać, ale mówiła wtedy jeszcze głośniej, a kiedy ponownie chciał wejść jej w słowo, zaczęła wrzeszczeć piskliwie bez ładu i składu: „Ble-ble-ble-ble--ble”, jakby naprawdę zwariowała i chciała jedynie go zagłuszyć. Mówiła o jego niewdzięczności, głupocie, nikczemności, kompletnym nieliczeniu się z jej osobą. Greg aż się trząsnął ze strachu i złości. Nickie miała zamiar pogorszyć jego sytuację. Jak twierdziła, sporo zeznała już policji,

ale jeszcze nie skończyła.

- Nie przyszło ci nigdy do głowy, że mąż może się ze mną rozejść z tego powodu?! - wrzeszczała w najwyższym wzburzeniu. - Nie pomyślałeś, że może to po prostu zrobić?

Krzycząc, zaciskała i rozczapierzała wymanikiowane palce, przytykała je do ust w gwałtownym geście, a potem zaciskała w pięści. Miała na sobie czarne spodnie, te same, w które była ubrana, gdy drugi i ostatni raz się z nim przespała w hotelu „Sussex Arms”. Pamiętał, jak się wtedy do niego uśmiechała, pamiętał jej pełen stanowczości głos. Teraz widział jej przekrwione białka i resztki szminki na obrysie warg.

W końcu udało mu się przebić przez potok jej słów.

- Co ja takiego złego zrobiłem, do jasnej cholery! - ryknął.

- Jesteś takim głupkiem, że tego nie pojmujesz?! Zrujnowałeś mi życie, śmieciu. Ale dopilnuję, żeby i twoje poszło w ruinę, możesz mi wierzyć. - Zapaliła papierosa i głośno zatrzasnęła zapalniczkę. - Wiem, jak odzyskać sympatię ludzi, nie myśl sobie, że nie wiem. Śmieć - dodała niskim głosem, bujając się mocno na boki, jakby w ten sposób odzyskiwała panowanie nad sobą. Ale w chwilę potem znowu wybuchnęła. - Szkoda, że nie słyszałeś mojej całonocnej kłótni z Ralphem. Chce się ze mną rozwieść na tej podstawie, chce podać mnie do sądu, kapujesz? Jak myślisz, gdzie wtedy skończę? To wszystko trafi do gazet, bo Ralph tego chce. Nie zamknę im gęby pieniędzmi. Czy zdajesz sobie sprawę, ile on ma forsy?

- W porządku! Dobrze już! - krzyczał Greg. - I co ja niby mam na to poradzić, do cholery?

- Najpierw iść na policję i odwołać wszystkie zeznania, które mnie dotyczą. Bierz swój zakichany płaszcz, czy co tam nosisz, i jazda - powiedziała, odsuwając się gwałtownie od niego.

Patrzył w jej oczy pełne złości, rozglądające się tu i tam po pokoju.

- Posłuchaj, Nickie, nie mogę...

- Tylko mi nie mów, co możesz, a czego nie możesz. Chodźmy. Pojedziemy do Rittersville, czy gdziekolwiek to jest.

- Nickie, właśnie straciłem pracę. Co jeszcze chcesz mi zrobić?

- Twoja praca? Śmiechu warte zajęcie? Jeśli myślisz, że tylko to stracisz... No, dalej, idziemy. - Ruszyła w kierunku drzwi.

Greg zeszywniał, brakowało mu tchu. Widział, jak Nickie otwiera drzwi i obraca się do niego, trzymając rękę na klamce.

- Nie idę - powiedział szybko.

- Och, więc to tak - drwiła z niego. - Nie idziesz. Dobrze, zostań. Będę mówiła za ciebie. - Obróciła się do wyjścia.

- N i g d z i e nie pójdziesz! - wysyczał Greg, przytrzymując ją ramieniem.

Jego ruch był tak gwałtowny, że wpadła na zlew. Przez moment patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, pełnymi strachu, ale zaraz potem rzuciła się w stronę drzwi.

Greg wyciągnął rękę i złapał Nickie przez pierś, trzymał ją plecami do siebie. Jej pięści na nic się zdały, choć walczyła przez krótką chwilę. Kiedy chwycił jej rękę, uspokoiła się.

- W porządku - powiedziała, dysząc. - Dobrze, napiszesz to. Siadaj i pisz. - Wyrwała dłoń z jego uścisku. - Gdzie masz jakąś kartkę?

Posłusznie wyjął notatnik, a między ołówkami w szklance na półce kuchennej znalazł długopis.

- Co mam pisać? - Usiadł na brzegu łóżka i przysunął do siebie stolik do brydża.

- Napisz, że to nieprawda, że spałam z tobą w Nowym Jorku, a pieniądze, które ci dałam, miały być zwrócone w Pensylwanii.

- Z jaką datą?

- Trzydziestego pierwszego maja.

Napisał datę, a pod spodem:

„To nieprawda”

i przerwał.

- Ręka za bardzo mi się trzęsie. Muszę chwilę odczekać - wymamrotał. - Jezu, ile bym dał, żeby się teraz czegoś napić.

- Mam co nieco do picia w samochodzie. To ci pomoże? - Nickie wyszła.

Greg usłyszał wyjący klakson jej samochodu, a potem przekleństwo: „Niech to cholera!”, i brzęk butelki, która obita się o karoserię. Trzasnęły drzwiczki. W chwilę potem rozległ się wysoki, zawodzący głos pani Van Vleet. Greg podszedł do okna.

- Oczywiście, że mu przekażę - powiedziała Nickie do pani Van Vleet.

Pani Van Vleet stała na tylnej werandzie, za osłoną z siatki przeciwko owadom.

Nickie wróciła z butelką whisky White Horse.

- Twoja gospodyni chce z tobą porozmawiać.

Greg przecesał palcami włosy i zszedł na dół. Pani Van Vleet zamierzała wejść do mieszkania, ale zatrzymała się, słysząc jego kroki.

- Chciała pani ze mną rozmawiać, pani Van?

- Tak, Greg. - Gospodyni odchrząknęła. Rozmawiała z nim przez siatkową osłonę. -

Chciałam ci powiedzieć, Greg, że wolałabym... wolałabym, żebyś poszukał sobie jak najszybciej nowego lokum. Możesz tu zostać tylko do połowy przyszłego miesiąca.

- Dobrze, pani Van. Rozumiem. - Greg płacił czynsz piętnastego każdego miesiąca, ale w tym miesiącu tego nie zrobił i zalegał z zapłatą od dwóch tygodni. Miał zatem dwa tygodnie na znalezienie nowego mieszkania.

- Przykro mi, Greg, ale tak postanowiłam - dodała łagodniej, choć przez zaciśnięte usta. Wsunęła do przodu brodę i przybrała pozę osoby dbającej o moralność, kiedy wymownie spojrzała na samochód Nickie, a potem w górę na okno jego mieszkania.

- Od razu pani zapłacę i postaram się wyprowadzić przed piętnastym - powiedział Greg, uznając, że jest bardzo ugodowy i uczciwie stawia sprawę.

Na co pani Van Vleet odpowiedziała zimno:

- Tak będzie najlepiej. - I weszła do domu.

Greg wbiegł na górę do mieszkania.

- Jezu! Moja gospodyni chce, żebym się wyprowadził! - niemal krzyczał.

- Zdziwiony? - Nickie siedziała w fotelu z drinkiem w dłoni.

Greg podszedł do butelki, którą Nickie postawiła na suszarce do talerzy, i nalał sobie sporą porcję whisky. Wypił kilka łyków, zanim się odwrócił. Podszedł do stolika brydzowego, na którym leżał papier. Wiedział dobrze, co chce napisać, ale zajęło mu to sporo czasu. W końcu zappełnił obie strony kartki i podpisał się zamasyżycie pełnym nazwiskiem: Gregory Parcher Wyncoop. W tym czasie Nickie dwa razy dolewała sobie drinka. Nuciała teraz coś pod nosem, jakby była w lepszym nastroju.

- Skończyłeś? Przeczytaj - powiedziała.

Odczytał na głos, a kiedy zamilkł, Nickie skomentowała jego wysiłek słowami:

- Trochę toporne, ale typowe dla ciebie. Brzmi nieźle.

Greg nalał sobie kolejną porcję whisky i wrzucił do szklanki kilka kostek lodu z tacki, którą Nickie postawiła obok butelki na suszarce. Czuł się znacznie lepiej. Jeszcze jeden drink lub dwa i całe to zamieszanie przestanie go niepokoić.

- A co pan Forester robi dzisiaj? - zapytała Nickie.

- Skąd mam wiedzieć? - Greg usiadł na łóżku i oparł się plecami o poduszkę. - Pewnie świętuje moją wpadkę.

Nickie wydała dźwięk przypominający śmiech i chrząknięcie.

- Ten lekarz... doktor z Rittersville może umrzeć - odezwał się Greg. - Fatalnie by się złożyło.

- Mmmm. Czy to przyjaciel Bobbiego?

- Chyba tak.

- Bobbie nieźle sobie poczyła, prawda?

- Co takiego?

- Ludzie umierają. Gadał o tym bez przerwy... do czasu, aż kazałam mu iść do psychoanalizy i przestać o tym mówić. Ludzie umierają. Śmierć.

- A czy my musimy o tym rozmawiać? - Greg usiadł. - Forester nie jest martwy. Ma się c a ł k i e m dobrze.

- Och, da sobie radę, spokojna głowa. - Nickie wyglądała na senną, rozparta wygodnie w wielkim fotelu. Lekko się uśmiechała.

- Jeśli doktor umrze, oskarżą mnie o morderstwo. Przynajmniej tak mówią.

- Morderstwo? - Nickie szerzej otworzyła oczy. - Raczej nieumyślne zabójstwo?

- Nie. Morderstwo. - Greg dokończył drinka i wpatrywał się w pustą szklankę. A potem z prawie niewidocznym pół uśmiechem wstał i podszedł do butelki. Kiedy się odwrócił, Nickie wpatrywała się w niego. - Morderstwo - powtórzył.

- W porządku, słyszałam.

Greg spojrział na kartkę, którą zapisał, i zaczął się zastanawiać, czy jest jakiś sposób, by nie pokazać jej policji. Czy Nickie mu uwierzy, jeśli powie, że sam ją zaniesie? Wątpił w to. Zresztą, co ryzykował, skoro i tak oskarżą go o morderstwo?

- Później zawiozę cię na policję, żebyś mógł to oddać - powiedziała Nickie, wskazując głową stolik do brydża. - Przecież i tak chyba musisz się dzisiaj zameldować na komisariacie, prawda?

- Wystarczy, że zadzwonię.

- Pojedziemy. Razem. Najpierw jednak zadzwonimy do Foreстера i sprawdzimy, czy już wstał. - Podniosła się niezbyt pewnie. Uśmiechała się, zadowolona.

- Dzwonić do niego? A po co?

- Mam taki kaprys. Jak daleko stąd mieszka?

- Och, niecałe dwadzieścia pięć kilometrów.

- Tylko tyle? Jaki jest jego numer?

Greg pomyślał chwilę i przekonał się, że pamięta.

- Milton, sześć, dziewięć, cztery, dziewięć, jeden.

- Muszę łączyć się przez centralę?

- Tak... telefonistka cię połączy. - Greg patrzył na Nickie, wyraźnie zaniepokojony.

- Milton. M i l t o n - powtarzała Nickie do telefonu. - Nie słyszała pani takiej nazwy? Milton sześć... Jak dalej, Greg?

Powtórzył numer, ona przekazała go telefonistce, a potem spojrzała na Grega i powiedziała:

- Milton, Milton, co za różnica? Halo! Bobbie? Mówi twoja kochająca żona... No cóż, w Humbert Corners, szaleńczo zabawnej mieścinie, i jestem z Gregiem... Tak. Zastanawialiśmy się, czy nie wpadłbyś na brunch? - Roześmiała się.

Greg chodził po pokoju, podszedł do zlewu i nalał sobie kolejnego drinka.

- Och, „zajęty”? Ale chyba nie aż tak bardzo? Chcielibyśmy się z tobą zobaczyć, prawda, Greg?

Powoli i ze smutkiem Greg pokręcił przecząco głową.

- Greg nie chce, ale ja chcę... Och. Przed czym teraz uciekasz, Bobbie? - zapytała, chichocząc. Odsunęła słuchawkę od ucha, nacisnęła kilka razy widelki i odłożyła ją na aparat. - Rozłączył się. Za minutę znowu spróbuję - powiedziała, puszczając oko do Grega. - Tymczasem zadzwonię do męża i powiem mu... powiem mu o tym. - Wskazała ręką kartkę leżącą na stoliku.

Ralph nie było w domu. Nickie połączyła się z innym numerem, bo myślała, że może tam go zastanie, ale i ta próba się nie powiodła. Zdenerwowało ją to.

26

Nickie zadzwoniła o dziesiątej. Kiedy Robert się rozłączył, wrócił do zamykania antresoli - była to jedna z ostatnich czynności, jakie miał do zrobienia przed opuszczeniem domu. Zamiatał powoli, bo ramię zaczęło mu dokuczać. Poprzedniego wieczoru zmieniono mu w szpitalu opatrunek oraz nakłuto albo zeskrobano warstwę zasypki z penicyliny, którą doktor posypał ranę. Od tamtej pory ręka znów go bolała. Czuł się przez to trochę oszołomiony, trochę jakby zamroczony. Miał wrażenie, że w rzeczywistości Nickie nie dzwoniła. Wydawało mu się zupełnie nieprawdopodobne i niewiarygodne, że przyjechała do Grega do Humbert Corners i była pijana już o dziesiątej rano, tak samo jak to, że Greg był z nią, też pewnie pijany i wesoły.

Kiedy skończył zamiatać na piętrze, usiadł na kanapie z filiżanką kawy. Telefon zadzwonił ponownie, ale Robert nawet się nie ruszył, żeby go odebrać. A potem, po dziesiątym dzwonku, pomyślał, że może dzwoni ktoś inny, nie Nickie, i podniósł słuchawkę.

- Bobbie, kochanie, chcemy, żebyś do nas przyjechał - powiedziała Nickie. - Na brunch... jeśli przywieziesz jaja.

Robert usłyszał śmiech Grega.

- Daj spokój, na pewno będzie wam przyjemniej beze mnie. Właśnie wychodziłem z domu, złapałaś mnie dosłownie w drzwiach.

- Och, nieprawda - drażniła się Nickie. - Nie chcesz zobaczyć się z Gregiem? Z człowiekiem, którego... którego pokonałeś?

- Dzięki, ostatnio aż za często go oglądałem.

Robert ze złością odłożył słuchawkę. Było siedemnaście po dziesiątej. Powiedział co prawda Nielsonom, że przyjedzie około jedenastej z dwoma walizkami i kartonowymi pudłami, bo ofiarowali się, że je przechowają, ale postanowił jechać do nich od razu. Jeśli nie będzie odbierał telefonu przez pół godziny, może Nickie da mu wreszcie spokój.

Włożył walizki i pudła do samochodu i wyruszył w drogę. A więc Greg wrócił do siebie i upił się z Nickie. To nie miało sensu. Wszystko zdawało się pozbawione sensu. Robert domyślał się, że Greg wyszedł za kaucją. Zastanawiał się teraz, czy to Nickie wyłożyła na nią pieniądze. Jego zdaniem tych dwoje podchodziło do całej sprawy na pełnym luzie. Policja, sąsiedzi, postronni ludzie wydawali się współdziałać z Gregiem i Nickie, jakby chcieli im wszystko ułatwić. Policja na przykład nie zadała sobie trudu, by go powiadomić, że Greg został odnaleziony poprzedniego dnia. Robert był w szpitalu przy łóżku doktora Knotta od jedenastej do północy, czy może nawet trochę dłużej, ale kiedy wrócił do domu, to nie policja zadzwoniła do niego, by przekazać mu wiadomość o Gregu, ale Nielsonowie, którzy usłyszeli o tym przez radio późną nocą.

Kiedy Robert dojechał na miejsce, Betty Nielson akurat coś piekła. Widok ich niewielkiego, zalanego słońcem salonu i zapach ciasta dolatujący z kuchni sprawiły, że Robert się uśmiechnął. Pomyślał, że wygląda z tym uśmiechem głupkowato.

- Gdzie Kathy? - zapytał. Tak miała na imię córeczka Nielsonów.

- Jest w szkółce niedzielnej. Potem będzie na niedzielnym obiedzie u przyjaciółki - odpowiedział Jack, uśmiechając się. - Nadal chcesz dzisiaj wyjechać?

- Tylko do Rittersville. Zatrzymam się tam w hotelu, aż do czasu, kiedy doktor...

- A jakie są najświeższe wieści o jego stanie?

- Bez zmian - odpowiedział Robert.

- Mmm. Wyglądasz na przemęczonego, Bob. Siadaj, no siadaj. - Jack popchnął lekko Roberta w stronę sofy, opiekuńczy, jakby pomagał inwalidzie. - O rany, te wiadomości z ubiegłej nocy... Mieliśmy właśnie zgasić światło, kiedy Betty powiedziała: „Posłuchajmy

wiadomości o północy, dowiemy się, jaka jutro będzie pogoda”. - Jack roześmiał się.

W tej samej chwili Betty wyszła z kuchni w rękawicy kuchennej na dłoni.

- Och, Bob, byliśmy tym... bardzo poruszeni, jakby to dotyczyło nas bezpośrednio. Wiesz, co mam na myśli?

Bo dotyczyło bezpośrednio, pomyślał Robert. Dzięki temu, że odnaleziono Grega, przestali wątpić w jego niewinność - przynajmniej jeśli chodzi o udział w morderstwie. Choć z drugiej strony pozostawała jeszcze sprawa podglądania. Miał tego pełną świadomość i dotyczyło to w równym stopniu kontaktów z Betty, jak z Jackiem. Betty nalała im kawy.

- Jak się czuje doktor Knott? - zapytała. - Nie słyszałam, co powiedziałeś Jackowi.

- Bez zmian - odpowiedział.

- Ciągłe w śpiączce? - dopytywała się Betty.

- Tak. On... - Robert nagle poczuł, że robi mu się słabo. Miał wrażenie, że za chwilę zemdleje. W wyobraźni widział wpatrujące się w niego niebieskie oczy lekarza i jego lekko rozchylone usta, które przybrały niebieskawy odcień, mimo namiotu tlenowego. Ostatniej nocy Robert uznał, że oczy doktora wyrażały raczej smutek i dobroć, nie patrzyły już na niego z potępieniem, nie przerażały. Doznał przedziwnego wrażenia, że choć w śpiączce, doktor wszystko słyszy i widzi, że wie o zbliżającej się śmierci, która w dziewięćdziesięciu procentach zawładnęła jego jestestwem; jakby doktor, znajdujący się już we władaniu śmierci, patrzył na życie przez maleńkie, zamykające się powoli okienko.

- Trzymaj, to na pewno ci nie zaszkodzi. - Jack podał mu whisky.

Robert wziął od niego szklaneczkę i upił łyk.

- Nieźle się chyba natyrałeś przy pakowaniu tego wszystkiego, co? - powiedział Jack.

- O rany, strasznie się cieszę, że nie wyruszasz od razu dzisiaj. Gdzie się zatrzymasz w Rittersville?

- W „Buckler Inn”.

- Och, znam to miejsce. - Jack usiadł na fotelu obok sofy. - No cóż... Lekarze powinni wiedzieć, co będzie z doktorem za... dwadzieścia cztery godziny, albo nawet szybciej, prawda?

- Jestem pewny, że wiedzą już teraz - powiedział Robert. - On z tego nie wyjdzie.

- Mimo wszystko to już stary człowiek, Bob - wtrąciła się Betty. - Tak naprawdę to nie twoja wina. Nie powinieneś podchodzić do tego w taki sposób, jakbyś... jakbyś był odpowiedzialny za jego śmierć, oczywiście jeśli umrze.

Robert nie odpowiedział. Niezupełnie tak to pojmował.

- Ktoś mi mówił, a może przeczytałem to w jakiejś gazecie, że jego żona zmarła kilka

tygodni temu - odezwał się Jack. - To prawda?

- Tak - odpowiedział Robert krótko.

- Jest coś takiego jak utrata chęci do życia. Przypuszczam, że doktor nie chce już żyć... nie zależy mu. Nawet nie próbuje walczyć.

A jaka śmierć jemu przypadnie w udziale, zastanawiał się Robert. Czy umrze jako stary człowiek, w śpiączce? Czy, wciąż młody, zginie w wypadku na autostradzie? A może od kuli przeznaczonej dla niego lub kogoś innego? Rażony piorunem? Albo roztrzaska się o ziemię w spadającym, płonącym samolocie? Czy dane mu będzie przeżyć ostatnie sekundy tak, żeby zdążył pomyśleć o rzeczach, które powinien zrobić, a nigdy nie zrobił, i o tym, co zrobił, choć nie powinien? Czy przypomni sobie wtedy wszelką dobroć, jaką wyświadczył innym ludziom, żeby nabrać większej śmiałości, żeby nadać sens trzydziestu, czterdziestu czy pięćdziesięciu latom spędzonym na ziemi? Wydawało mu się, że nic nie ma znaczenia poza uczynnością i dobrocią, że ostatni piątek był dla doktora Knotta niczym całe jego pocziwe życie, tyle że wtłoczone w dwadzieścia cztery godziny - następstwem dobroci, jaką lekarz mu okazał, był jednak strzał, a jego skutkiem - śmierć.

- Bob? - zwrócił się do niego Jack.

Betty podała mu talerzyk. Pośrodku stolika do kawy stał talerz z wielkim żółtym ciastem z połówkami śliwek na wierzchu, posypanym cukrem pudrem. Kiedy Betty je kroiła, było wciąż gorące i parowało. Jack emocjonował się „tym sukinsynem Kolbem”, na co Betty zwróciła mu uwagę, by uważał na słowa, i wczorajszym incydentem, kiedy Kolbe zmusił Roberta, by oddał broń Gregowi, o czym Robert opowiedział Jackowi przez telefon o północy - co teraz wydawało mu się równie nierealne, jak nierzeczywiste było dla Betty, mniej prawdziwe od scen przemocy pokazywanych w telewizji. Czy naprawdę był jednym z głównych bohaterów tych wydarzeń? Chciało mu się śmiać.

Zanim Jack i Betty skończyli jeść ciasto, Robert wstał i powiedział, że zacznie przenosić rzeczy. Nielsonowie obiecali, że przechowają je w piwnicy.

- Zaczekaj chwilę, pomogę ci - powiedział niewyraźnie Jack z ustami pełnymi ciasta.

- Nie trzeba, dziękuję - odpowiedział Robert.

- Ze zranionym ramieniem nie powinieneś niczego nosić - zaprotestowała Betty.

Ale Robert już wyszedł. Pomyślał, że zachował się trochę niegrzecznie, ale chciał mieć to już za sobą, chciał zabrać z domu to, co jeszcze tam zostało, i po prostu wyjechać, bo nie opuszczało go przeczucie, że Greg i Nickie mogą złożyć mu wizytę. Sama myśl o tym fatalnie go usposabiała, nie potrafił usiedzieć na miejscu.

Jack jednak mu pomógł i razem znieśli pięć albo sześć kartonów do piwnicy.

- A co z resztą, którą masz w domu? - zapytał Jack. - Pojadę z tobą i pomogę ci załadować wszystko do samochodu.

- Nie, dzięki, Jack.

- Daj spokój, pojadę własnym wozem. Nie będziesz musiał mnie odwozić.

- Szczerze mówiąc, wolałbym zostać sam - odpowiedział Robert tak stanowczo, że Jack na niego spojrzał. - Zresztą nie ma tego za wiele - dodał łagodniej.

- W porządku - skwitował ugodowo Jack, wzruszając ramionami.

Robert jeszcze raz mu podziękował, zapewnił, że się zobaczą przed jego wyjazdem do Nowego Meksyku, a potem wsiadł do samochodu. Jechał dość szybko. Nie była to daleka droga, pięć minut później był na miejscu. Ucieszył się, widząc, że na podjeździe przed domem nie stoi żaden samochód. Kiedy wszedł do środka, nalał sobie szklankę wody z kranu nad kuchennym zlewem i zapatrzył na parapet okienny, w miejsce, gdzie kiedyś stał kwiatek Jenny. Kwiaty zawiózł w kartonie do Nielsonów. Wyobraził sobie, jak Betty opróżnia karton pełen roślin, który zostawił w niewielkim holu tuż za frontowymi drzwiami. Było piętnaście po jedenastej. Obiecał matce, że zadzwoni do niej tego dnia, ale nie było powodu do pośpiechu. Postanowił, że zatelefonuje do niej z Rittersville. Będzie też musiał pamiętać o odłączeniu telefonu.

Robert wynosił właśnie z domu pierwszą walizkę, kiedy usłyszał nadjeżdżający samochód. Zatrzymał się na werandzie i dobrze mu się przyjrzał. Był to czarny thunderbird. Pomyślał, że przejedzie obok, ale samochód skręcił w jego podjazd ze sporą prędkością. Za kierownicą siedziała Nickie, Greg zaś obok niej.

Nickie wysiadła z samochodu.

- Ach, Bobbie, wyjeżdżasz. Chyba przyjechaliśmy w samą porę, prawda? - Zachwiała się, ale odzyskała równowagę, łapiąc się drzwiczek, a potem je zatrasnęła.

Greg gramolił się powoli z drugiej strony, z pijackim, potulnym uśmiechem na twarzy.

Albo na bezczelnego załaduję samochód i odjadę, myślał Robert, albo spróbuję być uprzejmy i zobaczę, czy uda mi się jakoś ich spławić. A może lepsza będzie kombinacja obu tych możliwości.

- Nie, spóźniliście się trochę - odpowiedział. - Właśnie wyjeżdżam.

- To samo mówiłeś godzinę temu. Nie zaprosisz nas na drinka? Nie mamy już ani kropelki, prawda, Greg?

- Prawda, panie Forester. - Greg ruszył w jego stronę. Zataczał się, ale nadrabiał determinacją. I nadal się uśmiechał.

- Ja też niczego nie mam. Może pojedziecie do Jersey i tam coś kupicie? -

zapropował Robert, idąc z walizką w kierunku samochodu.

Musiał obejść Grega, który umyślnie zastąpił mu drogę. Serce waliło mu w piersi. W gardle tak mu zaschło, że wdychane powietrze niemal go dławiło. Pochylił się nad bagażnikiem i jedną ręką, prawą, usiłował ustawić w środku ciężką walizkę. Wtedy ktoś wykręcił mu ramię do tyłu, a pięść Grega zbliżyła się do jego twarzy.

Robert upadł ciężko na ziemię dwa metry od samochodu. Greg próbował go postawić, ciągnąc za lewą rękę. Robert aż krzyknął z bólu.

- Tylko go nie zokautuj! - krzyknęła Nickie, śmiejąc się głośno. - Chcę z nim p o r o z m a w i a ć !

Robert zdołał jakoś się podnieść. W szczęście czuł rwanie, jakby kości dochodziły do siebie po dużo większym bólu, w lewym uchu dzwoniło mu po ciosie, który dostał. Greg nie zamierzał uderzyć go ponownie, przyrzekł Nickie, a przyłożył mu tylko dlatego, że Robert odwrócił się do niego tyłem. Greg był tak pijany, że musiał się poruszać, żeby utrzymać równowagę. Robert szedł w stronę domu po następną walizkę.

- Zaczekaj chwilę! - zawołała Nickie.

Robert wziął walizkę i ponownie wyszedł z domu. Teraz Greg stał już na werandzie i po omacku szukał klamki. A niech sobie wchodzi, pomyślał Robert, teraz nie ma tam już nic mojego. Nickie szła za Robertem, który otworzył drzwiczki samochodu i postawił walizkę na podłodze przy tylnym siedzeniu. W tej samej chwili rozległ się jakiś hałas dobiegający z domu. Robert podbiegł do schodów. Teraz słyszał wyraźnie odgłosy tłuczonego szkła.

- Na rany boskie, przestań! - krzyknął, wchodząc do środka.

Greg był w kuchni. Obok kominka leżało przewrócone krzesło. Robert zrobił unik przed talerzem, którym Greg w niego cisnął.

- Latający talerz! - zawołała Nickie, krztusząc się od śmiechu.

Greg zamarł na chwilę w bezruchu, jakby czymś oszołomiony albo jakby nie wiedział, po co jeszcze może w kuchni sięgnąć.

- A więc - odezwała się Nickie do Roberta. Dłonie trzymała na biodrach. Kołysała nimi, zataczając koła, jakby w pijanym widzie robiła ćwiczenia gimnastyczne. - Wiesz dobrze, co zawsze o mnie mówiłeś, Bobbie. Kończę butelkę i padam na twarz. Taki mam styl picia, no to może i teraz padnę.

Robert zbliżył się do kuchni.

- Marnujesz czas, Greg. Te rzeczy nie należą do mnie - powiedział.

Greg obrócił się i stanął plecami do zlewu. Nic nie robił - być może dlatego, że w zasięgu ręki nie miał niczego do rzucania. Zbił tylko kilka talerzy, które Robert zostawił na

suszarce.

Zadzwoił telefon.

- Nie zwracaj na to uwagi - powiedział Robert, patrząc na Nickie.

Nickie szła powoli, ociężale, z opuszczoną głową w stronę kominka.

Robert podniósł kilka większych kawałków potłuczonych talerzy, bo mogły stać się dla kogoś potencjalną bronią, i wrzucił je do paleniska. Telefon zadzwonił ponownie.

- Odbierz, Bobbie.

- Nie ma potrzeby, wiem, kto dzwoni - odparł. Jeśli to Nielson, może poczekać, a jeśli ze szpitala, to i tak wiedział, co mają mu do przekazania.

- To j a ! - krzyczała Nickie do słuchawki, bo rzuciła się do telefonu i sama odebrała. - Halo? Kto?... Oszczywiście. Bobbie? Jakaś kobieta.

Robert wziął od niej słuchawkę.

Dzwonili ze szpitala. Doktor Knott zmarł przed piętnastoma minutami, we śnie, o wpół do dwunastej.

- Pan nie jest krewnym, prawda, panie Forester?

- Nie, nie jestem. Ale... wczoraj odwiedził go starszy mężczyzna. To chyba jego kuzyn. Ktoś w każdym razie powiedział, że to kuzyn. Niestety, nie znam jego nazwiska.

Doktora odwiedziło sporo osób, wśród nich para o imionach George i Irma, jego sąsiedzi, ale najwyraźniej nie miał bliskich krewnych.

- Rozumiem. Pytam, bo pan najczęściej do niego przychodził.

- Dziękuję... za telefon - odpowiedział Robert i rozłączył się.

- No i co, złe wieści? - spytała Nickie.

Greg przeszedł wolno do frontowej części kuchni, znowu głupio się uśmiechał. Robert zebrał się w sobie i popatrzył na niego jak na zjawę. Musiał zamrugać oczami, by uwierzyć, że to naprawdę on. Nie miał pojęcia, co Greg zamierza, czy go zaatakuje, czy po prostu przejdzie obok. Dopiero wtedy dostrzegł w jego ręku nóż, opuszczony ostrzem do dołu - niewielki, ale ostry nóż do obierania warzyw.

- Złe wieści, Bobbie? - zapytała ponownie Nickie.

- Doktor nie żyje - powiedział Robert.

Greg zatrzymał się z lekko uniesioną ręką, w której trzymał nóż. Znajdował się o niecały metr od Roberta.

- Och, daj spokój, Greg, żadnych noży! Co to ma być, bijatyka? - Nickie roześmiała się. - Chcę popatrzeć na prawdziwą walkę.

- Nie żyje? - spytał Greg. - Kłamiesz!

- To sam zadzwoń i się przekonaj - odparł Robert ze złością, wskazując bolącym ramieniem aparat telefoniczny.

- No to co, i tak ty to zrobiłeś! - wysyczał Greg, obnażając zęby. Uniósł nóż.

Robert zanurkował pod nim i chwycił go w pasie. Greg upadł na plecy. W tej samej chwili Robert poczuł ręce Nickie na swoich ramionach i usłyszał jej krzyk:

- Hurrra! A teraz przestańcie!

Ale miał pod sobą Grega, klęczał nad jego wyciągniętym ciałem. Uderzył go dwa razy pięścią w szczękę, zanim Greg powalił go na ziemię i docisnął mu twarz do desek podłogi. Robert poczuł uderzenie nożem w bok. Greg nadal miał swobodną prawą rękę i zadawał mu ciosy nożem. Robert walnął go bokiem prawej pięści, a potem jakoś zdołał się podnieść, choć stał chwiejnie na miękkich nogach.

- Och, przestań, Greggie, przestań! - Nickie usiadła mu na udach. - Och, G r e g !

Robert spojrzał na nich. Greg ciągle wymachiwał nożem, choć miał zamknięte oczy. Nickie siedziała mu na udach i zaciskała dłoń na gardle.

- Bobbie! - powiedziała tonem kompletnego zaskoczenia, obracając ku niemu głowę.

Teraz Robert zobaczył krew wyciekającą spomiędzy jej palców. Ramię Grega opadło do tyłu, nóż z brzękiem potoczył się po podłodze.

- Zranił cię, Nickie? - spytał Robert, klękając obok niej i odsuwając jej palce od szyi.

Krew wyciekała pulsującymi strużkami z miejsca poniżej ucha.

- O Boże! O Boże! O Boże! - powtarzała Nickie.

Robert objął ją ramieniem i nacisnął skórę tuż nad obojczykiem. Krew płynęła ze skaleczenia powyżej, ale ucisk nie dawał rezultatu. Pomyślał, że ma przeciętą tętnicę szyjną. Widział ranę przypominającą maleńkie usta, przez które wylewała się jasnoczerwona krew. Robert ściągnął krawat, ale potem nie bardzo wiedział, jak zrobić z niego opaskę uciskową. Zmiał chusteczkę do nosa w kulkę i przycisnął ją do rany, a potem obwiązał wokół krawatem, na tyle ściśle, na ile się odważył.

- Bobbie! Bob-bie! Pomóż mi! - błagała Nickie.

Kolana ślizgały mu się na krwi, kiedy usiłował wstać. Chwycił słuchawkę telefonu. Usłyszawszy głos telefonistki, powiedział:

- Potrzebny jest lekarz. Natychmiast! Gursetter Road. Dom Forestera. Nazwisko jest na skrzynce pocztowej... - Zanim się rozłączył, musiał wysłuchać kilkusekundowej kretyńskiej instrukcji, opisać kolor domu i określić, w jakiej odległości trzeba skręcić z głównej drogi.

Nickie leżała teraz z głową na podłodze, miała otwarte usta. Opaska trochę pomogła,

pomyślał Robert, krew wolniej wypływała. A może zostało jej po prostu mniej krwi. Nacisnął chusteczkę palcami, rozwiązał opaskę z drugiej strony szyi. Doszedł do wniosku, że Nickie zemdlą. Krew tworzyła przerażające jezioro na podłodze, zabarwiając na czerwono cały róg dywanu. Spróbował wyczuć puls na lewym nadgarstku Nickie. Początkowo wydawało mu się, że ustał, ale potem go odnalazł, choć bardzo słaby.

- Nickie.

Żadnej reakcji. Zaczął naciskać różne punkty na jej szyi, poniżej i tuż obok cięcia. Teraz krew sączyła się już tylko przerywaną strużką, ledwo ukazując się nad brzegami rany. Próbował zewrzeć rozciętą skórę, ale wszystko wydawało się próżnym wysiłkiem.

- Nickie?

Jej usta lekko się rozchyliły. Oczy stały się szkliste. Robert dotknął jej policzka i przerażony cofnął natychmiast dłoń. Zerwał się na równe nogi, zdarł z siebie marynarkę i dopiero wtedy zauważył, że cały bok koszuli od rękawa w dół także ma zakrwawiony. Zaciągnął Nickie do czerwonej kanapy i oparł o nią jej głowę i ramiona. Głowa Nickie bezwładnie opadła.

- Nickie?

Ponownie ujął jej nadgarstek. Nie był w stanie wyczuć pulsu. Puls zaniknął. Spróbował na drugiej ręce. Czerwona krew pojawiła się niczym szkarłatny kwiat pomiędzy jej piersiami na bieli jedwabnej bluzki, z perłowym guzikiem pośrodku. Nickie nie żyła. Robert wstał i wpatrywał się w nią. Jej dłonie leżały na podłodze, wewnętrznymi stronami do góry, w pozie wyczekiwania i pogodzenia się z losem.

Robert wpadł w chwilową panikę, miał ochotę uciec, krzyczeć. Ale zaraz potem spojrzał na Grega i nie zastanawiając się, co robi ani dlaczego, pochylił się nad nim i nasłuchiwał bardzo intensywnie aż do momentu, gdy upewnił się, że Greg oddycha. Wyprostował się i podszedł do telefonu. Wybierał numer bardzo zdenerwowany.

- J a c k ! Jack, przyjedź do mnie, dobrze?... Dzięki... Nie mogę teraz rozmawiać. - Odłożył słuchawkę i zakrył twarz rękami. Mówił głosem na granicy krzyku.

Zadzwoił do Jacka, bo mieszkał najbliżej, tylko dlatego. Kiedy Jack przyjechał i wszedł do domu - Robert widział, jak przystanął na krótko w drzwiach, widział jego twarz, gdy przenosił wzrok z Nickie na Grega i potem na Roberta. Na pewno od razu pomyślał, że zrobił to Robert Forester, zrobił to ponownie. Przez krótki moment można to było dostrzec w wyrazie jego twarzy.

Robert opuścił ręce. Zaczął iść w stronę drzwi, chciał wyjść na zewnątrz, ale oślepił go i zatrzymał blask słońca. Nie spojrzał ponownie na Nickie, ale kątem oka widział biel jej

bluzki i czerń spodni, niezależnie od tego, gdzie patrzył. Nóż leżał u jego stóp - nie było na nim nawet śladu krwi. Nachylił się, żeby go podnieść, ale natychmiast się powstrzymał. Nie dotykaj go, pomyślał, nie dotykaj.